Boso, Ale W Ostrogach

Stanisław Grzesiuk

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Miał ledwie dwadzieścia dwa lata, gdy w 1940 roku trafił do obozu. Przesiedział tam pięć lat. Był dzieckiem warszawskiej ulicy, cwaniakiem, od najmłodszych lat zahartowanym w bójkach, obdarzonym dużym sprytem i humorem. Był twardy, postanowił, że się nie da – i udało mu się. Przeżył, choć wrócił z gruźlicą i zmarł na nią w 1963 roku.

Obozowe przeżycia opisał w książce Pięć lat kacetu i od razu stał się sławny. Wszyscy orzekli, że to wielki samorodny talent. Miał wówczas lat czterdzieści. Wysoki, mocno zbudowany, lekko pochylony do przodu, jakby szykował się do skoku, z zadziornym spojrzeniem – po prostu kozak. Tam, „na dole", na Czerniakowie -jak sam mówił – tylko kozaki się liczyły. Zarabiał piosenkami warszawskiej ulicy, stał się modny, ludzie chętnie go słuchali.

W 1959 roku napisał książkę o latach swego dzieciństwa i młodości BOSO, ALE W OSTROGACH. „Wiesz, jaki jestem – mówił o sobie -boso, ale w ostrogach". Przywołał w niej świat przedwojennej Warszawy, ukazał historię obyczaju z przedmieścia, namalował barwne postaci swojej grandy, w której „kapować nie wolno, skarżyć nie wolno, odegrać się wolno". „Grzesiuk lubi popisywać się krzepą- pisał Wojciech Żukrowski – prostuje się wewnętrznie, mogąc komuś dać po łbie, sam też bierze cięgi, ale nie skomli, tylko idzie w kąt lizać rany i poprzysięgać wyrównanie rachunku. Jest w nim jakaś romantyczna szlachetność. Nie odgrywa się za swoje niepowodzenia na słabszych, przestrzega zasad walki. Czytając niektóre karty, ma się ochotę go uściskać, klepnąć po przyjacielsku, dodać otuchy: Nie daj się, trzymaj się twardo". I trzyma się!

BOSO, ALE W OSTROGACH miało już kilkanaście wydań i wciąż zdobywa czytelników.

- Stanisław Grzesiuk
  - 1. I TAKIE BYWA ŻYCIE
    - ULICA TATRZAŃSKA
    - CO TERAZ ROBIĆ?
    - CZERNIAKÓW 1933
    - OSTATNIA NIEDZIELA NA KORTACH
    - KAPOWAĆ NIE WOLNO
    - PRACA
    - BAWIMY SIĘ
    - MOŻEMY SIĘ ZAPOZNAĆ
    - SZKOŁA ZAWODOWA
    - POGRZEB OJCA

- OSTATNIE SŁOWO DO DRAKI
- WIZYTA NA ODDZIALE CHIRURGICZNYM
- „WYSTAWNIAKI”
- DZIWNA ROZPRAWA SĄDOWA
- TRADYCJA
- PIES
- PRZYSPOSOBIENIE WOJSKOWE

○ 2. WOJNA
- RAJZA
- PECH
- CHLEB I PRACA
- DRZEWO I WĘGIEL
- „ROBOTA”
- „GLINY”
- ŚMIERĆ BYŁA BLISKO
- PODRÓŻE KSZTAŁCĄ
- ZABAWA
- ORGANIZACJA
- BOSO, ALE W OSTROGACH

○ 3. „NIE MA ŻYCIA”
- „NIE MA ŻYCIA”

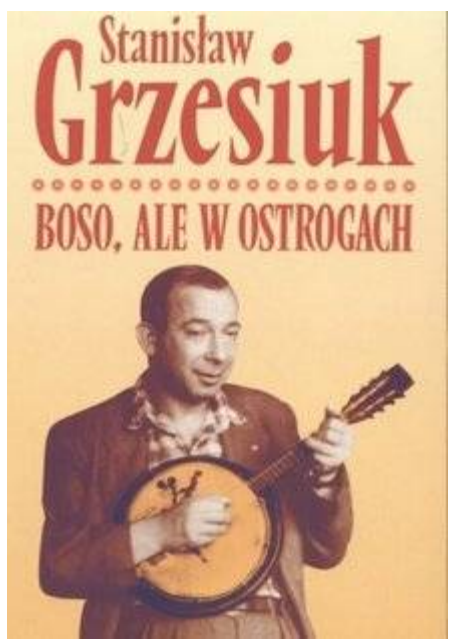

Stanisław Grzesiuk

Boso, Ale W Ostrogach

1. I TAKIE BYWA ŻYCIE

ULICA TATRZAŃSKA

Ulica Tatrzańska to mała uliczka, może około dwustu metrów długa, na której w okresie mojego dzieciństwa stało zaledwie kilka domów. Leży między ulicami Górską i Nabielaka. W tamtych czasach nie było na niej bruku, chodników i latarni, a w domach światła i wody. Po wodę trzeba było chodzić na inną ulicę, płacąc jeden grosz za wiadro. Był też jeden woziwoda, który rozwoził wodę w dużej, specjalnie do tego zrobionej beczce, krzycząc na ulicy i w podwórzach: „Woda – woda – woda!" U niego wiadro wody kosztowało pięć groszy. Ulica otrzymała bruk i oświetlenie wcześniej, lecz w naszym domu dopiero na wiosnę 1939 roku założono na korytarzach światło i wodę. Do tego czasu trzeba było, jak mówiłem, wiadrem przynosić wodę i wiadrem wynosić brudną do zlewu na podwórzu, a z podwórza dopiero rynsztokiem spływała ona do ulicznego ścieku. Światło elektryczne w mieszkaniu miał tylko właściciel sklepu, który przeciągnął linię bezpośrednio z ulicy, ja zaś w 1938 roku przeciągnąłem od niego linię do swego mieszkania.

Dom był czteropiętrowy i mieszkało w nim czterdziestu pięciu lokatorów – nie licząc sublokatorów. Mieszkania były jednoizbowe i miały wymiar cztery i pół na trzy i pół metra, zajmowały je rodziny złożone z pięciu, siedmiu osób, a były i takie, gdzie mieszkało jedenaście osób.

Ustęp, był nie skanalizowany, latem unosił się tam taki fetor, że można było udusić się. Wtedy niektórzy chodzili do pobliskiego, dziko rosnącego parku albo na puste ogrodzone place, przechodząc przez dziury w ogrodzeniu.

Zimą znów nie uprzątane nieczystości zamarzały tak wysoko, że niemożliwością było korzystanie z tego urządzenia. Najgorzej jednak było, gdy latem, w nocy, usłyszało się głośne wołanie: „Okna proszę zamykać, z ustępu wybierać się będzie!" Wtedy i w mieszkaniu można było udusić się smrodem.

Życie towarzyskie koncentrowało się na ulicy. Wieczorem ludzie stali grupkami na chodnikach, omawiając wypadki dnia i obmawiając swych bliźnich. Baby, stojąc lub siedząc na wyniesionych z domu stołeczkach, gryzły pestki dyni. Niektórzy grali w karty na małym stoliku stawianym na chodniku przed domem.

Młodzież „urzędowała" przeważnie na rogu. Po jednej stronie chłopcy, po drugiej dziewczęta – lecz te częściej spacerowały. Dzieci – tych było pełno wszędzie: na podwórzu, na chodnikach i na środku ulicy. Bawiły się czyniąc przy tym wielki wrzask. Gdy byłem dzieckiem, czy już nawet dorosłym, a w domu rodzice zapytali: „Dokąd idziesz?" – odpowiedź była zawsze jednakowa: „Na korytarz"

lub: „Na ulicę”. Wiadomo było, że tam spotka się zawsze kilku kolegów, z którymi można pogadać, pohecować, urządzić komuś kawał albo zaplanować wyskok „w miasto” – do kina czy też na zabawę. Na ulicy też dobierano się, by za złożone pieniądze kupić wódki, którą piło się w bramie, na ulicy lub za parkanem.

Mieszkańcy ulicy to robotnicy fabryk, budowlani i niewykwalifikowani z robót publicznych. Tym, co mieli prace stałe, powodziło się – jak na owe warunki – dobrze. Bezrobotni i pracownicy sezonowi cierpieli biedę.

W sobotę wieczorem na ulicy widziało się ludzi pijanych. To ci, którzy po zapłaceniu w sklepie długu zaciągniętego na życie w ciągu tygodnia, przepijali resztę ciężko zapracowanej tygodniówki. W sobotę wieczorem i w niedzielę w wielu mieszkaniach słychać było pijacki śpiew na zmianę z awanturami, które przeważnie kończyły się pobiciem kogoś. Niejeden raz ktoś został ciężko pobity, zdarzało się, że i nożem dostał i albo wylizał się z ran, albo przenosił się do wieczności, a winny do więzienia – jeśli policja doszła winnego. Bo „kapować nie wolno” – to główny punkt swoistego kodeksu honorowego obowiązującego na dzielnicy. Kto tej zasady nie przestrzegał, był niecharakterny i jako taki był bojkotowany przez otoczenie. Charakterność obowiązywała od najmniejszych dzieci do starców, i to zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

Nikt tu nikogo się nie bał. Silny nie bał się słabszego, a słaby nie ustąpił silniejszemu. „Skarżyć nie wolno, odegrać się wolno” – oto druga obowiązująca zasada. Ta zasada była przyczyną nie kończących się nieraz i trwających całe lata „wojen” i antagonizmów między poszczególnymi ludźmi, rodzinami, grupami, ulicami i całymi dzielnicami. Obowiązywała też zasada grzeczności na co dzień. Grzeczny ukłon znajomym, „bardzo przepraszam”, gdy trąciło się kogoś, czy chciało wyminąć, i przy każdej najdrobniejszej okazji. Tam, na Tatrzańskiej, klęło się, ile wlezie, ale jeśli w mieście użył ktoś nieprzyzwoitego słowa, natychmiast inny reagował: „No, ty! – słyszało się. – Spokój w głowie, porządek musi być, ludzie są, nie jesteś u siebie”.

Ten typ ludzi niektórzy nazywali: grandą. Lecz grandziarze to nie chuligani. Grandy odbywały się tylko u siebie – między sobą – i musiały być do tego przyczyny. W czasie wojny ludzie ci pokazywali okupantowi zęby i pazury, a po wojnie – ci, co przeżyli – wszyscy są statecznymi obywatelami.

O tym, jaką kto szedł drogą, często decydował przypadek. Chowaliśmy się wszyscy razem, w jednakowych lub zbliżonych warunkach. Na przykład czasem wystarczyło, że ktoś został bezrobotnym i długo nie mógł znaleźć pracy. W domu bieda, ale chłopak za złodziejstwo się nie bierze. Latem stara się dostać na

publiczne roboty, zimą do śniegu. Pewnego dnia był w grupie chłopaków, którzy coś skradli – więc i jemu dali przypadającą na niego część. Następnym razem już sam rozejrzał się, czy czegoś się nie da ukraść. A później już szukał okazji. Wreszcie wpadł, a po odsiedzeniu wyroku otrzymanie stałej pracy było już niemożliwością i tylko takie życie mu zostało. Inny uczciwy człowiek w awanturze skrzywdził przeciwnika; i znów pozostawało mu tylko życie człowieka wyjętego spod prawa, bez możliwości otrzymania stałej pracy. Z tego też powodu powstała zasada: „Kapować nie wolno".

Młodzieżą nikt się nie interesował. Była ona pozostawiona samej sobie. Na Czerniakowie było wiele knajp i w każdym sklepie wódka, ale ani jednego kina, świetlicy, biblioteki lub czytelni. Ulica Tatrzańska niczym nie różniła się od innych ulic położonych w kwadracie między ulicami Podchorążych, Czerniakowską, Chełmską i Belwederską. W takich warunkach mieszkałem i żyłem do 1940 roku, to jest do chwili aresztowania i zamknięcia mnie przez Niemców w obozie koncentracyjnym.

CO TERAZ ROBIĆ?

Mam lat piętnaście. Ukończyłem szkołę powszechną. Ze sprawowania otrzymałem stopień bardzo dobry. To drugi raz przez całe osiem lat nauki. Nie chcieli mi popsuć świadectwa. „Może się zmieni, jak dorośnie" – mówili nauczyciele. Pierwszy raz stopień bardzo dobry ze sprawowania otrzymałem na pierwsze półrocze pierwszego oddziału. Wszystkie inne były tylko, „odpowiednie". Sprawowanie obniżyło mi stopnie z innych przedmiotów. W szóstym oddziale siedziałem dwa lata. To wychowawca złośliwie zostawił mnie na drugi rok. Twierdził, że cały rok nie pracowałem – a ja przecież wszystko umiałem lepiej niż inni! Mój „konik" to matematyka, fizyka i chemia. Uparłem się tylko nigdy nie podnosić ręki i nie odpowiadać z ławki. To od oddziału piątego, gdy po błędnej odpowiedzi nauczyciel powiedział wobec całej klasy: „Siadaj, bałwanie, jak nie wiesz, to się nie wygłupiaj!" Cała klasa wybuchnęła śmiechem. Po tym zdarzeniu więcej już ręki nie podnosiłem. Jak padało pytanie, to podpowiadałem koledze siedzącemu obok mnie i on podnosił rękę i odpowiadał. Odtąd dzieci nazywały mnie „bałwanem", ale niedługo to trwało, bo za przezwisko biłem, i to biłem dobrze. Było kilka skarg rodziców, kilka ze szkoły, trójka ze sprawowania – ale wołać przestali, a ja więcej ręki nie podnosiłem poza jednym wypadkiem, tuż przed ukończeniem szkoły, ale to już była sprawa, jak to mówią, „gardłowa".

W szóstym oddziale nauczyciel wcale mnie pod koniec roku nie egzaminował. „Nie potrzeba – powiedział – ty i tak zostaniesz na drugi rok". Po skończonych egzaminach, a jeszcze przed wypisaniem świadectw, po lekcjach ukradłem z katedry dziennik ze stopniami z całego roku. Nad glinianką Morskie Oko obejrzałem stopnie swoje i innych – dziennik podarłem i utopiłem. Następnego dnia w szkole awantura: kto ukradł dziennik? Posądzono jednego chłopca, który nie był pewien, czy zda do następnej klasy. Wezwano jego ojca. Pytają chłopca wobec całej klasy, czy to on go wziął. Chłopiec się nie przyznaje. Ojciec zaczyna go bić.

– Ja ukradłem i zniszczyłem dziennik – odezwałem się głośno, wstając z ławki.

– Dlaczegoś to, durniu, zrobił? – wrzasnął nauczyciel.

– A co ja miałem do stracenia? Przecież i tak zostaję na następny rok. Okazało się, że jeszcze miałem coś do stracenia – obniżono mi stopień ze

sprawowania na nieodpowiedni i miałem być przeniesiony karnie do innej szkoły. Zatrzymano mnie na usilne prośby matki, która obiecała, że będzie mnie pilnować i że będę się dobrze zachowywał w szkole.

W następnym roku znów ze sprawowania „odpowiedni”. A było to tak: Nauczycielka dawała korepetycje z tego przedmiotu, którego nas uczyła, synowi restauratora z naszej dzielnicy. Gdy przyszło pisać wypracowanie klasowe, nauczycielka sama nie dyktowała nam pytań, tylko zwróciła się do tego ucznia:

– Podyktuj pytania, wiesz, te, co wczoraj przerabialiśmy.

Po kilku dniach oddała nam zeszyty i każdy podawał stopień, jaki otrzymał. Gdy doszło do mnie, odkrzyknąłem specjalnie głośno:

– Niedostateczny!

– O, to niedobrze, to bardzo niedobrze – odpowiedziała nauczycielka.

– Gdyby mój ojciec miał knajpę i płacił pani, to i ja miałbym bardzo dobry stopień, tak jak i on – odpowiedziałem, wskazując palcem na syna knajpiarza.

Co to była za awantura! Nauczycielka wyszła z klasy i wróciła z kierownikiem. Kierownik wygnał mnie do domu i kazał przyjść z ojcem. Następnego dnia przyszedł ze mną ojciec. W szkole postawiono sprawę tak: mam przeprosić nauczycielkę wobec całej klasy albo na dwa tygodnie będę zawieszony w nauce. Rozprawa odbywała się w klasie, przy wszystkich dzieciach. Ojciec każe przeprosić nauczycielkę, a ja znów uparłem się, że nie przeproszę. Ojciec zaczął bić.

– Żeby mnie tatuś nawet zabił, to nie przeproszę, bo ja mam rację! – wrzeszczałem na cały głos.

– Czekaj, już ja ci wleję w domu! – obiecuje ojciec.

– To tak „wystawię”, że mnie nawet policja nie znajdzie! – zagroziłem. Po drodze do domu upewniłem się jeszcze, czy ojciec mnie nie będzie bił, i powtórzyłem swoją groźbę: że jeżeli mnie uderzy, to ucieknę z domu, i to ucieknę nie na dwa, trzy tygodnie, ale tak, że więcej mnie nie zobaczy. – Czy tatuś rozumie, że ja mam rację? – dodałem na zakończenie. Ta groźba pomogła. Ojciec bał się, żebym nie uciekł. Jedna dłuższa ucieczka zmieniała nieraz całe życie dziecka. Wyłamywał się taki spod kontroli starszych, żeby żyć, musiał kraść, w końcu wpadał przy jakiejś kradzieży – a wtedy dom poprawczy i koniec z uczciwym życiem. Ojciec ukarał mnie inaczej. Przez całe dwa tygodnie nie wolno mi było wychodzić z domu na ulicę. Najstraszniejsza dla mnie kara. Siedząc w domu czytałem książki, grałem na mandolinie i tak przesiedziałem całe dwa tygodnie w areszcie domowym. A na zakończenie roku ze sprawowania „odpowiedni” i przeniesienie do innej szkoły.

W oddziale siódmym, w tej nowej szkole, miał miejsce konflikt innego rodzaju. Zaczęło się nieporozumienie z nauczycielem matematyki. Po pierwszym miesiącu nauki – pierwsze wypracowanie klasowe. Szybko rozwiązałem zadanie, bo kto oddał zeszyt, wychodził na boisko, a kartkę z rozwiązaniem na brudno podrzuciłem koleżance

i oddałem nauczycielowi zeszyt. Gdy po kilku dniach otrzymaliśmy zeszyty klasowe, ze zdziwieniem stwierdziłem, że z klasówki otrzymałem stopień niedostateczny. Sprawdziłem jeszcze raz – wynik dobry. Zobaczyłem u koleżanki stopień – bardzo dobry. Wynik taki sam, przecież ściągnęła z mojej kartki, tylko że u mnie trochę niechlujnie napisane, bo spieszyłem się na boisko. Z zeszytem idę do nauczyciela.

– Proszę pana, dlaczego ja dostałem dwójkę? Przecież tu nie ma żadnych przekreśleń – zapytałem grzecznie.

– Musiało coś tam być, siadaj na miejsce – odpowiedział nauczyciel. Stojąc przy nim podarłem zeszyt i wrzuciłem do kosza. Nauczyciel popatrzył – i nie powiedział nic. Po kilku minutach wydał nam zebrane poprzedniego dnia zeszyty domowe. Zajrzałem do środka, a tam napisane czerwonym ołówkiem: „Praca za miesiąc wrzesień oceniona niedostatecznie". Poprawek żadnych nie ma – z tym, że zeszyt też niezbyt czysto prowadzony. Bez namysłu i ten zeszyt podarłem – i do kosza, a nauczyciel też nic nie powiedział.

– Pokaż mi swój zeszyt – zwrócił się do mnie nauczyciel następnego dnia, gdy tylko wszedł do klasy.

– Nie mam – odpowiedziałem.

– A gdzie go masz?

– W domu zostawiłem. – To idź do domu po zeszyt.

Wyszedłem i całą godzinę biegałem po boisku i ulicy. Następna lekcja, matematyki – i wszystko powtórzyło się dokładnie tak jak poprzednio. I tak było przez miesiąc. W końcu było już tak, że jak on wchodził do klasy, to ja sam wychodziłem mówiąc, że idę do domu po zeszyt. Nauczyciel uparł się, że ja będę miał zeszyt, ja uparłem się, że zeszytu mieć nie będę. Nie warto pisać, jeśli bez żadnej przyczyny stawia niedostateczne oceny, a w dodatku nie chce mówić, dlaczego.

Połapał się wreszcie, że mnie w ten sposób nie ugada, więc zamiast wysyłać do domu, kazał stać w kącie. Wszystkie lekcje matematyki spędzałem w kącie – ale zeszytu nie przynosiłem. Do kąta wychodziłem sam, gdy tylko nauczyciel wchodził do klasy.

Stanie w kącie dało mi możność robienia nowych wyczynów. Stół nauczyciela przysunięty był do pierwszych ławek, a za jego plecami stała rozsuwana tablica. Gdy było wypracowanie klasowe, nauczyciel dyktował zadania, dzieląc klasę na dwie grupy. Ja w tym czasie stałem już w kącie. Gdy on dyktował, ja na tablicy pisałem dla pamięci cyfry - bo treść zadania miałem w głowie – i w tym czasie, gdy nauczyciel siedział przy stole i czytał książkę albo sprawdzał zeszyty domowe, ja na dwóch połówkach tablicy rozwiązywałem zadania jednej i drugiej grupy. Udało mi się to dwa razy. Wszyscy mieli wtedy dobrze rozwiązane zadania. Za trzecim razem wypadło tyle działań matematycznych, że musiałem pisać małe cyfry. Ci w końcu klasy nie

mogli ich dojrzeć, więc zaczęli kręcić się po klasie, żeby zobaczyć, co tam jest napisane na tablicy. Nauczyciel obejrzał się i wszystko się wydało. Od tego dnia sadzał mnie przy swoim stole. I taka sytuacja trwała do końca roku. Ten sam nauczyciel uczył nas robót introligatorskich – ale tu to już ja byłem bardzo dobry.

Trzy dni przed końcem roku nauczyciel zapowiedział nam, że zamiast robót będzie pytał z matematyki. Jeśli ktoś jest niepewny, to jeszcze będzie miał możność poprawić swój stopień. Mnie to nie dotyczyło, w jego pojęciu ja byłem całkowicie przekreślony – ale mimo to przyszedłem. Tego dnia nie posadził mnie obok siebie, bo to właściwie nie była już lekcja. Tego dnia pierwszy raz od czterech lat załamałem się i podniosłem rękę, chcąc odpowiadać na zadane pytania. Nauczyciel zaczął od najprostszych pytań: jakie znamy cyfry, jakie liczby dzielą się przez 2, 3 itd. Na początku wszyscy podnosili ręce – ja też. Im pytania były trudniejsze – tym mniej rąk się podnosiło. Wreszcie po jednym pytaniu podniosły się tylko dwie ręce. Ja podnosiłem przy każdym pytaniu, lecz jeszcze mnie nie pytał. Teraz popatrzył na mnie długo i przenikliwie, lecz zapytał drugiego. Następne pytanie – tylko ja podniosłem rękę. Zapytał mnie i odpowiedziałem dobrze. Następne – znów tylko ja. Zapytał – odpowiedziałem. Pytał dalej innych, lecz ja także odpowiadałem.

– Przyjdź do mnie po lekcjach do kancelarii – powiedział, gdy po skończonej lekcji wychodził z klasy.

W kancelarii wzięli mnie w obroty – kierownik szkoły, wychowawczyni klasy i nauczyciel matematyki. Przeprowadzili egzamin z matematyki – na żadnym pytaniu nie zaciąłem się. Kazano mi rozwiązać dwa zadania, rozwiązałem szybko i dobrze.

– No widzisz – powiedział do mnie kierownik szkoły – mógłbyś mieć stopień bardzo dobry, gdybyś się uczył przez cały rok, a tak to postawimy ci trójkę.

A więc z dostatecznym stopniem z matematyki, bardzo dobrym ze sprawowania i bez żadnej perspektywy na przyszłość ukończyłem szkołę podstawową mając lat piętnaście.

Co teraz robić?

CZERNIAKÓW 1933

Na dalszą naukę nie ma pieniędzy i możliwości. Chłopak, który ma piętnaście lat, powinien już starać się zarobić, żeby była pomoc w domu. Ale jak zarobić? Złodzieje z naszego domu namawiali mnie, żebym „pracował" z nimi.

– Jesteś cwaniak, policja ciebie nie zna – z nami będzie ci dobrze, nie zginiesz.

Odmówiłem. Po co kraść, jak nie można przynieść do domu? Gdy byłem mniejszy, a nieraz coś z chłopakami zwędziliśmy dla sportu – to w domu matka brała za łapę, kazała odnieść i przeprosić, a czasem to jeszcze dobrze wlała. Więc kraść nie miało dla mnie sensu. Wszystkie ogrody i sady w okolicy były w mojej bezpłatnej dzierżawie. Właziłem do każdego i nigdy mnie nie złapano – ale to było robione tylko dla sportu. Lubiłem każde ryzyko i niebezpieczne sytuacje.

Ojciec, jak był trzeźwy, nie mówił nic. Jak był pijany, krzyczał, żebym sobie roboty szukał. Cóż więc robiłem?

Rano przynosiłem matce dwa wiadra wody i wynosiłem brudną. Potem przynosiłem węgiel z piwnicy lub ze składu, kupiłem, co potrzeba, w sklepie – i już byłem wolny. Wtedy przynosiłem kilka wiader wody jednej lokatorce. Miała za drzwiami na korytarzu beczkę, z której brała wodę do prania i zmywania. Płaciła mi pięć groszy za przyniesienie jednego wiadra; tak samo jak u woziwody, tylko ja przynosiłem jej wodę pod drzwi, a od woziwody brało się spod bramy i trzeba było nieść na piętro. Jak przyniosłem pięć wiader, to zarobiłem dwadzieścia groszy, bo jeden grosz za wiadro brał inwalida przy pompie ulicznej. Następnie kręciłem się przy składzie opałowym. Niejeden raz zarobiłem trochę groszy za odniesienie komuś węgla do domu. Płacili jeden grosz od kilograma. Pracował tam już starszy kolega, ale jak on poszedł z węglem i nie było nikogo, a znów trzeba było odnieść, brałem ja. Nie dźwigałem po pięćdziesiąt kilogramów, bo to było dla mnie za ciężko, ale dwadzieścia, trzydzieści to nosiłem.

Teraz, gdy już miałem pieniądze, szedłem na Mokotów do biblioteki. Nie była to prawdziwa biblioteka, lecz sklep sprzedający papier, zeszyty i przybory szkolne, w którym na jednej ścianie były półki z książkami. Właściciel sklepu wypożyczał te książki za opłatą dziesięciu groszy od jednej książki po złożeniu dwu złotych kaucji. Ze swego zarobku złożyłem kaucję za dwie książki, ale były dnie, że wymieniałem tylko jedną książkę; częściej jednak wymieniałem dwie i czytałem jednego dnia. Nikt nie dawał mi żadnych rad co do wyboru lektury. Wyczytywałem więc wszystkie książki o Dzikim Zachodzie, Karola Maya, Branda, Baxtera, kryminalne Romańskiego, Marczyńskiego, Wallace'a i innych. Wyczytałem książki o przygodach

Arsena Lupina, Sherlocka Holmesa i wszystkie o Tarzanie; Michała Zevaco, Dumasa i *Trylogię* Sienkiewicza. Książki grube dzielone były na kilka mniejszych i za każdą płaciło się dziesięć groszy. Gdy już miałem w ręku książkę, brałem w kieszeń kawał chleba i szedłem nad starą fosę fortową na Czerniakowie. Tam, leżąc na słońcu, czytałem. Dla urozmaicenia co pewien czas zażywałem kąpieli, a raz lub dwa razy w ciągu dnia kilku z nas przepływało na drugą stronę fosy i zapuszczaliśmy się w ogrody badylarzy na strąki grochu.

Moimi ulubionymi bohaterami z książek byli ludzie, których cechowała szaleńcza odwaga i ryzykanctwo, obrońcy słabych i uciśnionych, a bojowi wobec ludzi złych. W postępowaniu swoim starałem się naśladować takich właśnie bohaterów. Cieszyłem się, gdy raz udało mi się wywalić okno w płonącym drewnianym budynku i zanim nadbiegli inni, wyniosłem dwoje małych dzieci oraz wyrzuciłem na podwórze wszystkie ubrania z szafy. Byłem wszędzie tam, gdzie groziło jakieś niebezpieczeństwo, i musiałem zawsze należeć do tych, którzy ostatni wycofują się z niebezpiecznej sytuacji.

Żeby być mocnym wobec złych, nie wystarczała sama odwaga, potrzebna była także zaprawa i trening. W mieszkaniu na drzwiach wieszałem stare ubrania i palta i godzinami ćwiczyłem uderzenia głową z różnych pozycji. Wiedziałem, że jest to najskuteczniejsze i najbardziej zdradliwe uderzenie. Doszedłem do takiej wprawy, że „na łeb" byłem jednym z najlepszych na Czerniakowie. Trenowałem też nożem. Rzucanie nożem do celu na odległość. Ukrywanie noża w rękawie. Błyskawiczne wyciąganie noża z kieszeni spodni i z kieszeni marynarki, tak zwanej „za parkanem"… Niejeden urwany guzik i rozdarte spodnie kosztował trening przeskakiwania przez parkan, chodzenia po drzewach i skakania ze znacznych nawet wysokości. Wyrabiałem w sobie silną wolę, upór i mściwość w stosunku do tych, którzy skrzywdzili mnie z premedytacją lub wykorzystywali swoją przewagę fizyczną. Po kilku awanturach ze starszymi i silniejszymi mówiono o mnie: „Chłopak grzeczny, ale i charakterny…" Słabszego nie uderzyłem nigdy.

Wieczorem wyskakiwałem na plac Unii Lubelskiej „postarać się trochę na majdanie" – co znaczy po prostu: sprzedawać gazety. „Starało się" tam wielu kolegów, z którymi kończyłem szkołę. Oni byli majdaniarzami rejestrowanymi (po złożeniu kaucji), ja starałem się na dziko: koledzy brali więcej gazet i część dawali do sprzedaży mnie.

Jaki był z tego zarobek? Dwa grosze od gazety w cenie pięciu groszy i trzy od dziesięciogroszowej. Od dodatku nadzwyczajnego osiem groszy od sztuki, ale wtedy mi nie dawali, ciężko też było trafić na moment wydania. Umieć sprzedać gazety – to była wielka sztuka.

– Ile sprzedałeś? – pytałem jednego kolegi.

– Dwanaście sztuk – odpowiada.

– A ja tylko dwie.
– A ty ile? – pytam drugiego.
– Piętnaście.
– A ja dwie.

Wreszcie i ja połapałem się w technice sprzedawania. Gdy dostałem gazety do ręki – jak najszybciej przed siebie, byle dalej, żeby być tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden nowy gazeciarz. Raz dotarłem w ten sposób do ulicy Filtrowej. W każdym tramwaju jadącym w stronę placu Narutowicza idą dwie, cztery gazety. Po pewnym czasie gazeciarze z placu Narutowicza połapali się, że im handel idzie słabiej – zjechali kupą, dali mi dobry wycisk i przegnali z dobrego stanowiska. Pojechałem do swoich chłopaków. Ci zostawili swój „majdan" w różnych kioskach i sklepach i grupą w osiemnastu chłopaków zrobiliśmy nalot na tamtych. I odegraliśmy się – ale już więcej w ich parafię nie jeździłem.

Najlepszy zarobek był wtedy, gdy udało się kogoś zrobić „na fryko". Przy wydawaniu reszty bilonem pieniądze odliczało się na własnej dłoni, kładąc na spód monetę upatrzoną dla siebie. Gdy kupujący nadstawiał rękę, oddawało się wszystko, bo mógł jeszcze raz sprawdzić. Gdy postawił woreczek, monetę leżącą na spodzie, na środkowym palcu, chwytało się lekko ukrywając ją między palcami i chociaż dłoń była wyprostowana, pieniądz pozostawał w ręku. Jeden taki „moniak" to tyle, co sprzedać kilka gazet. Metodę tę stosowali gazeciarze i wózkarze.

Kiedy do ojca przychodzili koledzy, wiedziałem, że będą pili wódkę, a mnie będą posyłali, żeby im przynosić po ćwiartce. Siedziałem wtedy kamieniem w domu. Gdy już nieźle sobie popili, wtedy robiłem „na fryko" po pięćdziesiąt groszy, po złotówce, a nawet i po dwa złote. Płaciłem sobie za fatygę siedzenia w domu.

Latem jeździliśmy przeważnie we czterech dwa razy w tygodniu do Kabackiego Lasu na jagody, grzyby lub orzechy laskowe. Na ulicy Puławskiej skakaliśmy w biegu na bufory ostatniego, towarowego wagonu przyczepionego do pociągu osobowego i tak uczepieni jechaliśmy do Pyr i do lasu. Tam trzeba było uważać, żeby nie dać się złapać gajowym – tak jak w kolejce kolejarzom. Gajowi często robili obławy na zbierających jagody lub grzyby. To już było dla nas sportem – tak lawirować i ukrywać się, żeby nie złapali. I nie złapali nigdy żadnego z nas. W kolejce było gorzej. Tu niejeden konduktor starał się nas złapać albo przepędzić z kolejki. Raz jeden kolejarz wlazł na dach towarowego wagonu i oblewał nas oliwą z oliwiarki. Mając doświadczenie, braliśmy w drogę solidne kije, żeby kolejarzowi nie pozwolić wysunąć znad dachu ręki czy głowy. Gdy kolejka dojeżdżała do stacji – wyskakiwaliśmy jeszcze w biegu i uciekaliśmy w odwrotnym kierunku. Czepiając się z boku osobowego wagonu dwa

razy zerwaliśmy z głowy siedzącemu przy otwartym oknie rabinowi jarmułkę, którą Żydzi odkupywali od nas, płacąc po pięć złotych. Kiedyś w Grójcu w czasie „wycieczki" zdjęliśmy ze stojącego na ulicy wozu skrzynkę wódki, którą wynieśliśmy za stojącą w pobliżu stodołę. Gdy wóz odjechał, przyszło do nas trzech łobuzów; zabrali nam wszystko, a za „fatygę" dali tylko każdemu z nas po pół litra wódki. I to dobre, mogli nic nie dać.

W kolejce raz tylko mnie złapali. Posiedziałem kilka godzin w komisariacie. Przyszła matka, zapłaciła pięć złotych kary, które później musiałem jej zwrócić, i zabrała mnie do domu.

Latem pojechałem na dwa tygodnie pod Grójec do znajomych gospodarzy, u których ostatnie dwa lata spędzaliśmy wakacje.

Złodziejska wieś. Nocami cała prawie ludność wybierała się na kradzież zboża z dworskich pól. Jedni zwozili, inni młócili w stodołach… i rano było już wszystko w porządku. Za stodołą cała sterta słomy, zboże zaś wymłócone i wywiane zostało już wywiezione na sprzedaż do miasta. Pewnej nocy chłopi wybrali się do odległej o trzy kilometry wsi kraść ulęgałki. Poszło wtedy chyba ze, trzydzieści osób i ja z nimi. Wszyscy piechotą przez cmentarz i las, a drogą dwa wozy do przywiezienia worków z ulęgałkami. Ciekawy byłem, jak będą rwali. Kazali mi zabrać ze sobą worek i płachtę. Okazało się, że robi się to łatwo, szybko i dokładnie. Każdy rozkłada swoją płachtę pod drzewem, dwóch wchodzi na drzewo i trzęsie, potem każdy bierze płachtę za rogi i zsypuje do swojego worka. Później worki na wóz, a sami znów piechotą, krótszą drogą do domu.

Złodzieje to byli przeważnie „wychowańcy". Prawie każdy gospodarz miał takiego „wychowańca". Po pierwszej wojnie światowej brali na wychowanie dzieci z sierocińca, które nie miały i nie znały swoich rodziców. Podrzutki. Państwo do pełnoletności dziecka płaciło im miesięcznie pewną sumę pieniędzy, a oni mieli darmo z początku pastucha, później parobka, tylko za jedzenie i marne ubranie. Gdy taki chciał się lepiej ubrać, pójść na zabawę albo wypić wódki – kradł.

W czasie żniw ludzie ze wsi chodzili pracować do dworów, których było kilka w okolicy. Pewnego dnia, gdy nie miałem co robić, wybrałem się na dworskie ziemie zobaczyć, jak pracują znajomi ze wsi. Kosili zboże tuż pod lasem. Słońce szło już ku zachodowi.

– Uważajcie, dziedzic jedzie! – zawołał ktoś ostrzegawczo.

I wszyscy raźniej zabrali się do roboty.

Był to młody jeszcze facet, na pięknym koniu, ze szpicrutą w ręku. Siedząc sztywno, przez kilka minut w milczeniu przyglądał się, jak ludzie pracują. Zbliżył się do niego karbowy, coś mówił po cichu. Po chwili podeszła z boku młoda jeszcze chłopka i prosi pokornie:

– Proszę jaśnie pana, niech jaśnie pan zwolni mnie o godzinę wcześniej. Mam chore dziecko, zostawiłam je bez opieki.

Nawet na nią nie spojrzał.

– Proszę jaśnie pana bardzo – mówi znów kobieta,

Patrzę i oczom nie wierzę: pocałowała go w rękę. Raz, drugi i wciąż powtarza swoje: „Proszę jaśnie pana bardzo”.

Stałem o dwa metry od „jaśnie pana”, a nie więcej jak o dziesięć metrów od lasu.

– O rany! Co za jaśnie pan! – krzyknąłem tak głośno, że wszyscy usłyszeli. – A moja dupa jaśniejsza niż wszystkie jaśnie pany!

W „jaśnie pana” jakby piorun strzelił. Szarpnął się w moją stronę.

Złapałem jedną lejce, zawinąłem koniem i zanim schwycił równowagę, już uciekałem do lasu. Ruszył za mną, ale byłem już w lesie.

Tak wyglądało moje pierwsze i ostatnie spotkanie z „jaśnie panem”.

– Dokąd idziesz? – zapytała matka, widząc, że wychodzę z mieszkania.

– Na ulicę.

– Żeby tylko znów jakiej skargi nie było. Nie pobij się z kim – upominała.

– Gdzie chłopaki? – zapytałem bawiącego się na ulicy dzieciaka, nie widząc moich rówieśników.

– Na łączce w piłkę grają – odpowiedział.

Gdy tam poszedłem, okazało się, że chłopaki już szli do domu na obiad; na łączce był tylko jeszcze Olek, pod pachą miał piłkę futbolówkę.

– Zostaw nam piłkę – poprosiłem – na moją odpowiedzialność. Jak przestaniemy grać, to ci ją odniosę do domu.

– Dobrze – odpowiedział Olek rzucając mi piłkę. – Tylko nikomu nie dawaj.

Po godzinie kopania zabrałem piłkę, by ją odnieść właścicielowi. Gdy dochodziliśmy już do ulicy, przyszedł Zygmunt. Był to chłopak z naszego domu, miał osiemnaście lat, trzy lata więcej niż ja.

– Dawaj piłkę – zwrócił się do mnie.

– Nie mogę – odpowiedziałem. – Olek kazał mi ją odnieść do domu, jak przestanę grać.

– Dawaj, dawaj, nie wygłupiaj się. Olek mnie nic nie obchodzi – odpowiedział. I chce mi wytrącić piłkę. Zrobiłem unik i piłkę odrzuciłem Jankowi, który stał kilka metrów z boku. Gdy podszedł do Janka, ten podał piłkę mnie.

– Jak odrzucisz piłkę, to dostaniesz w mordę – powiedział Zygmunt idąc do mnie.

Odrzuciłem. Podszedł i uderzył mnie pięścią w twarz. Nie wiedziałem, co robić – bić się z nim, czy nie bić? Był trzy lata starszy i dużo silniejszy.

– Jaki mocny – powiedziałem tylko, gdy szedł w stronę Janka i ostrzegał go w ten sam sposób jak mnie.

– A chcesz jeszcze raz? – zapytał zawracając do mnie.

– Chcę.

Podszedł i uderzył. Zrobiłem unik w dół i uderzyłem głową tak, że usiadł na trawie. Poderwał się, skoczył i znów dostał głową i ręką. I zaczęła się bijatyka, która trwała kilkanaście minut. Bijąc się, powoli zbliżaliśmy się do domu. Już przed bramą nadszedł jego starszy brat, który miał dwadzieścia jeden lat. Wtedy ze zbiegowiska ludzi, którzy przyglądali się walce, wyskoczyło kilku, odepchnęli moich przeciwników, krzycząc:

– Dwóch takich byków na jednego dzieciaka!

Wtedy szybko uciekłem do domu i powiedziałem matce, że pobiłem się z Zygmuntem.

– Czekaj – powiedziała matka, gdy wysłuchała wszystkiego – ojciec ci teraz da, jak przyjdzie *z* roboty. Chcesz pewnie, żeby ciebie zabili. Przecież ich jest czterech braci i ojciec.

Siedziałem spokojnie w domu, czekając na ojca.

– Musisz mu dobrze wlać – radziła matka, gdy ojciec wrócił z roboty.

– Jak to było? – zapytał mnie ojciec.

Wiedziałem, że ojciec jest sprawiedliwy, dlatego zawsze mówiłem prawdę i ojciec mi wierzył. Opowiedziałem wszystko szczegółowo.

– Ja go bił nie będę – zadecydował ojciec. – Zygmunt jest starszy, silniejszy i zaczął.

– Ale on go strasznie pobił – nastaje matka.

– A jak Zygmunt by jego zbił, to co byś powiedziała? Trzeba było się nie dać, prawda? No to on się nie dał. Nie wychodź tylko teraz na ulicę, bo ci wleją – poradził ojciec. – Ja sam wyjdę, dowiem się, co słychać.

Po pewnym czasie wrócił i powtórzył rozmowę z ojcem Zygmunta, z którym spotkał się na ulicy.

– No co? Pana chłopak pobił mojego. Ale wy z nami nie wygracie, nas jest więcej.

– A co mnie to obchodzi – odpowiedział ojciec. – Chcecie, to go bijcie. Ale ja was ostrzegam, że to jest mściwy szczeniak. Wy mieszkacie wyżej. Jak wy go dzisiaj pobijecie, to on się jutro zaczai na schodach i któremu z was nożem kichy wypuści. Ale co mnie to obchodzi, chcecie, to go bijcie.

Z tej awantury dał mi ojciec taką naukę:

– Pamiętaj – powiedział – jak zaczepisz kogoś, to już ja ci wleję. – Mówiąc to podsadził mi pod nos swoją ciężką, wielką pięść. – Jeśli pobijesz słabszego – też ci wleję. Ale jak tobie ktoś wejdzie w drogę, to gryź, drap, zabij, a nie daj się, bo tu jest takie życie, że jak

pozwolisz sobie wejść na głowę wielkiemu, to za dwa tygodnie już każdy szczeniak będzie chciał wejść.

Nie zaczepił mnie nigdy żaden z tej rodziny, a z Zygmuntem pogodziłem się dopiero po trzech latach.

Goniliśmy się z Antosiem. Gdy mi uciekł za parkan między stosy cegieł, wszedłem na latarnię gazową, by zobaczyć, gdzie się schował.

– Złaź stąd! – zawołał ktoś energicznie z dołu.

– Nie chcę! – odpowiedziałem i wtedy dopiero spojrzałem w dół. Był to Heniek. Chłop lat dwadzieścia jeden, z drugiej ulicy.

– Złazisz czy nie? – woła znów.

– Nie! – odpowiadam.

– Złaź, bo cię ściągnę!

– A spróbuj!

Pociągnął mnie za nogi tak, że chociaż wystawiłem ręce, to jednak twarzą uderzyłem o bruk ulicy.

Poderwałem się na nogi – a w ręku już miałem otwarty duży sprężynowy nóż. Uczyłem się tej sztuczki. W kieszeni nóż leży zamknięty, a wyciągam już otwarty.

– Czego szurasz? – zapytałem spokojnie, chociaż byłem wściekły i bolała mnie twarz. – Pewnie dawno „śledzia nie połknąłeś”?

– Zjeżdżaj stąd, bo kosą oberwiesz – ostrzegał Antoś, też z nożem w ręku, następując na niego z boku.

Heniek mruknął coś pod nosem i poszedł sobie.

Następnego dnia mijałem się z nim na ulicy – nie zaczepił mnie. Ale Antka wieczorem pobił. Więc następnego dnia we czterech pognaliśmy go kawał drogi, rzucając za nim kamieniami.

Po dwóch dniach, gdy rano niosłem matce dwa wiadra wody i odpoczywałem przed bramą rozmawiając z koleżanką, zobaczyłem, że od rogu ulicy idzie Heniek. Zaczepi mnie czy nie zaczepi – zastanawiałem się. Na wszelki wypadek wsadziłem rękę w kieszeń, w której miałem swój nóż. Zatrzymał się przy mnie. Naparł na mnie bokiem i trącając łokciem zapytał ironicznie:

– A może zechcesz się ze mną bić?

Ustawił mi się doskonale na uderzenie głową, więc od razu uderzyłem. Gdy uderzył mnie pięścią w twarz, ja już miałem otwarty nóż w ręku.

Zgłupiał, stał jak baran. Zza rogu wyszedł policjant. Schowałem nóż za podszewkę przez dziurę w kieszeni.

– Panie władzo, bił mnie nożem – mówił Heniek do policjanta.

„Ciapciak – pomyślałem – zaczyna pierwszy, a potem: «Panie władzo»„.

Policjant obmacał mnie, wyjął zza podszewki nóż i zabrał mnie do komisariatu. Poprosiłem koleżankę, żeby odniosła matce wodę i powiedziała, że jestem w komisariacie.

Dopiero wieczorem przyszedł po mnie do komisariatu ojciec. W drodze do domu nic się do mnie nie odzywał, a w mieszkaniu bez jednego słowa uderzył mnie w twarz. Gdy chciał uderzyć drugi raz, zrobiłem unik i walnął w szkło lampy naftowej, która stała na stole. Zbił szkło i lampka zgasła. Ojciec poszedł do sklepu, kupił nowe szkło, oczyścił lampkę… i nastąpił dalszy ciąg. Ojciec nic nie mówił – ja też nie.

Dopiero następnego dnia matka powiedziała mi, za co dostałem. Okazało się, że gdy już mnie zabrali z ulicy, Heniek przyszedł do mnie do domu i prosił, żeby rodzice zwrócili mi uwagę, bo ja go zawsze zaczepiam i nie daję mu spokojnie przejść. Ojciec wlał mi dlatego, że zaczepiam, i to zaczepiam starszych.

„Och, łachudra – pomyślałem sobie. – Czekaj ty, ja na tobie jeszcze sobie odbiję i «panie władzo», i skarżenie, i «zaczepianie»„.

Wkrótce Heniek poszedł do wojska. Gdy wrócił, to ja przez ten czas podrosłem i już byłem bojowym i dobrym kozakiem. Takich jak on już się wtedy nie bałem. Niejeden raz zawracał, gdy mnie spotkał na ulicy. Uczciwie ostrzegłem go przez znajomych, że się odegram, jak tylko znajdę okazję. Nie dał mi okazji.

Po wojnie, gdy już wróciłem do Warszawy, spotkaliśmy się. Natychmiast wróciła dawna chęć zemsty, ale on tak się ucieszył, że ja żyję, tak serdecznie mnie powitał i ugościł, że wreszcie darowałem mu jego dawny niecharakterny postępek.

OSTATNIA NIEDZIELA NA KORTACH

Była na ulicy Belwederskiej knajpa „Sielanka". Po zlikwidowaniu knajpy pozostały tylko dwa korty tenisowe, które wynajmowano na godziny. Grać w tenisa przychodzili „obcy z miasta". Elegancko ubrani, w białych spodniach i szortach, szczęśliwi i zadowoleni z życia, ze sporą ilością forsy w portfelach.

Było nas sześciu w wieku dwunastu, trzynastu lat do podawania piłek i konserwacji kortów. Za zarobione pieniądze musieliśmy kupować gips do wyznaczania linii. To, co właścicielka brała za wynajmowanie kortów, to był jej czysty zysk – bo nie wkładała w nie ani żadnej pracy, ani pieniędzy. W dnie powszednie nie było wielu grających i przychodzili oni tylko po południu. Dlatego po lekcjach w szkole szliśmy urzędować na korty i dopiero tu uzgadnialiśmy, którzy z nas zostaną na dyżurze, a którzy pójdą do domu odrabiać lekcje. Po odrobieniu lekcji następowała zmiana. Jeśli goście grali tylko na jednym korcie, podawaliśmy piłki na zmianę, tak żeby każda dwójka mogła coś zarobić. Przez pewien okres goście płacili nam sami, pięćdziesiąt groszy za godzinę na jednego, dlatego w tym czasie odbywały się walki konkurencyjne z chłopakami z innych ulic. Później właścicielka pobierała opłatę za podawanie piłek, a nam wypłacała trzydzieści groszy za godzinę, resztę potrącając na konserwację kortów. W ten sposób zakończyła się walka o korty i zmniejszyły się zarobki. Zarobione na podawaniu piłek pieniądze oddawaliśmy rodzicom, a sobie zostawialiśmy pięćdziesiąt groszy albo złotówkę, w zależności od tego, ile się zarobiło. Za te pieniądze kupowaliśmy sobie pestki, owoce, wodę sodową i największą przyjemność – kino w koszarach wojskowych, gdzie dzieci płaciły za wejście dwadzieścia groszy.

W niedzielę siedzieliśmy na kortach od godziny szóstej rano do wieczora. Dwie dwójki pracowały, trzecia odpoczywała. Już w sobotę wieczorem umawialiśmy się, który z nas wstanie pierwszy i będzie budził innych.

– Cygan! – rozległ się pewnej niedzieli o godzinie szóstej rano wrzask kolegi.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, już wrzask powtórzył się.

– Zaraz idę! – odkrzyknąłem. Zerwałem się z łóżka i zacząłem szybko ubierać się, a na podwórzu wciąż słychać było piskliwy, dziecinny głos, wołający kolejno innych kolegów.

– Zamknieszże ty mordę, psia twoja mać, szczeniaku! – krzyknął przez okno jakiś zbyt wcześnie zbudzony, nerwowy lokator.

– A bo co? Nie wolno?! – odkrzykuje chłopak. – Już po piątej, to można krzyczeć! – pyskował, ważny, że nikt mu nic nie może zrobić.

Chlust! Słychać chlapnięcie wody o bruk podwórza. To znów jakaś nerwowa lokatorka wylała na niego garnek wody.

– Stara małpa! – krzyczy chłopak. – Żeby cię tak po śmierci zleli. Chłopaki! – wrzasnął znów. – Czekam na was na ulicy!

Po kilku minutach już cała nasza szóstka stała przed bramą. Wczesny pogodny letni ranek. Na ulicy pusto, nie widać jeszcze żadnego przechodnia – bo była to mała boczna uliczka, którą nikt obcy prócz mieszkańców i ludzi, którzy szli kogoś na naszej ulicy odwiedzić – nie chodził.

Jeszcze zaspani, wolnym krokiem poszliśmy w kierunku ulicy Belwederskiej. Żeby za wcześnie nie budzić właścicielki, na korty dostaliśmy się przez wysoki parkan. Z szopy stojącej w ogrodzie wzięliśmy miotły, gips i deski do wytyczania linii. Gdy place tenisowe zostały już zamiecione, przyciągnęliśmy dość duży walec i wspólnym wysiłkiem, uczepieni przy dyszlu, ubijaliśmy plac.

– No, chłopaki, teraz już za bardzo się spieszymy, bo jak ta stara szantrapa wstanie, to nam zaraz znajdzie jakąś robotę – powiedział Heniek.

– A jakbyśmy się tak zbuntowali? – odpowiedziałem. – I nie chcieli nic innego robić? Obcięła nam dwadzieścia groszy za godzinę, sami musimy dbać o kort i w dodatku, cholera, robi z nas służących!

– Nie warto – odpowiedział Heniek – bo nas wygna i przyjdą inni. Przedtem mieliśmy po pięćdziesiąt groszy, ale stale musieliśmy się bić z chłopakami, którzy chcieli zająć nasze miejsca.

Rzeczywiście, przypomniały mi się bijatyki na kije i kamienie, z których niejeden raz wychodził któryś z rozbitą głową. Walki odbywały się całymi ferajnami – ulica na ulicę. Nasza ulica była mała, ale pakowna. W jednym tylko domu było nas jedenastu rówieśników. Grający w tenisa mieli możność wybrać sobie chłopaków do podawania piłek, bo płacili im sami, więc było nas zawsze więcej, niż potrzeba. Jak przychodzili dobrzy gracze, to wybierali tych, których już znali z tego, że potrafią dobrze zbierać i podawać piłki i że w czasie gry nie będą się plątać po placu.

Teraz było nas tylko sześciu, z oberwanym zarobkiem i dodatkową pracą przy konserwacji kortu, ale mieliśmy pewność, że nikt się nam nie wciśnie do podawania, bo zarobek wypłacała nam właścicielka. Płaciła hurtem za cały dzień, a my obliczaliśmy sami, który z nas ile godzin podawał. Były wypadki, że gangrena stara nawaliła nam za dwie albo trzy godziny – „bo tak jej wychodziło w obliczeniu”. Wtedy stratę ponosiliśmy wszyscy solidarnie.

– Ciekawe, o której przyjdą pierwsi goście – zagadałem.

– Chyba nie wcześniej niż o ósmej albo o dziewiątej – odpowiedział Heniek, największy nygus, ten właśnie, który nas z takim rabanem budził.

– Musimy dobrze zapisywać, który z nas ile godzin podawał, bo to niedziela, cały dzień podawania, więc stara na pewno będzie chciała nas na kilka godzin rąbnąć.

– Jak będzie chciała, to i tak cię rąbnie i nic jej nie zrobisz – odpowiedziałem.

– Czy nic nie zrobię, to dopiero zobaczymy – odgroził się Maniek.

W czasie tej rozmowy pracowaliśmy bez przerwy. Robiliśmy linie, sypiąc gips w odpowiednio długi szablon zrobiony z desek.

– Stara już wstała – mówię. – O, cholera, patrzcie, idzie do nas, zaraz nam znajdzie jakąś robotę, żeby nam się nie nudziło.

I nie omyliliśmy się. Zostawiła trzech do wysypywania linii, a trzech innych zabrała do mieszkania, żeby pozamiatali podłogi. Ja trzymałem w rękach pudełko z gipsem, więc zostałem na placu z jeszcze dwoma chłopakami do przenoszenia szablonu, a pozostali, klnąc koncertowo pod nosem, żeby stara nie słyszała, poszli zabawiać się w pomoc domową.

Po naciągnięciu siatek korty były już gotowe do użytku. O godzinie dziewiątej przyszli pierwsi goście, od razu na obydwa korty. Tworzyliśmy stałe dwójki, więc stara puściła z domu jednego, a dwóch dalej musiało pracować. Po godzinie goście się zmienili i zmieniła się jedna nasza dwójka.

Wolna dwójka w tym czasie podlewała w ogrodzie truskawki i tak na zmianę, aż do południa. Gdy czterech podawało piłki, pozostali dwaj podlewali w ogrodzie kwiatki i jarzynki. Podawanie szło normalnie, nic się szczególnego nie zdarzyło. W południe w wolnym czasie urywaliśmy się do domu na obiad.

Po południu przyszła „zaraza", to znaczy duże towarzystwo, które przyprowadziło ze sobą chłopców do podawania piłek. Rodzinka. Zawsze ciężko było podawać przy dużej grupie, bo oni się zmieniali przy grze, a my ganialiśmy bez przerwy, podczas gdy przy mniejszym towarzystwie odpoczywaliśmy często razem z nimi. Jednak chociaż było ciężko, ale zarobek szedł, a jak grali bez podawania albo mieli swoich podawaczy – to wtedy te godziny były dla nas stracone.

Ci wynajęli kort na trzy godziny. Dla nas to trzy godziny odpoczynku i trzy godziny straty zarobku. „No czekajcie – pomyślałem sobie – zobaczymy, jak wam się to opłaci". Pokręciliśmy się po terenie, wreszcie usiedliśmy na wysokim parkanie i obserwowaliśmy grę i podawanie.

– Patałachy – odezwał się Maniek.

– Ja bym takiemu mordę obił, jakby mi się tak plątał po korcie – dodał Heniek.

– Rąbiemy piłki? – zaproponowałem. – Za te piłki my nie odpowiadamy, a mają ich, widzę, do cholery i ciut, ciut.

Tam gdzie my podawaliśmy, nie mogła zginąć żadna piłka.

Obserwowaliśmy piłki w locie, widzieliśmy zawsze, gdzie która upadła, i tam się szukało. Jeśli nie znaleźliśmy od razu, to znalezione później piłki trzymaliśmy w szopie i oddawaliśmy je, gdy goście przychodzili następnym razem. Jak piłka wpadła w małe przejście między kortem a ogrodem, to należało szukać jej w zupełnie innym miejscu, bo wówczas za krzakiem jaśminu skręcała i słabym torem toczyła się między zagony. Każdy z nas mógł od razu powiedzieć, pod którym krzakiem truskawek piłka leży.

Spojrzałem – piłka wpadła w furtkę za jaśmin. Chłopak pobiegł za piłką. Szukał, szukał, wreszcie zrezygnował i wrócił na kort. Po kilku minutach zlazłem z parkanu, z zupełnie innej strony wszedłem do ogrodu i zabrałem piłkę spod krzaczka, pod którym spodziewałem się ją znaleźć. No, to jedną piłkę już mamy.

Odniosłem ją do altany, w której mieliśmy schowek pod ruchomą deską podłogi, i znów usiadłem na parkanie. Po pewnym czasie inna piłka potoczyła się pod parkan, tuż pod nami. Heniek wyjął z kieszeni piłkę, którą znaleźliśmy kiedyś po odejściu gości, i siedząc na parkanie bawił się uderzając nią o ziemię. Gdy za którymś uderzeniem nie udało mu się złapać piłki, zszedł na ziemię i podniósł dwie, swoją i tę drugą. I znów swoją do kieszeni, a frajerską do altany pod podłogę. Następna piłka przeleciała nad parkanem na ulicę. Chłopiec wlazł na parkan, rozejrzał się, a gdy piłki nie zauważył, wrócił na kort, nie przejmując się jej brakiem. To już mamy trzy. Do tych doszła jeszcze czwarta, która znów zakręciła za krzakiem jaśminu.

– Wystarczy – szepnąłem chłopakom. – Więcej nie bierzemy, bo może być draka.

Po trzech godzinach, gdy już zakończyli grę, okazało się, że brakuje sześciu piłek. Wtedy uczciwie pomogliśmy im w szukaniu i znaleźliśmy brakujące do rachunku dwie piłki. To odsunęło od nas podejrzenie, że to my mogliśmy podwędzić brakujące cztery piłki.

Następna grupa na ten sam kort – to dwóch młodych facetów z pannami. Korty wynajęli na dwie godziny. I znów pech. Grają bez podawania. Podnoszą piłki sami. A nas jest sześciu i podajemy na zmianę tylko na jednym korcie. Przekazaliśmy sobie po cichu, że tych też urządzimy na klawo – tak, że odechce im się grać bez podawania. Ale co im urządzić? Piłek brać nie można, bo mają tylko sześć, a znów zrobić coś musimy, żeby chociaż wyrównać straty moralne za te pięć godzin strat materialnych. Bo może nie zezłościłoby nas to tak, gdyby to było później, a nie bezpośrednio po tamtych graczach.

Usiedliśmy na trawie tuż przy altanie, w której goście ułożyli swoje manele, i kombinowaliśmy, jaką im zrobić szkodę. W tym czasie gracze zrobili małą przerwę na odpoczynek.

– E, mały! – zawołał w naszą stronę jeden facet.

Podbiegłem pierwszy przeczuwając, że będzie jakieś zlecenie

połączone z napiwkiem.

– Przyniesiesz nam piwa i papierosów? – zapytał.

– Ile tylko pan zechce – odpowiedziałem.

Dał mi dziesięciozłotową monetę, zastrzegając, żebym przypadkiem nie uciekł. Kupiłem w budce wszystko, o co mnie proszono, i zażądałem reszty w drobnym bilonie. Może uda mi się zrobić go „na fryko".

I rzeczywiście udało mi się zawadzić złotówkę i moja strata została prawie wyrównana. Jeśli jeszcze dobrze sprzedamy piłki, to wyjdziemy na czysto, z zyskiem, mimo straconych pięciu godzin bez podawania.

Wszystko układało się ładnie i dobrze, gdy raptem widzę, że Maniek zapuszcza grabkę w otwarty woreczek leżący na ławeczce przy altanie i wyciąga papierową „monetę". Jeśli papierowa, to najmniej dwadzieścia złotych, bo do dziesięciu złotych było w bilonie.

– Dajesz dolę? – szepnąłem cicho, robiąc do niego oko. Maniek kiwnął głową na znak zgody.

– Schowaj dobrze i nie odchodź nigdzie, aż bomba pęknie. Bo jak odejdziesz, to będzie poruta, a może nie zauważą.

Właścicielka torebki już po kilkunastu minutach zauważyła brak pieniędzy. Kto ukradł? Na pewno któryś z nas. Ale z nas czterech, siedzących przy altanie, żaden nawet na chwilę nie odszedł. Zawołano właścicielkę kortów, zrewidowano wszystkich, ale pieniędzy nie znaleziono. Tylko ja jeden miałem złotówkę zarobioną „na fryko" – ale tu przecież chodziło o większą sumę. Najdokładniej rewidowano Mańka, bo siedział przy torebce. Chcieli zawołać policjanta. Chłopaki zaczęli płakać, a najserdeczniej robił to Maniek. W końcu doszli do wniosku, że pieniądze musiały się wysunąć przy wyjmowaniu chusteczki. Szukaliśmy wszyscy na trawie i tam, gdzie przypuszczalnie mogło się to zdarzyć, ale ze zrozumiałych względów pieniądze się nie znalazły.

Gdy po pracy, która skończyła się dla nas po godzinie siódmej wieczorem, po zdjęciu i schowaniu siatek do szopy, poszliśmy do starej po wypłatę, ta podała nam do wiadomości, że będzie nam płacić tylko za pracę w dnie powszednie, a niedzielny zarobek będzie zatrzymywała na kupno nowych siatek, bo stare są już mocno zniszczone. Tu już zbuntowaliśmy się. Potrąca nam po dwadzieścia groszy z każdej godziny na gips – czyli więcej, niż wynosi koszt gipsu, zamiatamy, wałujemy i znaczymy kort, zdejmujemy i zakładamy siatki, odpowiadamy za zaginione przy podawaniu piłki i teraz jeszcze na swój koszt mamy kupować siatki? Jeden chłopiec zaczął nawet płakać, a Maniek – najstarszy z naszej grupy – stanął sztorcem. Zażądał wypłacenia zarobku, i to nie po trzydzieści, a po 50 groszy za godzinę – tak jak ona bierze od gości, oświadczając, że już tu więcej

nie przyjdzie, bo do tego wszystkiego jeszcze posądzają go o złodziejstwo. Ja zagroziłem, że napuszczę swego ojca, który jak przyjdzie, to jej mordę obije, a wstawienie zębów będzie ją drożej kosztowało niż to, co nam chce zabrać.

Wreszcie stara z wściekłością wypłaciła nam zarobek, jednak tylko po trzydzieści groszy za godzinę, twierdząc, że poprzedniego dnia kupiła gips, za który musimy zapłacić, i wymyślając zabroniła nam pokazywać się więcej na korcie.

– Jazda stąd, szczeniaki! Żebym was tu więcej nie widziała! – krzyczała łapiąc za kij.

Gdy byliśmy już przy furtce, zatrzymaliśmy się gwiżdżąc i krzycząc głośno.

– Zaczekaj, ty stara k… – krzyknął Maniek. – Jeszcze ci się odegramy. Teraz byliśmy mocni, bo znajdowaliśmy się już za bramą. Gdy pędziła do nas z kijem, poleciało w jej kierunku kilka kamieni, które zahamowały jej zapędy. Zadowoleni z siebie, poszliśmy na ulicę Belwederską, gdzie chłopcom mieszkającym w „arystokratycznym" nowym domu sprzedaliśmy po złotówce cztery zorganizowane piłki. W owocarni rozmieniliśmy dwadzieścia złotych, które „zarobił" Maniek. Po wyjęciu z torebki zwinął on banknot w wąski pasek i przez dziurkę wsunął w mankiet koszuli. Dołożyłem też swoją złotówkę, zarobioną „na fryko", i całą sumę podzieliliśmy na wszystkich.

– E, chłopaki, a jak się odegramy starej? – zapytałem.

– Weźmiemy żelazne drągi i narobimy dziur na placu tenisowym – zaproponował Heniek. – Drągi możemy pożyczyć od dozorcy.

– Nie, to nie będzie klawo – odezwał się Maniek. – Po pierwsze, stara narobi rabanu, bo kort już nie będzie nadawał się do użytku, a po drugie, inne chłopaki też już nic nie zarobią na podawaniu piłek.

– Maniek ma rację – powiedział. – Najlepiej będzie, jak zniszczymy jej ogródek. Pójdziemy w nocy całą ferajną, ale dopiero po kilku dniach. Bo jak pójdziemy dzisiaj, to będzie pewna, że to my. No bo też musiałeś się, gnoju głupi, odgrażać – powiedziałem z wyrzutem pod adresem Mańka. – Teraz nie wiadomo, co jej urządzić.

Po dwóch tygodniach, późnym wieczorem, przedostało się na teren kortów od tyłu posesji, przez parkan, czternastu chłopców w wieku dwunastu, czternastu lat. Następnego dnia właścicielka nie mogła poznać własnego ogrodu. Wyglądał jak po nalocie szarańczy. Wszystko zniszczone, powyrywane z korzeniami i porwane na kawałki – krzaczki truskawek i kwiaty ogrodowe, przewrócone ule, róże „królewskie" poucinane tuż przy ziemi, tak że sterczały tylko kawałki patyków. Oszczędzono tylko kort.

Odtąd stara nie brała już chłopaków na stałe. Siedzieli oni zawsze w pobliżu kortu, a goście wybierali sobie spośród nich tych, którzy im się podobali, i płacili im sami umówioną z góry cenę. Nasza szóstka na

wszelki wypadek trzymała się od kortów z daleka. Powiększyliśmy grono bezrobotnej młodzieży, która po zajęciach szkolnych szukała jakichś możliwości zarobku. Jednak jeszcze przez kilka lat, już nawet jako dorośli ludzie, od czasu do czasu właziliśmy starej w ogród, na kwiaty. Nie niszczyliśmy już ich nigdy bezmyślnie, tak jak za pierwszym razem. Zrywaliśmy sobie tylko pęki rozwiniętych kwiatów, a robiliśmy to zawsze ze wspomnieniem naszej ostatniej niedzieli na kortach.

KAPOWAĆ NIE WOLNO

Religię wykładano dwa razy w tygodniu. Uczniowie w naszej szkole zawodowej na Czerniakowie to chłopy po osiemnaście i dziewiętnaście lat, a każdy już dobry rozrabiaka i grandziarz. Do nauczania religii takiego towarzystwa też potrzebny był ksiądz – dobry łobuz, bo inny przecież nie dałby sobie rady, żeby wszystkich utrzymać w garści. Długi czas żaden ksiądz nie mógł dojść do porozumienia z nami i każdy po kilku lekcjach rezygnował z pracy. Wreszcie trafił się taki, który wypłoszyć się nie dał. Przychodził na lekcje religii z gumowym kablem pod sutanną i lał każdego, kto na lekcji rozrabiał. Było nieraz i tak, że jak mu który uciekał, to ganiał go po ławkach z gumą w ręku. Chłopaki też starali się, żeby było wszystko „na kwita". Jak ksiądz łomotał chłopaków, to ci mu znów robili jakiś kawał. Gdy ksiądz szedł w koniec sali, to z powrotem wracał tyłem, jak rak, bo gdy się tylko odwrócił plecami do sali – to już na pewno oberwał kałamarzem w plecy.

Miał rozrywkę ksiądz z uczniami – mieli też rozrywkę uczniowie z księdzem. Gdy miała być lekcja religii, każdy tylko czekał, co tego dnia wyniknie ciekawego.

Pewnego dnia, gdy ksiądz wszedł do klasy, stwierdził, że jest ona pusta, a na tablicy wypisano dużymi literami: „My chcemy nauki zawodów – a nie religii".

Ksiądz odczekał kilka minut i poszedł do kancelarii. Wtedy słuchacze powyłazili z dziur, w których się pochowali, zajęli ławki i siedzą cicho. Zrozumiałe, że napis z tablicy też został starty. Całą tę rozróbkę urządził Heniek Ołówek, przy pomocy Staśka Kozaka, który był kochany chłopak, kiedy chodziło o przeprowadzenie jakiegoś kawału. Wchodzi ksiądz z dyrektorem szkoły, by pokazać mu, co te łobuzy robią. A my tymczasem siedzimy cicho, bez śmiechu i żartów, w oczekiwaniu na księdza, by wysłuchać nauk bożych.

Mimo że wzywano kolejno do dyrektora wszystkich uczniów, nie dowiedziano się, kto to urządził. Charakter przede wszystkim – w myśl zasady obowiązującej w dzielnicy: „Skarżyć nie wolno – odegrać się wolno". Zasada ta wpajana była od dziecka i działała tak silnie, że nawet przy spowiedzi nikt nie kapował. Przekonaliśmy się o tym w czasie spowiedzi wielkanocnej.

Spowiedź nie była przymusowa, ale rekolekcje w kościele przy Łazienkowskiej odbywały się zamiast wykładów w szkole i lista obecności była sprawdzana. Nieobecność zaznaczano w kontrolce ucznia, którą raz w miesiącu pracodawca obowiązany był sprawdzać.

Nadszedł wreszcie dzień spowiedzi. W kościele zjawiliśmy się jak zawsze wszyscy, mimo że z naszej jedenastki tylko pięciu szło do

spowiedzi. Inni poszli dlatego, że nie mieli co robić z wolnym czasem – no i z obawy, że jak pójdzie tylko pięciu, to jakieś inne „towarzystwo" mogłoby chłopakom sprawić wycisk na tle osobistych porachunków. Bo pięciu to przecież nie jedenastu.

Spowiadało kilku księży. U każdego przy konfesjonale stała kolejka – tylko do naszego katechety nie było nikogo. Chłopaki przezornie woleli spowiadać się u księży, którzy ich nie znali. To nasz księżulo wyłapywał z innych kolejek chłopaków i ciągnął ich na siłę do siebie.

Nasze chłopaki już się wyspowiadali, czekaliśmy tylko jeszcze na ostatniego, a był drugi w kolejce do jakiegoś starego księdza, którego nie znaliśmy.

Któryś z nas zawołał:

– Pospiesz się, bo idziemy!

Drugi dorzucił:

– Nie kapuj wszystkiego!

A kumpel w zbytkach przewrócił oczami, spojrzał w górę, stuknął się kilka razy pięścią w piersi, ucałował książeczkę do nabożeństwa i za chwilę klęczał już przy spowiedzi. Wszyscy gapiliśmy się na niego. Nagle – co to? Podrywa się z kolan i biegiem ucieka od konfesjonału. Zakręcił się między stojącymi kolegami i już był przy nas. Rozpierzchliśmy się w różne strony, żeby zdezorientować pościg. Ksiądz już wykaraskał się z konfesjonału i szybko przesuwał się od grupy do grupy, starając się złapać penitenta. Po chwili byliśmy już przed kościołem i tam dopiero dowiedzieliśmy się, jak to było z tą spowiedzią.

W poczuciu powagi chwili kolega chciał wyspowiadać się jak najlepiej, więc doszedł do wniosku, że jak przeczyta z książeczki cały rachunek sumienia, to będzie pewien, że żadnego grzechu nie opuścił. A te, do których się przyzna, a nie były popełnione – też będą mu odpuszczone. Więc klęcząc, zaczął czytać *z* książeczki rachunek sumienia.

Ksiądz już po chwili zorientował się, że ta spowiedź za płynnie idzie. Spojrzał przez kratki, zobaczył przyczynę i powiedział:

– Czytać to i ja potrafię. Nie będę cię spowiadał. Oburzony grzesznik wybuchnął:

– To pies księdza…

Pomaleńku szliśmy w stronę Belwederu. Niejeden raz temu lub innemu wyrwało się niecenzuralne słowo. Gdy w swej nieświadomości zaczepiliśmy raz dwie panie lekkiego zawodu, a te posłały nam kilka wiązanek, żaden z nas nie został im dłużny. Nie można było inaczej, bo by nas „panienki" uważały za „gzymsików" – a nie za chłopaków z dzielnicy.

Gdy byliśmy już za Ogrodem Botanicznym, lunął deszcz.

Schowaliśmy się do mieszczącego się po drugiej stronie ulicy Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Nad wejściem był napis: „Honor i Ojczyzna”. Deszcz lał jeszcze solidnie, gdy przyszedł jakiś facet i kazał się nam wynosić na ulicę. Na prośby wszystkich, którzy się tam schronili, i uwagi o lejącym deszczu odpowiedział:

– Tu nie wolno stać i nic mnie więcej nie obchodzi. Jazda stąd, prędzej, bo dam po łbie.

Tu się oszukał. Nie wiedział, że stoi kompania, dla której takie powiedzenie to ostatnie słowo do draki.

– To ty… taki a taki łachmyto, takim „honorem” nas częstujesz? To ty… inny… – i tak dalej – w imieniu „ojczyzny” tak traktujesz porządnych ludzi? To czekaj, zaraz będziesz z tych schodów fruwał.

I tylko dobremu charakterowi w nogach zawdzięczał, że nie zjechał na twarz, ratując się szybką ucieczką. Deszcz ustał i niebawem znaleźliśmy się na ulicy. Wtedy padło pytanie:

– Chłopaki, a jak jutro z komunią, który idzie?

Doszliśmy do wniosku, że nie idzie żaden. Już za dużo nagrzeszyliśmy, a „poprawki” będzie spowiadał nasz ksiądz…

W szkole dowiedzieliśmy się, że ksiądz, któremu uciekł nasz kumpel, pytał każdego, którego spowiadał, czy nie wie, kto mu uciekł. Winowajcę znali wszyscy, ale każdy spowiadający się odpowiadał, że go nie zna, a na następny dzień z czystym sumieniem przystępował do komunii – bo spowiedź spowiedzią, ale charakter przede wszystkim i kapować nie wolno.

PRACA

Radość i święto w rodzinie. Gdy wieczorem wróciłem z ulicy, zastałem w domu zawiadomienie, że pojutrze rano mam zgłosić się do fabryki do pracy. Dla mnie wielka radość. Będę miał wreszcie stałe zajęcie – zarobię chociaż sam dla siebie na ubranie, a może i rodzicom coś jeszcze będę mógł dać. Przecież to państwowa fabryka, a w państwowych podobno płacą lepiej niż w prywatnych. Wiem, jak płacą u prywatnych. Na Czerniakowie była mała wytwórnia prądnic samochodowych, pracujące w niej dziewczęta zarabiały złotówkę dziennie. Była też fabryka guzików, w której zarobek był taki sam i w dodatku praca brudna i w kurzu.

Następnego dnia chwaliłem się wszystkim, że od jutra już idę do pracy. Matka, widząc moją radość, powtarzała tylko:

– Już ty tam narobisz, dwa dni z dzisiejszym. Już ja widzę, jak ty tam będziesz robił. Pewnie zaraz pobijesz kogo i wyrzucą cię z roboty.

Obawa matki wynikała z tego, że ostatnio miałem kilka większych awantur. Przed trzema miesiącami policja zrobiła u nas w domu rewizję w poszukiwaniu broni. Oddałem im sam stary, popsuty pistolet, który leżał na szafie. Sypnął mnie kolega, któremu do głowy uderzyły przeczytane książki. Chciał być Sherlockiem Holmesem i pierwszym jego wyczynem było napuszczenie na mnie swojego wujka, który był wywiadowcą w komisariacie. Od tego wyczynu skończyło się jego życie na dzielnicy. Po pewnym czasie wyprowadzili się do innej dzielnicy. Ale spluwę mi zabrali i ojciec zapłacił karę, którą musiałem później zwrócić z tej części swego zarobku, którą zostawiałem sobie na własne wydatki. Poza tym byłem krnąbrny, uparty i niezdyscyplinowany. Dlatego matka wróżyła mi w fabryce taką „piękną" przyszłość: „Dwa dni z dzisiejszym".

W nocy poprzedzającej pójście do fabryki budziłem się kilka razy. Bałem się, żeby nie zaspać. Myślałem o tym, co będę robił, w jakim zawodzie i czy będę się jeszcze uczył.

Następnego dnia rano byłem w fabryce pół godziny wcześniej, niż było potrzeba. Robotnicy dopiero zaczynali się schodzić, a urzędnicy przychodzili pół godziny później. Stojąc przy bramie przyglądałem się im z ciekawością i myślałem sobie, że od jutra i ja, tak jak oni, każdego dnia rano wchodzić będę przez tę bramę.

Gdy syrena fabryczna dała sygnał do rozpoczęcia pracy, wszedłem do portierni i pokazałem wezwanie.

– Proszę tu zaczekać – powiedział portier w mundurze po obejrzeniu wezwania. – Biuro będzie czynne dopiero za pół godziny.

Czekałem w portierni. Z nudów i ciekawości oglądałem ogłoszenia dyrekcji, karty kontrolne i zegary do odbijania na karcie

kontrolnej godzin wejścia i wyjścia. Gdy czytałem umieszczony w gablotkach regulamin pracy, stanął przy mnie młody chłopiec i też zajął się czytaniem. Po chwili zapytał mnie, co znaczy jeden z punktów regulaminu.

– Kolega może też do przyjęcia? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział.

– To zapoznajmy się, może razem będziemy pracowali.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponował mój rozmówca.

– Stasiek mam na imię – powiedziałem, podając mu rękę.

– A ja Heniek.

Więc mam już jednego kolegę – zanim jeszcze zostałem przyjęty. Po godzinie wezwano nas do dyrekcji i załatwiono formalności. Zapytano mnie, w jakim zawodzie chcę pracować.

– Chciałbym być tokarzem – powiedziałem.

– Na razie pójdziesz na pewien czas na oddział radiowy, a jak będzie wolne miejsce na mechanicznym, to będziesz mógł się przenieść.

Woźny zaprowadził nas na oddział. Tam Heńka skierowano do jednego mechanika, mnie do innego.

A więc zacząłem pracę w fabryce. Wszystko mnie ciekawiło i wszystko chciałem wiedzieć. Ale to był pierwszy dzień, trzeba było robić tylko to, co majster kazał. Nitowałem jakieś płytki i szło mi to zupełnie dobrze.

– Posprzątaj narzędzia i zmieć z warsztatu – zwrócił się do mnie mój mechanik kilka minut przed końcem pracy.

Popatrzyłem na niego długo i uważnie.

– Czy nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Warsztat posprzątaj! – powiedział drugi raz.

Wzruszyłem ramionami… i posprzątałem tak, że musiał poprawić. Miałem ochotę powiedzieć mu, że ja nie jestem od tego, żeby po innych sprzątać, ale przypomniałem sobie przepowiednię matki – i powstrzymałem się.

Tak zakończył się mój pierwszy dzień pracy w fabryce.

Następnego dnia kazano mi pracować u innego mechanika. Pracował tam już jeden praktykant – „stary robociarz”, miał osiemnaście lat, był na drugim roku praktyki.

– Władziu! Pokaż mu, co ma robić – rozkazał mechanik, zwracając się do starszego praktykanta.

Ten dał mi robotę, pokazał, jak robić, a później co kilka minut podchodził do mojego stołu i głośno robił uwagi:

– To połóż tak, a to tak! – wołał wyrywając mi z rąk płytki, do których nitami przymocowywałem końcówki. – Jak ty ten młotek trzymasz? Przecież to nie widły. Na wsi się chowałeś, do cholery, czy co?

Zauważyłem, że Władzio specjalnie to robi, żeby popisać się przed innymi, jaki to z niego bojowy chłopak. Krzyczał na mnie i rozglądał się, czy wszyscy na niego patrzą. Pracowałem przy drugim stole, tak że staliśmy do siebie plecami. Ręce mi się trzęsły z wściekłości, ale nie reagowałem na jego docinki, pomny wróżby matki – „dwa dni z dzisiejszym będziesz tam pracował". Władzio, widząc, że mnie w ten sposób nie wyprowadzi z równowagi, zaszedł od tyłu i wsadził mi na głowę preszpanową rurę. Zasłoniła mi ona oczy i starła skórę na nosie.

Gdy ściągnąłem rurę z głowy, wszyscy pracujący w pobliżu parsknęli śmiechem. Położyłem rurę obok siebie, a rozradowanego Władzia zmierzyłem wieloznacznym spojrzeniem. Po chwili obejrzałem się i widząc, że Władzio stoi schylony nad swoim stołem, podszedłem do niego, wsadziłem mu tę samą rurę na głowę i na dodatek mocno uderzyłem pięścią *z* wierzchu. Rura wlazła mu na szyję. Szarpał się dłuższą chwilę, zanim udało mu się zdjąć ją z głowy. Skoczył do mnie, by mnie kopnąć. Złapałem go za nogę i powiedziałem cicho:

– Zaczekam na ciebie pod bramą, tu bić się nie będziemy.

Ręce mi się trzęsły, żeby go stuknąć, i wszystko się we mnie gotowało, ale wciąż miałem w pamięci przepowiednię matki… i powstrzymałem się. Nie mogłem doczekać się zakończenia pracy. Robota już mi nie szła, bo myślałem bez przerwy o czekającej mnie rozprawie z Władziem. Uważałem też, żeby mi znów nie urządził nowego kawału.

Pół godziny przed fajerantem złożyłem narzędzia, umyłem się i czekałem na syrenę, która ogłasza zakończenie pracy. Jeden z pierwszych odbiłem w zegarze kartę kontrolną i stojąc obok bramy czekałem na Władzia.

Po jakimś czasie wyszedł, rozejrzał się – ale mnie nie zauważył, bo schowałem się za grupę robotników. Poszedłem za nim. Gdy oddaliliśmy się od fabryki na znaczną odległość, stanąłem mu przed nosem.

– Teraz bądź mocny – powiedziałem i uderzyłem go pięścią w nos.

Po krótkiej wymianie ciosów trafiłem solidnie głową i Władzio usiadł na ziemi, z rozklepanego nosa lała się krew.

– Może jeszcze będziesz chciał się ze mną bić? – zapytał mnie Władzio następnego dnia rano, gdy tylko wszedłem na oddział.

– Ja z tobą draki nie szukam – odpowiedziałem mu cicho, tak żeby nikt nie słyszał. – Ale jak się nie odczepisz, to posunę gdzieś w kącie i sam diabeł ci nie odbierze.

Od mechanika, do którego tego dnia mnie przydzielono, dowiedziałem się, że Władzio jest taki mocny, bo ma wujka brygadzistę. Mówiąc to mechanik wskazał mi faceta pracującego w

końcu hali. Wkrótce sam się o tym przekonałem, bo gdy przechodziłem obok niego, ten zawołał mnie i pyta:

– Podobno wczoraj pobiłeś Władzia?

– Pokazałem mu tylko, że mogę go pobić. Ale jak się ode mnie nie odczepi, to wtedy mu dopiero naprawdę wleję.

– Podobno powiedziałeś, że go posuniesz nożem? No to uważaj, żebym ja ciebie nie posunął.

– Ja bym raczej panu radził uważać – odpowiedziałem spokojnie – bo i pan może oberwać.

– Ach, ty szczeniaku, psia twoja mać! Żebym ja ciebie nie nastraszył! Patrzcie go, cholerę, szczeniaka, on mi tu groził będzie! – krzyczał ze złością.

A ja, zadowolony, że się bojowo odszczeknąłem, poszedłem do swojego warsztatu. Bałem się trochę, żeby nie naskarżył na mnie kierownikowi. W każdym razie był to już trzeci dzień pracy – a matka przepowiadała, że tylko dwa dni będę pracował.

Po tygodniu zauważyłem, że wuj Władzia rozmawiając z kierownikiem oddziału pokazuje mnie palcem. „Oho! – pomyślałem. – Coś nieklawo. Pewnie skarży na mnie. Ale dlaczego dopiero po tygodniu? Będę robił zaparte – nie przyznam się. Świadkowie słyszeli tylko, że on mnie klął, nie ja jego".

Podeszli razem, a kierownik zwracając się do mnie powiedział:

– Będziesz pracował u pana Stefana. Chyba już znasz pana Helmuta? – dodał.

– Znam – odpowiedziałem grzecznie, a w duchu sobie pomyślałem: „Chcesz się pewnie, frajerze, odegrać, ale jeszcze zobaczymy, kto kogo. Jeśli wyrzucą z pracy – to już ty mnie wtedy do śmierci popamiętasz".

U Helmuta pracuję już kilka miesięcy. Stosunki między nami są bez przerwy naprężone. Bez przerwy tkwi we mnie uczucie, że on chce się odegrać za pobicie Władzia i za to, że mu się odszczeknąłem. On natomiast nigdy nie poruszył jeszcze tego tematu, ale i niewielką zwraca na mnie uwagę. Daje mi do wykonania robotę i poza tym się do mnie nie wtrąca, od czasu do czasu zagląda tylko, ile już zrobiłem. A ja pracuję tak, żeby się przypadkiem nie przemęczyć i żeby Helmut nie pomyślał o mnie, że pracuję z całym zapałem.

W brygadzie naszej jest brygadzista, dwóch mechaników, praktykanta trzecim roku praktyki i ja, na pierwszym roku praktyki. Pracujemy przy dwóch długich stołach. Stefan Helmut oraz młodzi mechanicy, Jan i Czesław, przy jednym stole. A Marian i ja przy drugim. W ten sposób podczas pracy jesteśmy do naszych majstrów odwróceni tyłem.

Jak nie miałem chęci do roboty, to wybierałem się na obchód fabryki. Najbardziej interesowały mnie oddziały mechaniczne i

narzędziownia. Pewnego dnia stałem przy warsztacie kolegi na oddziale narzędziowym. On pracował, a ja z ciekawością przyglądałem się jego robocie.

– Co ty tu robisz? – zapytał ktoś nagle za moimi plecami. Obejrzałem się. Za mną stał jakiś starszy facet, porządnie ubrany, bez roboczego fartucha. Popatrzyłem chwilę na niego i nie odpowiedziałem nic, tylko znów odwróciłem się do kolegi.

– Do ciebie mówię, nie słyszysz? – wrzasnął teraz już ze złością tamten. – Co tu robisz, pytam jeszcze raz.

– Jak panu powiem, że łapię ryby, to mi pan i tak nie uwierzy – odpowiedziałem zadowolony, że facetowi przygadałem.

– Jazda stąd! – wrzasnął. – Już cię tu nie ma!

„Oho! – pomyślałem – jak tak głośno krzyczy, to pewnie musi być jakaś ważna figura". Więc już bez słowa, jak najszybciej ulotniłem się stamtąd.

Gdy przyszedłem do siebie na oddział, Helmut zapytał, gdzie byłem tak długo.

– W ustępie – odpowiedziałem.

To była moja stała odpowiedź na jego pytanie: „Gdzie byłeś?" Po kilku minutach znów poszedłem do narzędziowni, żeby dowiedzieć się, co to była za figura, ten, co tak na mnie głośno krzyczał.

– Ale byłbyś wpadł – powiedział kolega, gdy znów przy nim stanąłem. – Miałeś szczęście, że szybko uciekłeś. To był naczelnik warsztatów, kawał świni. Wołał za tobą, a mnie pytał, kto ty jesteś i na którym oddziale pracujesz. Powiedziałem mu, że ciebie nie znam. Ale teraz to już uciekaj, bo jak będzie wracał i zobaczy, że znów przy mnie stoisz, to możemy się obaj mieć nieklawo.

„To już mam jednego z ważnych, którego będę się musiał strzec – pomyślałem bez żadnego jednak strachu. – Muszę uważać, żeby się na niego nie nadziać".

– Gdzie byłeś? – zapytał znowu Helmut, gdy wróciłem na swój oddział.

– W ustępie – odpowiedziałem jak zawsze.

Gdy trzeba było wykonać jakąś pilną pracę, Helmut nie dawał jej mnie, tylko Marianowi, bo wiedział, że ja tej roboty na czas nie wykonam. Czasem denerwował się i wymyślał mi, że za mało pracuję. Nie odpowiadałem wtedy nic, tylko patrzyłem na niego ze złośliwym uśmiechem, doprowadzając go tym do jeszcze większej złości. Zastanawiałem się niejeden raz, co będzie, gdy poskarży się na mnie, że ja prawie nic nie robię. Z fabryki mnie nie wyrzucą, w najgorszym razie każą robić za karę brudną robotę – taką na przykład robotą było czyszczenie maszyn znajdujących się na naszym oddziale – i przeniosą do innej brygady, a mnie przecież tylko o to chodziło. Sam nie mogłem iść do kierownika i prosić o przeniesienie, bo przecież nie

mógłbym powiedzieć o tym, że między nami idzie cicha walka, ani o przyczynach tej walki.

– Niech mnie pan od siebie wyrzuci – mówiłem mu zawsze, gdy krzyczał, że ja za wolno pracuję. – Przecież pan wie, że ja nie chcę u pana pracować.

Pilnowałem się tylko, żeby nie dać się wyprowadzić z równowagi, bo mógłbym mu posiać „wiązankę" albo nawet uderzyć, a wtedy już byłby powód do wyrzucenia mnie z pracy.

Helmut każdemu, kto do niego przychodził, opowiadał, jak to ja pracuję i jaki to ze mnie dobry robotnik.

– Stasio – mówił – kochany chłopak, co dziesięć minut na piętnaście minut s… chodzi.

Mówił to głośno, żebym i ja słyszał.

– Albo niech pan patrzy – zwracał się do takiego gościa, prowadząc go do mojej roboty. – To, co jest w tej skrzynce, można zrobić przez trzy dni. A on robi to już dwa tygodnie. Na długo ci tej roboty starczy? – pytał niby poważnie, ale kpiąco.

– Za trzy, cztery dni powinienem skończyć – odpowiadałem z uśmiechem i takim samym tonem.

– Tak wygląda jego praca – mówił Helmut dalej do swego kolegi. – Gdyby nie było u mnie Mariana, to musiałbym sam nawijać cewki, bo on robi mi trzy. cztery cewki dziennie, podczas gdy Marian robi w tym czasie dziesięć.

A ja faktycznie tak te cewki nawijałem. Były to cewki do tworników maszyn wytwarzających wysokie napięcie. Cewki nawijałem z całą świadomością odpowiedzialności za tę pracę, bo wystarczyła mała niedokładność i można było spalić twornik, który Helmut, jako jedyny w fabryce specjalista od maszyn wysokiego napięcia, uzwajał kilkanaście dni. Ale robiłem wolno. Chciałem raz sprawdzić, ile minut będę nawijał cewkę, jeśli będę to robił uczciwie i dokładnie. Zrobiłem w ciągu dwudziestu minut. „To Marian też markierant – pomyślałem – bo on robi dziesięć cewek przez osiem godzin".

Upór mój powoli zaczął słabnąć. Jeżeli jednak wciąż jeszcze pracowałem wolno – to już raczej z przyzwyczajenia. Wydawało mi się, że nie honor byłby dla mnie zmieniać swój stosunek do pracy, bo Helmut będzie myślał, że złamał mnie swoimi wymysłami i podśmiewaniem się ze mnie. Czułem jednak do niego coraz większą sympatię. Przecież każdy inny dawno już by cholery dostał i wyrzucił mnie na zbity pysk od siebie, żeby i inni też pomęczyli się troszeczkę z takim jak ja nagniotkiem. Wkrótce zacząłem się po prostu źle czuć w swojej roli. „Weź się, Stasiu, uczciwie za robotę – mówiłem w duchu sam do siebie. – Chłop wart tego, żeby mu uczciwie pracować". „Trzymaj się twardo, nie daj się złamać – wciskała się do głowy inna

myśl – bo będzie się później z ciebie śmiał, że jednak on wygrał wojnę". Pewnego dnia, gdy Helmut z meldunkami poszedł do działu kontroli, wpadł do nas młody inżynier. Widać było, że ma jakąś pilną sprawę.

– Gdzie Helmut? – zawołał już z daleka.

Mnie się nie spieszyło, więc popatrzyłem na niego i nic nie odpowiadam.

– Gdzie Helmut? – zapytał znów zwracając się już bezpośrednio do mnie.

– P a n Helmut poszedł do kontroli – odpowiedziałem wolno i tak głośno, żeby słyszeli robotnicy pracujący przy innych warsztatach. – Pan Helmut powiedział, że za pół godziny wróci.

Słowo „pan" specjalnie mocno akcentowałem – żeby zrozumiał, że może dla niektórych jest on Helmut, ale dla niego to – pan Helmut. Popatrzył na mnie zdziwiony i wyszedł nie powiedziawszy słowa. Gdy Helmut wrócił, koledzy powtórzyli mu, jak „obciąłem" zarozumiałego inżynierka. Popatrzył wtedy na mnie i powiedział zadowolony:

– Dobrze zrobiłeś. Taki smarkacz myśli, że jak jest inżynierem, to wolno mu pomiatać robotnikami. Dla takich robotnik to nie człowiek. Poprzyglądaj im się, czy który z nich poda kiedy rękę robotnikowi. Nie poda żaden. Tylko widzisz – mówił – nam wcale na tym nie zależy. Oni się wynoszą, a my ich lekceważymy.

Mówił do mnie poważnie, jak do młodszego kolegi, a nie jak majster do praktykanta na pierwszym roku praktyki. Ciągnęło mnie do niego coraz bardziej. Czułem wyraźnie, że nie ma zamiaru odgryzać się na mnie, bo przecież miał już wiele okazji, a mimo to nigdy na mnie nie naskarżył. Ale co robić, żeby wyjść z honorem z tej sytuacji? Wreszcie przyszła okazja, przypadek, który całkowicie zmienił nasz wzajemny stosunek.

Przyniesiono nam na warsztat popsuty przyrząd elektrotechniczny zagranicznej produkcji. Duża cewka, umieszczona w środku przyrządu, była przepalona, należało ją wyjąć i nawinąć nową.

– Niech pan tylko uważa, żeby czegoś nie popsuć – powiedział Helmutowi inżynier, który przyniósł przyrząd – bo u nas nie ma części zamiennych. Gdyby się coś zepsuło, musielibyśmy sprowadzać z Anglii.

Następnego dnia Helmut zabrał się do roboty. Pozdejmował ścianki osłaniające, przeciął popsutą cewkę i cążkami wyciągał pojedynczo druty.

Ilość wyciągniętych drutów zapisywał na kartce, by móc później nawinąć taką samą ilość. Do naszej brygady często przychodzili robotnicy z innych grup, żeby pogadać z Helmutem o polityce. Tego dnia też przyszedł mechanik z innego działu. Rozmawiali, a Helmut wyciągał cążkami druty. W pewnym momencie, gdy drut stawiał opór,

pociągnął mocniej, cążki się obsunęły… i złamały część przyrządu.

Helmut zdenerwował się, obejrzał złamaną część i poszedł do specjalisty od przyrządów dowiedzieć się, czy to się da naprawić. Tamten przyszedł, obejrzał i mówi, że nic nie można zrobić, bo to jest specjalny stop, którego u nas nie ma, i że koniecznie musi być część oryginalna.

Żal mi się go zrobiło, bo widziałem, jak strasznie się zdenerwował. Przecież dla niego to był cios. Mechanik najwyższej klasy, z najwyższą stawką, jaką można było mieć w fabryce – i raptem taka kompromitacja. W dodatku inżynier ostrzegał, żeby robić ostrożnie, że nie ma części zamiennych – a uszkodzenie nastąpiło tylko przez zwykłą nieostrożność.

Gdy Helmut znów wyszedł, usiadłem na jego stołku i z ciekawością oglądałem wnętrze nie znanego mi przyrządu. Po chwili stanął obok mnie inżynier, który przyniósł przyrząd. Popatrzył i zzieleniał z wściekłości.

– Kto to zrobił? – wrzasnął wskazując palcem złamaną część.

– Ja – odpowiedziałem bez chwili namysłu, niby zdziwiony, że on nie domyślił się tego, widząc, że siedzę nad przyrządem.

– Czy ty wiesz, coś ty zrobił? – wydarł się jeszcze głośniej, tak że zwrócił na nas uwagę wszystkich pracujących.

– Przecież ja tego nie zrobiłem celowo – tłumaczę się spokojnie.

– Jak pan mógł dać to chłopakowi do roboty? – wrzasnął inżynier na Helmuta, który w tym momencie podszedł do nas.

– Pan Helmut wcale nie kazał mi tego robić – zacząłem mówić szybko, zanim on zdążył cośkolwiek powiedzieć. – Jak pan Helmut wyszedł, to ja sam do tego usiadłem i niechcący zawadziłem cążkami.

– Ach, ty szczeniaku, psia twoja mać! – krzyknął na mnie Helmut. – Czy już nie miałeś nic innego do roboty? Czy nie mówiłem, żeby nikt tego nie ruszał?

– Nie słyszałem, żeby pan mówił – broniłem się słabo. – Jakbym słyszał, to przecież bym nie ruszał.

Helmut wciąż krzyczał na mnie, czerwony z pasji. Jak on to ślicznie robił! Jak koncertowo wszedł w nową sytuację! Przyszedł kierownik oddziału i majster. Teraz już Helmut nie wymyślał, tylko tłumaczył mnie.

– Dobry chłopak – mówi – chętny do roboty, jestem z niego bardzo zadowolony. Nie wiem, co mu do łba strzeliło, żeby się brać do takiej odpowiedzialnej roboty. Przecież to jest robota dla starego remiechy.

– Za karę będziesz przez miesiąc czyścił maszyny – zdecydował kierownik oddziału. – Odechce ci się brać do nie swojej roboty.

Od tego dnia codziennie do południa pracowałem w swojej brygadzie, a po południu brałem szmaty, oliwę i czyściłem maszyny.

– Co ci strzeliło do głowy – zapytał mnie Helmut, gdy już się wszyscy rozeszli – żeby brać na siebie nie swoją winę? Chyba nie masz do mnie żalu, że ci tak nawymyślałem, ale przecież rozumiesz, że nie mogłem inaczej. A teraz jeszcze musisz maszyny czyścić przez miesiąc.

– Pamiętam, jak pan kiedyś mówił – odpowiedziałem – że przez tyle lat pracy w fabryce jeszcze nie było wypadku, żeby pan nawalił jaką robotę. Chyba nie byłoby panu przyjemnie stracić opinię dobrego fachowca? A mnie przecież nic nie mogą zrobić, bo ja jestem praktykantem na pierwszym roku i nie odpowiadam za robotę. Ukarali mnie, każą czyścić maszyny – to będę czyścił. Ale za to zarobiłem na opinię dobrego chłopaka i chętnego do roboty. Teraz jak pan nawet kiedy poskarży na mnie, że za mało robię, to wyjdzie niepoważnie i mogą panu nie uwierzyć.

– A czy ja kiedy skarżyłem się na ciebie? – zapytał Helmut.

– Jeszcze nie – odpowiedziałem – ale przecież pan wziął mnie do siebie po to, żeby odegrać się za to, że Władkowi zagroziłem kosą. A i panu też wtedy troszkę za dużo powiedziałem.

– Jaki ty jesteś głupi – odpowiedział. – Niby cwaniak, a takiś głupi, że nic nie zrozumiałeś, chociaż jesteś już u mnie kilka miesięcy. Przecież ja ciebie tylko dlatego wziąłem do siebie, bo wiedziałem, że z takim charakterkiem, jak trafisz do jakiego drania, to długo pracować nie będziesz. A na Władziu wcale mi nie zależy. Chociaż to mój siostrzeniec, ale głupiec i nie zaszkodzi mu to, że dostał po pysku… Ale jak przyszedł do mnie poskarżyć się, wtedy dopiero przyjrzałem się tobie dobrze. Miałeś na sobie spodnie z brata – nogawki na dole jaśniejsze, bo odpuszczane – taka sama stara marynarka z łatami na łokciach, koszulka gimnastyczna z dużym wycięciem na piersiach i do tego wszystkiego ta jaskrawa czapka w kratę! Szkoda, że ty tego nie możesz zobaczyć – przestraszyłbyś się sam siebie! Po takim ubraniu od razu wiadomo, że w domu się nie przelewa, a jak podskoczysz do kogo raz i drugi, to wyrzucą z pracy, a do fabryki nie tak łatwo się dostać. Przecież inny na moim miejscu – mówił dalej Helmut – już dawno przepędziłby ciebie. Daliby innego chłopaka i miałbym spokój. Ale swoja drogą, charakterek to ty masz. Z jednej strony uparty jak osioł, a teraz znów sam siebie skazujesz na karę, mimo że mnie nienawidzisz.

– No, nie – odpowiedziałem dopiero teraz – nie mogę powiedzieć, że aż nienawidzą. Myślałem tylko, że pan chce się odegrać, i zawsze się tego doszukiwałem. A to, że wziąłem winę na siebie, nie jest moją zasługą. Wcale o tym nie myślałem. Zrobiłem to przez zwykłą przekorę. Jak inżynier wydarł na mnie mordę, to żeby go bardziej zezłościć, powiedziałem, że to ja zrobiłem. A czyszczenie maszyn nie jest dla mnie tragedią.

Pierwszy raz rozmawiał wtedy ze mną prawie jak z równym

sobie. Nie traktował mnie jak złośliwego szczeniaka, lecz jak dorosłego mężczyznę, co mnie bardziej jeszcze do niego przyciągnęło. To, co powiedziałem o przyjęciu na siebie winy, tylko częściowo było prawdą, bo przecież było mi go żal, gdy widziałem, jak się zdenerwował.

Przez kilka następnych dni codziennie rano – bo od obiadu czyściłem te maszyny – Helmut siadał przy mnie i ostrożnie wypytywał o sprawy domowe i otoczenie, w którym przebywałem. Opowiadałem więc o warunkach, w jakich żyłem. Że ojciec pracuje, ale dużo pije. Że mam młodszą siostrę i o pięć lat starszego brata. Że brat miał siedemnaście lat, gdy wyprowadził się z domu. Mój brat miał piętnaście lat, gdy zaczął pracować jako kuchcik w restauracji. Praca dwadzieścia cztery godziny i dwadzieścia cztery godziny wolne. Po prawie dwu latach takiej pracy zapadł na zdrowiu – okazało się, że to początek gruźlicy. Później kilka miesięcy był bez pracy, a że w domu już było ciasno i nie chciał być rodzicom ciężarem, przyjął pracę na wsi, u brata matki, który był sekretarzem gminy. Zarabiał pięćdziesiąt złotych miesięcznie, które oddawał na utrzymanie i mieszkanie.

– Może chciałbyś dorobić sobie kilka złotych? – zapytał mnie Helmut pewnego dnia.

– Dlaczego nie? Zawsze, ale w jaki sposób? – zapytałem.

– Będziesz u mnie w domu nawijał cewki. Takie same, jak te, które robisz. W fabryce płacą ci dwadzieścia siedem groszy na godzinę, a u mnie zarobisz pięćdziesiąt groszy na godzinę i obiad.

– Klawo, idę – odpowiedziałem zadowolony. – Od kiedy zaczynam?

– Chyba od jutra, bo przecież twoja matka nic nie wie, będzie się denerwowała.

– Jeśli tylko o to chodzi, to mogę już od dzisiejszego dnia. Moja matka zaczyna się martwić dopiero po pierwszej w nocy, bo jak do tej godziny nie wrócę, to wydaje jej się, że pobiłem się z kimś i siedzę w komisariacie albo leżę w szpitalu lub w kostnicy. Ale to wina ojca – dodałem – bo zawsze mi wróży, że mnie albo kiedy łobuzy zabiją albo kat powiesi.

Po pracy poszedłem razem z Helmutem do jego mieszkania. Piechotką, bo mieszkał blisko fabryki. Gdy weszliśmy – zgłupiałem. Wydawało mi się, że to niemożliwe, żeby robotnik pracujący w fabryce mógł mieszkać w takich warunkach. Dwa pokoje z kuchnią, z wszelkimi wygodami. Piękny aparat radiowy, ładne umeblowanie, żona i dzieci ładnie ubrane, mimo że to przecież dzień powszedni. A ten, jak na złość, widząc moją głupią minę, zaczął pokazywać mi jeszcze różne ukryte skarby: aparat fotograficzny, zdjęcia i powiększenia, które sam robił.

– Te zdjęcia robiłem – tłumaczył mi – w Zakopanem. Byłem tam z córką na urlopie. A te znów robiłem nad morzem.

Te zdjęcia – tam, a te jeszcze gdzie indziej. Później pokazał mi kompletny sprzęt rybacki, mówiąc, że lubi ten sport i często przy niedzieli jeździ za miasto na ryby. Następnie pokazał, co ma w szafie, w kredensie i w kuchni. Przyglądałem się wszystkiemu z jakąś dziecinną ciekawością – i myślałem, myślałem intensywnie i bez przerwy. Pierwszy raz byłem w takim mieszkaniu robotniczym. Byłem już w lepszych, ale to były domy bogaczy, arystokracji czy burżuazji – zależy, jak kto takich nazwie. Z rodzinnej wsi ojca przyjeżdżały do nas młode dziewczęta i w takich domach przyjmowały pracę służącej. Chodziłem do nich wiele razy. Siedziałem zawsze w kuchni, a jak „państwa" nie było w domu, to oglądałem pokoje. Tam nie dziwiłem się, bo wiedziałem, że to nie robotnicy. Wszystkie znane mi mieszkania robotnicze były takie jak u mnie, a było też wiele gorszych. Małe, jednoizbowe mieszkania, bez wody i elektryczności, a w nich szafa, szafka, stół i łóżka, które zajmowały najwięcej miejsca. Na noc trzeba było jeszcze rozstawiać łóżko polowe albo rozkładać siennik na podłodze, bo przeciętnie w takim mieszkaniu mieszkało pięć, sześć osób. A niektórzy jeszcze trzymali sublokatorów. Wygodne to było o tyle, że wszystko było w kupie – salon, jadalnia, sypialnia, kuchnia i łazienka. W domu, w którym mieszkałem, tylko właściciel sklepu miał aparat radiowy, niektórzy – a tych też nie było wielu – mieli radia na słuchawki. Aparatów radiowych nie mogli mieć i z tej prostej przyczyny, że dom nie był zelektryfikowany. Dzieci były ubrane byle jak. Całe lato wszystkie dzieci chodziły boso – nawet do szkoły. Gdy byłem mały, latem całym moim ubraniem były majteczki kąpielowe, a do szkoły zakładałem jeszcze koszulę. Tylko w niedzielę i święta dzieci były ubrane lepiej. O tym wszystkim myślałem oglądając mieszkanie Helmuta.

W nocy długo nie mogłem zasnąć. Wciąż myślałem o tym, że Helmut jest robotnikiem w fabryce, ojciec mój też jest robotnikiem w fabryce i ci, wśród których żyję, to też w większości robotnicy. „No tak – myślałem sobie – ale Helmut jest mechanikiem wysokiej klasy i ma najwyższą stawkę. Wyższą stawkę mogli mieć tylko majstrowie i kierownicy oddziałów. Ale przecież on też musiał być kiedyś praktykantem. Od razu takiej stawki nie dostał. Musiał awansować stopniowo, a więc uczył się na pewno w szkole zawodowej, a praktycznie ha warsztacie lub w fabryce. Mówił przecież, że jeszcze nigdy nie popsuł żadnej roboty, dopiero teraz ten przeklęty przyrząd. – A kto tobie broni uczyć się pracy? – zadawałem sobie pytanie. – Jak będę pracował tak jak teraz, to i za dwadzieścia lat niczego się nie nauczę". Postanowiłem wziąć się uczciwie do roboty. Muszę dojść do tego, żeby żyć kiedyś tak, jak Helmut, a nie tak, jak żyją ci, wśród

których wyrosłem.

Dzień ten wstrząsnął moim młodym umysłem. Zrozumiałem wtedy, że mam cel w życiu, do którego muszę dążyć, ale że droga do tego celu będzie ciężka, że. będę musiał pokonać na tej drodze wiele trudności: ciężkie warunki domowe, praca i równocześnie nauka, no i brak pieniędzy na szkołę, która da mi więcej wiadomości niż miejska szkoła zawodowa, do której musiałem chodzić aż do ukończenia osiemnastu lat.

Tego dnia, gdy przyszedłem pierwszy raz nawijać cewki – pracowałem szybko i dokładnie. Uważałem, że jeśli Helmut płaci mi z własnej kieszeni, to nieuczciwie będzie, jeśli będę pracował wolno. Nawijałem trzy cewki na godzinę. Helmut w tym czasie uzwajał twornik. Niby nie wtrącał się do mnie, widziałem jednak, że bokiem zerka co pewien czas i uśmiecha się, widząc, że potrafię szybko pracować. Pracowałem tego dnia cztery godziny. Gdy wychodziłem, wypłacił mi dwa złote. Nie odliczył za czas, który straciłem na drogę z fabryki do domu i na zjedzenie obiadu. Zrobiłem dziesięć cewek przez niecałe cztery godziny. Marian robił tyle przez cały dzień, a Helmut uważał, że to już dużo.

– Ale wpadłem z tymi cewkami! – powiedziałem następnego dnia rano, zwracając się do Helmuta. – Teraz już nie mogę robić czterech cewek dziennie, bo pan już wie, że potrafię zrobić więcej. Ale to nic, będę robił dziesięć sztuk – tak jak Marian.

Od tego dnia pracowałem szybko i dokładnie. Interesowałem się każdą robotą, jaką dostaliśmy do wykonania. Bywało nieraz tak, że stałem tylko przy Helmucie i przyglądałem się, jak on pracuje. Pytałem o wszystko, co mnie interesowało, a on cierpliwie mi tłumaczył. Niejeden raz siedział przy mnie i ja robiłem, a on przyglądał się, czy robię dobrze, i gdy widział, że mogę coś zepsuć, mówił tylko: „Nie tak". A jak, to już sam starałem się dojść. Wiedziałem, że jeśli mi ktoś powie, jak należy robić – to po pewnym czasie mogę zapomnieć, ale jeśli dojdę do tego sam – wtedy zostanie mi w głowie na całe życie.

Czas urozmaicaliśmy sobie robieniem różnych kawałów. Do normalnych kawałów należało robienie „na ułana". Odbywało się to tak, że ja, zaopatrzony w pędzel i naczynie z białym lakierem acetonowym, siedziałem pod warsztatem, a Helmut zapraszał do siebie jakiegoś znajomego, który akurat przechodził, i zaczynał rozmowę o polityce, o Bogu, o klerze. Helmut był komunistą, a więc i ateistą – jego dzieci miały w dokumentach zamiast imion: „noworodek"; uparł się, że dzieci chrzcić nie będzie.

Wołał więc do siebie swych znajomych i gdy tylko w rozmowie coś mu się nie podobało – dawał mi nogą znak, a ja już wiedziałem, co mam robić. Malowałem takiemu na biało czubki butów i ostrogi. Gdy

jeden odszedł, wołał następnego. Po chwili znak – ja malowałem, wysiadka – i następny, proszę! Jak się który domyślił, gdzie zdobył te ostrogi, to starał się odegrać, i niejeden raz zrobili nam dobry kawał.

Raz Helmut zawołał mnie do okna.

– Chodź, zobacz, urzędniki idą!

Gdy podszedłem, zrobił mi mały wykład na temat stosunków między robotnikami i urzędnikami. Wskazując wychodzących z fabryki pracowników biur, mówił:

– Popatrz i zapamiętaj. W ich pojęciu ty zawsze będziesz czarnoroboczy naród. Oni uważają, że robotnik na oddziale to coś gorszego. Ja zarabiam ponad czterysta złotych miesięcznie, a wielu z nich zarobi nie więcej niż sto osiemdziesiąt, ale żaden z nich takiemu jak ja ręki na oddziale nie poda, bo on jest urzędnikiem", a ja robotnikiem. Żeby się z nami nie stykać, przychodzą do pracy pół godziny później, a wychodzą pół godziny wcześniej. Do stołówki też chodzą osobno. My od dwunastej do wpół do pierwszej, a biura od pierwszej do wpół drugiej. Zgadzam się, że nie pomieścimy się wszyscy razem. Zgadzam się, że niektórzy pracujący przy brudnej robocie mogą pobrudzić obrusy – bo urzędnikom do obiadu rozkładają obrusy, a dla nas tylko cerata – ale powiedz mi, dlaczego im na stoły stawiają kwiaty, a po obiedzie zdejmują i stawiają te same kwiaty dopiero następnego dnia, gdy robotnicy już wyjdą z obiadu?

– Może uważają, że my nie znamy się na kwiatach? – odpowiedziałem ze śmiechem. – I zamiast wąchać, moglibyśmy je zjeść.

– A czy ty rozumiesz, chłopcze, dlaczego tak jest? – spytał Helmut. I nie czekając na odpowiedź mówił dalej: – Wmawiają im, że są czymś lepszym od robotników, że robotnik będzie zawsze tylko robotnikiem, ciemnym i głupim, a oni to przecież inteligencja i każdy z nich ma prawo zająć w przyszłości najwyższe nawet stanowisko. Ci głupcy wierzą w to i nie widzą tego, że są tak samo bici po krzyżu, jak i robotnicy…

A wszystko robi się po to, żeby ludzi rozdzielić. Bo gdyby wszyscy zgadzali się ze sobą, to źle byłoby z tymi, którzy nami rządzą. Dlatego też mamy tyle różnych partii, związków i związkowców, żeby robotnicy nie mogli dojść do porozumienia. Albo pierwszy maja… Spotykają się na mieście dwa pochody i biją jedni drugich pałkami. Następnego dnia stają do pracy przy tym samym warsztacie i są jednakowo bici przez właściciela, który wczoraj stał przy oknie i z zadowoleniem patrzył, jak robotnicy wzajemnie się biją.

– Mój ojciec mówi to samo – powiedziałem. – Mówi mi zawsze, że wszystkie legalne partie i związki – to tylko jedna kupa łobuzów i złodziei.

Helmut dawał mi często różne nielegalne broszurki i ulotki

komunistyczne. Opowiadał też o rewolucji w Rosji – bo dopiero po rewolucji przyjechał z rodzicami do Polski. Tłumaczył mi, jaki jest cel propagandy antybolszewickiej, a wszystkie te sprawy łączył zawsze z antyrobotniczą polityką kościoła i kleru. Mówił o przymusie ślubów kościelnych i chrztu oraz nauki i praktyk religijnych w szkołach.

Tu, w fabryce, pierwszy raz usłyszałem bluźnienie przeciwko Bogu i wszystkim świętościom. Chociaż sam byłem już nie praktykujący i nie wierzyłem w żadne dogmaty wiary – nigdy nie przyszło mi na myśl, że można tak bluźnić. Do bluźnienia prowokował Helmuta jego siostrzeniec, ów Władzio właśnie. Ten był znowu fanatycznie religijny i często przychodził nawracać wujka na drogę wiary świętej. Wtedy było wesoło. Władzio cytował wyjątki z Pisma świętego, a Helmut wykładał swoją teorię o sprawach życia i wiary w Boga. Wywodów tych słuchałem zawsze z ciekawością i argumentacja Helmuta trafiała mi do przekonania. Dyskusje takie zawsze kończyły się w ten sposób, że Władzio wyskakiwał z jakimś dogmatem religijnym sprzecznym z nauką, a Helmut wyjeżdżał z „wiązanką" pod adresem Władzia i Boga. W takim momencie Władzio czerwieniał jak burak, zatykało mu oddech, zasłaniał rękami uszy… i uciekał jak od diabła albo najgorszej zarazy, by po kilku dniach znów przyjść na nową dyskusję filozoficzną, która kończyła się tak jak wszystkie poprzednie.

Wkrótce już kupowałem pismo „Wolnomyśliciel", które po przeczytaniu puszczałem w ruch, dając do czytania kolegom z dzielnicy, a gdy już kilku przeczytało, wieczorem, stojąc grupą na rogu ulicy, dyskutowaliśmy na tematy poruszane w piśmie.

W ten sposób – urabiany w pracy przez Helmuta, a w domu przez ojca – zaczął się kształtować w umyśle moim nowy światopogląd. Ksiądz przestał być świętością, a bolszewik bandytą, który z nożem w zębach rozrywa dziecko, jak to przedstawiano w gazetach i pismach ilustrowanych. Zaczynałem rozumieć, kto jest wrogiem robotnika, a kto jego przyjacielem. Kto łączy robotników do walki z wyzyskiem, a kto stara się ich rozdzielić. Kształtowanie nowego światopoglądu odbywało się we mnie żywiołowo. Rozmowy, broszurki, pisma, ulotki i własne spostrzeżenia – wszystko bez żadnego ładu i kolejności. Czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce, a było inne od dotychczasowej lektury. Przeczytałem całą „Bibliotekę Wiedzy", i o buddyzmie, i o Darwinie. Z Darwinem miałem małą wpadkę. Do umierającej sąsiadki wezwano księdza, a ten po namaszczeniu chorej wstępował do lokatorów mieszkających na tym samym korytarzu i w każdym mieszkaniu rozmawiał kilka minut z domownikami. Gdy wszedł do mnie, byłem sam w mieszkaniu. Ksiądz zobaczył na stole rozłożoną książkę. Nie przeszkadzałem mu, gdy ją brał do ręki. „Niech i on się troszkę uświadomi – pomyślałem – będzie mądrzejszy".

Obejrzał książkę i spojrzał na mnie uważnie. Patrzyłem mu wyzywająco w oczy, z ironicznym uśmiechem.

– Czy to, chłopcze, nie za wcześnie dla ciebie na taką lekturę? – zapytał życzliwie, bez cienia złości.

– Chyba nie – odpowiedziałem równie grzecznie, ale dobitnie.

– A czy matka pozwala ci czytać takie książki?

– Nie pytam matki o pozwolenie. A zresztą – gdyby nie pozwoliła, to ksiądz może myśli, że nie będę czytać? A poza tym matka nie ma czasu na zajmowanie się moją lekturą.

Popatrzył znowu uważnie, uśmiechnął się, odłożył książkę – i wyszedł.

Z Helmutem żyłem już odtąd w największej zgodzie. Byłem chętny do pracy. Helmut mówił, że jestem zachłanny na robotę. Gdy przyszła do reperacji jakaś nowa, ciekawa maszyna, to nawet gdy byłem czymś zajęty – zabierałem ją do siebie i darłem się z innymi, że tę maszynę ja będę robił.

Byłem zachłanny nie tylko na robotę. Byłem zachłanny również na wiedzę. Interesowałem się wszystkim, co mogło pomóc mi w zdobywaniu wiedzy w każdej dziedzinie. Starałem się o książki i sam pogłębiałem swoje wiadomości teoretyczne, potrzebne do dobrego wykonywania zawodu.

W fabryce musiałem należeć do przysposobienia wojskowego. Każdej soboty, po pracy, odbywały się zbiórki, a każdy urlop obowiązkowo trzeba było spędzić na obozie wojskowym. W fabrycznym klubie sportowym trenowałem zapaśnictwo. Zawsze jednak najlepiej czułem się dopiero wieczorem, na rogu swojej ulicy, w gronie charakternych chłopaków.

– Za sześć tygodni będziesz miał egzamin wyzwoleniowy na czeladnika – powiedział mi kierownik oddziału, gdy po urlopie przyszedłem do pracy. – Jako egzamin praktyczny zrób to, co chcesz. I z tego, co zrobisz, będziesz miał egzamin teoretyczny.

Zmartwiło mnie to. Moja praca to uzwajanie motorów elektrycznych. Teorii mam w głowie dużo, ale najmniej właśnie z maszyn. Trzeba coś zrobić, żeby się nie obciąć na egzaminie – bo to i wstyd wobec innych, i jeszcze jeden rok praktyki. Obowiązkowe trzy lata praktyki już odbyłem. W drugim roku płacono mi trzydzieści pięć groszy za godzinę, a w trzecim – czterdzieści pięć groszy i już wyrabiałem premię. Najwyższa premia – to pięćdziesiąt procent, jeśli wykonałem pracę w czasie wyznaczonym przez kalkulatora. Swoje pięćdziesiąt procent miałem zawsze wyrobione. Po wyzwoleniu na czeladnika płacą sześćdziesiąt pięć groszy za godzinę i premię.

Co.robić, żeby egzamin wypadł dobrze? Na pracę praktyczną dał mi Helmut do uzwojenia twornik przetwornicy. Dla mnie taki twornik to nic strasznego. Nawinąłem już wiele tworników w fabryce, w domu

nawijałem te, które prywatnie robiłem dla Helmuta. Ale trzeba podciągnąć tę cholerną teorię.

Od kilku dni w naszej brygadzie pracował student z Politechniki. Po ukończeniu studiów odbywał praktykę wakacyjną. Gdy się dobrze rozejrzałem, zauważyłem, że na oddziale jest ich więcej. Pracowali w różnych brygadach. Chodziłem po hali i każdego z nich po kolei z ciekawością oglądałem. Miałem do nich dziwne, niczym nie umotywowane uprzedzenie. Wiedziałem, że to są „gzymsiki", „frajery", „drętwiaki", którzy pracują na warsztacie razem z nami, a mimo to nie należą do nas. A jak jeszcze zrobią dyplomy i zostaną inżynierami – wtedy będą już tacy sami, jak ci wszyscy. którzy nas, robotników, uważają za tych gorszych. Ten, który pracował w naszej brygadzie, robił z siebie większego ważniaka niż inni. Rano, gdy przychodził do pracy, nawet „dzień dobry" nie powiedział. Stał tylko i patrzył na nas tak, jakby nas wcale nie było.

– Co to za giganciak? – zapytałem Helmuta. – Stoi tak, jakby laskę Ojca świętego połknął. Czego on tak na nas ślepia wybałusza?

– To jest synek naszego… – tu Helmut wymienił nazwisko jednego znanego w całym kraju ważniaka z rządu.

– Rozumiem. To dlatego, że jego tata ważniak, to i on takiego ważniaka odstawia. Czekaj pan, ja mu urządzę jakiś dobry kawał.

Facet ten nic nie robił, tylko stał oparty na imadle i przyglądał się, jak my pracujemy. To mi podsunęło pewien pomysł. Gdy odszedł na chwilę, podłączyłem jeden drut od lampy kontrolnej do imadła, drugi do narzędzi leżących na warsztacie, a narzędzia poukładałem tak, że wzajemnie się dotykały. Gdy wrócił nasz ważniak i znów oparł się na imadle, podniosłem do góry mały motorek, który właśnie reperowałem, i tonem najbardziej uprzejmym, na jaki potrafiłem się zdobyć, poprosiłem:

– Czy szanowny pan nie byłby uprzejmy podać mi małe płaskie cążki? Bo nie mogę teraz wypuścić z rąk maszyny…

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy wypada takiemu jak on arystokracie usłużyć robotnikowi.

– Dawaj pan prędzej! – zawołałem teraz głośno, rozkazującym tonem. – Widzi pan, że nie mogę tego długo trzymać.

Automatycznie, bez zastanowienia, szybko chwycił jedną ręką cążki. Chwycił, wrzasnął – i cążki poleciały w górę. Wrzasnął tak głośno, że wszyscy w pobliżu spojrzeli w naszą stronę, co się stało.

„Czekaj, frajerze – pomyślałem – jak jesteś głupi, to może przerobię cię jeszcze lepiej. Muszę cię wypłoszyć z naszej brygady". Wyciągnąłem spod warsztatu mały wiatrak, który zrobiłem już dawno. Wiatrak ten służył do nabierania ludzi i znany był na wszystkich oddziałach. Była to mała budka ze śmigłem i rurką do dmuchania. Odnosiło się wrażenie, że jak się dmuchnie, to śmigło będzie się

obracało. Kawał polegał na tym, że u góry było małe okienko, przez które sypało się do środka angielskie sadze. Gdy ktoś dmuchnął, sadze zasypywały mu twarz. Wiatrak ten ustawiłem na warsztacie.

Przyszedł nasz „arystokrata" i znów stanął sztywno przy warsztacie. Wiatrakiem zainteresował się dopiero po południu. Wziął go do ręki, obejrzał, poruszył palcem śmigło raz, drugi raz, popatrzył na rurkę i postawił na stole. „Nie natnie się, cholera" – pomyślałem, zły, że kawał się nie uda.

Zbliżał się fajerant. Wszyscy już składali narzędzia, robili porządki w swoim miejscu pracy. Zauważyłem, że nasz student znów trzyma w ręku wiatrak. „Dmuchnie czy nie dmuchnie? Dmuchnie" – pomyślałem, widząc, jak podnosi wiatrak do góry. – Nie, nie dmuchnie, opuścił na dół. Dmuchnął raz – za słabo. Popatrzył zdziwiony, dlaczego śmigło się nie kręci. Dmuchnął mocno… – i aż krzyknąłem głośno z radości. Oczywiście nie zauważył, że jest czarny, i dopiero gdy wszyscy zaczęli się śmiać – dotknął twarzy i już wiedział, co się stało. Poczerwieniał, odrzucił wiatrak i od tej pory już go na oddziale nie widzieliśmy. Nie przyszedł też więcej do fabryki. On nie musiał odbywać praktyki. Nawet gdyby się wcale nie uczył, to też tatuś załatwi, że dyplom inżyniera otrzyma.

Następnego dnia przyszedł do naszego działu nowy student. Przyszedł sam. Chłop potężny i chyba więcej niż metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Podszedł do Helmuta, przywitał się podając mu rękę. Następnie przywitał się kolejno ze wszystkimi i zapytał, czy nie znajdzie się u nas jakaś robota.

– W tej chwili nic dla pana nie mam, ale może przyniosą coś nowego, niech pan poczeka – odpowiedział Helmut dyplomatycznie.

Ale jemu się spieszyło, nie bardzo chciał czekać. Postał z dziesięć minut, odszedł, pochodził po oddziale i wrócił z powrotem do nas. A my pracowaliśmy tak, jakby go wcale nie było. Podszedł do mnie, popatrzył, co robię, i zapytał:

– Do czego mają być te cewki? Odpowiedziałem grzecznie, podając dane techniczne.

– A może pozwoli pan mi trochę ponawijać?

– Niestety nie mogę, bo to robota na egzamin wyzwoleniowy, muszę wszystko od początku do końca zrobić sam.

Ale dałem mu do nawijania cewki do prądnic lotniczych.

„Jak chcesz pracować – pomyślałem – to proszę bardzo. Cewek nigdy nie będzie za dużo". Gdy nawijał pierwsze cewki, zwracałem mu uwagę, gdy robił coś niewłaściwie. „Wcale nie ważniak" – pomyślałem, gdy kilka razy sam zapytał mnie, co jak. należy robić. Gdy syrena zawyła na przerwę obiadową, siedząc obok siebie przy warsztacie wyciągnęliśmy paczki z jedzeniem.

– O rany! Jakie pan ma bycze żarcie! – krzyknął student

zachwycony, gdy spojrzał na moje jedzenie. – Niech pan się zamieni, oddam panu swoje – zaproponował.

– Proszę bardzo – odpowiedziałem. – Jeśli pan koniecznie chce… Nie wiem tylko, dlaczego to żarcie takie bycze – chleb razowy z masłem i z cebulą.

– Ja to strasznie lubię, ale w domu wyśmieliby mnie – odpowiedział. – A ja to cholernie lubię.

Za swoje jedzenie otrzymałem bułeczki z masłem i szynką. Zjedliśmy obiad, obaj zadowoleni z zamiany.

Następnego dnia zapytałem Leszka – bo tak miał na imię nasz nowy student – czy nie chciałby rozebrać kilku maszyn i umyć w benzynie.

– Które? – zapytał krótko.

Pokazałem mu pięć nawalonych prądnic, które czekały na reperację. Poprosił mnie tylko o fartuch. Dałem mu brudny fartuch, benzynę, szczotkę do mycia i duże pudło blaszane, które spełniało rolę wanny przy myciu brudnych, zamazanych smarami części.

„Ciekawy facet – pomyślałem, patrząc, jak z zapałem rozbiera maszyny i czyści benzyną poszczególne części. – Niczym się nie zraża. Robi wszystko, co mu damy. Nawet tak trochę po naszemu mówi: «O rany, bycze żarcie, cholernie». No nic, zobaczymy, co będzie dalej. Zrobić mu jakiś kawał, czy nie zrobić? Jak dotąd, nie dał mi żadnego powodu”.

Trzeciego dnia rozmawialiśmy na temat mojego egzaminu wyzwoleńczego. Powiedziałem mu, że dłubię się już trzy lata w motorach, ale z teorii stoję słabo. Że gdybym mógł znaleźć kogoś, kto chciałby mnie podciągnąć w wiadomościach teoretycznych, to chętnie bym nawet zapłacił.

– A może pan chciałby mnie troszkę podciągnąć? – zapytałem już wyraźnie. – Zapłacę panu, jak płacą inni. Mam jeszcze do egzaminu niecałe sześć tygodni, ale wierzę w swój łeb, w tym czasie potrafię wiele zapamiętać.

– Nie bardzo to wygodne dla mnie – odpowiedział Leszek – bo ja już jednemu daję korepetycje. Ale mogę pana uczyć.

Mieszkał w Alei Trzeciego Maja, dał mi na karteczce swój dokładny adres. Tego samego dnia wieczorem przyszedłem do niego, a następnego dnia zaproponował mi, żebyśmy mówili sobie po imieniu. Zgodziłem się pod warunkiem, że w fabryce, przy ludziach, będziemy z sobą oficjalnie – na „pan”. Nie chodziło mi o mnie. Nie chciałem tylko narazić go na szykany kolegów studentów i pracowników technicznych, których sporo kręciło się zawsze po oddziale.

I tak przechodziły nam dnie. W południe zamienialiśmy się obiadami. Brałem od niego różne smakołyki, a w zamian oddawałem swoje, na które z zasady składał się chleb razowy, do tego gotowany

boczek wędzony, słonina solona, masło i cebula lub kawał „szynki" kaszanej. W pracy coraz serdeczniejsze stosunki między Leszkiem i pracownikami naszej grupy, a wieczorem nauka. Leszek był zadowolony. Mówił, że jestem wdzięcznym uczniem, bo bardzo łatwo przyswajam sobie materiał. Twornik już dawno miałem zrobiony, a nauka teorii też przebiegała sprawnie.

W dniu poprzedzającym egzamin wyzwoleniowy Leszek egzaminował mnie prawie cztery godziny. Zadawał pytania, kazał robić różne schematy i obliczenia. Wszystko musiałem robić sam – tego dnia nie wyjaśniał mi nic. Następnego dnia Leszek był bardziej zdenerwowany niż ja. Twierdził, że mój egzamin jest równocześnie jego egzaminem – egzaminem umiejętności przygotowania kogoś do egzaminu. Co chwila zadawał mi na wyrywki różne pytania.

O godzinie dziewiątej kierownik oddziału zebrał nas pięciu – wszystkich tych, z którymi w jednym czasie zostałem przyjęty do pracy. Komisja egzaminacyjna składała się z czterech inżynierów i naszego kierownika oddziału, również inżyniera. Stanąłem przed komisją drugi. Pierwszy delikwent wyszedł z pokoju czerwony jak ugotowany rak, ale powiedział, że poszło mu dobrze.

W pierwszym momencie byłem stremowany, lecz mój kierownik dodał mi otuchy oraz powstrzymał innych od zadawania pytań. Obejrzeli najpierw twornik, naradzali się i zaopiniowali, że bardzo dobry. Zapytali kierownika, czy jest pewien, że zrobiłem go sam. Kierownik potwierdził. Wtedy dopiero zaczęli zadawać pytania – a ja uspokoiłem się. Po jakimś czasie kazali mi wyjść, a po chwili oznajmili, że egzamin zdałem z wynikiem bardzo dobrym. Każdy kolejno uścisnął mi grabkę… i wysiadka.

– No jak? No jak? – zawołał Leszek, gdy wszedłem na oddział.

– Wszystko dobrze – odpowiedziałem.

Pierwszy złożył mi życzenia. Następny był Helmut, a potem już kolejno wszyscy pracownicy z oddziału. Każdy składając życzenia zwracał się do mnie per „panie Stanisławie", a to dlatego, że mechanicy mówią praktykantom po imieniu, ale tracą to prawo, gdy praktykant wyzwala się na czeladnika. Wtedy sam wybiera tych, którzy mogą mówić mu „ty".

BAWIMY SIĘ

– A może zrobimy popijawę? – zapytałem Antosia.

Antoś to kolega z oddziału, który zdawał egzamin tego samego dnia, co i ja. Z pięciu wyzwolonych tego dnia praktykantów tylko Antoś i ja postanowiliśmy zrobić małe przyjęcie w jakiejś lepszej knajpie, na które zaprosiliśmy naszych majstrów. Więc ja zaprosiłem Helmuta i Leszka, a Antoś swojego majstra i jeszcze jednego mechanika. Doszliśmy do wniosku, że należy zaprosić także majstra oddziałowego, który był dobrym chłopem i jeszcze lepszym gazownikiem. Na miejsce spotkania wybraliśmy restaurację w Alejach Jerozolimskich, w której mieliśmy spotkać się o godzinie siódmej wieczorem. Umówiliśmy się z Antosiem, że mamy do stracenia po trzydzieści złotych, ale na wszelki wypadek będziemy mieli przy sobie więcej forsy. Byłoby głupio, gdyby zabrakło nam kilku złotych do rachunku. Leszka zaprosiłem nie tylko dlatego, że byliśmy już z sobą na koleżeńskiej stopie, ale także dlatego, że kategorycznie odmówił przyjęcia ode mnie jakiejkolwiek zapłaty za pomoc w nauce przez prawie sześć tygodni.

Wszyscy stawili się o umówionej godzinie. Wódkę i zakąski zamawiali nasi mechanicy. Pierwszy raz byłem w takiej luksusowej knajpie, więc nie chciałem popełnić żadnej gafy. Kelner bez przerwy kręcił się przy stoliku, zmieniał nakrycia do każdej zakąski i sam napełniał kieliszki. Po dwóch godzinach wszystkim już nieźle kurzyło się z czupryn.

– Panie ober! – zawołał na kelnera jeden z majstrów. – Pół literka jeszcze i coś na ząbek! Co pan ma dobrego na zakąskę?

Kelner wymienił kilka potraw po polsku i kilka potraw w jakimś obcym języku, między innymi wymienił: kabaczki.

– Co? Wariata pan ze mnie robi? – obraził się majster. – Wykałaczkami mnie pan częstujesz? Myślisz pan, że ja już taki pijany jestem, że wykałaczki będę jadł na zakąskę?

Mimo że nie wiedziałem, co to są kabaczki, słyszałem wyraźnie, że kelner nie powiedział „wykałaczki", a właśnie „kabaczki". Kelner łamał się w ukłonach i przepraszał za nie popełnioną winę.

– Pan szanowny łaskawie mnie źle zrozumiał. Nigdy bym sobie nie pozwolił na podobną poufałość. Proszę mi wybaczyć, może niewyraźnie powiedziałem – powtarzał, a majster upierał się przy swoim.

Słuchałem tej rozmowy i nie mogłem zrozumieć dwóch rzeczy. Po pierwsze, dlaczego majster tak rozrabia? Wypił kieliszek, a robi szumu za cały antałek. U nas chłopaki mówią w takiej sytuacji: „można wypić po kubeczku, spokój w głowie, w porządeczku". Albo: „spokój w

głowie, porządek musi być". A ten uczepił się człowieka i mantyczy. Drugą rzeczą, której nie mogłem zrozumieć, to niezachwiany spokój kelnera. Jeden mantyczy, a drugi bez przerwy się kłania i przeprasza.

„Już ja nie mógłbym być kelnerem – pomyślałem sobie. – Przecież przy tej pracy trzeba mieć stalowe nerwy". Tymczasem majster już wyjechał z ciężką artylerią w rodzaju: ciapciaku, łachudro itp.

– Odczep się pan od tego człowieka. – zwróciłem się ze złością do majstra. – Co się pan tak do niego przytratatitał? Czy dlatego pan taki kozak, że on tu na służbie i nie może pana opatyczyć? Ululał się pan? To idź pan spać!

To trafiło wszystkim do przekonania i dwóch kolegów podniosło się z krzesła, wzięli go pod rączki, wyprowadzili za drzwi, wsadzili do taksówki, z góry zapłacili za przejazd i kazali odwieźć go do domu. Tak więc zostało nas sześciu i nikt nie był zagazowany.

Poprosiliśmy o rachunek. Gdy kelner obliczał, każdy sięgnął do kieszeni.

– Zaraz, panowie, tutaj płaci Antoś i ja – odezwałem się. – Czego się spieszycie? To nie Ubezpieczalnia, każdy zdąży. – I zapłaciłem rachunek, który wyniósł czterdzieści sześć złotych. Majstrowie popatrzyli na siebie, coś poszeptali, a Helmut powiedział:

– Wobec tego zmieniamy lokal. Teraz my pokażemy, jak się majstrowie bawią.

I zaczęła się zabawa na ich koszt. Dwiema taksówkami przerzuciliśmy się do innej knajpy. Ta była jeszcze lepsza, z występami. Półnagie kobiety tańczyły na parkiecie i śpiewały modne piosenki. Pod jedną ścianą siedziało kilkanaście młodych i ładnych kobiet. Domyśliłem się, że to fordanserki. Każdy, kto chce, może prosić je do tańca, trzeźwy czy pijany, młody czy stary, a one w interesie knajpy nie mają prawa odmówić. Jeśli pijani goście zaproszą którąś z nich do swego stolika, właściciel knajpy płaci jej pewien procent od rachunku, który oni zapłacą. Starają się więc, jak mogą, naciągać gości na drogie trunki i zakąski. Wysączyliśmy tu troszkę wędki, troszkę potańczyliśmy i znów przesiadka do innego lokalu.

Była godzina pierwsza w nocy, gdy znaleźliśmy się w nowej knajpie, która od poprzedniej różniła się tylko tym, że nie było w niej występów, natomiast miała więcej fordanserek. Spodobała mi się jedna z nich. Siedziała w towarzystwie koleżanek w pobliżu naszego stolika. Była ładna, zgrabna i nie miała więcej niż osiemnaście lat. Patrzyłem na nią natarczywie, a gdy uśmiechnęła się do mnie, poprosiłem ją do tańca. Tańczyłem dla samej tylko przyjemności tańca, bez żadnych celów ubocznych. Innego jednak na ten temat zdania była widocznie moja partnerka. Przy trzecim tańcu przylgnęła do mnie całą długością swego młodego ciała. Zdrętwiałem – przecież miałem dopiero dziewiętnaście lat! Do przytomności doprowadził

mnie namiętny szept mojej partnerki:

– Kochanie, tak bardzo chciałabym się z tobą czegoś napić.

– Nie da rady – odpowiedziałem spokojnie. – Ja nie z kategorii frajerów. Z „Dołu" jestem, z ferajny. – („Dół" to Powiśle i Czerniaków, położone niżej niż Śródmieście).

– A może jednak wypijemy po jednym – zaszczebiotała znów przymilnie.

– Słuchaj, mała, starego wróbla nie posadzisz na końskie g… Z taką przewalanką to nie do mnie. Wiem przecież, że szukasz gościa na grubszy rachunek, a ja nie lubię być frajerem i powiem ci szczerze, że nie mam forsy.

– Jeśli tak, to mam do ciebie prośbę – powiedziała już bez żadnych czułości. – Nie proś mnie więcej do tańca. Może kogoś złapię, bo jeszcze nic dzisiaj nie zarobiłam. A może pójdziemy do mnie? – zaproponowała. – Mieszkam tu w pobliżu.

Tańcząc wsadziłem rękę do kieszeni, w której zawsze luzem nosiłem pieniądze, i namacałem pięć złotych. Trzymając w ręku monetę, myślałem: rachunek na dwóch wypadł czterdzieści sześć złotych. A do wydania miałem trzydzieści złotych, plus dwadzieścia złotych zakonspirowane. Więc wypadło taniej, niż przewidywałem.

– Masz, ale nie skorzystam – powiedziałem wkładając jej pieniądze do ręki.

– Jak to, tak za nic mi dajesz? – zapytała zdziwiona. – Tak to ja nie przyjmę. Chodź do mnie za te pięć złotych, nic więcej od ciebie nie wezmę.

Powiedziałem, że nie skorzystam.

– A może boisz się? Nie bój się, nikt tu nie ma do mnie prawa.

– Powiedz, mała, kogo ja się mogę bać, jak ja sam siebie się nie boję – odpowiedziałem ze śmiechem. – A poza tym ja mam pomocnika „za parkanem", którym nieźle potrafię operować. – Mówiąc to uchyliłem poły marynarki, by zobaczyła wystającą z kieszeni rękojeść dużego fińskiego noża.

– To za co dałeś mi pieniądze?

– Taką już mam po ojcu zasadę życiową: Boso, ale w ostrogach. A dałem ci za fatygę, za taniec i dlatego, że mi się tak podoba. A teraz baw się dalej, może jeszcze parę złotych zarobisz do rana – powiedziałem, gdy po skończonym tańcu szliśmy razem w kierunku naszych stolików. o godzinie wpół do trzeciej nad ranem, wszyscy dobrze na obrotach, wsiedliśmy w dwie dorożki.

– Wio, panie sałata! – krzyczał Leszek na dryndziarza w pierwszej dorożce.

– Mijaj ich pan! – wołaliśmy na swojego. i zaczął się wyścig dorożek po pustych ulicach Warszawy. Gdy dojeżdżaliśmy do skrzyżowania ulic, zza rogu wypadło kilka osób. Dwie młode kobiety

wyskoczyły na jezdnię. Jedna wskoczyła do pierwszej dryndy, a druga do naszej.

– Obława! – powiedziała wystraszona, wciskając się między nas. – Panowie, nie dajcie mnie zabrać – prosiła. – Nazywam się… – i wymieniła swoje imię i nazwisko.

W tym momencie zza rogu wyjechała „buda" – kryty samochód policyjny. Wysypali się z niego policjanci i łapali uciekających. Nas nie zatrzymali, więc spokojnie pojechaliśmy dalej. Na ulicy Marszałkowskiej wyskoczyłem z dorożki i wsiadłem w nocny tramwaj idący w stronę Mokotowa, a stamtąd już piechotą w dół – w swoją parafię.

Wracając myślałem o przeżyciach ostatniego dnia. Najważniejsze przeżycie – to egzamin dojrzałości. Skończył się praktykant, od jutra jestem już czeladnikiem i dalsze moje życie będzie się układało w zależności od tego, jakim będę fachowcem. Lepszy fachowiec – to większa płaca i lepsze warunki życia. Myślałem też o Leszku, dla którego ten dzień był ostatnim dniem praktyki wakacyjnej w fabryce. Umówiliśmy się, że będziemy się spotykali. Wkrótce zaczął pracować w fabryce jako inżynier.

Myślałem też o życiu młodej dziewczyny poznanej w knajpie i o tej, która przed obławą schroniła się do naszej dorożki. Myślałem o kelnerze, któremu można bezkarnie wymyślać, jeśli tylko ma się odpowiednią ilość gotówki do stracenia. Myślałem o tych tak zwanych lepszych knajpach, w których niektórzy tracą w ciągu dnia więcej pieniędzy, niż inni mają na utrzymanie całej rodziny w ciągu miesiąca. Na dzielnicy chłopaki też piją wódkę. Piją w mieszkaniach, na klatkach schodowych, w bramie, za parkanem, a wieczorem to i na ulicy. Piją także, ale to już rzadziej, bo to drożej kosztuje, w knajpach, „mordowniach" na dzielnicy. Gdy chcą wypić, składa się kilku po złotówce lub po pięćdziesiąt groszy. A taniec – to latem „deptak" w Parku Sieleckim, a zimą sala Towarzystwa Przyjaciół Czerniakowa – za jeden złoty od osoby.

Tego dnia poznałem nowy kawałek życia, znany mi dotychczas tylko z opowiadań.

MOŻEMY SIĘ ZAPOZNAĆ

– Chcesz jechać w miasto na zabawę? – zapytał Władek. – Mam zaproszenie, dostałem od pułkownikowej, u której malowałem willę, do Resursy.

– A kto jeszcze idzie? – zapytałem.

– Bronek i Edek.

– Dobrze, idę – odpowiedziałem.

– Wejście kosztuje drogo, ale wejdziemy na gapę. Damy sobie radę. Przecież to nie Czerniaków, tam nie będą tak bardzo pilnować – dokończył Władek.

– Niech każdy zabierze w kieszeń ćwiartuchnę – poradziłem chłopakom – bo tam na pewno drogo kosztuje. Za dużo nie można brać, bo porządek musi być… Idziemy w kapeluszach – nie będzie poruty.

Każdy poszedł do siebie przebrać się i wieczorem pojechaliśmy na frajerską – jak to my nazywaliśmy – zabawę. Na głowach mieliśmy kapelusze, które zakładało się tylko na wyskok do miasta. Gdy ktoś przez zapomnienie stanął na rogu z chłopakami w kapeluszu – dostawał taką naukę, że więcej tego nie robił.

– Ty, patrz, wariat w kapeluszu! – wołali śmiejąc się. Ktoś strącił kapelusz z głowy, inny kopnął, ktoś inny poderwał i wsadził drugiemu siłą na głowę. Gdy wreszcie właścicielowi udało się go odebrać, musiał długo czyścić i fasonować, zanim znów zdatny był do użytku.

Tam, na dzielnicy, obowiązywały kraciaste czapki i czerwone apaszki. Czym jaskrawsza krata i czerwieńsza apaszka – tym większy przystojniak. Więc w kapeluszach i krawatach pojechaliśmy na „grzeczną" zabawę. Okrycia oddaliśmy do szatni i kręciliśmy się, żeby zorientować się w możliwości wejścia bez biletu. Na szerokich schodach stali ci, co kontrolowali bilety. Stojąc w hallu obserwowaliśmy wchodzących gości. Panie w pięknych sukniach balowych, panowie w smokingach, niektórzy we frakach, ale byli również tacy w zwykłych wizytowych garniturach. Obserwując ludzi zauważyłem, że z małych bocznych drzwi wyszedł wodzirej, którego poznać można było po pęku kolorowych wstążek przypiętych do ramienia – i szerokimi schodami poszedł na górę, a po pięciu minutach znów wyszedł tymi samymi drzwiami na dole.

– Chłopaki, tu musi być przejście na salę – powiedziałem, wskazując drzwi, z których wychodził wodzirej. – Idziemy.

W pokoju, do którego weszliśmy, siedziało przy stole czterech mężczyzn. Ukłoniliśmy się grzecznie i bez żadnej tremy, z uśmiechem, o nic nie pytani, wyszliśmy drugimi drzwiami i wąską klatką schodową dostaliśmy się do kuchni i bufetu, a stąd już na salę.

Zabawa na cały regulator.

– Wszystkie pary tańczą! – woła wodzirej.

Władek i Edek już tańczą – mrugają do nas i dają do zrozumienia, że partnerki słabo tańczą.

Rozglądam się, czy nie da się „kupić" dla siebie partnerki. Patrzę – pod. ścianą siedzi starsza para, a przy nich młoda, może siedemnastoletnia panienka w niebieskiej balowej sukni. Poprosiłem do tańca. Panienka spojrzała w bok i zapytała:

– Mamusiu, można?

Mamusia zmierzyła mnie od góry do dołu – i kiwnęła głową, że można. Po skończonym tańcu odprowadziłem panienkę do mamusi. Ponieważ tańczyła dobrze, więc nie szukałem już innej partnerki. Po pewnym czasie, w tańcu, panna Irenka – bo takie imię miała moja dama – w imieniu rodziców zaprosiła mnie do bufetu na kolację.

Pierwszy raz byłem na takiej „arystokratycznej" zabawie, więc nie wiedziałem, jak należy się zachować. Czy wypada przyjąć zaproszenie, czy też w dobrym tonie będzie, jeśli odmówię. Gdy po jakimś tańcu znów oddałem Irenkę mamusi – teraz już zaprosili mnie rodzice. Zaproszenie przyjąłem, lecz poszedłem zapytać chłopaków, co oni o tym myślą.

– Idź, frajerze, nie namyślaj się! Co ci szkodzi zjeść i wypić za darmo – radzili koledzy. – A powiedz jeszcze, że jesteś z kolegami, to może i nas zaproszą.

Przy stolikach rozsiadła się cała rodzinka – rodzice, Irenka i dwóch starszych braci, każdy z narzeczoną. Toczyła się rozmowa i tylko pilnowałem się, żeby nie wyrazić się „zagranicznym" słowem. Odstawiałem „sztyfcika" i szło mi to zupełnie dobrze. Tatuś pochwalił się, że jest jakimś kierownikiem w banku, że synowie studiują na Politechnice, że Irenka wkrótce zrobi maturę i pójdzie na medycynę.

– A co pan robi? – zapytał tatuś.

– Uczę się, u Wawelberga.

– W jakim kierunku?

– Radiotechnika – odpowiedziałem, bo faktycznie w tym czasie uczyłem się tam, ale były to Państwowe Kursy Radiotechniczne, dwuletnia szkoła wieczorowa z wyższym poziomem nauczania, mieszcząca się na terenie szkoły Wawelberga.

Połapałem się, że rodzinka przeprowadza egzamin, czy facet nadaje się do towarzystwa dla córeczki. Podobała mi się ta zabawa w ciuciubabkę z nimi i dalej grałem rolę skromnego, grzecznego i kulturalnego chłopca.

Egzamin widocznie wypadł dobrze, bo gdy spotkałem się z Irenka w następną niedzielę, by doręczyć jej fotografie, które zrobiono nam na balu, na moje pytanie, jak spędzimy wieczór – odpowiedziała:

– Pójdziemy do mnie do domu.

– A czy to wypada? – zapytałem. – Przecież tak krótko się znamy.

– Niech się pan niczego nie obawia. Do nas w każdą niedzielę schodzi się dużo młodzieży, koledzy braci, moje koleżanki. Śpiewamy, tańczymy – bo mamy pianino i radio, patefon. Powiedziałam w domu, że pana przyprowadzę.

Poszedłem. Pomyślałem sobie tylko, że znów muszę odstawiać „sztyfcika" – a to trochę męczy, bo wciąż trzeba uważać na to, co się mówi i robi.

„O-la-la, a to wpadłem w «ciekawe» towarzystwo" – pomyślałem, gdy znaleźliśmy się już w mieszkaniu, które urządzone było komfortowo: pięć pokoi z kuchnią, wszystkie ładnie umeblowane. „Trzymaj się sztywno, nie zblamuj się – ostrzegałem w myśli sam siebie – to nie róg ulicy Tatrzańskiej i nie knajpa u Bandyty na Wójtówce, gdzie można sobie pozwolić na wszystko i nikt się niczemu nie dziwi". Na szczęście, przewidując, że trzeba będzie z Irenka wstąpić do kina czy do kawiarni, ubrałem się, jak to się u nas mówiło, „po frajersku – miastowo", to znaczy białe wełniane rękawiczki, pilśniak na głowie, krawat i biały szalik.

Irenka poznała mnie z całym towarzystwem. Prezentacja przebiegła gładko. Dowiedziałem się, że z kolacją czekano na nasze przyjście, i po chwili wszyscy siedzieliśmy przy zastawionym stole.

Podano różne kanapki, ciasteczka, cukierki i butelkę słabego wina na dwanaście osób samej młodzieży – bo staruszkowie wraz z ciocią, która ich tego dnia odwiedziła, siedzieli pod ścianą. Chociaż niby nic ich nie obchodziło, obserwowali bez przerwy, co my robimy i o czym rozmawiamy.

Zrozumiałem, że ośrodkiem ogólnego zainteresowania była moja „skromna" osoba – jako nowego gościa w dobranym, dobrze znającym się towarzystwie. „Skromna" dlatego, że starałem się być mało widoczny i nie za wiele mówić. Właśnie mówić. Bo zaczęło mnie to śmieszyć – jakaś sztuczna w tym towarzystwie grzeczność, bez przerwy słyszałem: proszę, dziękuję; nic tylko – „ą" i „ę". Rękę, nogę, mogę, panienkę – przesadnie akcentowano. Nie jestem takim baranem, żebym tego nie potrafił naśladować, więc pojechałem na tym samym tonie i wszystko szło klawo.

– Czy pan pracuje, czy jeszcze się uczy? – zapytała panna Lila, koleżanka Irenki, siedząca obok mnie przy stole. – Bo ja uczę się w konserwatorium, gram na skrzypcach.

„Oho, trzymaj się – pomyślałem – zaczyna się egzamin, czy pasuję do towarzystwa".

– Uczę się, proszę pani… – zrobiłem pauzę – sprzedawać gazety – dodałem po chwili.

– Pan ma duże poczucie humoru! – zaszczebiotała Lilka.

– Chyba tak, ale to u mnie rodzinne, po ojcu.

– A do którego gimnazjum pan chodził? – zadał pytanie młodzieniec siedzący po przeciwnej stronie stołu.

„Tu was boli – pomyślałem. – Gimnazjum, matura – to klucz otwierający wejście do waszego towarzystwa. Szczęśliwie, że nie zależy mi na towarzystwie takich jak wy – młodych, a już nadętych i zarozumiałych drewniaków".

– Do żadnego gimnazjum nie chodziłem – odpowiedziałem zadowolony, że spotka ich rozczarowanie. – Mnie uczyła ulica. I chyba źle nie wyuczyła, prawda?

Roześmieli się wszyscy, zadowoleni z dowcipu. Po moim powiedzeniu o nauce sprzedawania gazet nikt mi nie uwierzył, że nie chodziłem do żadnego gimnazjum. A gdy jeszcze powiedziałem, że zaproszenie na bal znalazłem na ulicy – uznali mnie za bardzo tajemniczego człowieka. Ale oni i tak dowiedzą się o mnie wszystkiego…

Po kolacji tańczono przy radiu i patefonie. Jeden z gości grał na pianinie – a raczej słuszniejsze będzie określenie, że uczył się grać na pianinie, bo niesamowicie mylił tempo i fałszował melodię.

Przy pożegnaniu wszyscy zapraszali mnie, żebym koniecznie przyszedł w następną niedzielę.

– Pan tak dobrze tańczy i ma tyle humoru – mówiła Irenka.

– I taki pan tajemniczy – dodała Lilka. – Cały wieczór byliśmy razem i nic o panu nie wiemy.

– Tajemniczość to moja specjalność – odpowiedziałem. – Gdy dowiecie się o mnie wszystkiego, może okazać się, że wcale nie jestem taki interesujący.

Następnego dnia wieczorem opowiedziałem swoim chłopakom wrażenia z wizyty u „lepszej sfery".

– No gadajcie, jak mi radzicie? Iść tam znów w niedzielę czy nie warto?

– Nie bądź głupi, idź – poradził mi jeden. – Pożresz sobie za frajer dobrych rzeczy, potańczysz i – co najważniejsze – poznasz z bliska, jak wygląda ich życie. Tylko że to są ludzie przeważnie bez charakteru – tłumaczył mi starszy kolega. – Pilnuj się, żeby ci który jakiegoś świństwa nie zrobił. Oni to robią grzecznie. Będzie się do ciebie uśmiechał, a w rękawie będzie trzymał nóż, żeby posunąć wtedy, jak się do niego wykręcisz tyłem.

– Tego to ja się nie boję. Jak zaszurają, to dam radę wszystkich rozmieszać.

W następną niedzielę wszystko odbyło się u Irenki tak jak poprzednio, z tą tylko różnicą, że Lilka grała na skrzypcach i zaśpiewała kilka piosenek przy kulejącym akompaniamencie. Wszystko to wyszło bardzo słabo, ale wszyscy przez grzeczność bili brawo i prosili o jeszcze.

Gdy zagrała znane mi tango – zaśpiewałem w takt muzyki. Albo śpiew wyszedł dobrze, albo – tak jak Lilce – przez grzeczność wszyscy bili brawo i prosili, żeby jeszcze coś zaśpiewać. Zaśpiewałem typową warszawską piosenkę – jedną z tych, które znane były tylko na przedmieściach. To już wszystkich naprawdę wzięło – bo śpiewałem w sposób charakterystyczny, akcentując tak, jak to robią tylko ludzie wychowani na przedmieściach Warszawy.

– Brawo, pięknie! – zachwycali się. – A la Wiech, stylem Wiecha – wołali.

– Jak pan go dobrze naśladuje!

„To Wiech naśladuje mnie – pomyślałem – tylko że za bardzo wykoślawia. A ja, owszem, naśladuję, i to chyba dobrze, ale wasz sposób mówienia".

Gdy na dodatek powiedziałem im jeden monolog pijacki, a drugi,szemrany" – zachwytom nie było końca. Stwierdzili, że albo chodzę do szkoły teatralnej, albo już występuję na scenie.

Głupie uczucie. Rozmawia człowiek z tymi ludźmi, słucha, co mówią, i nie wie, co jest prawdą, a co fałszem powiedzianym w imię grzeczności, obłudy czy złośliwości. Ale tym się nie przejmowałem, bo wcale mi na nich nie zależało. Wiedziałem, że znajomość ta szybko się skończy, bo mi towarzystwo nie odpowiadało duchowo.

Zauważyłem, że panna Lilka *zaczyna* w moją stronę przewracać oczami. W tańcu lepiła się do mnie, mówiła, że mnie rozszyfruje – i zaproponowała spotkanie na mieście.

– Chętnie spotkałbym się z panią – odpowiedziałem – ale nie chcę narazić się temu panu, który patrzy na mnie tak, jakbym mu ojca i matkę zabił. Czy pani nie wie, dlaczego on tak na mnie ślepia wybałusza?

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że wyskoczyłem ze słowami, które w tym domu nie powinny być wypowiedziane.

– Zazdrosny jest – odpowiedziała Lilka zalotnie. – Zakochał się we mnie i nie daje mi spokoju, chociaż wyraźnie mu powiedziałam, że nie będę z nim chodziła. Nie wiem, dlaczego, ale wszyscy chłopcy są we mnie zakochani. „Ja też nie wiem, dlaczego" – pomyślałem.

Gdy tańczyliśmy z Irenka, ta ostrzegała mnie, żeby z Lilka nie zaczynać, bo to jest nic niewarta dziewczyna. Dla zabawy stara się rozkochać w sobie każdego chłopca po to, by mu dać kosza – a sama bierze się za następnego. – Teraz przyszła kolej na pana. Dowiedziałam się od brata – mówiła mi dalej Irenka – że dwóch ostatnio zakochanych umawiało się w kuchni, żeby pana od niej odstawić.

I rzeczywiście, patrzyli na mnie spode łba, ale nie zaczepiali. Z mieszkania wyszedłem ostatni, ulica była pusta. Pomyślałem sobie, że teraz, choćbym nawet chciał, to już nie mogę urwać się z tego domu.

Muszę przychodzić, żeby sobie chłopcy nie pomyśleli, że mnie wystraszyli. Ano, zaczyna się ciekawie, zobaczymy, co z tego wyniknie.

Następnego dnia dowiedziałem się w fabryce, że w niedzielę odbędzie się wielki bal urządzany przez Ministerstwo Poczt i Telegrafów w „sali malinowej" Urzędu Telekomunikacyjnego. Wstęp kosztuje pięć złotych od osoby. Zastanawiałem się, czy nie wysilić się z kieszenią na taką zabawę – bo to i ministerstwo, i „sala malinowa" też tak ładnie brzmi. Warto pójść z Irenką – ale znów dziesięć złotych to kupa forsy, a do bufetu też trzeba będzie iść, żeby nie tańczyć przez całą noc o suchej twarzy. Ćwiartkę wódki zabiorę w kieszeń – to już będzie czysty zysk. Ostatecznie ze dwa razy nie pójdę do Towarzystwa Przyjaciół Czerniakowa. Tam za te pieniądze mógłbym iść cztery razy i jeszcze miałbym na ćwiartkę f zagrychę.

Trzeba iść – zdecydowałem. – Postaw się, Stasiu, żeby nie uważali ciebie za byle kogo. Trzeba tylko podskoczyć do Irenki i dowiedzieć się, czy będzie chciała pójść, bo sam nie pójdę, szkoda pieniędzy i nie czuję się dobrze w takim drewnianym towarzystwie.

U Irenki zastałem Lilkę i jednego z tych facetów, którym się nie podobałem. Patrzył na mnie ironicznie i wyzywająco, a w rozmowie starał się podkreślić swoje walory i na tym tle wykazać, jaki ja w porównaniu z nim jestem mały. Bez przerwy mówił tylko o gimnazjum, które już ukończył, o nauce na wyższej uczelni, a wreszcie zwracając się do mnie zapytał:

– A pan w jakim kierunku się kształci?

– Na inżyniera ogrodniczego – odpowiedziałem bardzo poważnie.

– A co taki inżynier robi po ukończeniu uczelni? – zapytał zdziwiony.

– Nie wie pan? Kijem gruchy obija.

Widząc, że tu nic nie wygra, zaczął z innej beczki. Teraz na tapetę weszły rodziny. Zaczęli opowiadać, kto z jakiej rodziny pochodzi. Wynikało z tego, że wszyscy mają szlacheckie pochodzenie, błękitną krew z herbami.

„Hrabiowskie dzieci – pomyślałem – tylko pewnie ich w kąpieli zamienili, a Pan Bóg zapomniał im dać majątku i rozumu".

I znów padło pytanie:

– A pan z jakiej rodziny pochodzi?

Przez cały czas rozmowy o rodzinach i pochodzeniu byłem tylko niemym słuchaczem, więc też odpowiedziałem już ze złością:

– Ja pochodzę z tych gorszych, co to mają zwyczajną, czerwoną krew. A w ogóle to mnie ciotka z litości urodziła, bo matka tego dnia robiła duże pranie i nie miała czasu na rodzenie.

Tym razem towarzystwo połapało się, że sobie pokpiwam z nich. Po krótkiej konsternacji młodzieniec zaczął opowiadać, jaki to z niego

bohater, jak to on nikogo się nie boi. Że w szkole to wszyscy się jego bali, że ma kolegę – bohatera, który jest jeszcze bardziej bojowy. Nie widzi takiego, który dałby radę jego koledze.

W tym czasie mamusia podała na stół herbatę i ciasteczka.

– Pan bił się już kiedy? – zapytał mnie towarzysz Lilki.

– Owszem, z siostrą – odpowiedziałem – ale tylko dlatego, że jest dużo młodsza i wiem, że dam jej radę.

– A z kolegami nie bił się pan nigdy?

– Nie – odpowiedziałem. – Mamusia mi nie pozwala. To niełądnie bić się z kolegami. Co innego pobić się z wrogiem – ale tego też nie robię, bo podobno tylko łobuzy się biją.

Wreszcie powiedziałem, po co przyszedłem. Irenką bardzo się ucieszyła, ale zastrzegła, że nie wie, czy będzie mogła pójść, bo rodzice jeszcze jej samej na zabawy nie puszczają.

„U nas takie dziewczynki już puszczają się same" – pomyślałem. A głośno powiedziałem, że trzeba chyba spróbować poprosić mamę. Mama z początku nie chciała się zgodzić, dopiero gdy obiecałem, że nie będzie wódki, że przypilnuję, by spocona nie wychodziła na zimne powietrze, i po zabawie oddam Irenkę mamusi do rąk własnych – uległa.

Umówiliśmy się, że przyjadę po Irenkę w sobotę wieczorem. Po chwili Lilka ze swoim kawalerem pożegnali się i wyszli.

Kończyłem już swoją herbatę, gdy do pokoju weszła mama mówiąc:

– To tak zawsze jest: przyjdą, obeżrą, zostawią bałagan i pójdą sobie. A ja przez nich mam tylko robotę.

Poczułem, że herbata, którą miałem w ustach, stanęła mi w gardle, i pomyślałem, że jeśli nawet przyjdę tu jeszcze kiedykolwiek, to źdźbła jedzenia nie wezmę do gęby.

W sobotę wieczorem, wysztyftowany na sto dwa, zjawiłem się u Irenki. Nie była jeszcze ubrana do wyjścia, ale zauważyłem, że balowa suknia leży rozłożona na tapczanie.

– Musimy jeszcze zaczekać pół godziny – powiedziała Irenką widząc moje zdziwione spojrzenie. – Czekam na pantofle, które oddałam do szewca, powinni je już przynieść. Niech pan tu posiedzi, a ja będę się przebierała.

Usiadłem na fotelu i zająłem się przeglądaniem czasopism, których sporo leżało na stole.

Gdy po kilku minutach Irenką weszła do pokoju, by zabrać sukienkę, przyszedł chłopiec, który przyniósł pantofle od szewca. Razem z nim wszedł młodzieniec, mniej więcej w moim wieku, mógł mieć około dwudziestu lat. Przez otwarte drzwi widziałem, jak w przedpokoju wieszał palto i kapelusz. Teraz wszedł do pokoju i nie witając się z nikim, zaśpiewał coś półgłosem, zakończył zwariowanym

stepem, gestykulując podszedł tanecznym krokiem do Irenki i odezwał się teatralnym głosem:

– Panno Irenko, pani dzisiaj idzie ze mną na zabawę.

„Nowe hrabiowskie dziecko – pomyślałem – nawet na mnie nie spojrzał". Popatrzyłem na niego: czarny garnitur, elegancka koszula, krawat z wielką główką, pewny siebie. Giganciak, sztuczny cwaniak – takie było moje rozpoznanie.

– Nie mogę iść z panem, bo umówiłam się już z kimś innym – odpowiedziała mu Irenka.

– Niemożliwe! Przecież ja pani przysłałem zaproszenie.

– Ale ze mną się pan nie umawiał. Zaproszenie oddałam koledze.

– Nic nie szkodzi, ja mam zaproszenie i pani pójdzie ze mną.

– Ale ja z panem nie chcę iść! – już ze złością odpowiedziała Irenka. – A zresztą najlepiej będzie, jeśli się pan zapyta mamusi.

– To jest właśnie ten bohater, o którym mówił kolega – powiedziała Irenka, gdy facet wyszedł do innego pokoju rozmawiać z mamusią. – Niech pan się w ogóle nie odzywa, bo mógłby pana pobić. I tak nie jestem pewna, czy go nie nasłał chłopak Lilki. Tylko on wiedział, kiedy pan przyjdzie i że mamy iść na zabawę – i Irenka wyszła z suknią z pokoju.

– Dobrze, będę siedział cicho – odpowiedziałem. – Nic nie będę mówił. „Jak to ciężko być grzecznym w takiej sytuacji – pomyślałem – ale jak tu już wlazłem, to inaczej nie można. Porządek musi być". Do pokoju znów zajrzała Irenka.

– Mamusia odesłała go do tatusia, a teraz tatuś znów odsyła do mamusi – powiedziała i uciekła z powrotem.

Ja wciąż siedziałem w fotelu. Po chwili wszedł do pokoju „bohater". Podszedł do mnie i stanął mi przed nosem w wyzywającej pozie: jedna noga wysunięta do przodu, lewa ręka na biodrze. Wskazując na mnie prawą ręką zapytał podniesionym głosem:

– Czy to pan ma iść z panną Irenka na zabawę?

– A czy ja pana o coś pytam? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie. – Widzę, że się pan wygłupia. Proszę bardzo, niech pan to robi dalej – ja mam czas, poczekam jeszcze kilka minut.

Mimo że wszystko się we mnie gotowało, mówiłem zupełnie spokojnym tonem, nawet flegmatycznie.

– Bo mnie się wydaje, że ja mam większe prawo – odezwał się znów tym samym zaczepnym tonem.

– Pan nie wie, jakie ja mam prawo, a ja znów nie wiem, jakie pan ma prawo. Przecież ja pana wcale nie znam.

– Ja pana też nie znam – odpowiedział wściekle.

– No to możemy się zapoznać – mówiąc to, błyskawicznie poderwałem się z fotela.

Nastąpiło raptowne zderzenie mojej głowy z jego twarzą. Frajer

przefrunął przez pokój i wpadł plecami w kredens. Posłyszałem brzęk tłuczonych szyb i naczyń w kredensie. Spojrzałem – przeciwnik mój, nisko nachylony, łapie w chusteczkę krew z nosa. Bracia Irenki zaprowadzili go do kuchni, by pod kranem zatamować mu krew.

W momencie kiedy się poderwałem, by dopełnić ceremonii zapoznania, weszli do pokoju rodzice Irenki. Teraz stałem skromnie, z opuszczonymi na dół rękami, jak gdyby zdziwiony tym, co się stało.

– Dlaczego pan go uderzył? – pyta mnie ojciec.

– Wcale nie chciałem uderzyć, to było niechcący.

– To czemu pan się tak szybko poderwał?

– Bo przypomniałem sobie, że rozmawiamy i że on stoi, a ja siedzę – a to przecież nieprzyzwoicie. Dlatego się podniosłem.

Po kilku minutach przyszła Irenka i zmartwiona powiedziała mi, że rodzice są bardzo zdenerwowani, a ojciec zdecydował, że Irenka z żadnym z nas na zabawę nie pójdzie. Ubrałem się i wychodząc wstąpiłem do kuchni, w której zebrała się cała rodzina. „Bohater" stał nachylony przy zlewie, nad którym obmywał sobie twarz. Gdy wszedłem, wyprostował się i spojrzeliśmy na siebie. Miał spuchnięty nos i usta, z których jeszcze sączyła się krew. Teraz już nie udawałem grzeczniaka. Zmierzyłem go oczami i powiedziałem:

– Te, nygus, jak chcesz się odegrać, to ja dziesięć minut zaczekam przed bramą. Daję słowo, że dłużej czekać nie mogę, nie mam czasu i cholernie zimno. A jak chcesz później, to szukaj mnie na ulicy Tatrzańskiej. Nazywają mnie tam „Kozak". Powiedziałem ogólne „do widzenia" i wyszedłem. Po dziesięciu minutach czekania przed bramą wsiadłem w tramwaj i sam, w złym humorze, jechałem na bal. Myślałem o tym, jak to się głupio układa życie. Choćbym chciał być grzeczny i układny, to mi ludzie nie dadzą. Zawsze znajdzie się jakiś typ, który będzie się prosił, żeby go stuknąć w ryja, i nie sposób takiemu odmówić. Szkoda tylko pieniędzy, które wydałem na bilety wstępu. Cholerna arystokracja, w nóżkę kopana. Sam na bal nie pójdę – zdecydowałem – może uda mi się odprzedać komuś bilety, a sam – na zabawę do „Przyjaciół" na Czerniakowską.

W czasie tych rozważań zauważyłem młodą pannę, która zajęła miejsce naprzeciwko mnie. Obejrzałem ją od góry do dołu: ładnie ubrana, balowa suknia – i sama. „Dokąd takie dziewczątko może samo jechać – zastanawiałem się. Ładna dziewczynka, więc dla takiej nie powinno zabraknąć towarzystwa". Ale że ja jestem z natury nieśmiały – to nie miałem odwagi tak po prostu zapytać.

– Proszę bilety do kontroli – usłyszałem za plecami głos konduktora. Podałem swój bilet do kontroli, a panienka szuka wszędzie i nie może znaleźć swojego biletu.

– Ja, proszę pana, kupiłam bilet – tłumaczy się kontrolerowi – ale nie pamiętam, gdzie go włożyłam. Teraz nie wiem, czy znajdę, bo już

się zdenerwowałam.

– Pamiętam, że dawałem tej pani bilet – wtrącił konduktor. – Wsiadła na przystanku przy Saskiej Kępie.

– Tym razem nie zapiszę pani kary – powiedział kontroler patrząc na zaczerwienioną i zdenerwowaną panienkę – ale na przyszłość proszę dobrze pilnować biletu.

– To jest pani bilet, proszę – powiedziałem po wyjściu kontrolera, kładąc swój bilet na parapecie okna.

– Jak to? – zapytała i położyła bilet, który już trzymała w ręku.

– Leżał na podłodze – odpowiedziałem.

– To dlaczego pan nie oddał mi go wtedy, gdy był kontroler?

– Bo ja podałem go do kontroli jako swój bilet. Ja jadę na gapę – dodałem. – Teraz już mi nie jest potrzebny.

– I mnie też nie, bo zaraz wysiadam.

Podnieśliśmy się równocześnie, szykując się do wysiadania.

– Pani, widzę, na bal? – zapytałem odważnie. – Czy można wiedzieć, gdzie?

– Na żaden bal, do domu jadę, będę miała bal w łóżku.

– W takim stroju i o tej porze do domu? – zapytałem zdziwiony.

– Bo mi towarzystwo uciekło. Umówiliśmy się u koleżanki, spóźniłam się i wszyscy już wyszli z domu. Nie wiem, dokąd…

Wysiedliśmy z tramwaju i rozmawiając stanęliśmy na chodniku.

– To musi być strasznie przykre – ciągnąłem dalej swoją gadkę – gdy człowiek szykuje się na zabawę, a w rezultacie prześpi noc w domu.

– Nic na to nie poradzę, sama przecież nie pójdę.

– Nie chcę pani obrazić – walę już teraz na całego – ale mam dwa bilety wstępu na bal, o, tu, bliziutko, tylko kilka kroków. Złożyły się pewne powody, dla których nie mogła pójść panienka, z którą się umówiłem, a sam też nie pójdę. Jesteśmy w jednakowej sytuacji. Zapewniam, że nie będę pani krępował swoją osobą – kuję dalej na gorąco – zatańczymy ze trzy kawałki, może tam będą pani znajomi, może pozna pani kogoś, kto będzie bardziej pani odpowiadał… Ja żadnej pretensji wnosić nie będę.

Panienka broni się coraz słabiej, wreszcie wytacza ostatni argument.

– Ale, proszę pana, przecież ja pana wcale nie znam.

– No, to możemy się zapoznać – odpowiedziałem. Tu z fasonem zdjąłem kapelusz, rękawice i ściskając dziewczynie rączkę, przedstawiłem się. W tym momencie przypomniałem sobie, że zaledwie przed półgodziną wypowiadałem tę samą formułę, ale w jakże innych okolicznościach!

Bawiliśmy się razem całą noc.

Rano dowiedziałem się od niej, że jest córką właściciela masarni i

dużego sklepu z wędlinami, że zajmują w Alejach Jerozolimskich pięciopokojowe mieszkanie, a ona sama jest studentką na pierwszym roku medycyny.

Gdy żegnaliśmy się pod bramą domu, w którym mieszkała, podała mi swój dokładny adres i numer telefonu i zobowiązała mnie, że w następną niedzielę wieczorem muszę koniecznie przyjść do niej.

– Niech się pan niczego nie obawia – powiedziała – u nas w każdą niedzielę schodzi się młodzież. Koledzy brata, moje koleżanki, mamy w domu pianino, radio, patefon…

Nie poszedłem. Nie poszedłem też więcej do Irenki. Boso, ale w ostrogach. Ciapciaki – chociaż uważają się za lepszą sferę. Niecharakterne towarzystwo.

SZKOŁA ZAWODOWA

Każdy pracujący chłopak musiał obowiązkowo do ukończenia osiemnastu lat chodzić do szkoły zawodowej. Nieważne było, czy zdawał na następny kurs. Nieważne było, czy się uczył i jak się uczył. Ważne było, że w specjalnej kontrolce obecności był stempel „obecny" lub krzyżyk w dni wolne od lekcji. Wolne dni to środa i sobota. Kontrolki sprawdzane były w fabrykach raz w miesiącu przez urzędnika biura personalnego. Na wszelki wypadek zrobiłem sobie stempel z krzyżykiem i w końcu miesiąca przystawiałem w kratkach tych dni, kiedy nie byłem w szkole.

Chociaż pracę w fabryce rozpocząłem w końcu kwietnia, jeszcze w tym roku szkolnym musiałem zapisać się do miejskiej szkoły zawodowej i chodzić do niej przez maj i czerwiec. Przypuszczam, że celem szkoły było zająć czymś młodych chłopaków, żeby wieczorami nie bałaganili na ulicach. Ci, co byli w szkole, nie stali na ulicach, ale za to całą kupą rozrabiali w szkole. Na lekcjach nikt nie uważał, każdy robił, co chciał, chłopaki łazili po klasie, rozmawiali, a profesor przy tablicy spokojnie omawiał lekcję. Były wykłady, które nas interesowały, na przykład materiałoznawstwo i rysunki techniczne. Ale z tych przedmiotów mieliśmy tylko po jednym wykładzie w tygodniu. Inne przedmioty, które nam wykładano, to: język polski, matematyka, historia, geografia i religia – a wszystko na poziomie szkoły podstawowej. A przecież do pracy w fabryce nie przyjęli nikogo, jeśli nie miał ukończonej szkoły powszechnej. W dodatku do tej szkoły chodzili chłopcy pracujący w różnych zawodach, a więc: ślusarze, stolarze, tokarze, szlifierze, frezerzy, elektrycy i wszelka inna „swołocz". I taka szkoła nosiła nazwę „szkoły zawodowej". Zapisałem się do szkoły na ulicy Nowowiejskiej i chodziłem do niej do końca roku szkolnego. Nie uczyłem się wcale, bo wiedziałem, że nie zdam na następny kurs, a chodzić i tak muszę przez dwa lata. Przez te dwa miesiące nikt mnie o nic nie pytał. Pod koniec roku szkołę „rozparcelowano" i wtedy zostałem przesłany do szkoły na Mokotowie. Tu dopiero dobrała się granda. Większość to chłopaki z Mokotowa. Z naszej ulicy chodziłem tylko ja. Cała ferajna chłopaków pracujących chodziła do szkoły na Czerniakowską.

Chodziłem już dwa miesiące i wszystko było klawo, to znaczy, że wykłady się odbywały, a ja się nic nie uczyłem. Po dwóch miesiącach nastąpiła „draka" z chłopakami z Mokotowa. Przed rozpoczęciem lekcji jeden mocno łobuzowaty chłopak chciał zabrać coś siłą drugiemu z kieszeni, a tamten skulił się pod ścianą, trzymając ręce w kieszeniach. Wtedy doskoczył drugi i razem zaczęli bić tego skulonego. Wpadłem w środek i odepchnąłem bijących. Wtedy jeden z

nich skoczył na mnie. Stuknąłem pięścią w nos – usiadł. Skoczył jeszcze raz – i znów usiadł. Wreszcie odszedł z rozbitym nosem wołając:

– Czekaj… twoja mać, ja się jeszcze odegram!

Gdy po pierwszej lekcji wyszedłem na korytarz, podeszło do mnie dwóch starszych chłopaków.

– To ten – powiedział jeden z nich pokazując na mnie palcem. „Aha! – pomyślałem – napuścił na mnie mocniejszych. Cóż, trudno, będzie wojna, przeciągniemy się troszeczkę".

Gdy ci mnie obejrzeli, przyszedł inny, odsunął tamtych za siebie mówiąc:

– Ten szczeniak? Nie wtrącajcie się, ja go sam obrobię. – Popatrzył na mnie zimno i uśmiechając się ironicznie zapytał: – Ty, mocny, podobno ty się nikogo nie boisz?

– Ja z tobą draki nie szukam, ale jak koniecznie chcesz, to ja się nie odkazuję – odpowiedziałem, a cały naprężyłem się w napięciu, z której strony otrzymam pierwsze uderzenie.

– Wal go w mordę, co z nim będziesz gadał! – wrzasnął jeden z przeciwników. I wtedy ten najważniejszy odchylił się do tyłu, by zadać mi cios.

W tym momencie strzeliłem łbem w jego twarz. Potoczył się do tyłu, wpadł na ścianę i usiadł. Skoczyło do mnie dwóch pozostałych i rozpoczęła się wymiana ciosów pięściami. W pewnym momencie jeden z nich ustawił mi się dobrze na łeb. Stuknąłem – i ten też już siedzi. W tym czasie nadbiegli inni z pomocą. Wtedy nogi za pas i drapas. Uciekłem korytarzem, wpadłem do kancelarii, a oni wszyscy za mną.

– Co się tu dzieje? – pyta kierownik szkoły.

– Nic, tylko musimy mu dolać – odpowiedział jeden z przeciwników wskazując na mnie. Rzucili się do mnie, ale profesorowie rozdzielili nas. Gdy nie chcieli opuścić kancelarii, kierownik podszedł do telefonu, żeby zadzwonić po policję. Wtedy z wymyślaniem, klnąc i odgrażając się, zaczęli powoli wychodzić.

W czasie drugiej przerwy nie wyszedłem na korytarz. Co chwilę otwierały się drzwi i za każdym razem ktoś inny przychodził mnie oglądać, zawiadamiając przy okazji, jakie to przyjemności mnie czekają: połamanie żeber, z nosa zrobią balię, zęby wybiją i jeszcze kupę innych rzeczy mi obiecali.

Po przerwie poszedłem do kancelarii.

– Chciałbym zwolnić się z ostatniej lekcji – zwróciłem się do kierownika. – Boję się, że po lekcjach będzie większa awantura i mogą mnie skrzywdzić albo ja skrzywdzę któregoś z nich.

– Już za późno – odpowiedział mi. – Ci, których wyrzuciłem, przyprowadzili kolegów i mniej więcej piętnastu czeka już pod szkołą.

Dzwoniłem do komisariatu po policjanta, żeby odprowadził ciebie do domu.

Wróciłem do klasy, a gdy po lekcjach wyszedłem na korytarz, czekał tam już policjant. Pomyślałem sobie, że jak będą cwaniaki, to i policjant nic mi nie pomoże. Zaczekaliśmy, aż wszyscy wyjdą ze szkoły. Po dziesięciu minutach wyszedłem z policjantem i jednym kolegą z Czerniakowa.

Przed szkołą stała w milczeniu duża grupa chłopaków, byli też wśród nich starsi, po dwadzieścia lat i więcej. „Nieźle się na mnie jednego, mizeraka, przygotowali – pomyślałem. – Teraz chyba nie powie żaden: «Odsuńcie się, ja go sam obrobię»„.

– Ja go przy policjancie posunę – odezwał się któryś z grupy. I wszyscy podeszli bliżej nas. Gdy ruszyliśmy, ruszyli za nami jak cienie. Tak doszliśmy do rogu Puławskiej i Dworcowej. Policjantowi nie chciało się dalej iść, więc powiedział:

– Teraz już możecie iść sami. Ja tu jeszcze postoję i ich nie przepuszczę. Obejrzałem się kilka razy i widziałem, że chociaż policjant stoi, czterech już przeszło pojedynczo i idąc pod domami, przyśpieszają kroku. Przerzuciłem swój fiński nóż z kieszeni do rękawa.

– Jak myślisz? – zapytałem kolegi. – Urywamy się czy wojna?

– Nie uciekajmy – odpowiedział kolega. – Tym czterem chyba damy radę.

W tym momencie usłyszałem tupot wielu nóg. To policjant odszedł i cała gromada chłopaków pędzi, żeby spełnić to, co obiecywali w szkole. Dochodziłem już do schodów wiodących w dół, w stronę ulicy Belwederskiej. Cała grupa jest już około stu metrów za nami, a ci pierwsi już przy nas. Pierwszy, chłop może z dwadzieścia jeden lat, zrzucił w biegu marynarkę.

– Uważaj, będę nożem bił! – krzyknąłem ostrzegawczo.

Prześladowcy zatrzymali się na moment. Wtedy pobiegłem w dół po schodach na złamanie karku. Gdy trzeba było, to uciekać też potrafiłem. Słyszałem za sobą tupot nóg, lecz po chwili biegłem już sam. Wrogowie pozostali z tyłu. Już na dzielnicy zaczekałem na kolegę.

– Nie czepiali się ciebie? – zapytałem.

– Nie.

– A czy zawadziłem tego, który pierwszy do mnie skoczył?

– Zawadziłeś, ale nie mocno. Po ręku dostał. Mówili, że zabiją ciebie.

– To jeszcze zobaczymy, muszą mnie przedtem złapać. I to kupą, bo we dwóch, trzech to mnie nie zaczepią.

Po tej rozmowie tydzień nie chodziłem do szkoły. Czułem, że przez pierwsze dni będą urządzali pułapki, żeby mnie złapać, i

wreszcie im się sprzykrzy. Gdy po przerwie szedłem pierwszy raz do szkoły, spotkałem kolegę. Zapytałem, czy w szkole wszystko gra.

– Nie zauważyłem nic podejrzanego. Chyba pod budę nie przychodzą.

Skręciliśmy w boczną ulicę. Kilka metrów od rogu ulicy minęliśmy młodego chłopaka, który nam się dokładnie przyjrzał. Pod drzwiami szkoły stało kilku baraszkujących chłopaków. Za plecami usłyszałem gwizd. To gwizdał ten, który tak bystro nam się przyglądał, ale ci przed szkołą go nie usłyszeli. Ten z tyłu gwizdnął jeszcze dwa razy, wreszcie zaklaskał w ręce. Tym razem usłyszeli. Przerwali zabawę i spojrzeli wszyscy w naszym kierunku, a już po chwili ustawili się przy drzwiach w dwa szeregi. Było ich dziesięciu, nie licząc tego z tyłu. Zrobiłem półobrót, że niby się oglądam, i szybko wyjąłem z kieszeni „za parkanem" fiński nóż, który ukryłem w rękawie. Wiedziałem, że nie mogę liczyć na pomoc kolegi, bo nie byliśmy przyjaciółmi, i wiedziałem, że się boi. Weszliśmy w środek dwuszeregu ustawionego przed wejściem. Ja szedłem drugi i nie rozglądając się obserwowałem równocześnie oba szeregi. Gdy już miałem wchodzić do szkoły, ostatni chłopak z prawej strony uderzył. Zakotłowało się, bo w tym momencie wszyscy rzucili się na mnie. W kupie bić jest niewygodnie. Większe knoty można dostać, gdy bije dwóch lub trzech, niż gdy bije dziesięciu. Każdy chce bić i wzajemnie sobie przeszkadzają, żaden nie zada silnego uderzenia. Trzeba tylko uważać, żeby się nie zwalić z nóg, bo wtedy mogiła. Szarpnąłem się do przodu, lecz nie udało mi się wyrwać z kotła. Usłyszałem, jak któryś krzyknął:

– Kosą go!

Pomyślałem, że nie ma na co dłużej czekać, bo mogą przedziurawić. Szarpnąłem się znów, a gdy i tym razem nie udało mi się wyrwać – pchnąłem kosą. Ktoś upadł. Przeskoczyłem przez niego i uciekłem, ile tylko miałem sił w nogach.

Wieczorem dowiedziałem się, że jednego zawadziłem po plecach. Nic mu się nie stało, a przewrócił się tylko ze strachu. Już nie miałem po co iść do tej szkoły, posłałem więc sąsiada z naszego domu, żeby poszedł załatwić przeniesienie mnie do szkoły na Czerniakowskiej, do której chodzili wszyscy koledzy.

Po otrzymaniu przeniesienia zgłosiłem się do nowej szkoły.

– Nie mamy wolnych miejsc – powiedział kierownik, gdy pokazałem przeniesienie. – O, jak wyrzucę takiego pana… – i tu kierownik wymienił nazwiska kilku kolegów stojących na korytarzu i przysłuchujących się rozmowie – to wtedy miejsce będzie.

– Ale ja muszę chodzić do szkoły – odpowiedziałem, kładąc nacisk na słowo „muszę".

– No, skoro musisz, to wobec tego przyjdź jutro na wykłady. – I

powiedział mi, że będę na kursie I b.

Ucieszyli się kumple, gdy powiedziałem im, w której będę klasie. Okazało się, że właśnie na tym kursie siedzi cała dziesiątka chłopaków z naszego i sąsiedniego domu.

– Będzie nas teraz pełna jedenastka – ucieszył się jeden – jak w drużynie piłki nożnej.

Następnego dnia zebraliśmy się wszyscy na rogu ulicy i razem szliśmy do szkoły. Ferajna nasza to czterech Staśków: „Poniter", „Laluś", „Mały" i „Kozak" – to ja. Poza tym Bolek „Bełgot", Mietek „Pajac", Zygmunt „Szczawik", Olek „Lebiega", Heniek „Rogal", Mietek „Pchełka" i Kaziek „Mizerny". Najrówniejsze chłopaki to Poniter, Bełgot, Pajac i Szczawik. Innym też nic nie brakowało, ale to nie była już ta ekstra klasa. Z tymi można było robić każdą przewalankę czy też rozróbkę. Zdarzało się, że niektórzy uczniowie nie przychodzili do szkoły po kilka tygodni. Inni przynosili ich kontrolki i wołali „jestem!" przy sprawdzaniu listy obecności. W naszej ferajnie żaden profesor nie mógł połapać się, jak się który z nas nazywa. Nie tylko odpowiadaliśmy za innych przy sprawdzaniu listy, ale gdy wywołano do tablicy któregoś z nieobecnych, to szedł odpowiadać inny i wszystko grało.

– Nie spiesz się – mówili chłopaki, gdy zwróciłem im uwagę, że już jest późno. – My się codziennie spóźniamy. Bo po jaką cholerę mamy przychodzić wcześniej i łazić po korytarzach, a później śpiewać modlitwy. Codziennie wchodzimy dopiero po modlitwie.

Pierwsza lekcja przeszła spokojnie. Gdy zabrzmiał dzwonek na koniec przerwy, cała nasza ferajna była w ustępie i żaden nie spieszył się na lekcję. Nie mogłem być gorszy, więc stałem razem z nimi. Jeden grał na organkach sztajerka, drugi tańczył solo, a inni paląc papierosy śmieli się z parodiowanego tańca.

Do klasy wróciliśmy, gdy lekcja już się rozpoczęła. Na tej lekcji przerabialiśmy rysunki techniczne. Przyniesiono kupę różnego żelastwa i trzeba było robić rysunki w różnych rzutach. Na pożyczonej kartce starałem się zrobić rysunek modelu, który miałem przed sobą. Nagle coś uderzyło mnie w nogę. Spojrzałem – przy nodze leży kawał żelaza. Wtedy zauważyłem, że w klasie odbywa się wesoła zabawa. Chłopaki rzucają pod ławkami modelami. Jeden rzuci, a inni unoszą nogi w górę. Kto nie zdąży nóg podnieść, ten zostaje trafiony i posyła model dalej. Odesłałem ten, który mnie uderzył, i włączyłem się do zabawy. Bawią się wszyscy i nikt nie słucha, co mówi profesor, rysujący modele na tablicy.

Następnego dnia urządziliśmy inną zabawę. Gdy tylko zaczęła się pierwsza lekcja, kolejno wychodziliśmy przez otwarte okno na szeroki parapet na wysokości drugiego piętra i bokiem, dotykając plecami ściany, przechodziliśmy wzdłuż całej szczytowej ściany i lądowaliśmy

na parapecie po drugiej stronie gmachu, gdzie wychodziły okna innych klas. Przez otwarte okno wchodziliśmy po kolei do innej klasy, wtedy gdy profesor stał twarzą do tablicy. Gdy już wszyscy się „przetasowali", zaczęła się rozróbka. Profesor mówi:

– A teraz zapiszcie w zeszytach.

– Czy ja też? – pyta jeden z naszych.

– A ty, co? Pierwszy raz w klasie? – pyta profesor ironicznie.

– No, niby pierwszy – brzmi flegmatyczna odpowiedź.

Cała klasa się śmieje. Profesor tłumaczy coś dalej. Po trzech minutach w odpowiedniej chwili znów zapytałem:

– A dlaczego?

Tym razem popatrzył dłużej, lecz powtórzył. Ktoś zachichotał, a ja po chwili jeszcze raz swoje:

– A dlaczego?

Profesor wolno wszedł między ławki. Był już zły. Przygląda się wszystkim uważnie. Jeden nie wytrzymał nerwowo i roześmiał się.

– Wyjdź za drzwi! – wrzasnął na niego profesor, a sam wrócił do tablicy i dalej prowadził lekcję.

Po następnym „dlaczego" – wygnał na korytarz drugiego chłopaka, następnie trzeciego, czwartego i równocześnie trzech. W klasie zrobiło się wesoło. Chłopaki zgadywali, kto następny wyleci z klasy.

– Teraz ciebie zgasi – mówili do mnie po każdym moim „dlaczego?". Pytałem tylko wtedy, gdy profesor stał do nas tyłem. Wreszcie nie wytrzymał nerwowo.

– Ja z taką klasą lekcji prowadzić nie mogę! – krzyknął wściekły i wybiegł z klasy.

– Urywamy się, bo będzie draka! – zawołał spod okna Poniter i teraz już szybko, wszyscy tą samą drogą, po parapecie dostaliśmy się do swojej klasy, w której odbywała się „normalna" lekcja i profesor nawet nie zwrócił uwagi, że przez pewien czas w klasie było mniej uczniów.

Poniter miał ukończone osiemnaście lat, żonę i małe dziecko. Gdy kiedyś w naszym kącie zrobiło się głośno, profesor, który tego dnia miał wykład, wygnał go za drzwi i powiedział:

– Jutro niech przyjdzie twój ojciec do mnie. Na to Stasio odpowiedział zdziwiony:

– Panie profesorze, coś pan, z byka spadł? Przecież ja sam jestem ojcem. Życia pan nie zna? Ojca gówno obchodzi to, czy ja się uczę, czy nie.

– Jak ty się odzywasz, łobuzie, jak ty się w szkole zachowujesz?

– Panie profesorze, to jest szkoła? To jest burdel, nie szkoła! To ja na ulicy mam lepszą szkołę. Tak jak wy nas uczycie, tak my się zachowujemy. Uczcie nas zawodu, a nie religii i prawoznawstwa,

wtedy zobaczycie, jak będą się wszyscy uczyli.

Wynikła z tego straszna awantura, po której Stasiek opuścił szkołę.

– Żegnajcie, koledzy – zaczął wzniosie, żegnając się z klasą. – Opuszczam mury tak zwanej szkoły i w tym miejscu więcej się nie zobaczymy.

Ale że długo nie mógł utrzymać powagi, więc na zakończenie krzyknął już na wesoło:

– No to serwus, chłopaki, ja wysiadam! – i wysiadł rzeczywiście, przez okno z pierwszego piętra, bo drzwi były pozamykane, a na parterze były kraty w oknach.

Co pewien czas chłopaki musieli tak rozrobić, że kierownictwo robiło dochodzenie, wzywając do kancelarii kolejno wszystkich uczniów. Raz za wyjście z klasy przed lekcją religii, innym razem ktoś narysował na tablicy Piłsudskiego, a drugi dopisał pod rysunkiem: „Nawet marszałek używa «Olla» gum". Co to była za chryja! Wzywali wszystkich kolejno do kancelarii, ale zawsze wychodziło na to, że żaden z pytanych nie był w tym czasie w klasie, a zauważył, że na tablicy jest coś napisane wtedy, gdy profesor zapytał, kto to napisał. Po tej rozróbce i dochodzeniu do klasy razem z profesorem przyszedł dyrektor i założył do nas większą mowę patriotyczną.

Do takiej szkoły musiałem chodzić dwa lata. Na inne, lepsze, nie było pieniędzy, bo w tym czasie ojciec pracował tylko trzy dni w tygodniu po sześć i pół godziny dziennie.

Po ukończeniu osiemnastu lat przestałem uczęszczać do tej szkoły. Nie poszedłem nawet na koniec roku odebrać świadectwa ukończenia, bo za świadectwo kazali zapłacić piętnaście złotych, a przecież szkoła ta razem z jej świadectwem nic nikomu nie dawała ani w zakresie zawodu, ani wiadomości ogólnych.

W czasie wakacji zapisałem się na dwuletnie kursy radiotechniczne o wyższym poziomie nauczania. Prywatne i drogo płatne. Postanowiłem, że choćbym nawet miał zdychać z głodu i nie ubrać się – to pójdę do szkoły, która podniesie moje kwalifikacje zawodowe. Za pierwsze półrocze należało zapłacić z góry. Całe wakacje nie oddawałem nic z zarobku do domu, żeby zebrać na opłacenie pierwszego półrocza. Z czterdziestu pięciu słuchaczy zaledwie kilku było takich jak ja, którzy pracowali i nie mieli średniego wykształcenia. Inni to ludzie po maturze i nie pracujący. Wiedziałem, że będzie mi ciężko, ale tym się nie zrażałem. Czułem, że dam radę. Wierzyłem w swój spryt, dobrą pamięć i upór. Do szkoły chodziłem prosto z pracy. Wykłady odbywały się codziennie i trwały od wpół do szóstej do wpół do dziesiątej, prócz sobót. W domu byłem dopiero o godzinie dziesiątej wieczorem – kolacja i nauka do pierwszej, drugiej w nocy, a niekiedy to i całą noc. Ojciec zadowolony

był, że się uczę, ale jak był pijany, to niejeden raz zgasił w nocy lampkę mówiąc: „Kładź się spać, ministrem i tak nie będziesz". Wtedy trzeba było iść spać, bo powtórne zapalenie lampy to murowana draka z ojcem, a ja mimo swego awanturnictwa nie potrafiłbym uderzyć ojca. Zaległy materiał przerabiałem następnej nocy. Zawsze byłem śpiący. W fabryce chodziłem spać do ustępu. Gdy mnie ktoś potrzebował, to kolega przychodził mnie budzić. Po fajerancie chodziłem jeść do stołówki fabrycznej. Każdego dnia zostawało im dużo jedzenia, które podwarszawscy chłopi kupowali dla świń. Chodziłem jeść tylko zupę, a kierowniczka stołówki sama, już bezpłatnie, dawała mi kartofle i jarzynę z drugiego dania, do którego niejeden raz dołożyła sporo kawałków mięsa.

W szkole musieliśmy codziennie płacić dziesięć groszy za szatnię. Dla mnie to był duży wydatek. Opłaty szkolne, kupowanie zupy w południe i po pracy, szatnia, a jeszcze przejazdy tramwajem do pracy, z pracy do szkoły i dodatkowo ze szkoły do domu. Bo droga do domu piechotą to zmarnowane minuty przeznaczone na naukę w domu.

Do półrocza ciągnąłem łeb w łeb z tymi, którzy mieli dobre wyniki w nauce. Po półroczu zacząłem się po trochu łamać. Niejeden raz byłem półprzytomny na wykładach i nic nie docierało do mnie z tego, co mówił profesor. Innym razem nie udało mi się nadgonić zaległych wykładów, których nie przerobiłem w domu tego samego dnia, bo po prostu i zwyczajnie zasypiałem nad zeszytem, a rodzice śpiącego rozbierali i kładli do łóżka. W tym czasie całkowicie oderwałem się od naszych chłopaków, cały swój czas poświęcałem na pracę i naukę.

Pewnego dnia, wracając ze szkoły, spotkałem na korytarzu samotnie stojącego kolegę.

– Na ciebie czekam, chcę pogadać z tobą – powiedział po przywitaniu.

– Gadaj, co cię boli – dodałem mu odwagi, widząc, że zwleka z powiedzeniem, jaki ma kłopot. – Jakie masz zmartwienie?

– Chcę ci coś powiedzieć – zaczął – tylko nie wykapuj chłopakom, że to ja ci powiedziałem. Chłopaki szykują się spuścić ci manto za to, że urwałeś się z ferajny. Mówią, że zważniałeś i nie chcesz ich znać. Wiesz, że zawsze jestem z tobą, i jak dojdzie do draki, to też możesz na mnie liczyć, dlatego ostrzegam cię, żebyś się pilnował. Ale lepiej jak nikt nie będzie o tym wiedział, bo nic już przy mnie nie powiedzą i nie będziesz wiedział, co szykują na ciebie. Nie wiedzą tylko, jak zacząć – mówił dalej – ale liczą na to, że trafi się okazja.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć, rozmyślając nad tym, co powiedział mi kolega.

Gdy następnego dnia wracałem ze szkoły, zobaczyłem pięciu chłopaków stojących na rogu. Przechodząc obok nich, powiedziałem:

– Cześć, chłopaki!

– Cześć! – odpowiedzieli niechętnie.

Gdy odszedłem kilka metrów, usłyszałem, jak jeden coś powiedział, zrozumiałem tylko „Kozak", i wszyscy głośno się roześmieli. Zatrząsłem się ze złości, lecz nie zatrzymałem się. Już w domu doszedłem do wniosku, że musi dojść do awantury. Chłopaki wiedzieli, że sprowokują mnie bez trudności, ale jeśli już musi być wojna, to niech będzie wtedy, kiedy mi to będzie dogadzało i żebym był dobrze przygotowany. Zdecydowałem się. Zdjąłem koszulę, a marynarkę założyłem na gołe ciało, dlatego *że* po zrzuceniu marynarki łatwiej się obracać, przeciwnicy nie mają za co chwytać i nie naciągną marynarki na głowę. W kieszeniach spodni umieściłem szpadrynę i nóż, za paskiem „paragraf", to znaczy sprężynę z ołowianą gałką na końcu, i na dodatek mały fiński nóż wsadziłem w skarpetkę. Przecież miałem występować sam przeciwko pięciu, a żaden z nich nie był gorszy ode mnie. Przygotowałem się tak, żebym mógł bić z każdej pozycji.

Wyszedłem na ulicę. Wiedziałem, że jeśli będzie awantura, to zakończenie może być tylko jedno: ktoś wyląduje w szpitalu lub ma cmentarzu, ktoś inny w więzieniu – a kto i gdzie, to już za chwilę będzie wiadomo.

Chłopaki wciąż stali na rogu. Stanąłem przed nimi, trzymając ręce na klapach rozpiętej marynarki. Jak skoczą, to pierwszym ruchem zrzucę marynarkę i rzucę im w twarz. To powinno ich na sekundę ogłupić, a wtedy już będę miał w ręku „pomocnika". Popatrzyłem chwilę, zanim powiedziałem:

– Słyszałem, że macie mi wlać? Żaden się nie odezwał.

– Jak macie bić, to zaczynajcie. Który z was najmocniejszy, ten niech pierwszy uderzy. Po co macie szukać okazji. Przyszedłem sam. No co? – zapytałem prowokacyjnie. – Pięciu was jest i nie ma jednego mocnego, który pierwszy uderzy? Trudno, to zaczynajcie kupą, będzie wam łatwiej. Tylko żeby później żaden nie żałował, bo ostrzegam, że nie będę bił gołą ręką.

Stali wszyscy w miejscu. Żaden się nie ruszył i z ich strony nie padło nawet jedno słowo.

– Jak nie zaczynacie, to może chociaż powiecie, o co wam chodzi, czego ode mnie chcecie, za co chcieliście mnie bić?

– No bo urwałeś się, zrobiłeś się ważny… – zaczął jeden niepewnie.

– Na winklu nigdy z nami teraz nie stoisz – dodał drugi.

Teraz już zaczęli mówić wszyscy i wszystko, co powiedzieli, można było określić jednym zdaniem: pracujesz, zarabiasz, to już ci nie odpowiada nasze towarzystwo.

– O rany! – powiedziałem z zachwytem. – Niby jesteście cwaniaki,

a jednak barany. Czy żeby to wyjaśnić, to trzeba zaraz bić? Dlaczego nie zapytacie mnie o to? Mogliśmy dawno już porozmawiać tak jak teraz.

I wtedy wyjaśniłem im swoją sytuację. Że pracuję, że prosto z pracy chodzę do szkoły, a w domu się uczę.

– Jak który z was będzie miał chęć, niech wyjdzie o pierwszej w nocy na podwórko, to przekona się, że w moim oknie jeszcze się świeci, a w sobotę i niedzielę, jak się nie uczę, to odsypiam zaległości. Jak skończę szkołę, to znów będziemy stali razem na rogu, ale teraz, jak mam okazję, to muszę się uczyć. Jak do czego sam nie dojdę, to i żaden z was nic mi nie da.

Tego dnia stałem z nimi prawie do godziny pierwszej w nocy. Wyjaśniliśmy sobie wszystko. Zrozumieli chłopaki. Już nigdy z tego powodu nie mieli do mnie pretensji. W następnych latach bywało tak, że wyganiali mnie, gdy szykowała się większa awantura. Charakter nie pozwalał mi opuszczać ich w takiej sytuacji. Wtedy mówili: „Uciekaj, nie wtrącaj się, to nasze sprawy. My nie mamy nic do stracenia. Jak nawet pójdzie który do więzienia, to gdy wróci, będzie taki sam, a tobie nie wolno, bo jak wpadniesz, to stracisz dużo".

Powoli zbliżał się koniec roku szkolnego, a ja jeszcze nie zapłaciłem za drugie półrocze. W domu brak było pieniędzy i wiedziałem już na pewno, że nie przejdę na następny kurs. Chciałem tylko jeszcze wyciągnąć dla siebie jak najwięcej wiadomości. Już od kilku dni codziennie przed wykładami dyrektor kazał opuszczać szkołę tym wszystkim, którzy nie mieli opłaconego drugiego półrocza. Wychodziłem tylko na kilka minut, a gdy dyrektor opuszczał salę, wracałem z powrotem. Wreszcie trzy tygodnie przed końcem roku opuściłem szkołę na zawsze. A odbyło się to tak:

Po ćwiczeniach w pracowni, gdzie robiliśmy tylko pomiary, trzeba było w domu zrobić rozwiązanie. Kto tego nie zrobił, nie był wpuszczony na następne ćwiczenia.

Tego dnia była pracownia, a ja nie miałem zrobionych obliczeń, więc obliczałem już w sali, przed rozpoczęciem wykładów. Przez cały czas przeszkadzał mi jeden chłopak, z którym zaprzyjaźniłem się w szkole.

Chociaż robił to z humorem, jednak mi przeszkadzał. Kiedy kilkakrotne prośby nie pomogły, ostrzegłem go, że jak jeszcze raz szarpnie ławką, to dostanie ode mnie. Szarpnął, więc poderwałem się, by spełnić obietnicę. Zdążył uciec, a ja posłałem mu zupełnie maleńką „wiązankę": „Przyjdzie taki… go mać szczeniak i przeszkadza. Jemu dobrze, bo nie pracuje i ma czas cały dzień odrabiać lekcje…"

– Panie! Jak się pan wyraża? – wtrącił się z boku jakiś „drewniak".

– A pan czego się wtrąca? – powiedziałem ze złością. – Nie

podskakuj pan, jak nikt pana nie trąca. Inteligent, cholera, się znalazł.

Uraziło go to.

– Jak pan jest łobuzem, to nie powinien pan chodzić do takiej szkoły – dziamgocze mój „drewniak". – Uliczne wychowanie.

– Szoruj, frajerze, bo ciebie stuknę! – wrzasnąłem już zły, że się za dużo mądrzy.

Odszedł, a ja usiadłem i dalej odrabiałem lekcję, zapominając o incydencie. Po pięciu minutach woźny wywołał mnie po nazwisku, mówiąc, że dyrektor prosi. Idąc, zastanawiałem się, po co on mnie wzywa. Myślałem, że pewnie będzie cisnął o pieniądze. W kancelarii zastałem mojego „drewniaka". Dyrektor zwracając się do niego zapytał:

– Jak ten pan powiedział? Proszę, niech pan powtórzy.

– Powiedział… taka go mać – wstydliwie powtórzył „drewniak", a słowa te ledwie przeszły mu przez usta.

– Może pan już odejść – grzecznie wyprosił dyrektor „drewniaka". A gdy ten odszedł, wtedy dopiero wrzasnął na mnie:

– Co pan sobie myśli, że gdzie pan się znajduje? To jest wyższa uczelnia. Ja pana w proch zniszczę! – krzyczał, waląc pięścią w stół, a twarz mu sczerwieniała tak, że już miałem nadzieję, że go szlag trafi. Ale nie trafił. Powrzeszczał jeszcze trochę i na zakończenie powiedział:

– Na dwa tygodnie jest pan zawieszony w wykładach.

Przez cały czas, gdy tak krzyczał, patrzyłem na niego zdziwiony i z pewnym nawet zadowoleniem. Najwięcej cieszyło mnie to: „Ja pana w proch zniszczę!" Pomyślałem sobie, że gdybym dobrze łbem strzelił, to musieliby faceta ze ściany zbierać, a on mnie chce w proch zniszczyć! Równocześnie myślałem jeszcze o czymś innym: trzy tygodnie do końca roku, na dwa tygodnie zawieszony w wykładach, mam zapłacić za drugie półrocze i już na pewno wiem, że nie zdam egzaminu. Już wiedziałem, co mam dalej robić.

Gdy wszedłem na salę wykładową, rozejrzałem się, gdzie stoi mój „drewniak". Stał na szczycie schodów, bo sale wykładowe przypominały widownię w cyrku, ławki ustawione były amfiteatralnie, a w przejściach były schody. Podszedłem do niego, stanąłem jeden stopień wyżej i zapytałem tonem najdelikatniejszym, na jaki potrafiłem się zdobyć:

– No i co, poskarżył pan, prawda? I pan chyba sam naprawdę nie wie, za co. Mnie dyrektor opieprzył…

– Panie, jak pan się znów wyraża! – oburzył się „drewniak".

– Słuchaj teraz, jak mówię – powiedziałem już ostro, i zmieniając znów ton na łagodny, powtórzyłem zaczęte zdanie:

– No więc, mnie dyrektor opieprzył i ja też nie wiem, za co. Wie pan, żebyśmy obaj wiedzieli, za co… no to trzymaj się, frajerze! –

kończąc te słowa trzepnąłem go z całej siły pięścią między oczy.

Facet zleciał ze schodów na złamanie karku, a ja wyszedłem górnymi drzwiami z sali i więcej tam nie poszedłem. W ten sposób zakończyłem teoretyczne szkolenie zawodowe, a chłopak miał naukę, że kapować nie wolno.

POGRZEB OJCA

Ojciec mój dostał jakiejś manii, że niedługo umrze – a przecież był zdrów, na nic nie cierpiał i nic mu nie dokuczało. Średniego wzrostu, krępy, silny, był dobrze zbudowany. Chodził jak zwykle codziennie do pracy i wracał nieraz trzeźwy, innym razem pijany. W lipcu wyjechał na urlop w swoje rodzinne strony. Starał się odwiedzić wszystkich bliższych i dalszych krewnych. Żegnał się ze znajomymi, twierdząc, że już się więcej nie zobaczą.

Gdy ojciec powrócił z urlopu, postanowiłem zafundować mu ze swojego zarobku dobry garnitur. Wykonanie zleciłem mojemu „nadwornemu" krawcowi, Żydowi z drugiego domu, który klepał biedę, żywiąc ze swej pracy żonę i cztery córki (najstarsza miała sześć lat). Klientela jego to „bogaci" mieszkańcy biednej dzielnicy robotniczej. Garnitur zamówiłem w pierwszych dniach miesiąca, a płacić miałem w dwóch ratach – jedną w połowie i drugą w końcu miesiąca. Mimo że jeszcze nic krawcowi nie zapłaciłem, przyniósł gotowy garnitur tuż przed piętnastym.

Gdy ojciec wieczorem włożył nowe ubranie, popatrzyłem na niego i z zadowoleniem powiedziałem:

– Wygląda tatuś w tym ubraniu jak burżuj.

– I co mi z tego, kiedy ja i tak niedługo umrę – odpowiedział siadając na łóżku.

Podeszła do ojca młodsza, szesnastoletnia siostra, usiadła mu na kolanach, a on mówi dalej:

– Ale jak umrę, nie chowajcie mnie w tym garniturze, bo szkoda pakować do ziemi. Oddajcie krawcowi, może komu sprzeda. Pochowajcie mnie w moim starym garniturze. Żałoby po mnie nie noście, bo to przecież tylko dla ludzi. Nie płaczcie, przyjdzie karnawał, to się bawcie. Wspomnijcie tylko czasem ojca, że chociaż wam może i krzywdy dużo zrobił, ale was kochał i starał się, żeby wam było jak najlepiej.

– I czego tatuś wciąż głupstwa gada – powiedziałem już zły. – Umrę! Umrę! Zdrowszy tatuś od nas wszystkich i jeszcze nas wszystkich przeżyje.

– Tak wam się tylko zdaje – odpowiedział.

Następnego dnia wieczorem poszliśmy całą gromadą do Parku Sieleckiego. Jeden kolega z gitarą i ja z bandżolą umilaliśmy innym czas. Przyszło kilka dziewcząt, tańczono więc na drewnianym deptaku – sali tańca, która oficjalnie była czynna tylko w soboty wieczorem i w niedziele.

– Twoja siostra idzie – powiedział kolega, wskazując idącą w naszym kierunku dziewczynę. Była jeszcze dość daleko i w

zapadającym zmroku trudno było rozpoznać, kto idzie.

– Ona płacze – zauważył inny, gdy była już bliżej. Przerwaliśmy zabawę, czekając, aż podejdzie.

– Był goniec ze szpitala – powiedziała siostra płacząc. – Tam jest tatuś, ciężko chory.

Oddałem jej bandżolę, a sam wsiadłem na rower kolegi i szybko pojechałem do domu. Matka płacze, powtarza mi to samo.

Było już późno, kiedy jechałem z kolegą do szpitala. W korytarzu zapytałem przechodzące zakonnice o stan zdrowia ojca, podając nazwisko. Popatrzyły na siebie.

– Bardzo ciężki, proszę pana – odpowiedziała mi dopiero po dłuższej chwili jedna z nich. – Proszę pójść do lekarza dyżurującego, on panu powie dokładnie. Po tych schodach, na pierwsze piętro.

Lekarz powiedział mi krótko:

– Nie żyje. Był wylew krwi do mózgu. Zabrano go z fabryki. W szpitalu żył tylko pół godziny.

Następnego dnia pojechałem do fabryki i dowiedziałem się, w jakich okolicznościach się to stało.

Ojciec był czynnym działaczem w fabryce. Przez wiele lat załoga wybierała go na delegata, w razie potrzeby interweniowała u dyrekcji. Był też dobrym mówcą. Tego dnia robotnicy zwołali wiec. Po kilku przemówieniach ojciec wszedł na mównicę, by rozprawić się z przeciwnikami. W pewnym momencie przerwał, zszedł i poprosił o wodę. Zrobiło mu się niedobrze. Po chwili upadł i stracił przytomność. Zadzwoniono po pogotowie. W pół godziny potem, w szpitalu, ojciec umarł.

W ciągu jednego dnia, w sobotę, musiałem załatwić wszystkie formalności związane z pogrzebem. Wieczorem zdawałem matce sprawozdanie.

– A księdza zamówiłeś? – zapytała matka.

– Nie, zapomniałem. A poza tym – przecież ojciec był niewierzący, po co mu ksiądz?

– Tak, ale widzisz, ludzie będą gadać, że tak bez księdza chowamy. A krzyż zamówiłeś?

Ojcu krzyż i ksiądz był niepotrzebny, mnie też nie, ale na prośbę matki – załatwiłem i to.

Gdy całą rodziną pojechaliśmy do szpitala na wyprowadzenie zwłok, było tam już dużo robotników z fabryki, którzy zwolnili się z pracy, by być na pogrzebie. Byli robotnicy z fabryki, w której pracował przez ostatni rok, i z tej, w której przepracował poprzednio kilkanaście lat. Przynieśli wieńce z czerwonych róż, a gdy już formował się kondukt pogrzebowy, rozwinięto przed karawanem duże czerwone sztandary fabryczne. Więc szły w kolejności sztandary, krzyż, karawan i ludzie. Za karawanem najbliższa rodzina: mój starszy

brat (przyjechał na pogrzeb z wojska), bratowa, siostra i ja. Matka rozchorowała się, więc jechała dorożką na końcu. Kondukt szedł Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem, Alejami Ujazdowskimi, Belwederską, Chełmską, Czerniakowską – razem kilka kilometrów. Na Belwederskiej i Chełmskiej przy każdej przecznicy czekały grupy ludzi, którzy dołączali się do pochodu. To znajomi ż dzielnicy. Ojca znali prawie wszyscy.

Przy rogu Czerniakowskiej dołączyli się moi koledzy z Wojtówki. Było ich kilkunastu. Szli chodnikiem, w małych kraciastych czapkach nasuniętych na oczy, z czerwonymi apaszkami na szyjach, z rękami w kieszeniach.

W ten sposób doszliśmy do kościoła na Czerniakowie. Od kościoła do cmentarza pozostało nie więcej niż trzysta metrów. Kondukt zatrzymał się przed kościołem. Wyszedł ksiądz. Odmówił formułki pogrzebowe, pokropił trumnę – i stoimy już kilka minut, a kondukt nie rusza z miejsca. Wreszcie zbliżył się do nas robociarz – jeden z tych od sztandarów – i pyta, kto tu ma prawo decydowania o wszystkim.

– Czy pan? – zwrócił się do starszego brata.

– Nie, brat – odpowiedział Wacek wskazując na mnie. Miałem wtedy dwadzieścia lat.

– Trzeba zdecydować, kto ma iść z pogrzebem: ksiądz czy sztandary. Ksiądz powiedział, że pójdzie tylko wtedy, jeśli odejdą sztandary.

– Nie chce iść za pieniądze taki kawałek drogi? To licho z nim, niech nie idzie. Pójdą sztandary – powiedziałem bez namysłu.

Usłyszałem za sobą gwar rozmów. To robotnicy komentowali sytuację. Na chodniku stała grupa chłopaków z Wojtówki. Jeden z nich podszedł i trąciwszy mnie łokciem powiedział po cichu:

– Mrugnij tylko na chłopaków, że się zgadzasz. Chłopaki chcą go brać siłą albo go tu na ulicy obedrą z tych jego świętych ciuchów. No, mrugnij tylko, chłopaki czekają, bo bez twojej zgody nie chcą nic robić – namawia mnie kolega.

– Dajcie spokój, niech go… Nie chce iść, niech nie idzie. To przecież pogrzeb ojca, więc niech odbędzie się w spokoju.

Kondukt znów ruszył.

Szedłem na cmentarz i myślałem: „Robotnikiem wolno ci być, ale nie należy tego zaznaczać nawet po śmierci, bo «dusza zbawiona nie będzie»… Przecież to sztandary robotnicze, fabryczne, pod którymi stoją robotnicy o różnych przekonaniach politycznych, wierzący i niewierzący. Poraził go tylko, jak byka, czerwony kolor”.

Gdy wracałem z pogrzebu, wciąż ta sprawa wierciła mi w mózgu. Przecież dla ludzi wierzących to by był wielki problem – z kim pójść? Z Bogiem czy z robotniczymi sztandarami?

Od tej chwili nie cierpiałem księży.

Wieczorem sąsiad, granatowy policjant, mówił mi, że zrobiłem źle, każąc iść sztandarom.

– Ksiądz powinien iść. Ja bym wybrał księdza.

„Oto jeszcze jeden z tej samej ferajny” – pomyślałem, a głośno powiedziałem:

– To już jak pan umrze, wtedy pójdzie ksiądz. O sztandary niech się pan nie martwi, do pana na pogrzeb nie przyjdą.

OSTATNIE SŁOWO DO DRAKI

W niedzielę z rana przyszedł do mnie Mały. Ubrałem się, szybko zjadłem śniadanie i poszliśmy „na zbiórkę". Niedzielna zbiórka młodzieży odbywała się przed kościołem Bernardynów na Czerniakowie. Każdy mówił w domu, że idzie do kościoła, a rodzice cieszyli się, że mają takich religijnych synów. Szliśmy niby na mszę, która była odprawiana o godzinie dziesiątej. W ten sposób wszyscy byli zadowoleni. Tylko nieliczni wchodzili do kościoła. Reszta stała po przeciwnej stronie ulicy, obserwując, czy nie idą znajomi. Kłanialiśmy się znajomym dziewczętom, a chłopaków wołaliśmy, żeby się do nas przyłączyli. Tam właśnie, na spotkaniach przed kościołem, zapadały decyzje, jak spędzić niedzielę – w kinie, w domu czy też na potańcówce. Jedni umawiali się na wyskok w miasto, inni do „Przyjaciół". „Przyjaciele" – to Towarzystwo Przyjaciół Belwederu, Czerniakowa, Sielc i Siekierek. Żaden z nas nie wiedział, na czym przyjaźń ta polegała. Wiedzieliśmy tylko, że od października do maja każdej niedzieli Towarzystwo urządzało potańcówki w sali przy ulicy Czerniakowskiej – na Podrapciu, a latem w Parku Sieleckim. Podrapeć – to okolice przy zbiegu ulicy Czerniakowskiej i Nowosieleckiej. Okolice zbiegu ulicy Czerniakowskiej i Podchorążych – to Rogatki, a przy rogu ulicy Chełmskiej – Wójtówka. Odcinek od Podrapcia do Wojtówki po stronie numerów parzystych nazywano Szmuklerze. Taki był wewnętrzny „administracyjny" podział Czerniakowa, o którym nie wiedzieli ludzie z miasta. Znałem jednego faceta z kierownictwa „Przyjaciół". Miał własny duży murowany dom. Nie wiem tylko, czy dlatego został „Przyjacielem", że miał własny dom, czy też wybudował sobie dom dlatego, że był „Przyjacielem".

– Co robimy dzisiaj? – zapytał Mały, gdy staliśmy pod kościołem.

Teraz wyskoczymy na Wójtówkę, a wieczorem do „Przyjaciół" odpowiedziałem. – Umówiłem się z Leszkiem. Ma być o czwartej po południu na Wójtówce. Leszek chce zobaczyć, jak się bawi ferajna na Czerniakowie.

Mały poznał Leszka u mnie na imieninach. Leszek bał się przyjść, ale zagwarantowałem mu, że go nikt nie ruszy, jeżeli sam nie zaszura. Jak już ktoś szuka słomki do oka, wtedy na pewno znajdzie, nawet cały snopek.

Po nabożeństwie całą grupą poszliśmy na Wójtówkę.

– Serwus, aniołki! – zawołałem uradowany, gdy po drodze spotkaliśmy dwie koleżanki: Zochę i Wandę.

– Jak się masz, złoty koralu! – odpowiedziały.

Koledzy poszli dalej, a Mały i ja zatrzymaliśmy się, by porozmawiać z nimi kilka minut.

– Idziecie dzisiaj do „Przyjaciół”? – zapytała Wanda.

– Idziemy.

– To my idziemy z wami.

– A nie możecie iść same? – zapytał Mały. – Prawie wszystkie dziewczyny przychodzą same.

– Możemy – odpowiedziała Zocha – ale to zawsze troszkę inaczej wygląda, jak się przyjdzie z chłopakami. Nie bój się, nie chcemy, żebyście za nas płacili. Dać wam pieniądze od razu, teraz?

– Nie. Forsę dacie na sali, bo możemy się nie spotkać. Czekamy na was na Wójtówce od czwartej do pół do piątej. Jak się spóźnicie, to idziemy sami.

Gdy dochodziliśmy do Czerniakowskiej, zza rogu wyskoczyli nasze chłopaki i szybko uciekli do bramy. Po chwili zobaczyłem dwóch policjantów z pałkami w rękach. To oni dali popęd chłopakom. Minęliśmy ich. Gdy zobaczyłem, że poszli dalej, zawróciliśmy, a po chwili już wszyscy staliśmy na rogu.

To był normalny obrazek na dzielnicy. Policja nie pozwala stać na ulicy. Gdy na rogu zebrało się czterech chłopaków, a zobaczył to policjant, podchodził i bez pytania walił pałką. Więc gdy zbieraliśmy się wieczorem, każdy czujnie obserwował, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo.

– Uwaga, „łomot” idzie! – ostrzegał ten, który pierwszy zobaczył policjanta.

Rozglądamy się – jest. Idzie w naszym kierunku, jest jeszcze daleko, ale już nie spuszczamy go z oczu. Jest już obok nas, ręce trzyma za plecami.

Stoimy niby spokojnie, ale w napięciu. Zatrzymał się, popatrzył, uśmiechnął się, jak tylko mógł najmilej, podchodzi do nas i… rozsypujemy się, jakby między nas strzelił piorun, a policjant goni z pałką w ręku. Poszedł. Stoimy znowu, a po półgodzinie znów ostrzeżenie:

– Uwaga, „łomot” idzie!

Tym razem idzie dwóch, to służbowy obchód. Gdy są już blisko, rozchodzimy się. Dwóch przechodzi na drugą stronę ulicy, jeden wchodzi do bramy, inni rozchodzą się po rogach. Przejście dla policjantów wolne, mogą iść spokojnie, nikt ich nie zaczepi. Gdy przejdą, po chwili znów wszyscy stoją na rogu. I tak każdego dnia, aż do znudzenia. Wesoło jest dopiero wtedy, gdy który nie zdąży odskoczyć i dostanie pałką. Wszyscy podśmiewają się z niego, a jemu wcale nie jest do śmiechu, bo takie uderzenie cholerycznie boli.

Postaliśmy trochę na rogu. Zauważyłem, że od kilkunastu minut na drugim rogu stoi jakiś facet i nachalnie nam się przygląda. Popatrzyłem – nie znam go wcale. Może jaki nowy tajniak.

– Kto to jest? – zapytałem chłopaków wskazując na faceta.

– Jak to, kto? Nie widzisz? W kapeluszu! – odpowiedział jeden śmiejąc się, że jestem taki mało spostrzegawczy.

To „w kapeluszu" mówiło wszystko. Że nie tutejszy i że nie cwaniak, tylko frajer z miasta.

– Cóż on tak sterczy na rogu? – zapytałem znów. – Może to „pies"?

– Nie. Frajer z miasta. Czeka na Hele z naszego domu. – Uwaga, „łomot"! – padło ostrzeżenie.

Rzeczywiście, idzie dwóch. Cholera, nie dadzą ludziom postać spokojnie na rogu. Weszliśmy do bramy i na klatkę schodową.

– No co, chłopaki, jak stoimy z forsą? Może wstąpimy do Bandyty na kieliszek chleba? – zaproponowałem, gdy staliśmy na schodach.

– Mam parę groszy, ale chcę iść wieczorem do „Przyjaciół" – odezwał się Olek.

– U mnie chyba coś się znajdzie – powiedział Heniek, szukając w kieszeniach.

Każdy wyciągnął pieniądze, odliczył i schował tyle, ile było potrzeba na zabawę, a resztę złożyliśmy do wspólnej kasy i przeszliśmy na drugi róg, do knajpy, której właściciela nazywano Bandytą.

Była to knajpa ostatniej kategorii; gdyby kategorii było dwadzieścia, to ta byłaby knajpą dwudziestej kategorii. Kilka brudnych stolików i popsutych krzeseł, jeden stolik z boku osłonięty czymś, co nazywało się kotarą. Za bufetem gruby właściciel z gębą, za którą można było dać bez wyroku dziesięć lat więzienia.

Zajęliśmy stolik osłonięty kotarą. Na stół wyjechał literek – na sześciu to nawet niedużo – kiełbasa, ogórek kwaszony i chleb. Kieliszków nie było, więc wódkę piło się w szklankach.

Wypiliśmy i zastanawiamy się, czy starczy jeszcze chociaż na ćwiartkę.

– Ja stawiam – powiedziałem, gdy mimo szczerych chęci chłopaki nie zdołali nic zebrać.

– Uwaga. Szmuklerze przyszli – cicho powiedział Heniek. Spojrzałem przez szparę w kotarze. Na salę weszło czterech nowych gości, którzy siadali właśnie przy stoliku.

– Co jest? – zapytałem po cichu.

– Mamy z nimi wojnę, może być rżnięcie – odpowiedział Heniek. Zauważyłem, że chłopaki wkładają ręce w kieszenie, a za chwilę wyjmują je i trzymają pod blatem stolika. Usłyszałem charakterystyczny trzask otwieranych sprężynowych noży.

– Urywaj się stąd – powiedział do mnie Heniek stanowczo.

– No już, urywaj się, już cię tli nie ma! – powtórzył, gdy nie zdradziłem żadnej chęci, żeby odejść.

– Wariat, czy co? – zapytałem zdziwiony. – Mam odejść teraz, jak

szykuje się wojna? Ciekaw jestem, co by o tym chłopaki powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, że wysiadłem przed draką.

Rozmawialiśmy po cichu, bez przerwy obserwując salę.

– Nas jest sześciu, ich czterech, nie zaczną – tłumaczyłem chłopakom. Uparłem się, że nie wyjdę. Jak wódkę pić razem, to i wojna razem.

Chłopaki ze Szmuklerzy siedzieli tylko kilka minut. Wypili po szklance wódki i wyszli z knajpy. Wtedy dopiero usłyszałem od chłopaków kazanie.

– Ty się nie wygłupiaj – mówił Heniek. – Znamy się chyba dobrze i wiemy, że przed draką nie wysiadasz. Ale teraz ty jesteś co innego, a my co innego. Ja – jak posunę kosą, to odsiedzę wyrok i będę taki sam, jaki jestem. Ale jak ty to zrobisz, to stracisz dużo. Masz zawód, pracujesz w fabryce, uczysz się, dobrze zarabiasz – a jak złapiesz wyrok, to będziesz taki, jak my: latem na publicznych robotach, a zimą do śniegu… I tam też niełatwo się dostać.

– Patrz na mnie – wtrącił się Olek. – Złapałem rok za rower, już jestem rok po wyroku i nie mogę znaleźć żadnej pracy. Podobno po czterech latach wymazują karę z rejestru, ale tyle czasu nie wytrzymam. Muszę z czegoś żyć, a matka nie chce dać jeść. Jak nie znajdę roboty, to znów muszę kraść.

– Tam gdzie wódka, to się pchaj, a jak draka, to uciekaj – zakończył Heniek kazanie.

Postawiłem obiecaną ćwiartkę. Wypiliśmy i razem z Małym wróciliśmy do domu.

O godzinie czwartej byliśmy na Wójtówce. Z tramwaju wysiadł Leszek. Przyjechał, tak jak mu radziłem, w czapce. Nasze chłopaki mieli, jak zwykle, jaskrawe kraciaste czapki i czerwone apaszki na gołych szyjach, bez krawatów. Ja byłem w krawacie, który zdjąłem i schowałem do kieszeni po przetańczeniu kilku kawałków.

Po kilku minutach przyszły Zocha z Wandą i teraz już razem, spacerkiem, poszliśmy do „Przyjaciół".

– Zaczekamy chwilę. Mały skoczy po wódkę – powiedziałem, gdy już doszliśmy do Rogatek. – Dołóż się parę groszy, to kupimy więcej – zwróciłem się do Leszka. – W bufecie kosztuje drożej.

Leszek dołożył dwa złote. W małym, prywatnym sklepiku, od tyłu, Mały kupił cztery ćwiartki, które rozmieściliśmy po kieszeniach.

Weszliśmy w długie, ciemne podwórze, przez które trzeba było przejść, żeby dostać się na salę tańca, mieszczącą się na pierwszym piętrze przeciwległej oficyny. W pobliżu wejścia na klatkę schodową stały dwie grupki chłopaków. Gdy zbliżyliśmy się, podszedł do nas chłopak z jednej grupy, potem z drugiej i z bliska zajrzeli nam w oczy. Na podwórzu było bardzo ciemno.

– Cześć, chłopaki! Zaczekajcie - powiedział jeden z nich.

– Co jest? – zapytał Leszek półgłosem.

– Nic. To chłopaki z Wójtówki. Nie mają pieniędzy na wejście albo mają mało i pchają się na gapę, a za te pieniądze kupią wódki. Ta druga grupa to chłopaki z Podrapcia. Ci znów zatrzymują swoich znajomych, którzy mają forsę na wejście.

Po chwili na podwórze weszło trzech chłopaków, którzy zatrzymali się przy nas.

– No, prędzej decydujcie się, który wchodzi z nami! – zawołałem na stojących z boku.

– Sztajer idzie! – zawołał jeden i Sztajer przyłączył się do nas.

– Dawać forsę – zwróciłem się do wszystkich. – Sztajer kupuje bilety. Wyjąłem swoją złotówkę, którą dałem Sztajerowi. To samo zrobili wszyscy i teraz już bez przeszkód weszliśmy na pierwsze piętro. Na półpiętrze stało znów kilku chłopaków z Rogatek, którzy też czekali na znajomych. Sztajer podszedł do stołu, przy którym sprzedawano bilety wstępu, i powiedział:

– Jest nas dziewięć osób, a mamy tylko osiem złotych. Wpuści pan? Bo jak nie, to wracamy.

– No, dobrze, wpuszczę – odpowiedział „Przyjaciel" sprzedający bilety. Wydarł osiem biletów, obliczył nas i wpuścił dziewięć osób. W ten sposób Sztajer był już na zabawie, nie płacąc za wejście.

Tuż za nami wchodziła nowa grupa i usłyszałem, jak ktoś mówił przy stoliku:

– Wpuści pan za dziewięć złotych dziesięć osób? Nie mamy więcej forsy.

– Po co się pytasz, jak wiesz, że wpuszczę? Tylko że teraz nie macie na bilety, a później to wszyscy pijani i nie wiadomo, za co.

– Nie pijani, a zmęczeni tańcem.

Po chwili już wszyscy oddawaliśmy palta do szatni mieszczącej się przy drzwiach wejściowych za przepierzeniem. Szatnia oddzielona była od sali tańca tylko barierką, tuż przy niej były pierwsze wieszaki i na tych powieszono nasze okrycia. Nikt tu nie dostawał numerka. Po zabawie każdy sam brał swoje palto i nigdy nie było wypadku, żeby dla kogoś zabrakło. Na sali było na razie niewiele osób, ale orkiestra już grała. W orkiestrze była harmonia, saksofon, skrzypce i perkusja. Wszyscy goście się tu znali. Nie było par. Każdy mógł tańczyć z każdą dziewczyną. Kobiet było mniej, więc normalną rzeczą było odklepywanie partnerki w czasie tańca. Dlatego żaden chłopak nie kupował dziewczynie biletu wstępu. Nawet gdyby kupił, to i tak nie mógłby tańczyć tylko z nią, bo inni by mu na to nie pozwolili.

– A czy po mordzie nie dostanę? – zapytał mnie Leszek patrząc na tańczących gości, ubranych przeważnie w zniszczone ubrania. Wielu było nie ogolonych, a prawie wszyscy mieli na szyjach czerwone apaszki zamiast krawatów.

– Nie ma obawy – odpowiedziałem. – Rób tylko tak, jak ci mówiłem. Poza tym zasadą jest oddawanie partnerki, jeśli ktoś ją odklepuje. Nie oddasz – możesz być pewien, że będzie awantura. Nieoddanie partnerki traktowane jest jako największa obelga. Uważa taki, że został zlekceważony, że się go ma za nic. Ale jak tobie zabiorą – tłumaczyłem dalej – to też klep, na ślepo, przy pierwszej parze, która „przepływa" obok ciebie. Każda dziewczyna tańczy dobrze, bo jeśli nie umie tańczyć, to całą zabawę siedzi pod ścianą.

Po kilku tańcach postanowiliśmy wypić naszą wódkę.

– Warto zaprosić kilku chłopaków, bo sami przecież nie wypijemy litra. Ja do swojej doli wołam Olka – powiedział Mały.

– A ja Sztajera. A ty, Leszek, kogo chcesz zaprosić?

– Mnie się ten cholernie podoba – odpowiedział Leszek, wskazując na kolegę z Podrapcia. Był to chłop ważący sto pięć kilogramów, wysoki i silnie zbudowany, Roman zwany „Ździebełkiem".

– Roman! – krzyknąłem. – Chodź do nas, kolega zaprasza cię na wódkę! Zapoznajcie się – dodałem, gdy Roman podszedł. Zawołałem też Sztajera, a Mały Olka.

Stanęliśmy w rogu sali. Sztajer przyniósł szklankę, którą bez pytania o pozwolenie pożyczył z bufetu. Na zakąskę mieliśmy paczkę miętowych dropsów. Szklaneczka wódki pod jednego dropsa.

Zauważyłem, że na salę weszła para, której nie znałem. On – młody chłopak, elegancko ubrany, w krawacie. Nikt ich nie znał. Gdy pytałem kilku kolegów, każdy odpowiadał jednakowo: – Jakiś frajer z miasta.

Tańczyli tylko ze sobą. Gdy po kilku minutach wszyscy już się oswoili z obecnością „nowych", zauważyłem, że Heniek podszedł do nich w czasie tańca i klasnął w ręce. Facet odmówił oddania partnerki. Po chwili innego znów spotkała odmowa.

Po skończonym tańcu chłopaki zebrali się w kącie sali i komentowali wypadek. Heniek mówił z zacietrzewieniem:

– Żeby to był nasz, to dałbym z miejsca w ryja. Ale to, cholera, obcy. Może nie wie, że u nas tak jest.

– Zakładam się o ćwiartkę, że mnie odda – odezwał się Rudy z pewnością siebie.

– Trzymam zakład – odpowiedziałem.

Zagrała orkiestra. Rudy odczekał dłuższą chwilę, podszedł i klasnął w ręce. Facet i tym razem potrząsnął przecząco głową. Rudy powrócił do nas wściekły z powodu odmowy i z powodu przegranej ćwiartki.

– Skończą grać, to z nim pogadam – powiedział groźnie. – A jak będzie skakał, to mu dorzucę.

– Nie wygłupiaj się, Rudy – łagodziłem. – Obcy nie zna naszych

zwyczajów. Chcesz być kozakiem do frajera, który w dodatku jest sam? Powiedzieć mu trzeba, ale dlaczego zaraz bić? Niecharakternie.

Gdy po skończonym tańcu tamta para usiadła na ławce pod ścianą, Rudy podszedł do nich i poprosił grzecznie:

– Panie, pozwól pan na chwilę.

Stanąłem z Małym w pobliżu. Gdy facet podszedł, Rudy powiedział spokojnie, lecz dobitnie:

– Panie, boisz się pan, jak pragnę Boga, żebym panu narzeczonej nie obskoczył w tańcu? Nie wiesz pan, że jak kto odklepuje, to trzeba oddać? U nas taki zwyczaj.

– Ja nie wiedziałem – tłumaczył się „nowy" ze strachem. – Ale jak taki zwyczaj, to i ja się zastosuję.

– Ja też tak panu radzę – zakończył Rudy – bo może pana spotkać nieprzyjemność, a po co?

– Już on z nią więcej nie zatańczy – powiedział Rudy wróciwszy do mnie.

– Będziemy odklepywali kolejno, a jak teraz nie odda, to dostanie w oko. Znów zagrała orkiestra. „Nowy" zrobił ze swoją damą zaledwie kilka obrotów, gdy podszedł jeden i odebrał mu partnerkę. Zrobił to z eleganckim ukłonem i miłym uśmiechem. W następnym tańcu inny odebrał mu partnerkę. W trzecim powtórzyło się to samo. Za każdym razem facet siadał pod ścianą i tylko przyglądał się tańczącym. Usiadłem obok i zagadałem:

– Tańcz pan. Jak panu zabrali pannę, to zrób pan to samo innemu. Każdy odda. Patrz pan na salę, co się wyprawia. Jak komu odklepią dziewczynę, to on zaraz zabiera drugiemu.

– Nie, nie będę tańczył, posiedzę sobie trochę – odpowiedział grzecznie i jakby z żalem.

Po skończonym tańcu podszedłem do chłopaków i powiedziałem z pogardą:

– Zostawcie to „drewno". Odczepcie się od nich. Wcale nieciekawa babka, porusza się w tańcu jak krowa na lodzie, a frajer siedzi pod ścianą i płacze.

Przyznali mi rację. Innym chłopakom też powiedzieli, żeby nie odklepywali, i od tej chwili nikt im już nie przeszkadzał tańczyć ze sobą.

W pewnej chwili w rogu sali coś się zakotłowało. Pierwsza awantura. Ale kto z kim się bije? Ciężko rozpoznać, bo wszyscy skupili się wokół bijących. Orkiestra nie przerywa grania. To już taki zwyczaj. Z bocznego małego pokoiku wyszło dwóch policjantów, biegną tam, gdzie się biją… ale cała sala już znowu tańczy. Policjanci patrzą uważnie, chcą się zorientować, kto się bił. Ale każdy chłopak tańcząc grzecznie się uśmiecha, a niejeden kłania się mówiąc:

– Moje uszanowanie dla władzy.

Mimo że komisariat jest tuż, po drugiej stronie ulicy Czerniakowskiej, policjanci dyżurują w czasie każdej zabawy. Siedzą w małym pokoiku, a na salę wychodzą tylko w czasie awantury. Interweniować.

– Kto się bił? – zapytałem przesuwającego się w tańcu kolegę.

– Sztajer ze Starym, jakieś stare porachunki – odpowiedział kolega. Spojrzałem po sali. Tańczy Sztajer i tańczy Stary. Gdy policjanci rozglądają się jeszcze w drugim końcu sali, oni już są w pobliżu orkiestry, patrząc na siebie spode łba. Po chwili już się znowu biją, a inni otaczają ich kręgiem, żeby utrudnić dojście policjantom. Policjanci się pchają. Ktoś krzyknął ostrzegawczo… i znów wszystkie pary tańczą. Tym razem partnerki bijących się nie zdążyły złapać ich do tańca. Patrzę – i co to? Sztajer tańczy ze Starym. Obaj mierzą się groźnie oczami rzucając szybkie spojrzenia na boki, żeby sprawdzić, gdzie są policjanci. Nie budzą podejrzenia, bo tańczący ze sobą chłopcy lub dziewczęta to u „Przyjaciół" zupełnie normalne zjawisko.

Gdy w tańcu odpłynęli na przyzwoitą odległość od policjantów, nastąpił dalszy ciąg awantury. Tym razem policjanci złapali Sztajera. Partnerki nie zdążyły do nich dobiec i Sztajer został zauważony, gdy schylony przemykał pod ścianą. Policjanci wygarnęli go jak swojego. Poszedł z nimi grzecznie na nocleg do komisariatu, tylko gdy przechodzili przez salę, słyszałem, jak prosił policjanta, który go prowadził:

– Panie władza, puść pan, jak pragnę Boga! Już będę grzeczny. Pan „glina", ja zdun – żyjmy ze sobą w zgodzie. Razem piec postawimy.

Ale policjant okazał się nieczuły i wyprowadził go z sali.

Tak wyglądała awantura, w której jeden bił się przeciwko jednemu. Bywało jednak i tak, że jednocześnie biło się pół sali. Zaczynał jeden przeciwko jednemu. Do awantury wtrącali się koledzy jednego i drugiego, a następnie koledzy kolegów i w końcu nikt nie wiedział, kto kogo i za co bije. Raz, gdy biła się prawie cała sala, jeden chłopak z humorem wskoczył na scenę, do orkiestry, każąc im grać „Kto się w opiekę". Zasadą w takiej ogólnej bijatyce było, że nikt nie uderzył nigdy żadnym „narzędziem", chociaż wiadomo, że każdy chłopak ma w kieszeni jakiegoś „pomocnika". Tu szły w ruch tylko pięści i głowy, więc największe uszkodzenie to podbite oko, rozklepany nos albo wybity ząb. Gdy w czasie takiej zbiorowej awantury wpadała na salę policja, każdy chłopak łapał do tańca pierwszą z brzegu dziewczynę i nieznacznie, tak żeby żaden policjant nie zauważył, wsuwał jej za dekolt sukienki swojego „pomocnika", nóż lub szpadrynę – bo policjanci łapali na chybił trafił chłopaków spośród tańczących par i macali po kieszeniach. Gdy policjanci wracali do swojego pokoiku, odbierało się od dziewcząt swój „fant" w czasie

tańca. Podszedł do mnie Josek i pokazując pięćdziesiąt groszy zapytał:

– Dowalasz się do ćwiartki?

Bez słowa dałem mu pięćdziesiąt groszy.

– Zawołam cię – powiedział Josek i podszedł do następnego, któremu pokazał trzymaną w ręku złotówkę, proponując dołożenie się do ćwiartki.

Po piętnastu minutach dał mi znak, że mam przyjść do bufetu. Bufet to duża sala, na której stały długie stoły i takie same ławki zamiast krzeseł. Na sali, w której tańczono, też stały pod ścianami długie, ciężkie ławki, a to dlatego, że ławką bić niewygodnie – za długa i za ciężka. Bufet był pusty, stała na nim tylko bateria szklanek. Wódka, piwo i zakąski ustawione były na półkach przy ścianie, w głębi bufetu. Gdyby postawiono je na bufecie, już po kilku minutach nic by tam nie było. Jednej niedzieli nowa bufetowa postawiła na bufecie paterę z pomarańczami. Pomarańcze znikły. Nie sprzedała i nie było w bufecie.

Gdy wszedłem do bufetu, okazało się, że do kupionej przez Joska ćwiartki jest nas czterech. Znana metoda. Josek nie miał pieniędzy, więc zebrał od trzech chłopaków po pięćdziesiąt groszy. Wódkę i zakąskę kupił nie w bufecie, lecz w sklepiku, żeby było taniej, a za poniesioną fatygę należał do ćwiartki.

Gdy po wypiciu wódki wróciłem na salę, podszedł Olek i powiedział, że na korytarzu czeka Janek „Łapka" i prosi, żebym na chwilę do niego wyszedł.

– Pożycz trzy złote – prosił Janek – dam ci na zastaw złoty zegarek. Patrz, jaki ładny. Jak do następnej niedzieli nie oddam długu, to zegarek twój. – Pokazał mały zegarek ze złotą bransoletką.

– Nie, nie biorę – odpowiedziałem. – Nie lubię pożyczać forsy pod zastaw. Na cholerę mam mieć kłopot z twoim zegarkiem.

To daj dziesięć złotych i bierz.

– Nie mam tyle pieniędzy.

– No to daj osiem, bo muszę mieć forsę.

– Tryfny? – zapytałem, patrząc podejrzliwie na Janka.

– Nie pytaj, żadnego kłopotu z nim mieć nie będziesz. Tylko dawaj prędzej forsę, bo nie mam czasu.

– Zaczekaj, wejdę na salę, może uda mi się od kolegi pożyczyć. Wróciłem na salę, żeby poszukać Leszka. Rozejrzałem się: jest Leszek.

Dałem mu znak, że czekam na niego po skończonym tańcu.

– Pożycz pięć złotych – poprosiłem – jutro w fabryce ci oddam. Trafia mi się za osiem złotych złoty damski zegarek, a mam tylko trzy złote.

Po kilku minutach już Janek miał pieniądze, a ja w kieszeni złoty zegarek.

Zabawa trwa. Na sali widać coraz więcej pijanych. Dwóch prawie

nieprzytomnych chłopaki ułożyli pod ławkami. Śpią i nikomu nie przeszkadzają. Po skończonej zabawie będą już na tyle trzeźwi, że wrócą do domu o własnych siłach.

Olek jest zły. Przed chwilą prosił dziewczynę do tańca. Odmówiła mu, a teraz tańczy z innym.

– Zróbcie z niej balona – prosił tak, jakby od tego zależało jego życie. – Z tobą pójdzie tańczyć, a wtedy ja ją odklepię.

– Nie chcę – odpowiedziałem. – Nie lubię tego, to nie po mojemu. Nie chciała, to więcej jej nigdy nie proś, ale po co zaraz balon?

– Nie, ja jej tego nie daruję. Napuszczę Rudego i zrobimy „dużego balona" – powiedział Olek i poszedł szukać Rudego.

„Mały balon" polegał na tym, że w tańcu odklepywał ten, z którym dziewczyna nie chciała pójść zatańczyć. Wiadomo, że odmówienie przez mężczyznę oddania partnerki to „ostatnie słowo do draki". Więc gdy taki klasnął w ręce, a dziewczyna mówiła: „Nie, ja nie chcę" – partner mimo to kłaniał się grzecznie i… już tańczyli ze sobą dwaj mężczyźni, a dziewczyna zostawała sama na środku sali. A „duży balon"? Zobaczymy za chwilę, bo już idzie wiadomość podawana z ust do ust: „Uważajcie – jak zagrają fokstrota, Rudy będzie robił balona". „Z której?" – pytano. „O z tej" odpowiadano, pokazując przyszłą ofiarę. Odważna dziewczyna albo nieświadoma, co ją czeka.

Orkiestra zagrała fokstrota. Rudy już tańczy z dziewczyną. Wszystkie pary tańcząc obserwują, kiedy rozpocznie się „robienie balona". A oto już się zaczyna. Rudy przetańczył normalnie jedno okrążenie. Teraz kręci się na środku sali i zaczyna małpować. Orkiestra gra fokstrota, a on tańczy polkę. To jest sygnałem. Teraz wszystkie pary przestają tańczyć. Tworzy się duży, ściśnięty krąg, w środku którego szaleje Rudy. Wyczynia z partnerką różne łamańce i najbardziej fantastyczne figury. Z polki przechodzi na krakowiaka. Klęka i każe dziewczynie tańczyć wokół siebie. Wstaje i stara się zmusić partnerkę, żeby z kolei ona klęknęła. Wszyscy ryczą ze śmiechu i klaszczą w ręce. Dziewczyna wyrwała się i ucieka, lecz nie może wyjść z zamkniętego kręgu. Rudy goni ją, ciągnie za rękę na środek koła i dalej wyczynia swoje łamańce. Znów się wyrwała, ale nie może uciec. Wreszcie rozluźniono krąg, a dziewczyna czerwona ze złości i wstydu pędzi prosto do szatni, ubiera się szybko, wychodzi – i już nigdy więcej u „Przyjaciół" się nie zjawia.

Wszystkie pary tańczą. Zabrano mi partnerkę. Zrobiłem półobrót i klasnąłem w ręce przy pierwszej parze przesuwającej się obok mnie. Dziewczyna chce odejść do mnie, ale facet trzyma ją patrząc na mnie z wyzywającym uśmiechem. Był to Rysiek „Bokser" z Podrapcia. Mojego wzrostu, lecz dużo tęższy, dobrze już „zabalsamowany", widocznie szuka guza. „Jak szukasz, to znajdziesz" – pomyślałem i klepnąłem

drugi raz, tym razem ostro i tuż przed nosem. Gdy chciałem klepnąć w ręce trzeci raz, po którym już automatycznie następuje uderzenie pięścią albo łbem, dziewczyna, z którą tańczył, wyrwała się szybko, porwała mnie do tańca mówiąc jednocześnie:

– Daj spokój, on jest pijany.

– Chociaż pijany, ale chyba wie, co to znaczy nie oddać partnerki – odpowiedziałem zły za doznaną zniewagę, a równocześnie zadowolony, że jednak nie doszło do awantury, na którą nie miałem chęci. Byłem w nowym garniturze, a taka awantura łatwo może się zakończyć urwaniem klap. Po kilku minutach zobaczyłem, jak Josek klął Boksera za to, że nie chciał mu oddać partnerki.

– On myśli, że jak ja jestem mały i słaby, to może do mnie podskoczyć? To się mocno oszukał. Już ja na niego znajdę taki sposób, że długo będzie mnie pamiętał – odgrażał się Josek stojąc w gronie kolegów.

– Daj spokój, on jest pijany – uspokajałem Joska tak, jak mnie niedawno uspokajano. – Powiemy mu, jak wytrzeźwieje. A jak będzie skakał, to dopiero wtedy pogadamy z nim inaczej.

Wreszcie orkiestra zagrała marsza i zabawa skończona.

Wszyscy rzucili się do szatni po swoje palta. Ci, których palta wisiały przy barierce, brali je sami. Dalsze wynosiła szatniarka i kładła na barierce, a każdy zabierał swoje. Stałem z boku w małej grupce kolegów, gdy podszedł do mnie Leszek.

– Nie widzę swojego palta – powiedział zdenerwowany.

– Zaczekajmy chwilę, zaraz się znajdzie, niech tylko rozluźni się troszkę.

– A może ktoś ukradł?

– Nie bój się pan nic – wtrącił Olek – tu nikomu nic nie zginie.

Gdy przy szatni zrobiło się luźniej, stwierdziliśmy, że rzeczywiście palta nie ma.

– Znajdzie się – powiedział Olek poważnie. – Zaczekajcie na mnie chwilę na sali, zaraz wracam.

– Czarny podciął palto – poinformował nas Olek, gdy po pięciu minutach wrócił na salę. A zwracając się do mnie, dodał:

– Idź do niego, czeka na podwórzu.

Poszedłem na dół i z miejsca wskoczyłem na Czarnego:

– Oddawaj palto, prędzej, bo chcemy iść do domu. Mojemu przyjacielowi podciąłeś. Zaprosiłem go do nas i zagwarantowałem, że wszystko będzie w porządku. Jak ja teraz wyglądam?

– Jak wolności pragnę – przysięgał się Czarny – nie wiedziałem, że to twój przyjaciel. Chyba wierzysz mi, że gdybym wiedział, to bym nie ruszył. Myślałem, że to frajer z miasta, więc można brać.

– Z miasta to on jest, ale nie frajer, tylko charakterny chłopak i – dawaj prędzej palto.

Czarny przeskoczył przez parkan okalający podwórze i po chwili spadło palto, a za paltem Czarny. Nie czekałem na niego, tylko szybko z paltem pobiegłem do Leszka.

– Zaczekaj, może będzie wódka! – krzyknąłem do Czarnego już z korytarza.

Oddając palto Leszkowi zaproponowałem, żeby jeśli ma forsę, postawił chłopakom pół litra. Jak nie postawi, to też będzie dobrze, ale warto jeszcze wypić coś przed spaniem, a i chłopaki będą zadowoleni, że jednak opłaciło się oddać skradzione palto.

Gdy już ubrani szykowaliśmy się do wyjścia, podszedł do mnie Bokser i zapytał zaczepnie:

– Kolega mnie zna?

„Oho! – pomyślałem – jak już nie mówi»ty«, tylko»kolega«, znaczy, że szuka guza". Odpowiedziałem więc podobnym jak on tonem:

– Tak jakbym kolegę znał, ale dokładnie nie przypominam sobie.

– A kolega ma do mnie żal?

Pomyślałem, że może chce wyjaśniać swoje postępowanie, więc odpowiedziałem już spokojnie:

– Żalu nie mam, ale tak się nie robi. Wiesz *przecież* o tym.

– No, bo ja takich jak ty, to… – i tu użył określenia, które znów uważane jest za „ostatnie słowo do draki".

– A ja takich frajerów jak ty, to nawet nie chcę… – odpowiedziałem zaczepnie – bo później chwaliłbyś się na całym Czerniakowie.

– Tak? – zapytał zdziwiony. – To może się pobijemy?

– Dlaczego nie? Możemy.

W czasie tej rozmowy zbliżyli się do nas wszyscy, którzy jeszcze byli na sali. Była tam cała ferajna z Podrapcia, koledzy Boksera, i cała Wójtówka – to znów moi koledzy. Po mojej odpowiedzi Bokser odszedł na bok i zdejmuje palto. Szybko zrzuciłem swoje i zawołałem do chłopaków z Podrapcia:

– Przytrzymajcie go, bo on jest pijany. Żeby później nie miał do mnie pretensji, jak mu wleję.

– Nie martw się – odpowiedział ktoś z gromady – on nawet pijany jeszcze da radę trzem takim jak ty.

W kupie chłopaków zobaczyłem Romana Ździebełko.

– Roman! – krzyknąłem. – Nie daj się nikomu wtrącić.

– Ostatni ciapciak będzie ten, kto się pierwszy wtrąci! – zawołał głośno Roman. – Sam na sam się biją.

Ledwie Roman skończył, jak już dostałem od Boksera jedną ręką w ucho, a drugą w szczękę.

Błyskawicznie złapałem go lewą ręką za szalik, którego z wielkiej pewności siebie nie zdjął z szyi, pociągnąłem go na siebie, strzeliłem

łbem, prawą ręką złapałem za włosy, a lewą zakręciłem jego szalik. Miałem go więc schylonego, zduszonego własnym szalikiem, z twarzą przy mojej piersi. Po kilku uderzeniach nogi się pod nim ugięły i usiadł na podłodze. Nie zaczepiony przez nikogo wyszedłem z sali, otoczony przez chłopaków z Wójtówki.

Gdy na dole zobaczyłem Czarnego, przypomniałem sobie, że przecież kazałem mu czekać. Poszliśmy do Bandyty. Knajpa była już zamknięta, ale nas wpuścił. Byłem zły, że dałem się sprowokować do awantury. Teraz będę miał nowych wrogów i nową wojnę. Bokser na pewno będzie chciał odegrać się. Ma do tego pełne prawo. W następną niedzielę będę musiał iść do „Przyjaciół". Mogę później więcej tam nie chodzić, ale w następną niedzielę muszę. Jeśli nie przyjdę, to chłopaki powiedzą, że się bałem, a ten, który się boi, traci u wszystkich szacunek.

– Nie martw się, Kozak – zagadał do mnie Olek – będzie dobrze. W następną niedzielę przyjdziemy całą ferajna. Bokser może znów szukać guza. Tu już musisz sam sobie dawać radę, ale jak się kto wtrąci, to przecież cała Wójtówka za tobą.

– Cholera, nie mamy szczęścia – wtrącił Czarny. – Niedawno zakończyła się wojna z Podrapciem, a już szykuje się druga. Trudno, jak chcą wojny, to będą mieli. Przecież nie damy sobie podskakiwać.

Wypiliśmy u Bandyty literka w pięciu. Leszek zapłacił i teraz czekaliśmy na tramwaj, którym miał pojechać do domu. Olek zaczął się żegnać z nami.

– Zaczekaj jeszcze kilka minut i wszyscy pójdziemy do domu. Co, spieszy ci się? – zapytałem.

– Nie spieszy mi się, ale zimno.

– To napij się wody i połóż w cieniu – zawołał Czarny, ucieszony z własnego dowcipu.

– Dlaczego pan chodzi bez palta? – zapytał Leszek.

– Żeby chodzić w palcie, trzeba je mieć – roześmiał się Olek. – Kupię sobie, jak spadnie dużo śniegu. Ale chwilowo nie ma śniegu i – nie ma pieniędzy.

Następnego dnia w fabryce oddałem Leszkowi pięć złotych. Powiedział mi, że pierwszy raz w życiu zetknął się tak bezpośrednio z życiem młodzieży na robotniczym przedmieściu. Wyobrażał sobie, że obcemu niebezpiecznie wchodzić w to środowisko. Przekonał się jednak, że jest inaczej.

– Podobały mi się – powiedział – pewne żelazne zasady, którymi jesteście wszyscy złączeni. Szkoda tylko tego Olka. Zima, a on nie ma w czym chodzić. Mam w domu swoją starą jesionkę, dałbym mu ją, ale nie chciałbym, żeby się na mnie obraził.

– Będzie ci bardzo wdzięczny – odpowiedziałem.

Tego samego dnia po pracy pojechałem do Leszka i zabrałem

dużą paczkę, którą zawiozłem do Olka. Po otworzeniu paczki zobaczyliśmy „skarb”: zupełnie przyzwoitą, chociaż już znoszoną jesionkę, marynarkę, spodnie, sweter, narciarskie buty i grubą czerwoną, sportową koszulę w jaskrawą kratę, z której Olek najwięcej się ucieszył. Oglądał wszystko, przymierzał i cieszył się. Cieszył się jak małe dziecko. Gdy już się nacieszył, powiedział do mnie tak:

– Podziękuj koledze i powiedz, że jak mu kto zrobi krzywdę, niech mnie zawiadomi. Pójdę i łeb takiemu urżnę.

Widział tylko taką możliwość odwdzięczenia się za serdeczność, którą okazał mu prawie obcy człowiek.

W sobotę po południu znajomy chłopak ostrzegł mnie, że jutro u „Przyjaciół” Podrapeć szykuje odgrywkę.

– Powiedzieli, że tak ci wtrząchną, że cię zabierze pogotowie. Pewni są, że przyjdziesz.

– Na pewno pójdę – odpowiedziałem. – Tylko zobaczymy, kogo zabierze pogotowie. Jak będę miał więcej niż jednego przeciwko sobie, to użyję „pomocnika”. Żadna sztuka kupą bić jednego!

Wieczorem zapukał ktoś do mieszkania.

– Proszę! – krzyknąłem głośno.

Otworzyły się drzwi, a w drzwiach stoi – kto? Rysiek Bokser.

– Można? – zapytał.

– Proszę bardzo.

Wszedł, usiadł na krześle, lecz nie wita się, tylko popatrzył, chwilę pomyślał i zaczął mówić:

– W niedzielę dostałem od ciebie manto. Mam zamiar się odgrywać. Przerwałem mu mówiąc:

– Wolno ci, masz do tego pełne prawo.

– Tak, ale widzisz, chciałem przedtem pewne rzeczy wyjaśnić. Bo wtedy byłem pijany i nic nie pamiętam, a każdy mówi co innego. O co nam poszło?

Opowiedziałem dokładnie przebieg zajścia. Wysłuchał i znów zapytał:

– Wobec tego, kto mnie posunął kosą? Dostałem w plecy. Niegroźnie, zdrapane mam z dziesięć centymetrów, tak na jakieś pół centymetra głębokości. Myślałem, że to ty mnie drapnąłeś. Ale jak nie ty, to kto?

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Wiem tylko, że niejednemu właziłeś w drogę. Joskowi też nie chciałeś oddać dziewczyny i słyszałem, jak się odgrażał.

– Patrz, nic nie pamiętam! Ale jeśli mu wlazłem w drogę, to na pewno on mnie tak urządził, bo mściwy jest i lubi posunąć. Szkoda mi tylko palta i marynarki, bo jedno i drugie na plecach przerżnięte. Jeśli tak było, jak mówisz – a wierzę ci – to miałeś rację, że mi mordę obiłeś. Daj łapę i między nami blat, zgoda. Zobacz tylko, jak mnie

urządziłeś – mówiąc to zdjął okulary, które przez cały czas naszej rozmowy miał na nosie. Spojrzałem – i zrobiło mi się trochę głupio. Oczy były sine i podeszły materią.

Teraz ja wyciągnąłem rękę mówiąc:

– Szkoda mi ciebie. Ale chyba rozumiesz, że jakbym ja nie bił, to dostałbym od ciebie.

– Przyjdź jutro do „Przyjaciół" – zakończył rozmowę Rysiek wychodząc z mieszkania – to wypijemy sobie kwaterkę na wspólną dolę.

W niedzielę, z Małym tylko, poszliśmy do „Przyjaciół". Na wszelki wypadek byliśmy uzbrojeni. Chłopaków z Wójtówki jeszcze nie było. Usiedliśmy pod ścianą, a dalej po tej samej stronie siedziało kilku chłopaków z Podrapcia.

– Uważaj, będzie draka – szepnąłem Małemu, gdy zobaczyłem, że jeden z nich, a w chwilę później drugi, wyszli na środek sali i z ciekawością nam się przyglądali. – Jak zaczniemy tańczyć, to kręć się w pobliżu mnie, ale w razie draki z jednym nie wtrącaj się. Dopiero gdy skoczy kilku, wtedy rób, co będziesz uważał za stosowne.

Gdy orkiestra zaczęła grać, na sali nie było jeszcze wiele osób. Zatańczyłem. Gdy byłem na środku sali, mimo że było jeszcze pusto, nastąpiło zderzenie z inną parą. To celowo podjechał do mnie jeden z Podrapcia. Stanęliśmy, zmierzyliśmy się oczami i rozeszliśmy się w przeciwne strony. Po kilku minutach nowe zderzenie. Tym razem stanęliśmy i żaden nie odpływa. Teraz już awantura pewna. Patrząc na siebie; powoli puszczamy swoje partnerki. Obok mnie już stoi Mały, a wkoło nas cały Podrapeć. W tym momencie jakiś ruch przy drzwiach wejściowych. To weszła cała Wójtówka, którą sprowadził Olek. Same równe chłopaki. Zauważyli, co się dzieje, i już po chwili otoczyli wszystkich. Niby z ciekawością pytają:

– Co jest? Co się tu dzieje? Jakaś draka?

– Chłopaki, spokój w głowie! Wszystko w porządku! – zawołał ktoś głośno od strony drzwi.

To krzyczał Bokser, który w tej chwili wszedł na salę. Podszedł i przywitał się ze mną i z Małym, a dopiero potem witał się kolejno z innymi. Powiedział później, że nie mógł zawiadomić chłopaków o tym, że się pogodziliśmy, ale przedtem zastrzegł, żeby nie zaczynali, zanim przyjdzie.

Po godzinie znaleźliśmy się wszyscy w bufecie, przy jednym długim stole. Za wspólnie zebrane pieniądze kupiliśmy wódki, tak że dla każdego wypadło pół szklanki, i już w największej zgodzie wróciliśmy na salę.

Jedna wojna została zażegnana do czasu, gdy znów wytworzy się sytuacja, którą nazywa się „ostatnim słowem do draki".

W następną niedzielę znów razem z Małym poszliśmy do

„Przyjaciół”.

WIZYTA NA ODDZIALE CHIRURGICZNYM

Tej niedzieli jak zwykle poszedłem pod kościół z Małym. Stało już kilku chłopaków.

– Wiesz już, że wczoraj wieczorem Rudy posunął Mańka? – zapytał jeden, gdy się przywitaliśmy.

– Mocno? – zapytałem.

– Nieźle, dwie sztuki – w płuco i pod nerki. Tylko tryfnie bił – wtrącił drugi z tyłu.

– A co z Rudym?

– Uciekł, chłopaki szukali go całą noc po wszystkich melinach i nie mogli *znaleźć*. Ale znajdą go, chyba że ucieknie z Warszawy.

– A gdzie Maniek?

– U Dzieciątka Jezus, na chirurgicznym.

Po krótkiej naradzie z Małym postanowiliśmy odwiedzić Mańka w szpitalu. Po południu zjawiliśmy się u niego na oddziale chirurgicznym, mimo trudności robionych przez personel szpitala, który wpuszczał tylko po dwie osoby do jednego chorego.

Oddział chirurgiczny – to jedna olbrzymia sala, na której leżało chyba sześćdziesięciu chorych. Szukając Mańka, wzrok mój zatrzymał się na potężnej, gołej klatce piersiowej. „To jest decha" – pomyślałem i…

– Jak się masz. Kozak – odezwał się głos należący do tych olbrzymich piersi.

– Serwus, Władziu! To ty też tutaj?

– Ano, jak widzisz…

– A gdzie leży Maniek?

– O, tam, na tamtym łóżku – pokazał Władek. – Jest już u niego rodzinka – dodał. – Pijani, płaczą…

– A tobie co jest? – zapytałem.

– Idzio posunął mnie kosą w kręgosłup. Nóż się złamał i czubek siedzi. Mają go wyjmować. Teraz już trochę chodzę, jak się trzymam łóżka, bo przez kilka dni nie miałem w ogóle władzy w rękach i nogach.

– Jak to się stało?

– Odgrażał się, więc zapytałem go, co do mnie czuje. Okazało się, że nic, że wszystko w porządku. Więc podałem mu rękę, wykręciłem się, by odejść, i w tym momencie dostałem w plecy.

– Sypnąłeś?

– Nie.

– Odegrasz się?

– Zobaczymy, co będzie mówił. A może on „kota" dostał w głowie? Może mu coś do łba strzeliło i nie wiedział, co robi?

Zobaczymy – jak wyjdę… Ale nas jest tu więcej. O, patrz, tam leży Kapusta. Po pijanemu pobił się z bratem, a że nie mógł mu dać rady, to sobie ze złości brzuch nożem rozerżnął. Jak go wieźli na wózku, to śpiewał. Jego już tu dobrze znają… A tam znów leży Mizerny. W Parku Sieleckim w czasie awantury wrzucili go do wody, starł rękę – i zakażenie. A tam Lalo… Chciał pomóc bratu w jakiejś awanturze, wyskoczył pijany z pierwszego piętra i coś mu trzasnęło w kolanie.

– A Maniek sypie?

– Nie. Już dwa razy byli z policji. Maniek mówi, że był pijany i nic nie wie i nie pamięta – kto, co, jak i gdzie. Jeszcze pyta policjantów, co to takiego było. Czekamy na Rudego. Powinni go tu przywieźć za kilka dni, bo go chłopaki znajdą. Jak go przywiozą, to go w nocy zabijemy. Za to, że posunął z tyłu, a właściwie to za to, że nie miał żadnego żalu do Mańka, tylko był napuszczony.

Podeszliśmy do Mańka. Leżał na wznak, ciężko dyszał i krzywił z bólu twarz. Przy łóżku siedziało pięć osób z jego rodziny, wszyscy już dobrze pijani. Maniek, jego brat rodzony i bracia stryjeczni to z zawodu murarze. Matka robiła i sprzedawała sztuczne kwiaty, a bratowa handlowała, czym się dało: rzodkiewkami, owocami lub kwiatami. Rodzina płakała i klęła tego, co go posunął, a Maniek znów złościł się i klął rodzinę za to, że płaczą. Cała heca – wszyscy chorzy i odwiedzający z ciekawością obserwowali to wesołe widowisko. Zauważyłem, że z boku stoi jeszcze dwóch kolegów, Franek i Lutek.

– No, żebym ja go, taka jego… – i tu parę epitetów – drapnęła w swoje ręce, to ja bym mu pokazała, jak się nożem bije! – wołała płacząc bratowa Mańka.

– Co? Śmiejesz się pan? – zwróciła się do mnie, widząc, że się uśmiecham. – Bo pan mnie jeszcze nie znasz! Jak pragnę Boga, dwa tygodnie po dziecku byłam, a jak mi przyszli bić sublokatora, to wzięłam kosę w łapę, otworzyłam drzwi i mówię: „No, wchodźta, który pierwszy?" Myślisz pan, że się który ruszył? Skąd? Bali się.

Podszedłem z Małym do Franka. Ten znów mówi jakby sam do siebie:

– Przyniosłem mu ćwiartkę wódki, ale nie wiem, czy będzie pił. To nic, jak wyjdziemy, to wypijemy sami. Jemu chyba jeszcze dzisiaj lepiej nie dawać. I czego to płaczą? – Franek popatrzył na płaczącą rodzinkę. – Dwie sztuki dostał i zaraz taki szum. Ja dostałem naraz piętnaście i żyję. O, na tamtym łóżku leżałem – powiedział pokazując nam łóżko w kącie sali pod oknem. – Opatrunki to mi robili hurtem… Jakby się cholera umówili. Było ich piętnastu i dostałem piętnaście sztuk. Jak mnie tu przywieźli, to zawołali księdza. I po co? – krzyczałem. – Przecież ja nie mam zamiaru umierać!

W tej chwili na oddział weszli ludzie z policji – dwóch mundurowych, jeden cywilny – i kazali wyjść wszystkim, którzy

przyszli w odwiedziny do Mańka. Wyszliśmy i już nie wróciliśmy. W ogrodzie na ławce wypiliśmy we czterech ćwiartkę – i do domu.

W nocy z wtorku na środę pogotowie zabrało z ulicy ciężko pobitego Rudego. Prosił, żeby go nie odwożono do szpitala Dzieciątka Jezus, więc umieszczono go w innym szpitalu.

A Mańka diabli nie wzięli. Zginął dopiero w 1944 roku rozstrzelany w Alei Szucha za udział w Powstaniu Warszawskim.

„WYSTAWNIAKI”

W dniu święta puszczania wianków wybraliśmy się na przystań, żeby obejrzeć imprezy odbywające się na Wiśle. Jako jedyny z ferajny pracujący w dużej, państwowej fabryce miałem możność postarać się o trzy zaproszenia. Amatorów na wianki było więcej, ale zabrałem ze sobą Małego i Zygmunta „Wariata”, bo to i najbliżsi koledzy, i najwięcej pewności, że nie narozrabiają. Żeby taniej kosztowało, wzięliśmy ze sobą półtora literka wódki, rzodkiewki kupiłem w bufecie, a że w tym czasie, gdy ja kupowałem, Wariat świsnął dwie pomarańcze – więc zakąski też mieliśmy dosyć. Pierwsze pół literka wypiliśmy na molo, resztę w szatni dla sportowców – drzwi otworzył nam Mały – i wtedy dopiero zaczęła się zabawa.

Bawiliśmy się bardzo grzecznie. Nikt nam nie wchodził w drogę i my też nikomu nie przeszkadzaliśmy. Dopiero nad ranem zaczęło się coś kręcić. To jednemu z organizatorów czy wodzirejów nie podobało się, że my tańczymy ze sobą. Bo ja tańczyłem z Małym albo z Wariatem, albo ja odpoczywałem, a oni tańczyli. Tak już u nas było, że każdy chłopak potrafił chodzić jako partner i jako partnerka, tak samo i dziewczęta. Na naszych zabawach na Czerniakowie to było przyjęte, nikogo to nie raziło i nikt na taki drobiazg nie zwracał uwagi. A tu jakiemuś frajerowi się nie podobało i wyjechał na nas z twarzą, że niby źle się zachowujemy, że co nam się wydaje, że gdzie my jesteśmy, że zawoła policję…

Wariat, który nie wytrzymał nerwowo, złapał faceta za klapy i założył mu większą mowę w „rodzinnym” języku, obiecując, że jeśli się nie uspokoi, to mu pomoże pozbyć się kilku zębów i to będzie dla niego czysty zysk z szurania na zabawie grzecznym młodym ludziom. Zrobiło się maleńkie zamieszanie, więc ja chłopaków za rączkę i urywamy się. W pierwszej złości postanowiliśmy poczekać do rana na naszego prześladowcę, żeby mu dać wycisk za popsucie nam zabawy, ale już po godzinie przekonałem ich, że to nie ma sensu i że lepiej iść do domu spać.

Poszliśmy wolno w kierunku Nowego Światu, Alejami i Belwederską.

– Idziemy spać do domu czy do parku? – zapytał Mały.

– Ja idę do domu – powiedziałem. – Już widno, niedługo ludzie zaczną chodzić, ą poza tym szkoda mi garnituru i zegarka. Chodź, Mały, lepiej do domu – namawiałem go. – Jest niedziela rano, a wiesz, że „powstańcy” najbardziej hipiszują z soboty na niedzielę, bo wtedy najwięcej pijaków śpi na trawie.

– A ty gdzie idziesz spać? – zapytał Mały Wariata.

– Do domu – odpowiedział Wariat. – Mam jasny garnitur, może

się zazielenić trawą, a poza tym nikt mi, tak jak tobie, nie będzie w domu ubliżał.

Mały nie dał się namówić na spanie w domu. Twierdził, że chce się spokojnie wyspać, a w domu mu nie dadzą, więc idzie spać do parku.

– Uważaj tylko, żeby cię nie okradli – ostrzegałem jeszcze. – Śpisz jak zabity, mogą ci ściągnąć buty, marynarkę i też nie poczujesz.

– Będę uważał – odpowiedział i odszedł w stronę parku, a Wariat i ja poszliśmy pomieszkać w domu.

Przed południem przyszedł do mnie Mały. Usiadł i nic nie mówi, tylko patrzy na mnie z głupią miną.

– Pewnie cię opędzlowali? – pytam prawie na pewniaka.

– Tak…

– Co ci wzięli?

– Czapkę, grzebień, miesięczny bilet kolejowy i zegarek z ręki.

– Czapka szczeniak. Grzebień – nic. Biletu szkoda, ale to już prawie koniec miesiąca, te kilka dni pojeździsz do pracy na gapę. Ale szkoda zegarka. – Kosztował przecież czterdzieści złotych, wziąłem go dla Małego na raty w naszym sklepie przyfabrycznym. – Zegarek musimy odszukać. Chodź, pogadamy z „powstańcami", oni coś powinni wiedzieć.

„Powstańcy" to chłopcy w wieku trzynastu do piętnastu lat, którzy dopiero „powstawali" na cwaniaków i we wszystkim starali się naśladować starszych.

Weszliśmy do parku. Pusto, nikogo nie ma. Raptem z krzaków wyskakuje trzynastoletni może chłopak i ile sił w nogach pędzi w naszym kierunku.

Był to chłopak z naszego domu. Gdy nas zobaczył, zatrzymał się, obejrzał i wrzasnął, ile sił w piersiach:

– Ty, frajer! Spuść nachy, będzie ci lżej!

– Czego drzesz mordę? – zapytałem.

– Bo tam frajer leży z babą w krzakach i chciał mnie lać za to, że ich podglądałem.

– Dzisiaj w nocy polowałeś czy spałeś w domu? – pytam dalej.

– W domu spałem. A bo co?

– Małego tu nad ranem opędzlowali… Nie wiesz, kto?

– Jak rany Boga, ja spałem w domu! Ale wiem, że Kłaczek spod szóstego dzisiaj w nocy łaził po parku ze swoją ferajną i jakiegoś frajera obrobili. Chodźmy, wywołam go z domu, bo on pewnie teraz śpi – zaproponował nasz chłopaczek.

Zaczekaliśmy z Małym przed bramą, a on po kilku minutach wyszedł z Kłaczkiem. Był to dobrze nam znany chłopiec, miał ze czternaście lat. Gdy powiedzieliśmy, jaki to mamy do niego interes, popatrzył na nas, zastanowił się chwilę i powiedział:

– Chyba nie myślicie, że to ja zrobiłem? Swojego bym nigdy nie ruszył, a innym też bym ruszyć nie dał. Jego obrobili „wystawniaki". Moleto dzisiaj w nocy kręcił się z nimi po parku.

– Kto to jest Moleto? Czy my go znamy? – zapytał Mały.

– Chyba go nie znacie – odpowiedział Kłaczek. – „Wystawniak". Już dwa lata, jak „wystawił" z domu. Ma całą bandę chłopaczków od dwunastu do czternastu lat – samych „wystawniaków". Kradną i wszystko oddają jemu, a on ich żywi i broni. Moleto ma szczęście. Ja ze swoimi siedzę w domu, to my „robimy" tylko „na skakanego" z soboty na niedzielę. My nie musimy słuchać go, tak jak jego banda. Tamci uciekli z domu i nie chcą wracać, to muszą robić to, co on chce. Wiecie co? – zakończył Kłaczek. – Nie szukajcie, bo i tak nie znajdziecie. Ja będę węszył. Jak coś będę wiedział, to dam wam znać.

Już po godzinie Kłaczek przyniósł do mnie do domu miesięczny bilet kolejowy Małego.

– Skąd go masz? – zapytałem.

– Znaleźli chłopaki w naszym domu na schodach, ktoś podrzucił… A ja wiem, kto tu się kręcił. To Siwy – „wystawniak". Będziemy szukali, aż znajdziemy – powiedział Kłaczek wychodząc z mieszkania. – Wy może nie wierzycie, że to nie my zrobiliśmy, ale ja wam udowodnią. A im damy takie manto, że więcej swoich chłopaków nie będą obrabiać. Po południu Kłaczek znów wpadł do mnie z wiadomością.

– Na Belwederskiej stoi chłopak, który ma na głowie czapkę Małego. Tam go moje chłopaki pilnują, a ja przyleciałem powiedzieć.

– A skąd wiesz, że to czapka Małego? – zapytałem.

– A co? Czy to ja nie znam czapek naszych chłopaków? Ty – mówi do mnie – masz czapkę w biało-czarną kratę, a Małego była szara w ciemniejszą kratę z czerwonymi paskami. Może nie? – zapytał zadowolony, że jest taki spostrzegawczy i ma tak dobra pamięć.

Zawołałem Małego i razem z Kłaczkiem pobiegliśmy na ulicę Belwederską. Skróciliśmy sobie drogę przechodząc przez prywatny plac. Gdy przełażąc przez parkan z powrotem wyszliśmy na ulicę, jeden z obstawy dał nam znak, że ten w czapce Małego czeka na kogoś na rogu. Zatrzymaliśmy się z Małym na rogu, tuż przy nim. Spojrzeliśmy na czapkę – zgadza się, czapka Małego.

– Pokaż no tę czapkę – powiedział Mały, zdejmując mu ją z głowy. Złapałem go w momencie, gdy raptownie skoczył w bok i chciał uciekać.

Obejrzeliśmy czapkę, z której wyrwano podszewkę. Nie było żadnej wątpliwości, że to czapka Małego.

– Skąd masz czapkę? – pytamy nagniotka.

– Jak to skąd? To moja czapka! – odpowiedział hardo.

Dopiero jak dostał po pysku, przyznał się, że czapkę dostał od

Siwego, który już od roku jest na „wystawie”. Jak go policja złapie i odstawi do domu, to on po dwóch dniach znów „wystawia”.

– A gdzie on teraz mieszka? – pytamy znów.

– Tego to już wam nie powiem, szukajcie sami.

– Czy to on obrobił Małego?

– A co mnie to wszystko obchodzi?! Ja dostałem czapkę od Siwego i więcej nic nie wiem.

Mały zaproponował, żeby odprowadzić go do komisariatu, może tam potrafią coś z niego wyciągnąć. W drodze do komisariatu nasz „wystawniak” poprosił, żebyśmy mu pozwolili coś sobie kupić. Weszliśmy do owocarni, w której kupił lemoniadę, cukierki i czekoladki – za wszystkie pieniądze, które miał przy sobie, trzy złote z groszami. Wiedziałem, że chce się pozbyć forsy, żeby nie musiał tłumaczyć się w komisariacie, skąd ma pieniądze. Po wyjściu z owocarni część cukierków rozdał chłopaczkom, których kilku kręciło się przy nas.

– Chyba nie będzie wam przeszkadzało, jeżeli oddam Kłaczkowi swój nóż? – zwrócił się znów do nas i mówiąc to podał mu duży nóż sprężynowy, zaznaczając przy tym, że za kilka dni przyjdzie go odebrać.

W komisariacie przy rewizji znaleziono przy nim tylko zniszczoną od ciągłego używania talię kart do gry.

– W karty grasz? – zapytał dyżurny policjant.

– Ano gra się trochę.

– A w co gracie? W oko, w chlusta?

– W co się da.

– A z kim grasz? – zadaje pytanie policjant.

– Z chłopakami.

– Z jakimi?

– Ze wszystkimi, którzy chcą grać.

– Jak oni się nazywają? – pyta dalej policjant.

– A bo ja wiem…

– Gdzie mieszkasz?

– Gdzie się da… Już dwa miesiące „wystawiam”.

– Chcesz iść do domu?

– Nie. Jak mnie oddacie do domu, to znów ucieknę. Już mnie raz oddaliście.

W dalszym ciągu przesłuchania powiedział, że czapkę dostał od Siwego i nie wie, kto okradł Małego. Nie wie też, gdzie melinuje Siwy i jak właściwie on się nazywa. Wie tylko, że to też „wystawniak”, i to już od dłuższego czasu.

Na ulicy czekał na nas Kłaczek. Powiedział, że kilka razy przewinął się koło nas Moleto. Miał chęć wywołać z nami awanturę, żeby dać możność uciec chłopcu, którego prowadziliśmy, ale bał się,

że może mu się nie udać i jeszcze sam wpadnie.

– Moleto powiedział, że nie wyglądacie na frajerów. Powiedział też, że zaczyna palić mu się grunt pod nogami, więc jeszcze dzisiaj wieje do Katowic.

– Wiecie co? – powiedział Kłaczek. – O dziesiątej wieczorem będę czekał przed waszą bramą. Pójdziemy szukać Siwego. Znam kilka melin, może uda mi się dowiedzieć, gdzie on śpi.

Spotkaliśmy się znów wieczorem.

– Idziemy na plac, tam znajdziemy kilku chłopaków – powiedział Kłaczek.

„Plac" – to faktycznie plac przyległy do garaży, na którym stały stare, zniszczone samochody. Gdy przeleźliśmy przez parkan, Kłaczek poprowadził nas w róg. placu do wielkiej leżącej bezładnie kupy starych desek.

– Właźcie za mną – powiedział leżąc na ziemi i wsunął się pod deski tuż przy samym murze.

Czołgając się na rękach i kolanach, wsunęliśmy się w przejście pod deskami. Po trzech metrach takiej drogi nastąpił zakręt, jeszcze metr i znów zakręt, za którym znaleźliśmy się w dość dużym pomieszczeniu przykrytym wielkim stosem desek. Na jednej pustej przewróconej skrzynce stała mała lampa naftowa, przy drugiej sześciu chłopców w wieku od dwunastu do piętnastu lat grało w karty. Wyglądało to trochę niesamowicie – lampka dawała słabe światło i w tym świetle dorosłe jakby sylwetki o dziecinnych buziach, grające na pieniądze w oko jak starzy. Ziemia wysłana była starą słomą i sianem, walały się na niej różne papiery, strzępy gazet, cynfolia z czekoladek, a po kątach leżały puste puszki po konserwach oraz puste butelki po wódce, piwie i lemoniadzie.

Gdy wsunęliśmy się do środka, chłopaki przerwali grę, by popatrzyć, kto przyszedł do nich w gościnę. Zmierzyli nas obojętnym wzrokiem i po chwili wrócili do przerwanego zajęcia, nie zwracając już na nas żadnej uwagi.

Po kilku minutach, gdy zmieniał się bankier, zapytałem, czy nie wiedzą, gdzie melinuje Siwy.

– A co chcecie od niego? – zapytał jeden malec.

– Potrzebujemy go -. odpowiedziałem.

– To go sobie szukajcie sami – odpowiedział drugi. – Od nas niczego się nie dowiecie.

– A może chcecie z nami zagrać w oko? – zaproponował bankier.

– Nie – odpowiedział Mały. – S… wam na łeb, szczeniaki. Następna melina mieściła się w gruzach zaczętego kiedyś i nigdy nie skończonego domu. „Mieszkało" tam trzech malców. Gdy przyszliśmy, spali już, leżąc na ziemi wysłanej słomą i papierami, przykryci starymi łachami. Od nich też nic się nie dowiedzieliśmy.

– Chodźmy jeszcze do gołębnika – zaproponował Kłaczek. – Tam na pewno musi ktoś melinować.

I znów przez wysoki parkan dostaliśmy się na pusty, zaniedbany plac, zarośnięty wysoką trawą i różnymi chwastami. Po cichu zbliżyliśmy się do krzaków, wśród których stał pusty gołębnik. Weszliśmy po drabince na górę i przez małe drzwi do środka. Latarka elektryczna oświetliła pusty barłóg, na którym leżała podarta stara płachta i tak samo stara podarta jesionka. – To jesionka Siwego – stwierdził z całą pewnością Kłaczek. – On tu śpi, ale teraz pewnie poluje jeszcze. Przyszliśmy za wcześnie.

Spojrzałem na zegarek – wskazywał godzinę pierwszą. Poczekaliśmy kilka minut i zdecydowaliśmy wrócić do domu, a po Siwego wskoczyć jeszcze raz – o piątej rano. Wtedy na pewno będzie już w „domu". Przecież musi też kiedyś spać.

O godzinie piątej rano – już bez Kłaczka, tylko Mały i ja – poszliśmy znów do gołębnika. Na barłogu przykryty jesionką spał Siwy. Był to chłopak piętnastoletni, wysoki i dobrze zbudowany. Poderwałem go za kołnierz do góry, a Mały zaczął bić. Siwego takie wyrwanie ze snu ogłupiło. Wrzasnął głośno ze strachu, a gdy poznał, kto go bije, zaczął prosić:

– Chłopaki, nie bijcie! Powiem wam wszystko, tylko nie bijcie!

– Oddaj zegarek! – wrzasnąłem.

– Chłopaki! Przysięgam wam, tak jak pragnę wolności, że nie ja wziąłem zegarek. Zegarek wziął Moleto, a mnie dał czapkę, bilet kolejowy i grzebień. Czapkę oddałem jednemu chłopakowi, a grzebień mam – powiedział, podając Małemu jego grzebień. – Bilet kolejowy podrzuciłem wczoraj na schodach w waszym domu. Przeczytałem, że to twój – zwrócił się do Małego – i chciałem ci go oddać, ale przecież sam nie mogłem, bo byś pytał, skąd go mam. Mówiłem Moletowi, że obrobił swojego chłopaka, ale on zegarka nie chciał oddać. Mówił, że ciebie nie zna…

– No! Już on biedny będzie, jak my go drapniemy. Gadaj, gdzie on melinuje? Bo jak nie powiesz, to cię przetrącimy! – krzyknąłem na Siwego, popierając swą prośbę uderzeniem pięści.

– Teraz już go nie złapiecie – zapiszczał Siwy. – Dzisiaj w nocy wyjechał do Katowic, ma tam jakiegoś znajomego złodzieja i do niego pojechał. Mówił, że za trzy, cztery miesiące wróci. On mieszkał razem ze mną, odprowadziłem go na dworzec.

– Chodź! Idziemy do komisariatu – zwróciłem się do Siwego. – Tylko nie próbuj wiać, bo jak złapię, to ci nogę przetrącę i wtedy już nie będziesz mógł uciekać.

Siwego bez żadnych kłopotów dostarczyliśmy do komisariatu, a po kilku dniach otrzymaliśmy wezwanie, by zgłosić się do izby zatrzymań dla nieletnich. Tam jeszcze raz złożyliśmy zeznanie. Ale nic

nie wyszło z tego, bo policjantki powiedziały nam, że sprawa jest beznadziejna. Chłopaki do niczego się nie przyznają, nic nie wiedzą i nikogo nie znają, więc sprawy im zrobić nie mogą. Nie można ich też długo trzymać, jeśli nie udowodni się im żadnego przestępstwa. Oddanie chłopaków rodzicom też nic nie da, bo nieraz po kilku już godzinach wychodzą z domu, by wrócić dopiero wtedy, gdy ich policjant przyprowadzi. I tak w kółko, tak długo, aż wreszcie zostanie taki chłopak złapany na jakimś przestępstwie, przeważnie na kradzieży, bo przecież tylko z tego oni żyją. Wtedy idzie z wyroku sądu do domu poprawczego.

No i tak Mały stracił swój zegarek.

DZIWNA ROZPRAWA SĄDOWA

Rok 1938. Park Sielecki czynny jest w soboty wieczorem i w niedzielę od godziny drugiej po południu do jedenastej wieczorem. Główną atrakcją parku jest „deptak", to znaczy sala tańca. Deski pod gołym niebem, ogrodzone niewysokim parkanem – płatne piętnaście groszy od pary za jeden taniec. Poza tym: karuzela, huśtawki, strzelnice i inne „zabawy" dla dzieci i dorosłych, a wszystko to pod patronatem Towarzystwa Przyjaciół Belwederu, Czerniakowa, Sielc i Siekierek. Park Sielecki – to jedyna rozrywka „kulturalna" dla grandy całego Czerniakowa i Mokotowa. Żaden obcy z miasta do parku nie przyszedł ze względu na panującą tam atmosferę. Znali się wszyscy, lecz mimo to często wynikały awantury, w których niejeden raz interweniowała policja i… pogotowie.

Pewnej niedzieli wieczorem stało nas sześciu z boku „deptaka", tam gdzie już nie było wielkiego tłoku, i prowadziliśmy wesołą rozmowę, jaką prowadzą młodzi chłopcy, gdy są w większym gronie.

– Rozejść się, k… wasza mać, szczeniaki! – posłyszeliśmy głos kobiety, która weszła w środek naszej grupy i rozpychając się poszła dalej.

– No, ty! – odezwał się głośno Josek – tylko nie k… wasza mać.

W tym momencie otrzymał silne uderzenie pięścią w twarz. Uderzył go mąż tej kobiety, który też wlazł w środek, idąc tuż za żoną, a za nim przeszedł jeszcze jeden mężczyzna.

Zgłupieliśmy wszyscy, a oni spokojnie poszli dalej. Po chwili dopiero zaczęliśmy się śmiać z Joska, że tak po frajersku dostał w ryja.

– Nie, ja mu tego nie daruję! – powiedział Josek i puścił się w pogoń za tym, który go uderzył, a tuż za Joskiem popędził jeszcze Wariat. Josek był mały i krępy, Wariat znów wysoki i dobrze zbudowany.

Po niedługiej chwili z uliczki prowadzącej do wyjścia z parku dobiegł nas hałas i krzyk:

– Ratunku! Policja! Bandyci! Zabili!

Gdy dobiegliśmy, było już po awanturze, tylko pod płotem leżał mężczyzna w kałuży krwi, a nad nim stała znana nam już, rozpaczająca kobieta w towarzystwie kilku facetów.

Kobieta i towarzyszący jej mężczyźni byli pijani.

– Który baran drapnął kosą? – zapytałem kolegów, którzy byli świadkami bijatyki. – Przecież oni są dobrze na gazie, to jeden mógł wymieszać wszystkich bez użycia kosy.

– Kosą zawadził Wojtek. Przechodził właśnie obok w tym momencie, gdy Wariat strzelił go łbem – powiedział kolega, wskazując na leżącego pod płotem. – Wtedy doskoczył Wojtek i zasunął mu,

zdaje mi się, dwie czy trzy sztuki.

– A co robił Josek? – pytam dalej.

– Zanim doleciał, już było po wszystkim.

Po kilkunastu minutach karetka pogotowia zabrała rannego. Był to stały mieszkaniec Czerniakowa, zwany Zocha.

W kilka tygodni po tym wypadku odbyła się w sądach na Lesznie rozprawa o ciężkie pobicie nożem. Oskarżeni – Josek i Wariat. O Wojtku, który był faktycznym sprawcą, policja nic nie wiedziała, mimo że znali go wszyscy. Oskarżeni odpowiadali z wolnej stopy. Na sprawę przyszła cała ferajna chłopaków, między innymi i Wojtek.

Na korytarzu przed salą rozpraw stał Zocha w otoczeniu rodziny.

– Pogadajcie z nim – doradzałem Joskowi i Wariatowi. – Podobno to równy chłop, może nie będzie kapował. Co wam szkodzi spróbować?

Wariat i Josek podeszli do Zochy.

– No, Zocha, jak będzie? – zagadał Wariat.

– Zwróćcie koszty leczenia… i spokój w głowie, porządek musi być – odpowiedział Zocha.

– Ile?

– Mnie kosztowało to pięćdziesiąt złotych – i więcej nic nie chcę. A poza tym ja sam tu byłem winien, bo niepotrzebnie uderzyłem Joska. No i wiem też dobrze, że to przecież Wojtek mnie posunął, i jemu odegram się za to, jak tylko trochę dojdę do siebie.

– No to daj grabę i niech będzie blat między nami – mówiąc to Wariat i Josek uścisnęli sobie z Zocha ręce.

Wkrótce sędzia wywołał ich sprawę. Chłopaki stanęli na sprawę bez obrońcy, bo nie mieli pieniędzy. Wariat pracował jako robotnik w fabryce, a Josek był bez pracy. Sędzia sprawdził personalia poszkodowanego, oskarżonych i świadków, przyjął od świadków przysięgę i rozpoczęła się sprawa.

Najpierw sędzia odczytał orzeczenie lekarskie, stwierdzające ciężkie pobicie nożem. Że gdzieś tam brakowało tylko pół centymetra, żeby Zocha już od dawna był prawidłowym nieboszczykiem; że oskarżeni o to pobicie są: Jaky Wacław i Kolejarski Antoni.

– Czy oskarżeni przyznają się do winy? – zapytał sędzia.

– Nie – odpowiedzieli obaj równocześnie.

– Zaznaczam – powiedział sędzia – że przyznanie się do winy brane jest pod uwagę jako okoliczność łagodząca. – I po raz drugi zadał pytanie: „Czy oskarżeni przyznają się do winy?”, na które, jak poprzednio, otrzymał odpowiedź: „Nie”.

Sędzia popatrzył na oskarżonych, jakby chciał prawdę wyczytać z ich twarzy, i rozpoczął postępowanie sądowe.

– Proszę powiedzieć – zwrócił się sędzia do Zochy – wszystko, co pan pamięta z przebiegu zajścia.

– Ja… proszę Sądu, nic nie mogę powiedzieć… bo nic nie pamiętam – zaczął mówić Zocha robiąc długie przerwy między poszczególnymi słowami. – Byłem wtedy u szwagra na imieninach… tam dobrze sobie wypiliśmy… i oprzytomniałem w szpitalu. A jak to było, gdzie to było i z kim to było, to ja naprawdę nic nie pamiętam – dokończył Zocha swoje zeznanie z taką miną, jakby chciał przeprosić sędziego za to, że narobił mu tyle kłopotu, a sam nie zadał sobie nawet trudu, żeby zapamiętać, jaki awantura miała przebieg.

Z tym już sędzia nie miał co gadać. Ale chciał go jeszcze zachęcić do zeznań.

– Niech pan mówi wszystko – powiedział – co panu jest wiadome. Niech się pan nie boi.

– Ja się nie boję – tylko co ja będę gadał, jak ja naprawdę nic nie pamiętam?

Następny świadek – żona poszkodowanego.

– Czy świadek poznaje oskarżonych? – zapytał sędzia.

Z całą powagą przyjrzała się oskarżonym i po chwili namysłu powiedziała:

– Nie, nie poznaję żadnego z tych panów.

– A co świadek może powiedzieć o zajściu? – zadał znów pytanie sędzia;

– Wracaliśmy z imienin – zaczęła zeznawać żona Zochy – więc byliśmy nieźle na gazie. Gdy byliśmy już blisko bramy, od strony sali tańca wyskoczyła grupa mężczyzn i jeden z nich uderzył męża głową. Jak mąż upadł, wtedy wszyscy rzucili się na niego, a któryś z nich musiał go uderzyć nożem.

– A czy świadek widział, kto uderzył nożem? – zapytał sędzia.

– Nie. Że jest porznięty, zauważyłam dopiero wtedy, jak już się ta cała granda rozleciała.

– A jak wyglądał ten, który uderzył głową?

– Był średniego wzrostu, blondyn, w jasnym ubraniu.

– To świadek wszystko widział, tylko twarzy nie widział? – ze złością już powiedział sędzia.

– Twarz też widziałam – odpowiedziała takim samym ostrym tonem zeznająca kobieta. – Ale to nie był żaden z tych panów – dorzuciła wskazując na oskarżonych.

Sędzia wywołał następnego świadka, szwagra Zochy, i znów zadał pytanie: „Co świadek może w tej sprawie powiedzieć?”

Nowy świadek zeznał to samo, co żona poszkodowanego, a oskarżonych nie rozpoznał. Powiedział tylko jeszcze, że napastników było może dziesięciu, a może dwudziestu. Ciężko to określić, bo był pijany i troiło mu się w oczach.

– Świadek w pierwszym zeznaniu twierdził, że sprawcami pobicia byli Josek i Wariat – zwrócił się do niego sędzia.

– A tak, mówiłem, bo mi tak powiedzieli chłopaki.

– Jakie chłopaki?

– A bo ja ich znam? Mało to ich jest na Czerniakowie? – dodał, jakby dziwiąc się pytaniu sędziego.

Teraz sędzia wziął znów w obroty oskarżonych. Jeden i drugi twierdzili, że nie znają wcale poszkodowanego i świadków, nawet z widzenia. Że widzą ich pierwszy raz w życiu. Że w tym czasie, gdy była awantura, każdy z nich był daleko od miejsca zajścia.

– Czy oskarżeni się znają? – zapytał sędzia.

Spojrzeli na siebie tak, jakby się pierwszy raz w życiu widzieli, i z całą powagą oświadczyli, że się wcale nie znają. – Nawet z widzenia się nie znacie? – złości się sędzia. Znów spojrzeli na siebie uważnie.

– Nie, nie znamy się nawet z widzenia.

– Który z oskarżonych ma pseudonim Wariat?

Z tym pytaniem sędzia zwracał się do oskarżonych kolejno, do każdego po nazwisku, lecz żaden do tego pseudonimu się nie przyznawał. To samo powtórzyło się przy pytaniu: „Który z oskarżonych ma pseudonim Josek?"

Wreszcie sędzia polecił wezwać z komisariatu przodownika, który prowadził dochodzenie, i zarządził kilkunastominutową przerwę.

– Wariat, chodź no tu – zawołał Josek, gdy tylko za sędzią zamknęły się drzwi.

– No ty, nie wygłupiaj się – odpowiedział z humorem Wariat – bo sędzia podgląda przez dziurkę od klucza.

– A niech sobie podgląda, to nieważne. Ważne jest tylko wtedy, gdy sędzia siedzi służbowo za tym bufetem – odciął się Josek, pokazując na stół, przy którym sąd urzędował.

Chłopaki z ławy oskarżonych przetasowali się na salę. W kącie zgrupowali się wszyscy, razem z poszkodowanym i świadkami, i tam nastąpiła szybka narada.

– Który chce zeznawać na lewo? – zapytał Wariat. – Trzeba zeznać, że w czasie awantury stałem przy sali tańca – bo jestem bardziej niż Josek zagrożony. On nawet nie zdążył do ciebie dolecieć, a ja walnąłem ciebie łbem – powiedział Wariat zwracając się do Zochy.

– Tu na lewo powinien zeznawać Wojtek – powiedział Zocha stanowczo. – Przecież to ty mnie zawadziłeś, myślisz może, że o tym nie wiem? Teraz musisz ich ratować.

– Dobrze. Zgłoś mnie jako dodatkowego świadka. Powiem, że staliśmy z tyłu, za salą, a jak posłyszeliśmy krzyk, to wtedy dopiero poszliśmy zobaczyć, co się tam stało.

Oskarżeni szybko wrócili na swoje miejsca, a sąd wywołał inną sprawę. Okazało się, że czekają na przodownika policji, którego wezwano telefonicznie.

Po godzinie wrócono znów do „naszej” sprawy.

Wariat zażądał dopuszczenia dodatkowego świadka i wtedy Wojtek zeznał tak, jak było umówione. Nie było lewego świadka dla Joska, ale on był pewniak, jemu nic nie mogli zrobić.

Potem krótko przemawiał przodownik policji. Powiedział on tak:

– W drodze dochodzenia ustaliłem, jakoby to oskarżony Jaky Wacław uderzył nożem. Prawdopodobnie żądali pieniędzy na wódkę, a poszkodowany i świadkowie boją się zeznawać prawdopodobnie z obawy przed zemstą.

Sąd po naradzie wydał wyrok uniewinniający Wariata i skazujący Joska na jedenaście miesięcy więzienia.

– Ze względu na to, że Jaky Wacław jest bez pracy – założył mowę oskarżyciel – składam wniosek o zatrzymanie go na sali sądowej, gdyż zachodzi obawa, że może się on ukrywać przed odbyciem kary.

Sędzia przychylił się do wniosku. Zaraz też zjawił się przy Josku policjant.

Josek zawołał jednego kolegę, któremu oddał różne drobiazgi z kieszeni. Nam pomachał ręką i uśmiechnięty smutnie, w towarzystwie policjanta opuścił salę sądową – by dopiero po jedenastu miesiącach zjawić się znów na Czerniakowie.

TRADYCJA

Na robotniczych przedmieściach Warszawy istniała tradycja strzelania z „kalichlorku". Właściwe strzelanie zaczynało się w Wielką Sobotę wieczorem i trwało do niedzieli rana.

Strzelanie groziło śmiercią lub kalectwem, dlatego było policyjnie wzbronione i na pewien czas przed świętami nie wolno było sprzedawać materiałów wybuchowych, to jest soli chlorowej i siarki.

Był to rok 1939. Jak zwykle staliśmy wieczorem we czterech na rogu ulicy.

– No, chłopaki, święta idą – powiedziałem – czas pomyśleć o kalichlorku. Tradycję podtrzymać… Teraz jeszcze można wszędzie kupić, a już za dwa tygodnie tylko na lewo dostaniemy.

– Szkoda monety na przepłacanie – dodał Mały.

– Ile który kupuje? – zadałem konkretne pytanie. – Ja mam zamiar kupić cztery kilogramy, więc z siarką będzie pięć kilogramów.

– To ja kupuję tak samo – odpowiedział Mały.

Beton i Pajac nie chcieli być gorsi, więc uzgodniliśmy, że każdy z nas będzie miał po pięć kilogramów i razem robimy bomby. Wiadomo, że każdy z ferajny będzie miał przynajmniej kilogram – do tego dojdą „powstańcy", o których wiedzieliśmy, że też szykują się do świątecznego strzelania. Tydzień przed świętami wielkanocnymi zrobiliśmy cztery bomby dwa razy większe niż zwykle, żeby wypróbować, czy materiał jest w porządku, i jego siłę wybuchową. Każdy z nas miał oddać jeden strzał. Żeby nie robić poruty na własnej ulicy, postanowiliśmy strzelać na ulicy Nabielaka. Ulicę tę w ciągu ostatniego roku zabudowano nowymi domami i mieszkali na niej ludzie z „lepszej sfery", którzy nie znali jeszcze naszej tradycji.

Wyszukaliśmy duży, gładki granitowy kamień, którym uderzało się. z góry ładunek wybuchowy położony na jezdni, na takim samym kamieniu. Uderzyłem pierwszy. Bomba spłaszczyła się. ale nie wybuchła. Wyszukaliśmy dużo większy kamień. Po uderzeniu nastąpił Wybuch, po którym zadzwoniło mi w uszach… i cisza. Ogłuchłem. Tylko dym się rozwiał – już wali Mały. Gdy Beton ustawił się do strzelania, zauważyliśmy, że w nowych domach ludzie stoją we wszystkich oknach, a niektórzy wyskakując z bram pędzą do nas. Kiedy strzelał Pajac, ludzie ci już byli tuż przy nas, ale gdy ujrzeli uniesiony w górę olbrzymi kamień, zatrzymali się. Kiedy rozwiał się dym po wybuchu, nas już nie było – uciekliśmy na Mokotów.

Po moim powrocie do domu matka nie pytając wcale o to, czy to ja strzelałem, założyła mi mowę: że po jaką cholerę już strzelam, że pobiją mnie lokatorzy nowych domów albo mi jakiś pęknięty przy wybuchu kamień urwie nogę i będę przez całe życie żebrakiem.

– Mamuśka kochana! – odpowiedziałem. – Zobaczymy, jak oni będą skakać w sobotę, gdy na ulicę wyjdzie cała ferajna. Za chude uszy mają na to, żeby z nami zaczynać. My ich nie zaczepiamy i nie chcemy ich znać – ale niech oni też lepiej z nami wojny nie zaczynają.

W piątek wieczorem usiedliśmy do robienia bomb. Przedtem przygotowaliśmy sobie gazety i szmaty, wyproszone od matek i sąsiadek, które nie miały synów w wieku „strzelców". Produkcja bomb trwała kilka godzin. Ja mieszałem na stolnicy materiały wybuchowe i łyżką nakładałem na kawałki gazet, które inni znów obwiązywali szmatami, i po mocnym ściągnięciu, żeby ładunek był twardy, na końcu wiązali sznurkiem.

– Wyskocz, Mały, strzel raz – powiedziałem. – Zobaczymy, jaka jest siła wybuchu.

Mały wyszedł z jednym ładunkiem i po chwili już usłyszeliśmy jego wystrzał.

– Klawo wali! – stwierdziliśmy z zadowoleniem.

Umówiliśmy się, że strzelanie zaczynamy w sobotę o godzinie dwunastej w nocy.

– Tylko nie zapomnijcie napakować w uszy waty, bo Mały znów ogłuchł. No i stare portki na d…, nogi grubo owinięte szmatami i stare buty – bo się zniszczą.

W sobotę po południu wyszukaliśmy odpowiednie kamienie, które pochowaliśmy, żeby nam nikt nie zabrał, a wieczorem przy radiu i literku wódki, którą trzeba było wypić dla rozgrzewki i dodania sobie animuszu przy strzelaniu, czekaliśmy na godzinę dwunastą. O jedenastej rozpoczął się ruch na podwórzu. To „powstańcy" nie wytrzymali nerwowo i już szykowali się, nie czekając na umówioną godzinę.

– Kaziek! Właź na bramę! – słyszymy przez okno głos z podwórza. A brama to część parkanu ogradzającego podwórze.

– Podajcie mi kamień! – słychać znów głos. Po chwili usłyszeliśmy uderzenie kamienia o bruk podwórza.

– Tylko spłaszczyło – słychać głos pełen zawodu.

Równocześnie rozległ się szczęk otwieranych okien. To lokatorzy już połapali się, że w podwórzu wybuchnie pierwsza bomba, która zapoczątkuje nocne strzelanie, i otwierali okna, żeby szyby nie wypadły. Jeszcze kilka razy kamień uderzył o bruk… i wybuch oraz brzęk wybitych szyb z okien, które zaspany lokator zapomniał otworzyć. Po chwili byliśmy na ulicy.

Okazało się, że z naszej ulicy są już wszyscy od lat dwunastu do trzydziestu. Rozstawiliśmy się co dziesięć metrów. Nie będziemy sobie przeszkadzali i możemy strzelać jednocześnie. „Nasza ulica", Tatrzańska, ma nie więcej jak około dwustu metrów długości, więc po chwili na całej jej długości rozległy się detonacje. Strzelali wszyscy –

starsi, młodzi i ci najmłodsi, to znaczy „powstańcy”.

Bum! bum! – Bum, bum, bum! – Bum, bum! – Bum, bum, bum!

We wszystkich oknach nowych domów pozapalały się światła, lokatorzy stali w oknach i na balkonach. Kilka bab zaczęło nam wymyślać piskliwymi głosami. Na balkon nowego domu przy rogu Tatrzańskiej wyskoczył jakiś facet i wymyślając nam, zaczął strzelać z pistoletu. Na to jeden z „powstańców” krzyknął:

– Kogo chcesz, frajerze, straszyć tą pukawką? Ja i tak głośniej strzelę! – I mówiąc to już układał ładunek na jezdni, a po chwili nastąpił wybuch.

Po kilku minutach na rogu ulicy jakieś zamieszanie. To do chłopaków szura pewien gość, o którym wiedzieliśmy, że jest tajniakiem.

– Jak nie przestaniecie strzelać, to was zamknę – mówi tajniak.

– Spróbuj pan! Spróbuj pan ruszyć chociaż jednego, o, choćby tego najmniejszego – pokazuję na nagniotka, który nie miał więcej jak dwanaście lat.

– Do czego to podobne, taki huk w nocy robić! Spać nie dajecie, dziecko się obudziło!

– Jutro święta, wyśpisz się pan, a dziecko niech się przyzwyczaja do tradycji.

– Wy widocznie nie wiecie, kto ja jestem – odgraża się facet.

– „Pies” jesteś, to my wiemy. Ale tu u nas są lepsi i też się ich nie boimy – odezwał się Pajac..

– Niech tylko który strzeli jeszcze raz, to zobaczycie, co zrobię! – zawołał znów starszy tajniak.

W tym momencie nastąpił wybuch za jego plecami. To strzelił Sasa, jeden z najbardziej bojowych „powstańców”.

– No i co mi, frajerze, zrobisz? – zawołał po chwili Sasa zza naszych pleców.

Cała heca odbywała się w odległości jakichś dziesięciu metrów od rogu ulicy. W rozgardiaszu nikt nie pomyślał o tym, że jeden z nas powinien stać na rogu, by obserwować, co tam się dzieje. I dlatego policjantom udało się nas podejść. Zobaczyliśmy ich dopiero, gdy wyskoczyli zza rogu.

– Gliny!!! – wrzasnął ktoś ostrzegawczo, a my rozbiegliśmy się tak, jakby w środek piorun strzelił.

– Chłopaki, wiać!!! Gliny z drugiej strony! – krzyknął ktoś inny. To druga grupa policjantów wpadła od strony ulicy Górskiej.

Wtedy wszyscy rzucili się do ucieczki w jedyne bezpieczne miejsce, to jest do domu. Wpadliśmy w ciemne przejście między domami. Brama, podwórze, tupot nóg po ciemnych drewnianych schodach, trzaskania drzwiami… a po chwili idealna cisza. Dom śpi. Ucieczka po klatkach schodowych odbywała się w zupełnych

ciemnościach i słychać było tylko głosy lokatorów stojących w otwartych drzwiach swych mieszkań, jak zapraszali uciekających do siebie.

– Chłopaki, tutaj! – woła jeden. – Chodźcie tu! – woła ktoś inny. Wszystkie mieszkania były otwarte i każdy wpadał, do którego chciał. Policjanci z latarkami przeszli po wszystkich korytarzach, zajrzeli do ustępu, do piwnic, za śmietnik – postali chwilę na podwórzu i wyszli na ulicę. Wtedy my zeszliśmy się na korytarzu, żeby się naradzić, co dalej robić. Okazało się, że dwóch naszych chłopaków złapali. Uzgodniliśmy, że teraz strzelać będziemy tylko na rogu ulicy Nabielaka, bo bliżej domu, więc łatwiej uciec w fazie nalotu policji. Poza tym trzeba postrzelać trochę panu „tajnemu" i „obcym" z nowych domów, żeby ich przyzwyczaić do tradycji. Postanowiliśmy, że bomby zmagazynujemy w bramie i będą one podawane strzelcom systemem taśmowym – żeby w razie złapania nie znaleziono przy nikim materiałów wybuchowych.

– Chłopaki! Chodźta!!! Już gliny poszli! – zawołała z podwórza dozorczyni, która z naftową lampką sprawdziła na wszelki wypadek wszystkie zakamarki, czy nam przypadkiem nie podrzucili ze dwóch, trzech policjantów.

Po kilku minutach znów zaczęło się strzelanie. Teraz strzelało równocześnie tylko czterech lub pięciu chłopaków, a inni podawali bomby. Strzelaliśmy tak już prawie pół godziny. Nikt nam nie przeszkadzał, nie licząc wymyślań i przekleństw, które sypały się na nas ze strony „nowych". Wszystko szło składnie i sprawnie, gdy znów tradycję naszą w brutalny sposób naruszyła policja. Tym razem zjawili się na rowerach, jadąc cicho po chodniku tuż przy samych domach.

Spostrzegłem ich pierwszy, bo mimo waty w uszach już znowu ogłuchłem i stałem na drugim rogu ulicy, żeby ochłonąć trochę. Krzyknąłem ostrzegawczo i razem z innymi rzuciłem się do ucieczki w kierunku domu, a policjanci tuż przy nas zeskakiwali z rowerów. W ostatnim momencie ujrzałem, jak Mały podnosi kamień, by spowodować wybuch ładunku, który już leżał na jezdni.

I znów wszystko powtórzyło się jak poprzednio. Tupot, odgłos zatrzaskiwanych drzwi… i cisza. Tym razem, wyglądając przez okno, odniosłem wrażenie, że w sieni drugiego domu mamy „podrzutków". A znów ci, co obserwowali przez okna od ulicy, meldują, że poszli wszyscy. Co robić? – zastanawiamy się na korytarzu.

– Daj mi lampkę elektryczną, pójdę sprawdzić – zwrócił się do mnie Mały.

Obserwujemy wszyscy przez okna, jak Mały wychodzi za bramę i pomaleńku, cicho, na palcach podchodzi do sieni drugiego domu… Wreszcie stanął przed drzwiami, zapalił lampkę – i błyskawiczny zryw z powrotem do bramy, a tuż, tuż za jego plecami dwóch policjantów.

Ale jak oni mogli złapać chłopaka, który ma dwadzieścia lat i zna teren? Więc gdy tylko dopadł schodów, to już był dla nich stracony, bo kto tych schodów nie znał, po ciemku mógł się zabić na powyrywanych stopniach i połamanych poręczach.

I znów zaczęło się wszystko od nowa: strzelanie, nalot, ucieczka i – tym razem – wystawienie na stałe, do rana, posterunków na rogach ulicy i przed naszą bramą. Gdy policjanci zapytali dozorczynię, czy nie wie, kto strzela, ta dopiero wyjechała na nich z twarzą:

– A czy to ja jestem do pilnowania, kto strzela? A pilnujta ich sobie sami! To jak ja mogę raz w roku pospać sobie, bo nie muszę zamykać bramy, to myślita, że będę pilnowała, kto strzela? A zresztą niech sobie chłopaki postrzelają – tradycja!

I znów, jak zwykle, kłopot z nowymi. W naszym domu na parterze zamieszkała nowa lokatorka, której też zaczęło przeszkadzać strzelanie. Zaczęła kapować, kto strzela. Złapaliśmy jedną bombę i rzuciliśmy pod jej okno. Zrobiło się jasno jak przy magnezji. Baba klnie, my się cieszymy – i zabawa na całą kamienicę. Położyłem drugą bombę na kamień, przytrzasnąłem głazem – wybuch! W uszach zagwizdało, rozdzwoniło się, znów poleciała jakaś szyba, ale tego już nie słyszałem, bo znów ogłuchłem.

– „Nowa” płacze! – wrzasnął mi do ucha Mały.

– No to dajmy już jej spokój, niech i ona ma święta.

Tak więc płacz jednej baby przerwał wesołą rozrywkę lokatorom całej kamienicy i wreszcie ogłuszeni, z postrzępionymi spodniami wróciliśmy do domu.

W domu matka powiedziała mi, że rozmawiała z policjantami. Tłumaczyli się, że im by to strzelanie nie przeszkadzało, ale w komisariacie urywały się telefony z wymyślaniami i pytaniami: „Gdzie jest policja? Jak można na coś takiego pozwalać?”

W niedzielę wieczorem, siedząc przy świątecznej zakąsce, zastanawialiśmy się nad dziwną naturą ludzi, którym nie podobała się taka piękna tradycja, obchodzona uroczyście każdego roku. Lokatorka z parteru, „nowa”, której strzeliłem pod oknem, mówiła do jednej sąsiadki:

Tak, moja pani, byłam w kościele na rezurekcji i modliłam się do Pana Boga, żeby tych s…synów szlag nareszcie trafił za to, że strzelali mi pod oknem i całą noc nie dali spać.

PIES

Gdy wyszedłem na ulicę, na rogu stało już trzech kumpli: Maniek, Edek i Bolek.

– Klawo, że przyszedłeś – ucieszyli się chłopaki. – Mamy chęć wypić po kropelce, a razem zebraliśmy tylko osiemdziesiąt groszy. Postaw pół literka…

– Musicie obejść się smakiem – odpowiedziałem. – Ja też dzisiaj jestem bez grosza.

– Ciekawe życie, jak pragnę wolności! We czterech nie mamy nawet na pół litra.

– Matka by mi pożyczyła – powiedział Bolek – ale przecież nie będę jechał na Piastową po dwa złote.

– No bo musiałeś się, frajerze głupi, wyprowadzić na prowincję.

– Sprzedaj swoją Azę – poradziłem Mańkowi – i będzie forsa. Przecież to rasowy doberman. Jak mądra, to wróci do domu, a jak nie wróci, to znaczy, że głupia. A jak głupia, to niech ją cholera weźmie, nie warto takiemu psu zryć dawać.

– Wiecie, chłopaki? To jest dobra myśl – ucieszył się Maniek. – Azy nie sprzedam, bo ojciec by mnie chyba zabił, ale ona ma teraz zapotrzebowanie na męża i cała sfora psów przez całą dobę łazi nam pod ogródkiem. Jeden jest szczególnie uparty. Siedzi dzień i noc, nawet chyba nic nie żre, bo ile razy przechodzę, on zawsze siedzi.

– A ładny chociaż? – zapytałem. – Rasowy czy zwyczajny kundel?

– Diabli go wiedzą. Mały, kudłaty, a na tych kudłatych rasach to ja się nie znam.

– Chodźmy – zaproponował Edek. – Zobaczymy, czy jeszcze jest.

Podeszliśmy kawałek do bramy, gdzie w małym, własnym domku mieszkała rodzina Mańka. W maleńkim ogródku, uwiązana na łańcuchu przy budzie, leżała Aza i obserwowała psy, których kilka kręciło się przy siatkowym ogrodzeniu.

– O, to ten – powiedział Maniek, pokazując nam małego, rudego psa. „Śliczny piesek – pomyślałem – sam bym takiego trzymał w domu”.

Jeden pęczek rudych kłaków – to właśnie cały pies.

– Dajmy, chłopaki, spokój, to jest chyba rasowy pies – założyłem mowę. – Na pewno z tych nowych domów. Zobaczy jeszcze kto i będzie draka, a po co nam to?

Ale chłopaki już się zapalili do pieska i możliwości zdobycia pieniędzy. Starałem się ich zniechęcić.

– Kto od was kupi tego psa? – mówiłem.

Gdy wracaliśmy na miejsce naszego stałego „urzędowania”, Bolek stuknął się ręką w czoło.

– Chłopaki, mam dobry plan! – zawołał uradowany. – Wszyscy będą zadowoleni. Na Mokotowie mam ciotkę. Ta ciotka – to stara panna. Chowa psy, koty i każdą zwierzynę, którą można trzymać w domu. Więc zabierzemy tego kudłacza, ja pójdę z nim do ciotki i powiem, że chcę go kupić. Za ile można kupić takiego psa, żeby było tanio? – zapytał nas Bolek.

– Powiedz, że za pięć złotych – zaproponował Maniek.

– No więc dobrze, powiem ciotce, że trafia mi się tanio taki ładny piesek, za jedne pięć złotych. Ale ja nie mam pieniędzy, więc niech kochana ciotunia pożyczy do jutra. Powiem ciotce, że mam być jeszcze w kilku miejscach, więc nie będę psa z sobą woził.

– No, a co dalej? – zapytałem, ciekawy, co też on wymyślił.

– Co dalej? – powtórzył Bolek z namysłem. – Jutro po pracy przychodzę do cioci, oddaję pięć złotych, biorę psa pod pachę, przynoszę do Mańka i puszczam w tym samym miejscu, z którego dzisiaj zabiorę. No co? Zły plan? – zapytał uradowany, że wszystko to przecież takie proste i prawie uczciwe. Wypożyczy się tylko pieska na dobę, przecież Maniek mówi, że on tu już kilka dni tak siedzi pod płotem.

– Więc sprawa załatwiona. Skocz, Maniek, do domu i przynieś kawałek sznurka. Trzeba psa uwiązać, żeby nam nie uciekł.

Maniek wrócił po chwili, na rękach niósł psa. Zawiązaliśmy na jego szyi sznur odcięty z dużego kłębka; służył matce Mańka do wieszania bielizny. Teraz już wszyscy razem poszliśmy na Mokotów.

Pod bramą Maniek postawił psa na chodniku, a Bolek wziął sznur do ręki, aby z psem wejść na klatkę schodową. Ale on zaparł się nogami w ziemię. A ciocia mieszka na trzecim piętrze. Gdy Bolek chciał go wziąć na ręce, pies zaczął warczeć ostrzegawczo i kłapnął kilka razy zębami.

– Ja się boję brać tego drania na ręce! – woła Bolek. – Chodź, Maniek, ze mną na górę do ciotki. Powiesz, że to ty sprzedajesz tego psa, on z tobą pójdzie.

– Nie chcę! – odpowiedział Maniek szybko. – Mam iść po to, żeby od ciotki dostać pogrzebaczem po łbie? Nie ma głupich, idź sam, ty już wiesz, jak z nią gadać.

– Ale on ze mną nie chce iść! Nie widzisz, co to szczenię wyrabia? Z zębami skacze! Ciekawe, dlaczego za tobą idzie?

– Bo mnie suką czuć, frajerze, nie rozumiesz tego?

Maniek wszedł do bramy, a pies za nim, tuż przy nodze. Wyszedł z powrotem – pies także. A gdy ciągnie go Bolek, nie chce iść i warczy.

– Dobrze, pójdę z tobą – zdecydował się Maniek – ale tylko do drzwi. Dalej już musisz sobie radzić sam.

Bolek trzymał sznur, a pies poszedł za Mankiem, jak wąż za czarodziejską fujarką. Gdy podeszli pod drzwi, Bolek zapukał, a

Maniek szybko uciekł na dół. Z niższego piętra widział tylko, że drzwi się otworzyły i że Bolek siłą wciągnął psa do mieszkania.

Przyniesie forsę czy nie przyniesie? Będzie wódka czy nie będzie? – zastanawialiśmy się, spacerując pod bramą. Minęło już dwadzieścia minut, a Bolek nie wychodzi.

– Może dostał forsę i zastanawia się, czy warto teraz wyjść do nas? – powiedział Edek.

– Nie wygłupiaj się – zgasił go Maniek. – Bolka nie znasz? Taki siup to nie na jego charakter. Zobaczycie, forsa będzie.

Posłyszeliśmy szybki tupot nóg na schodach i już po chwili Bolek był z nami, z zadowoleniem podrzucając na dłoni pięciozłotową monetę. Wrzasnęliśmy z radości.

– Jak poszło z ciocią? – zapytałem.

– Wszystko dobrze. Obiecałem, że jutro odniosę pieniądze i zabiorę psa do domu, do Piastowa. Ciotka dała mu jeść i dziwiła się, dlaczego on taki głodny. Gdy wychodziłem, to już grzała wodę, żeby go wykąpać. Uwiązała psa do nogi łóżka, a swojego do szafy, żeby się nie pogryzły, ale chyba niepotrzebnie, bo merdały do siebie ogonami. Kota też nasz pies się nie bał.

To jest na pewno pies z dobrego domu. No nic, jutro go odbiorę i niech sobie idzie do swojego domu.

Gdy spotkałem Bolka po dwóch tygodniach, zapytałem go, czy prawidłowo załatwił sprawę pieska i cioci.

– Daj mi spokój z pieskiem! – odpowiedział zakłopotany. – Zmartwienia sobie tylko narobiłem. Wyobraź sobie, następnego dnia, tak jak było umówione, oddałem cioci forsę i zabrałem psa, którego przyniosłem i wypuściłem pod bramą Mańka. Był przez ciocię umyty, wyczesany i nakarmiony. Aż żal mi było puszczać go na ulicę – taki był śliczny. I wyobraź sobie, w niedzielę zjawia się u nas w Piastowie ciocia i prowadzi na smyczy tego psa.

– Co jest z tym twoim psem? – pyta mnie. – Jakim sposobem on zjawił się u mnie?

Powiedziałem ciotce, że na ulicy pies mi uciekł i nie dał się złapać, więc nic już w domu nie mówiłem, że kupiłem psa.

– Po co nam pies? – wołali rodzice. – Kto go będzie wyprowadzał dwa razy dziennie?

W poniedziałek zabrałem psa i wypuściłem w tym samym miejscu, a przedwczoraj znów ciocia przywiozła go do mnie do Piastowa. Mówiłem, że mi znowu uciekł, ale czuję, że mi nie wierzą. Przekonałem starych, zgodzili się, żeby pies został w domu.

– Wyszło tak – zakończył Bolek – że wódkę piliśmy razem, a psa będę chował sam. No i w dodatku okazało się, że ja tego psa ukradłem.

PRZYSPOSOBIENIE WOJSKOWE

Nie znosiłem bezwzględnej dyscypliny, która pozbawia człowieka własnej inicjatywy. Dyscypliny, która każe prężyć się przed innym człowiekiem, mimo że uważa się go za głupszego od siebie. Natomiast chętnie podporządkowuję się poleceniom takiego człowieka, który potrafi zaimponować mi wiedzą i twardym charakterem. Toteż nigdy dobrowolnie nie należałem do żadnej organizacji, która mogłaby w czymkolwiek krępować moją swobodę. W latach dziecięcych namówiono mnie, żebym się zapisał do harcerzy. Byłem tylko na jednej zbiórce, i to nie na całej. Nie podobało mi się stawanie na baczność przed takim samym jak ja oraz nauka meldowania i salutowania. W grupie swoich rówieśników byłem zawsze prowodyrem – wtedy gdy bawiliśmy się w policjantów i złodziei, jak również wtedy, gdy naprawdę robiliśmy rozróbkę. Chłopaki wierzyli we mnie, że nigdy nie nawalę, nie wydam i że nie wysiadam w momentach grożącego niebezpieczeństwa. A tu każą stawać na baczność i meldować się „posłusznie" przed jakimś maminsynkiem, którego na ulicy nie chciałbym uznać za swego kolegę. Więc po godzinie takiej zabawy ulotniłem się i więcej mnie na zbiórce nie zobaczyli.

Po raz drugi z bezwzględną dyscypliną zetknąłem się w fabryce. Przy przyjmowaniu do pracy automatycznie zostałem wciągnięty do przysposobienia wojskowego, do którego musieli należeć wszyscy pracownicy przedpoborowi. Był więc pierwszy i drugi stopień oraz tak zwana rezerwa, tak że do czasu rozpoczęcia służby wojskowej każdy z nas miał zagwarantowane zajęcie w sobotę, dwie godziny, i w czasie każdego urlopu, bo obowiązkowo wysyłano wszystkich na obóz.

Przez pięć lat pracy w fabryce nie wyszedłem z pierwszego stopnia.

Wiedziałem, że muszę należeć do przysposobienia aż do służby wojskowej, więc było mi obojętne, na którym jestem stopniu, a żeby „awansować", należało przychodzić na każde ćwiczenia i wykazać się dobrymi wynikami. Migałem się więc od zbiórek, ćwiczeń i obozów, a jak byłem już na obozie, to tam też migałem się od wszelkich zajęć. Nie chciałem też chodzić w mundurze. Bo to niby wojsko, a właściwie zabawa w wojsko. Trzeba było salutować oficerom, a w ogóle wyglądało to bardzo dziecinnie i niepoważnie. Mundur zakładałem tylko na zbiórki. Trzymałem go zawsze w swojej szafce na oddziale, a po ćwiczeniach przebierałem się i już po cywilnemu wracałem do domu. Najlepiej było wtedy, gdy zamiast ćwiczeń robiono wykłady. Zawsze znalazłem sobie zajęcie ciekawsze od słuchania tego, co nam wykładano. Przeważnie siadałem w kącie za jakimś dryblasem i

czytałem książkę.

Jak wspominałem, wszyscy przedpoborowi pracownicy fabryki musieli spędzać urlop na obozach szkolenia wojskowego. Tak więc w zasadzie wszystkie urlopy były stracone. Czy naprawdę stracone? Nie. Mnie dały one bardzo dużo. Siedząc w Warszawie nigdy nie dowiedziałbym się tego, czemu miałem możność przyjrzeć się dokładnie na obozach. Przyjrzeć się i… wyciągnąć wnioski. Byłem na trzech obozach – z dwóch wymigałem się symulując nie istniejącą chorobę nadkwasoty żołądka.

Na pierwszy obóz jechałem chętnie. To był 1934 rok. Pracowałem dopiero dwa miesiące w fabryce, więc wszystko było dla mnie nowe i ciekawe. Dotychczas widziałem tylko wieś rodzinną ojca i wieś pod Warszawą, gdzie z rodzicami spędzaliśmy wakacje. Teraz wyjeżdżałem w charakterze dorosłego człowieka, razem z innymi, starszymi ode mnie. Wydano nam plecaki, menażki, brązowe nieprzemakalne peleryny, takie, jakie nosili pracownicy poczty, maski przeciwgazowe i łopatki saperskie. W dniu odjazdu wydano nam karabiny. Były to długie „rury" francuskie z okresu pierwszej wojny światowej. Przed wyjazdem komendant obozu miał do nas przemowę.

– Jedziemy w okolicę Działdowa – zaczął. – Ludność miejscowa to przeważnie Niemcy, wrogo nastawieni do Polaków. Kto ma broń, nawet bez zezwolenia, niech ze sobą zabiera. Z obozu nie oddalać się pojedynczo, bo mogą uśmiercić, wrzucić w kartofle i nieprędko odszuka się trupa. Zdarzają się wypadki, że znikają żołnierze odbywający służbę na granicy. Za granicę nie poszedł, nie zdezerterował, nie umarł – i nie ma go.

Od stacji kolejowej szliśmy jeszcze z całym majdanem na plecach cztery kilometry, zanim – już po ciemku – dotarliśmy do obozu. Namioty były już ustawione. Były to hangary lotnicze. W jednym namiocie mieszkało sześćdziesięciu chłopaków. Sienniki ułożone były na ziemi, a karabiny ustawiliśmy w specjalnych stojakach. Każdy miał swój karabin – z zapisanym numerem – o który musiał dbać.

Komendant obozu, oficerowie i podoficerowie to pracownicy fabryki, którzy byli oficerami i podoficerami rezerwy. Zakładali mundury i bawili się w wojsko, ganiając nas bez przerwy. Każdy starał się wymyślić coś nowego, czym można by udręczyć biednych chłopaków na urlopie.

Następnego dnia rano pobudka, mycie w przepływającym w pobliżu strumieniu, śniadanie, karabiny na plecy i wymarsz na ćwiczenia. Śpiewając wojskowe piosenki, wyszliśmy na odległy o dwa kilometry od obozu ugór, tuż pod lasem. Uczono nas szermierki. „Raz pchnij – dwa razy pchnij! – raz pchnij – dwa razy pchnij!" – padał co chwila rozkaz, a my skakaliśmy, wystawiając przed siebie karabin.

– Przerwa, wolno palić! – padł rozkaz, gdy już dość długo

ćwiczyliśmy i byliśmy porządnie zmęczeni. Wszyscy usiedli i zapalili papierosy, a ja z „rurą" pod pachą, idąc pomaleńku przed siebie, tak jakbym czegoś szukał, kombinowałem, jak urwać się do lasu. Wreszcie wpadłem na pomysł. Odpiąłem pas, który zawiesiłem sobie na szyi, i odpinając spodnie wszedłem do lasu. Żeby nie było poruty, gdyby ktoś jeszcze poszedł za mną, zrobiłem to, co należało zrobić stosownie do przygotowania, a jakże, postanowiłem jednak robić to dłużej niż normalnie. Gdy odgwizdano koniec przerwy, wtedy i ja przerwałem swoje zajęcie, położyłem się w krzakach na skraju lasu i obserwowałem, jak gonią chłopaków za „lenistwo" przy nauce szermierki. „Biegiem marsz! Padnij! Powstań! Biegiem marsz! Padnij! Czołgaj się! Powstań!" – i tak w kółko bez przerwy. Poleżałem tak pół godziny, już odgwizdano drugą przerwę i nikt nie zainteresował się, dlaczego nie wyszedłem z lasu. Nikt po prostu już o mnie nie pamiętał. „No, to klawo – pomyślałem – możemy iść na spacer. Możemy, to znaczy ja i mój karabin. Ale co zrobić z karabinem?"

Postanowiłem spróbować dostać się do obozu i zamelinować karabin w namiocie. Warta pilnuje tylko, żeby nikt obcy nie wszedł do obozu, a nam wolno wchodzić i wychodzić. Więc wszystko powinno być dobrze. Tu już raczej bardziej niebezpieczny może być oficer plączący się po terenie obozu, bo przyjechało ich do cholery i ciut, ciut i nie mają nic do roboty.

Okrążyłem obóz i wszedłem od strony swojego namiotu. Gdy zbliżyłem się do wartownika, zacząłem mocno kuleć.

– Co ci się stało? – zapytał, gdy już byłem przy nim.

– Nogę, cholera, starłem i wygnali mnie do obozu – odpowiedziałem i kulejąc poczłapałem dalej. Kryjąc wzdłuż nogi karabin wszedłem do swego namiotu.

W namiocie nie było nikogo, ale zauważyłem, że w stojakach stoi kilka karabinów, to znaczy, że nie wszyscy poszli na ćwiczenia. Olśniło mnie – więc można urywać się od ćwiczeń! Ci, co pozostali, pracowali przy kuchni i uporządkowaniu obozu. Mógłbym przyłączyć się do nich – ale po co? Dla pewności, żeby ktoś nie zapisał numerów pozostawionych w namiocie karabinów, swój schowałem pod siennik i tą samą drogą, którą przyszedłem, wróciłem znów do lasu. Idąc tak, wyszedłem nad piękne, olbrzymie jezioro. Daleko od brzegu pływały po nim perkozy. Położyłem się w gęstej, wysokiej trawie i rozkoszowałem się pięknem przyrody, myśląc równocześnie o kolegach, którzy na słońcu, w spiekocie, w zapiętych po szyję mundurach muszą ćwiczyć „padnij, powstań, biegiem marsz" albo „raz pchnij, dwa razy pchnij". I to ma być urlop? „Cholery na nich nie ma" • pomyślałem o dyrekcji fabryki i tych niby oficerach, którzy mieli przyjemność gonić nas jak bydło po ugorze.

Poszedłem znów popatrzyć, jak ćwiczą. Przyglądałem się leżąc w

lesie pod krzakiem. A gdy zakończono ćwiczenia i wszyscy wrócili do obozu na obiad, przyszedłem dziesięć minut po nich i spokojnie łaziłem, tak jak wielu innych, po obozie. Zaraz po zjedzeniu obiadu i umyciu menażki urwałem się do lasu i, tak jak przed południem, leżałem nad jeziorem. Tym razem jednak odszedłem dalej, rozebrałem się do naga i opalałem się na słońcu, a co pewien czas zażywałem kąpieli w jeziorze. Przed wieczorem polowałem pod obozem na powrót chłopaków z ćwiczeń i zaraz za nimi wszedłem do obozu. Po kolacji kilku starszych kolegów poprosiło o przepustki do miasteczka. Gdy wychodzili, przyłączyłem się do nich i poszliśmy razem.

Pierwszym godnym zwiedzenia obiektem była knajpa. Koledzy poprosili o wódkę i zakąskę, ja nie chciałem pić. Nie miałem pieniędzy, bo na osobiste wydatki wziąłem z sobą tylko osiem złotych, więc nie mógłbym dołożyć swojej doli do rachunku. Wkrótce po nas przyszły jeszcze dwie grupy chłopaków, tak że razem było nas chyba ze dwadzieścia osób. Jak sobie popili, zaczęli śpiewać wojskowe piosenki. W tym czasie knajpa się zapełniła, przyszło dużo miejscowych chłopów. Jedni siedzieli przy stolikach, inni stali przy drzwiach i pod ścianami, obserwując, jak „Warszawa bawi się".

Ktoś zaśpiewał *Rotę*. Wszyscy podchwycili melodię i już po chwili cała knajpa drżała od śpiewu: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz". W porównaniu z innymi byłem przeraźliwie trzeźwy, więc widziałem, jak miejscowi chłopi patrzyli na nas spode łba i żaden nie otworzył gęby, żeby śpiewać razem z nami. Jeden z nich nie zdjął czapki, więc po chwili dostał w ucho od jednego z naszych i czapka spadła na podłogę.

– Nie rusz, chamie! – wrzasnął kolega, gdy tamten schylił się, by podnieść czapkę z ziemi. A wszyscy śpiewali dalej.

Gdy skończyliśmy *Rotę,* kolega nalał szklankę wódki i zaniósł temu, któremu przed chwilą zrzucił czapkę:

– Masz, pij! – powiedział, podając mu wódkę. – A na przyszłość pamiętaj, że przy tej melodii należy zdejmować czapkę z głowy. No, masz, pij – nalegał, gdy tamten nie chciał wziąć szklanki, wbijając w niego wzrok, który powinien zabijać.

– Co? Nie chcesz? – zapytał znów grzecznie, przekładając szklankę do lewej ręki, a prawą wyjmując z kieszeni pistolet. – Pij, bo cię, chamie, zastrzelę! – wrzasnął, wciskając chłopu lufę pistoletu w brzuch.

Chłop popatrzył chwilę, wziął szklankę, wypił i natychmiast wyszedł z knajpy.

Towarzystwo bawi się. Wszyscy już pijani w deseczkę. Sierżant płacze i opowiada przeżycia z wojny 1920 roku.

– To ja widzę, że pan sierżant jest sentymentalistą – powiedział jeden z siedzących przy stoliku.

– Tak, tak, sentymentalistą jestem, sentymentalistą – odpowiedział sierżant pijackim głosem.

Wtedy wtrąciłem się:

– A wie pan, panie sierżancie, co to jest sentymentalistą? – I nie czekając na odpowiedź wyjaśniłem sam: – Sentymentalistą to taki człowiek, który nawet jak…, to płacze.

Wszyscy głośno się roześmieli, a sierżant krzyknął: – Byczy chłopak jesteś, młody, ale równy! Pół litra wódki proszę! – zawołał na kelnera. – To za sentymentalistę, który nawet jak…, to płacze. Od tej wódki już nie mogłem się wykręcić, więc wypiłem jeden kieliszek. Zabawa trwała w najlepsze, gdy do knajpy weszło kilkunastu naszych chłopaków z karabinami, w czapkach z opuszczonymi pod brodę paskami i wygarnęli wszystkich obozowiczów. Sierżanta całą powrotną drogę niesiono na ramionach, bo już sto metrów za knajpą nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Całą drogę śpiewał i wymyślał. Była godzina dwunasta w nocy, gdy dochodziliśmy do obozu.

Następnego dnia urwałem się zaraz po śniadaniu i poszedłem do miasteczka, z którego wróciłem już po kolacji. Po obejrzeniu miasteczka wszedłem do jakiejś chałupy, żeby kupić mleka. Zanim wszedłem, przeczytałem na tabliczce przybitej na ścianie czysto polskie nazwisko właściciela. Nie omyliłem się. Okazało się, że była to jedna z polskich rodzin mieszkających w tym miasteczku. Przesiedziałem u nich cały dzień. Rodzina składała się z matki, syna i młodszej od niego córki. Przyjemna domowa atmosfera i młoda panna w domu były przyczyną, że każdego dnia zaraz po śniadaniu szedłem do nich i wracałem dopiero po kolacji, a w obozie nikt się nie połapał, że nie ma mnie na żadnych ćwiczeniach.

Pewnego dnia po powrocie do obozu dowiedziałem się, że następnego dnia będzie zdawanie egzaminu na „Odznakę Sportową” i „Odznakę Strzelecką”. Tego dnia zostałem w obozie. Słusznie podejrzewałem, że będzie się to odbywało według listy uczestników obozu. Zdałem z dobrym wynikiem konkurencję na „Odznakę Sportową”, a na strzelnicy zarobiłem 95 punktów na 100 możliwych, strzelając z odległości 100 metrów do dużej tarczy z karabinu sportowego.

Na kolację wydano nam tego dnia zupę, którą trudno było nazwać zupą. Nie dogotowane kartofle i mętna woda bez żadnego smaku. Zupa nie smakowała mi, ale zjadłem ją szybko, bo byłem głodny.

Ale inni zaczęli szumieć.

– Świniom dają lepsze jedzenie! – wołali jedni.

– Sobie gotują osobno, a nam świńskie żarcie dają! – wtórowali inni.

– Chłopaki, wylewamy zupę! – krzyknął jeden i wylał zupę przed namiot.

Innym też spodobała się taka zabawa i zaczęli wylewać zawartość menażek. Po chwili z innych namiotów też bryzgała wylewana zupa. Zjawił się komendant w otoczeniu całej plejady oficerów, oficerków i innych pomagierów. Blady ze złości, zapytał, o co nam chodzi.

– Niedobra zupa – odpowiedzieli wszyscy.

– Czy oficerowie też jedli tę zupę na kolację? – zapytał ktoś stojący z tyłu.

– Kto to powiedział? – zapytał komendant grzecznie. – Niech wyjdzie do przodu i powtórzy jeszcze raz.

– Nie ma głupich – odezwałem się patrząc w inną stronę. Cała ta draka cieszyła mnie. Nareszcie jakieś urozmaicenie. Coś się wreszcie dzieje.

– Kto to powiedział? – wrzasnął komendant, przeszywając wszystkich groźnym spojrzeniem. A że nikt się nie przyznał, zaczął przemowę:

– Niech przyznają się ci, którzy nawoływali do wylewania zupy. Czekam trzy minuty. Jeśli się nie przyznają sami i nikt ich nie wskaże, zrobię karne ćwiczenia dla całego obozu.

Wszyscy staliśmy cicho, a komendant patrzył na zegarek.

– Więc winnych nie ma? – zapytał po upływie trzech minut. – Wobec tego zbiórka całego obozu z karabinami i maskami przeciwgazowymi!

Po chwili staliśmy już na placu zbiórek.

Uformowano nas w czwórki i marsz do lasu. Przeszliśmy zaledwie pięćdziesiąt metrów, gdy padł rozkaz: „Lotnik, kryj się, prawa wolna". A po lewej stronie drogi olbrzymia kałuża. Przeskoczyłem przez kałużę i zniknąłem w lesie. Przecież miałem już wprawę i wiedziałem, że cały figiel polega na zniknięciu i dołączeniu później do grupy. Gdy byłem już w lesie, słyszałem jeszcze rozkazy: „Padnij, powstań", i głos gwizdka na rozkaz: „Lotnik, kryj się". Tym razem ostrożnie wróciłem do obozu. W namiocie nie było żadnego karabinu. Swój jak zwykle schowałem pod siennik – a sam najnormalniej w świecie rozebrałem się i położyłem spać. O godzinie jedenastej wieczorem obudził mnie gwar powracających kolegów. Wszyscy byli oblepieni błotem, bo poprzedniego dnia padał duży deszcz. Dostali chłopaki solidny wycisk.

Rozpadały się deszcze. Lało z nieba przez cały tydzień, w dzień i w nocy. Przez radio i z prasy wiedzieliśmy o powodziach spowodowanych deszczami. W obozie przerwano ćwiczenia wojskowe, więc przez trzy dni siedziałem u swoich znajomych w miasteczku, nie wracając nawet na noc do obozu. Gdy wróciłem, znalazło się kilku „bohaterów", którzy chcieli mi zrobić kocowanie. Jeden zarzucił mi koc na głowę, a inni zaczęli bić. Wyrwałem się im i zdążyłem zauważyć kilku z tych, którzy mnie bili, nim zdążyli ulokować się na swoich siennikach. Wściekłem się, złapałem karabin za lufę i teraz ja

zacząłem bić. Goniłem i biłem tak, że uciekli z namiotu. Zanim położyłem się spać, powiedziałem chłopakom:

– Niech się wam nie zdaje, że jak wy macie po dwadzieścia lat, a ja szesnaście, to tak łatwo dacie mi radę. Ja draki nie szukam, ale ostrzegam was, że jak mnie który uderzy, to pożałuje tego.

Położyłem się i usnąłem. Nikt mnie więcej nie ruszył. Następnego dnia kolega powiedział mi, że on dopiero w ostatniej chwili dowiedział się, że kilku frajerów umówiło się, że mi wleją za to, że nie chodzę na ćwiczenia.

„Głupie barany – pomyślałem. – Sami boją się urwać z ćwiczeń, a drugiego chcą bić za to, że potrafi markierować lepiej niż oni. A w dodatku kupą na jednego. Kocowanie powinno się robić takim, za których przewinienia karani są wszyscy, no i kapusiom".

Ostatnie dwa dni pobytu na obozie były znowu piękne i słoneczne, ale już szykowaliśmy się do odjazdu. Wreszcie wymarsz na dworzec i powrót do Warszawy. Na tej „zabawie" straciłem zarobek za pół miesiąca, bo na rzecz wyjazdu dano mi urlop bezpłatny.

W lipcu 1936 roku spędziłem urlop też na obozie PW. Jechaliśmy w góry, które miałem zobaczyć pierwszy raz w życiu. O pięknie gór słyszałem tak dużo, że wcale nie starałem się wymigać od wyjazdu. Tym razem nie wydano nam żadnego sprzętu. Każdy ładował w swoją walizkę wszystko to, co mu przez dwa tygodnie pobytu na obozie będzie niezbędnie potrzebne, do tego własna menażka i koc przywiązany do walizki. Cały majdan na samochód, a my luzem, bez żadnego obciążenia, piechotką na dworzec. Pociągiem dojechaliśmy do Kołomyi i dalej znów piechotką do miejscowości Piatyń koło Kosowa. „Mały" spacerek, trzydzieści kilometrów dobrą szosą.

Przed odjazdem – jak zwykle – przemowa komendanta do narodu. Widocznie to już weszło w tradycję, że trzeba chłopaków ostrzec przed grożącym niebezpieczeństwem. „Nie należy zawierać żadnych znajomości z miejscową ludnością – mówił komendant. – Cała tamtejsza ludność to Ukraińcy, nastawieni wrogo do Polaków. Komuniści i bandyci. W miejscowości, do której jedziemy, przed kilkoma dniami miał miejsce napad miejscowej bandy opryszków na magazyn broni obozu PW. Zabrano dużo karabinów i obecnie policja szuka skradzionej broni. Uważać trzeba, żeby nie dopuścić do nowego napadu. Wartownikom wydawana będzie ostra amunicja, strzelać należy do każdego, kto nie znając hasła znajdzie się w nocy w pobliżu obozu. Poza tym należy unikać kontaktów z miejscowymi kobietami, bo osiemdziesiąt procent miejscowej ludności choruje na kiłę".

Komendant mówił też, że ludność nie chce się leczyć. Że chorzy na kiłę zawierają między sobą związki małżeńskie, następnie rodzą chore dzieci i… dobrze im z tym. „Wy jednak – zakończył komendant swoje przemówienie – musicie uważać, bo jak który «kupi» chorobę,

to tam nie będzie leczony. Wsadzimy takiego do pociągu i odeślemy do Warszawy."

„Jakaś tryfna miejscowość – pomyślałem. – Ale to nic. Zobaczę na miejscu, ile w tym prawdy".

Przed wyjazdem apelowano do nas, że jeśli ktoś ma jakiś instrument muzyczny, żeby go zabrał ze sobą. Wobec tego zabrałem swoje „drewno", to znaczy bandżolę, a inni koledzy gitarę i skrzypce. Siedzieliśmy w jednym przedziale i graliśmy razem, więc po kilku godzinach byliśmy już dobrze zgrani.

– Kołomyja! Wysiadać! – usłyszeliśmy wreszcie po wielu godzinach podróży. Ustawiono nas w szeregi, odliczono – i marsz! Jakiś „figus" z gwiazdką na ramieniu kazał „tym z instrumentami" iść na przedzie i grać marsze. Nieźle, co? Wszyscy będą maszerowali swobodnie, bo po walizy przyjechały wozy, a my mamy nieść instrumenty i w dodatku jeszcze grać! Przeszliśmy nie więcej jak dwa kilometry, gdy minęły nas wozy załadowane walizkami, a na każdym wozie siedziało dwóch naszych chłopaków.

– Popatrz, Marian, na szczęściarzy – zwróciłem się do gitarzysty, stuknąwszy go łokciem w bok. – Takim to dobrze, a my musimy iść i jeszcze grać innym. Ja skaczę na wóz – powiedziałem chłopakom i ruszyłem do przodu w pogoń za ostatnim wozem. Za plecami słyszałem tupot nóg kilku osób. To za mną wskoczył Marian ze skrzypcami, Heniek z gitarą i jeszcze dwóch bez instrumentów.

– Wróć! Wróć! Wróć! – słyszałem za sobą czyjeś wołanie.

– Nie oglądajcie się, bo będzie poruta – zawołałem na kolegów. – Później powiemy, że nic nie słyszeliśmy. A teraz jedziemy, panie sałata!" Wio!!!

Po przejechaniu kilometra wozy zjechały na boczną drogę.

– Jak to jest? – zapytałem woźnicy. – Mówili, że do samego Piatynia prowadzi dobra szosa, a tu widzę wertepy.

– Tą drogą będzie nawet trochę dalej, ale szosą jest często pod górę i konie mogą nie uciągnąć – odpowiedział furman.

Gdy dojechaliśmy do pierwszej wsi, wozy zatrzymały się, żeby dać koniom kilka minut odpoczynku. Marian wszedł do chałupy, a po chwili wyszedł wołając:

– Chodźcie, chłopaki, na zsiadłe mleko! A zabierzcie „graty", to zagramy ludziom.

Zagraliśmy dwie piosenki, zapłaciliśmy za mleko, wychodzimy i… nie ma wozów. Pojechali, dranie, a nas nie zawołali! Chłopaki klęli, a ja usiadłem przy drodze i zacząłem się serdecznie śmiać. Śmiałem się, bo bawiła mnie złość kolegów i to, że w taki prosty sposób zostaliśmy wykiwani. Prosty sztos, ale dobry. Zostawili nas, pięciu, na bocznej drodze, tych właśnie pięciu, którzy im „na chama" wleźli na wóz, z tym że ten odcinek drogi, który przejechaliśmy, będziemy musieli

nadrobić, bo jak mówił furman, ta droga jest dłuższa.

– No, chłopaki – powiedziałem do kolegów – „bujamy się" do przodu, bo czas nie pyta, nie stoi, bo przed sobą mamy do cholery kilometrów, a nie znamy drogi. No i pamiętajcie, co komendant mówił o syfilisie, komunistach i bandytach.

Do Piatynia doszliśmy późno w nocy. Ostatnie dwie godziny szliśmy już w zupełnych ciemnościach. Do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, jak długo mamy jeszcze iść. Zrobiliśmy sobie wesołą zabawę. Pytaliśmy każdą spotkaną osobę, ile kilometrów do Piatynia. Odpowiadano nam, że czternaście, pięć, siedemnaście, dwanaście, pięć, osiem, trzy. Ostatnia osoba powiedziała, że do miasteczka mamy jeszcze trzy kilometry. Gdy po pięciu minutach zapytaliśmy znów, jak daleko do Piatynia, odpowiedziano nam, że właśnie jesteśmy w Piatyniu.

Obóz był malowniczo położony nad bystro płynącą, płytką rzeczką.

Następnego dnia wszyscy pracowali od rana przy rozbijaniu namiotów, ustawianiu kuchni i przy innych robotach związanych z urządzeniem obozu. Miałem już doświadczenie, więc wiedziałem, że w takim bałaganie nikt się nie połapie, kto jest, a kogo nie ma. Więc gdy postawiono pierwszy hangar, gdzie grupa chłopaków napychała sienniki, wzięliśmy z Marianem po jednym sienniku, które jeszcze dopełniliśmy słomą, wciągnęliśmy je do namiotu, ułożyliśmy w najwygodniejszym miejscu tuż przy wejściu, pod ścianą, instrumenty w ręce i kołując tak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi władz, wymknęliśmy się z obozu. Już za obozem Marian zaczął się zastanawiać.

– Dokąd idziemy? Do miasteczka czy w górki?

– Do miasteczka się nie pchajmy, bo tam łatwo nadziać się na naszych „gienierałów" – odpowiedziałem. – Pryskajmy w górki. O, tam na górze widzę jakąś wieś – dodałem pokazując kilka chałup widocznych na stoku góry.

Poszliśmy. Okazało się, że do chałup było dalej, niż nam się z początku zdawało. Przeszliśmy prawie cztery kilometry, a do celu wciąż było daleko. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy, że dalej nie pójdziemy, bo możemy się spóźnić na wieczorny apel i karny raport już teraz murowany, bo dołożą nam jeszcze za wczorajszą ucieczkę z kolumny.

Wstąpiliśmy do stojącej przy drodze chałupy. Chałupa miała dwie izby – dużą kuchnię i pokój. W izbie przy kuchni krzątała się stara kobieta, a przy dwóch warsztatach tkackich pracowali młodzi mężczyźni. Pozdrowiliśmy grzecznie domowników i poprosiliśmy o sprzedanie nam zsiadłego mleka.

– Nie mamy mleka – odpowiedziała gospodyni tonem, który

mówił: czego tu szukacie, wynoście się szybko, nie chcemy z wami mieć nic do czynienia.

Mężczyźni nie odpowiedzieli nawet na powitanie. Popatrzyli na nas niechętnie i zajęli się swoją pracą.

– Maminka kochana – prosił Marian z humorem – sprzedajcie coś do żarcia, bo jesteśmy głodni. Będziecie mieli większy kłopot, jak wam w mieszkaniu umrzemy z głodu. Zapłacimy dobrze i jeszcze wam zagramy kilka ładnych piosenek.

Usiedliśmy na ławie i zagraliśmy fokstrota, a następnie jakieś tango i walczyka.

– Mam tylko bryndzę i chleb z kukurydzy – odezwała się gospodyni, udobruchana muzyką i śpiewem, i położyła na stole bochenek chleba i bryndzę.

Gdy jedliśmy, młodzieńcy przerwali swoją robotę i razem z matką przyglądali się nam w milczeniu. Ale milczenie to nie dla nas zajęcie. Pytaliśmy bez przerwy. Jak im się żyje, co robią na warsztatach tkackich i ile zarabiają. Wszystko nas ciekawiło.

Rodzina ta składała się z matki i dwóch synów – przystojnych chłopaków, jeden miał lat dwadzieścia cztery, drugi dwadzieścia sześć. Wyrabiali kilimy. Przedsiębiorcy dostarczali warsztaty, materiał i wzory, a oni tylko robili. A zarobek? Przeciętnie trzydzieści, pięćdziesiąt groszy dziennie, a gdy pracowali od rana do nocy, mogli zarobić nawet osiemdziesiąt gorszy.

– Fiuuu! – gwizdnąłem przez zęby. – Niewąski zarobek. „Można żyć i kochankę mieć” – zaoperowałem warszawskim powiedzonkiem. – A gdyby wszyscy zastrajkowali? – zapytałem. – Wtedy musieliby podnieść stawki. – I zaczęła się dyskusja o warunkach, w jakich żyje miejscowa ludność.

Zauważyłem, że po naszych wypowiedziach domownicy zaczęli odnosić się do nas z większą sympatią. Rozpogodziły się twarze i chętnie z nami rozmawiali. Zagraliśmy jeszcze kilka piosenek. Za jedzenie zapłaciliśmy więcej, niż zażądała gospodyni – bo podała śmiesznie niską cenę – i obiecaliśmy, że jak nam czas pozwoli, to jeszcze do nich wpadniemy. Gdy wychodziliśmy z chałupy, Marian, idący na końcu, zaśpiewał: „Cielę ogon ma, matulu, cielę ogon ma. Czym by muchy oganiało, gdyby ogona nie miało…”

– Panowie kochani! – zawołała za nami gospodyni. – To wy znacie takie śliczne piosenki? Zagrajcie jeszcze trochę. Dam jeszcze bryndzy, chleba – i bez zapłaty!

Wróciliśmy. Zagraliśmy i zaśpiewaliśmy jeszcze kilka chłopskich „wyrywasów”, których Marian znał bardzo dużo, i zapraszani serdecznie przez domowników, ruszyliśmy w powrotną drogę do obozu.

W obozie wszyscy jeszcze pracowali i nikt nie zauważył naszej

nieobecności. Od tego dnia, gdy wybierałem się na rajzę po górach, odwiedzałem zawsze „swoich" gospodarzy. Przy następnych odwiedzinach zapytałem o napad na poprzedni obóz, o którym przed wyjazdem mówił nasz komendant. Okazało się, że to nie był napad, tylko kradzież. Grupa mieszkańców dobrała się w nocy do magazynu żywnościowego, ale zostali spłoszeni. Wiele osób aresztowano.

Obóz podzielony był na dwie kompanie. Pierwszy i drugi stopień. Ja nie wyszedłem nigdy z pierwszego stopnia, więc byłem w pierwszej kompanii. Już następnego dnia po rozbiciu obozu, jeszcze przed wydaniem obiadu, nad rzeczką w pobliżu obozu zebrała się duża grupa dzieci, wśród których było też kilka osób dorosłych, każdy z glinianym dzbankiem w ręku. Po wydaniu obiadu śmielsze dzieci podchodziły bliżej, prosząc o resztki jedzenia. Więc wlewaliśmy im do dzbanków resztki zupy, kartofli, jarzyn i biały chleb, którego dostawaliśmy kilogram dziennie na osobę. Po trzech dniach chętnych na zlewki było tak dużo, że nazwaliśmy ich „trzecią kompanią".

W niedzielę przed południem wybraliśmy się z Marianem na zwiedzanie miasteczka. Spacerowaliśmy wolno uliczkami, przyglądając się wszystkiemu z ciekawością. Widzieliśmy dużo dorosłych i dzieci o powykręcanych, cienkich nogach, dużych głowach, o wypukłych czołach i spłaszczonych nosach. Domyślaliśmy się, że to wyniki kiły, przed którą nas ostrzegano. Poznaliśmy pod kościołem dwie ładne, młode panienki, z którymi umówiliśmy się na spotkanie w poniedziałek po kolacji. Na spotkanie przyszła tylko jedna. Na nasze pytanie, dlaczego koleżanka nie przyszła, odpowiedziała bez żadnego zakłopotania:

– Poszła do Kosowa na „szpilkę".

Zrozumieliśmy, że „szpilka" to zastrzyk. Znaczy, że dziewczyna jest chora na kiłę. Z Piatynia do Kosowa było piętnaście kilometrów, więc żeby otrzymać zastrzyk, trzeba było iść piechotą trzydzieści kilometrów! „Arystokratyczne" warunki. Do Kosowa chodziły autobusy, ale koszt przejazdu przekraczał możliwości miejscowej ludności. O tym wszystkim dowiedziałem się od Wasyla, młodszego syna gospodyni, u której pierwszego dnia jedliśmy bryndzę. Poczuliśmy do siebie sympatię, więc przychodził on prawie codziennie wieczorem pod obóz i prowadziłem z nim długie rozmowy. Powiedziałem mu o naszej „trzeciej kompanii".

– Tyle ich przychodzi, że nawet jedna świnia nie nażre się tym, co każdy z nich bierze – powiedziałem.

– To ty myślisz, że oni to jedzenie zabierają dla świń? – zapytał zdziwiony. – Przecież oni nawet w największe święto nie jedzą takich rzeczy, jakie tu dostają.

– Byłem pewny, że to dla świń – powtórzyłem i coś ścisnęło mnie w żołądku. – Dlatego wlewaliśmy im wszystko do jednego garnka. –

Ale jeśli oni sami to jedzą, to trzeba to jakoś urządzić inaczej.

Wieczorem, gdy położyliśmy się spać, powtórzyłem chłopakom z naszego namiotu moją rozmowę z Wasylem. Nie chcieli mi wierzyć, tak jak ja nie chciałem wierzyć, gdy mi o tym mówił Wasyl. Postanowiliśmy zapytać o to dzieciaków z „trzeciej kompanii" i jeśli to będzie prawda, wtedy robimy akcję: uświadamiamy chłopaków z innych namiotów, każdy zjada swoją porcję i bierze dolewkę, którą oddajemy w całości, z tym że kto ma w garnku zupę, wlewamy tylko zupę, a kto drugie danie, temu tylko dokładki drugiego dania. A chleb osobno i nie do garnka. Organizacja „zagrała". W kuchni nigdy już nie zostawało jedzenie. Każdy po zjedzeniu obiadu ustawiał się po dolewkę i braliśmy tak długo, aż w kuchni już nic nie pozostało.

Pewnego dnia, gdy kilku z nas odpoczywało po kolacji w namiocie, wszedł kolega mówiąc:

– Przyszedł chłop i daje wiśnie za chleb. Zabrał kilka kawałków starego chleba i wyszedł.

„Dobra okazja" – pomyślałem, myśląc o dużej ilości nie zjedzonego chleba, leżącego w głowach pod moim siennikiem. Wyjąłem chleb, lecz było go tak dużo, że nie mieścił się w rękach. Wobec tego rozłożyłem pelerynę, w którą włożyłem chleb, i wyszedłem szukać chłopa z wiśniami. Nad rzeczką chłopa nie znalazłem, za kuchnią też nie. Wyszedłem na drogę – nie ma nikogo. Już miałem wrócić do namiotu, gdy zobaczyłem starego brodatego chłopa z wiklinowym koszykiem w ręku. Podszedłem do niego, zajrzałem do koszyka, ale wiśni w nim nie było.

– Chce pan? – zapytałem pokazując mu chleb.

Kiwnął głową, że chce, i nadstawił koszyk, do którego wysypałem zawartość z peleryny. Kilka kawałków upadło na ziemię. Nachyliłem się, pozbierałem je i ułożyłem w koszyku. Gdy się podniosłem, chłop chwycił mnie za rękę, pochylił się i chciał ją pocałować. Wyrwałem rękę i ścisnęło mnie w gardle. Złapałem pelerynkę i bez słowa, szybko wróciłem do namiotu. Czułem, że mam w oczach łzy. Byłem cały roztrzęsiony i długo nie mogłem się uspokoić. Nie mogłem tego zrozumieć, że stary, zmęczony życiem człowiek chciał mnie, osiemnastoletniego chłopaka pocałować w rękę za trochę czerstwego chleba. Chłopakom nic nie powiedziałem. Nie wiem, czego i dlaczego, lecz byłoby mi wstyd o tym mówić.

Dwa tygodnie dobiegały końca. Cały czas lawirowałem tak, żeby nie chodzić na żadne ćwiczenia, i udawało mi się. Z zadowoleniem brałem ostatniego dnia pobytu udział w likwidowaniu obozu.

Do Kołomyi odwieziono nas samochodami wojskowymi. Gdy dojeżdżaliśmy do Warszawy, radość sprawił mi tramwaj, który zobaczyłem przez okno pociągu.

– Chłopaki!!! – wrzasnąłem na cały przedział. – Patrzcie!

Tramwaj! Urlop skończony. Tylko na całe życie pozostaną mi w pamięci Wasyl pracujący za pięćdziesiąt groszy dziennie, stary człowiek, który chciał mnie pocałować w rękę za kilka kawałków chleba, panienka, która poszła „na szpilkę”, i „trzecia kompania”.

2. WOJNA

RAJZA

Wojny się nie bałem. „Nie damy guzika od munduru”, „Silni – zwarci – gotowi”. Hasła te, rozlepiane na murach Warszawy, nastrajały bojowo, optymistycznie. Wszyscy twierdzili, że Niemcy wojny nie zaczną, że mają słabe wyposażenie techniczne z materiałów zastępczych, że za dwa tygodnie będziemy w Berlinie – oto jakie krążyły wersje, a miały na celu wmówienie w ludzi, że wszystko u nas jest na klawo. Wkrótce okazało się, że oddaliśmy nie tylko guzik, ale i cały naród w niewolę. Że ci od rządzenia byli owszem: „silni” – w gębie, „zwarci” – przy pijaństwie i „gotowi” – do ucieczki za granicę.

W pierwszych dniach wojny codziennie rano jeździłem do fabryki. Jazda tramwajem urozmaicona była nalotami samolotów niemieckich, które bombardowały miasto. Po tygodniu wszystkim pracownikom wypłacono miesięczne zarobki i… wysiadka. Fabryka zamknięta.

Co teraz robić? Całą grupą kolegów z naszej ulicy chodziliśmy po mieście szukając chętnych, którzy zechcą nas przyjąć do wojska albo do prac związanych z obroną Warszawy. Nikt nas nie chciał. Wszędzie tłumy ludzi i odpowiedź: Nie mobilizujemy. Brak broni. Brak sprzętu. Dowiedzieliśmy się. że przez radio wzywają, żeby wszyscy zdolni do noszenia broni opuszczali Warszawę, bo w Garwolinie odbywa się mobilizacja.

Z Warszawy wyruszyliśmy we trzech. Trzech najlepszych kolegów z naszego domu o jednakowych imionach, trzech Staśków. Koledzy, żeby nas rozróżnić, nazywali mnie „Długi”, drugi Stasiek był „Średni”, trzeci „Mały”. Po wielu przygodach dotarliśmy do Lublina. Po drodze mijaliśmy zbombardowane wsie i miasteczka. W Garwolinie zamiast mobilizacji zastaliśmy morze ognia. Wojsko nie wpuszczało ludzi do płonącego miasteczka, ale my też byliśmy uparci. Przecież taka przeszkoda nie może zmienić naszych zamiarów! Okrążyliśmy Garwolin i znów znaleźliśmy się na szosie. Ale pierwszej nocy nie doszliśmy do Kojbieli. Szliśmy szosą, śpiewając głośno wojskowe piosenki. Raptem tuż przed nami ktoś krzyknął: „Stój! Co to za wrzaski po nocy?” Słychać głos, ale człowieka nie widać.

– Co? Wrzaski? – zapytałem zdziwiony. – Nie masz pan, widzę, artystycznej duszy, jeśli takie piękne wojskowe melodie nazywasz pan wrzaskiem.

– Zamknąć gęby! – padł rozkaz niewidzialnego człowieka. Orientujemy się tylko, że stoi trzy kroki przed nami.

Nie wiemy, kto nam szura, więc na wszelki wypadek każdy z nas już włożył rękę do kieszeni, w której trzyma „pomocnika” – a Średni zakpił:

– Panie, idź pan spać do mamusi pod pierzynę, jak się pan głosu

ludzkiego boisz. Tacy nie powinni w nocy na szosę wychodzić.

– Nie mądrzyć się tyle – posłyszeliśmy i dopiero wtedy zobaczyliśmy właściciela głosu.

– Oficer, cholera – szepnął półgłosem Mały. A ten już podszedł bliżej, a za nim dwóch żołnierzy z karabinami.

– Dokąd idziecie? – zapytał.

– Do wojska, panie, do wojska – odciął się Średni.

– Weź nas do siebie, to dalej nie będziemy szli.

– Nie gadać! Dokumenty proszę pokazać.

– Najpierw się pyta, a jak odpowiadamy, to znów „nie gadać" – margotałem pod nosem, wyciągając z kieszeni dowód i kartę z komisji poborowej, na której byłem w maju i otrzymałem kategorię „A" – zdolny do służby wojskowej.

Zanim podaliśmy dokumenty, oficer pytał nas kolejno:

– Nazwisko? Podałem nazwisko.

– Imię?

– Stanisław. Teraz pyta Małego.

– Nazwisko?

Mały powiedział nazwisko.

– Imię?

– Stanisław.

Ze Średnim to samo. Gdy podał imię: Stanisław – oficer wrzasnął:

– Tylko bez wygłupiania, do jasnej cholery! Wariata ze mnie robicie?

Parsknęliśmy śmiechem. Podałem mu nasze dokumenty.

– Zobacz pan sam, czy robimy z pana wariata. Taka umowa. Wszyscy to samo imię.

Obejrzał dokładnie dokumenty, oddał i pozwolił nam iść dalej, dając na drogę przestrogę, żebyśmy zachowywali się cicho, bo nas zamknie. Odeszliśmy z pięćdziesiąt metrów, gdy dałem rozkaz:

– Kompania, śpiewać! No, chłopaki, razem!

I na cały regulator zaśpiewaliśmy: „Jak ja pójdę na kwaterę do wieśniaka spać, to ja jego wyszykuję… jak on pójdzie spać…"

– Bojowy, taki owaki – mówiliśmy o oficerze, gdy zakończyliśmy piosenkę o wieśniaku. – Bohater do grzecznych chłopaków na szosie. Przeszkadza mu śpiew. Ciekawe, czy do Niemców też będzie taki bojowy.

Nad ranem w krzakach przy szosie zrobiliśmy odpoczynek. Położyliśmy się obok siebie na trawie, przykryliśmy się jesionkami – i spać.

Rano okazało się, że jesteśmy pod Kolbielą. W miasteczku udało nam się kupić chleba i tłustego gotowanego mięsa. Wleźliśmy znów w krzaki, żeby zjeść śniadanie i naradzić się, jak i co mamy robić dalej. Tłumaczyłem chłopakom tak:

– Za kilka godzin będziemy w Garwolinie. Ale nie wiadomo, kiedy zdobędziemy znowu żarcie, więc robimy tak, jak rozbitki na morzu: tego jedzenia musi nam starczyć na tydzień i tak będziemy dzielić, żeby starczyło. Jak jeszcze coś zdobędziemy, wtedy możemy jeść więcej, ale żelazny zapas na tydzień musimy mieć. Poza tym woda: litrowa butelka to żelazny zapas. Pić będziemy wtedy, gdy znajdziemy wodę, a z butelki dopiero wtedy, gdy przez cały dzień nic nie będziemy pili.

Podczas gdy tak radziliśmy, po niebie krążyły niemieckie samoloty i z karabinów maszynowych strzelały po krzakach, w których schowało się wielu takich jak my wędrowców. Słychać było gwizd przelatujących w pobliżu pocisków.

– Tu może być niezdrowo, urywajmy się gdzie indziej – zaproponował Mały.

– Za dużo gwizdu, a ja tego nie lubię – dodałem. – Chodźmy na drugą stronę szosy i w takie miejsce, żeby był tylko jeden krzak. Do jednego krzaka nie będą przecież strzelać.

Po drugiej stronie, sto metrów od szosy, ulokowaliśmy się pod jednym krzakiem, rosnącym nad samą rzeczką. Samolotów nie ma. Kąpiemy się – zdecydowaliśmy, gdy na niebie zrobiło się pusto. Szybko zdjęliśmy ubrania i po chwili już byliśmy w wodzie, jako jedyni amatorzy kąpieli.

Nagle na szosie usłyszeliśmy gwizdki rozkazu: „Lotnik – kryj się!" Wiedziałem, co to znaczy, więc krzyknąłem na kolegów, żeby szybciej uciekali. Byliśmy jeszcze w wodzie, gdy na most posypały się bomby zrzucane przez trzy samoloty. Nie uciekaliśmy już pod krzak. Położyliśmy się nad wodą, a bomby padały w odległości stu metrów od nas. Czułem, jak po każdym wybuchu porusza się ziemia pod moim brzuchem. Patrząc bokiem zobaczyłem, że Średnim silnie podrzuciło i leży bez ruchu.

– Co ci się stało? – zawołałem przestraszony, myśląc, że może zranił go spadający odłamek bomby.

– Żaba, k… ją mać! Skoczyła na mnie i przestraszyłem się – odpowiedział z obrzydzeniem.

Po zbombardowaniu mostu postanowiliśmy opuścić to miejsce, bo przy okazji takiego sąsiedztwa można oberwać odłamkiem. Poszliśmy brzegiem szosy, a środkiem szła duża grupa żołnierzy. Uszliśmy może kilometr drogi, gdy gwizdki znów oznajmiły alarm lotniczy. Razem z żołnierzami zboczyliśmy do rowu ciągnącego się wzdłuż szosy. Od strony Garwolina, dokładnie nad samą szosą, na niedużej wysokości leciały trzy samoloty. W odległości pięćdziesięciu metrów zobaczyłem mały betonowy mostek łączący nad rowem boczną drogę z szosą.

– Pod ten mostek! – krzyknąłem do chłopaków i pobiegłem pierwszy, a za moimi plecami koledzy, dwóch żołnierzy i granatowy

policjant. Gdy dobiegliśmy do mostku, już sypały się bomby, i to właśnie po naszej stronie. Słychać było gwizd spadających bomb, wybuchy, unosił się czarny dym, a wszystko to błyskawicznie zbliżało się do naszego mostku. Wybuch tuż przed mostkiem. „Teraz w mostek" – pomyślałem i już usłyszałem wybuch – za mostkiem. Staliśmy wszyscy spokojnie, tylko policjant miotał się w panicznym strachu, wołając bez przerwy: „O mój Boże! O Boże kochany!"

Wrzasnąłem na niego ze złością:

– Uspokój się pan, do cholery! Już po strachu. Pryskajmy teraz w bok, bo znów mogą przylecieć.

Pod mostek wszedł żołnierz ranny w nogę. Odłamek przebił mu but z cholewą i przez dziurkę w bucie lała się krew. Po chwili już był drugi ranny. Policjant uciekł. Wyszedłem za nim i widziałem, jak wsiada na rower, który zostawił na szosie, i ile sił w nogach pedałuje w kierunku bocznej drogi.

Żołnierze zajęli się jednym rannym, a ja już drugiemu prułem cholewę swoim fińskim nożem. Gdy zdjąłem but, przyszli żołnierze i zajęli się robieniem opatrunku. Wyszyliśmy na boczną drogę. Przy drodze tej, w odległości pięćdziesięciu metrów od szosy, paliła się chałupa, a po drugiej stronie leżał gospodarz ze zmiażdżona do kolana nogą.

– Panowie, ratujcie mnie! – błagał. – Nie zostawiajcie mnie, bo umrę. Stanęliśmy przy nim zastanawiając się, jak mu pomóc.

– Trzeba mu ścisnąć nogę – zdecydowałem. I już zdejmowaliśmy z niego pasek, którym silnie zacisnęliśmy nogę powyżej kolana.

– Teraz idziemy szybko do wsi, po ludzi, żeby zabrali rannych – zaproponował Mały.

To było jedyne logiczne wyjście. Poszliśmy. Za nami zostało wołanie gospodarza: „Panowie, nie zostawiajcie mnie!" Po kilku minutach byliśmy już we wsi, oddalonej od szosy nie więcej niż pół kilometra. Na skraju wsi, ukryci w krzakach, leżeli żołnierze, a wśród nich kilku miało torby oznaczone czerwonym krzyżem. Powiedzieliśmy im o rannym chłopie i żołnierzach. Sierżant wydał rozkazy i już po chwili w kierunku szosy pojechały dwa konne wozy z obsługą sanitarną. Zapytałem ich, czy jechał tędy policjant na rowerze.

– Owszem, jechał – odpowiedział sierżant – ale tak pędził, jakby mu pies przy portkach wisiał.

– Jeśli spotkamy go po drodze, to mu, draniowi, łeb urżnę – powiedziałem do żołnierza, z którym rozmawialiśmy. – Przecież widział rannych! Taki bydlak, pałką to potrafi bić!

Minęliśmy wieś i poszliśmy miedzami wzdłuż szosy. Ale samoloty znów położyły nas w małym rowku pod jedynym rosnącym tu krzakiem. Przeleżeliśmy tak cały dzień, a wieczorem na szosę – i do

Garwolina.

Garwolin w płomieniach. Teraz szliśmy już tylko nocą, a rano schodziliśmy w pole i układaliśmy się spać pod jakimś samotnie rosnącym krzakiem. Ryki – spalone. Przy tlących się zgliszczach siedziała kobieta i grzebiąc patykiem w popiele, śmiała się. Wariatka. Patrzyłem i poczułem ciarki na plecach. Niesamowity śmiech. Cichy, wariacki śmiech.

Kurów – spalony. Sterczą tylko kominy spalonych chałup. Na brzegu szosy trupy ludzi.

– Tu leży kobieta! – zawołał Mały idący przodem.

Podeszliśmy bliżej, może jeszcze żyje. Była to młoda, ładna kobieta. Nie żyła.

Kilka kilometrów szliśmy wśród płonących lasów. Środkiem szosy wojsko, bokiem cywilna ludność.

– Gdyby Niemcy teraz zrobili nalot – to familijny klops – powiedziałem do chłopaków. – Na szosie widno jak w dzień, a z jednej i z drugiej strony płonące lasy.

– Nie kracz – wtrącił Średni – bo możesz wykrakać, a wtedy jatka. Markuszów – spalony. Wreszcie Lublin, ale tu też nie mobilizują do wojska. Każą iść do Zamościa. Zbuntowałem się.

– Nie idę do Zamościa – powiedziałem. – Teraz mam już niedaleko do rodziny.

Chłopaki też mieli już dosyć wędrówki, więc pewnego dnia z przygodami odwaliliśmy ostatnie pięćdziesiąt kilometrów i zatrzymaliśmy się u dalekie j rodziny mojego ojca. Na tym etapie, zaraz za Lublinem, dał nam popęd niemiecki samolot, który zjawił się raptownie nad nami, lecąc ha wysokości przydrożnych drzew. Szliśmy w dzień, więc szosa była zupełnie pusta. Gdy zobaczyliśmy zbliżający się samolot, szybko uciekliśmy z szosy i położyliśmy się za dużymi kamieniami, które tworzyły coś w rodzaju płotu odgradzającego pole, żeby przechodzące bydło nie niszczyło zasiewów. Samolot zniżył się na wysokość kilkunastu metrów i przeleciał dokładnie nad nami.

Zaledwie zdążyliśmy się podnieść, on już leciał z powrotem. Przeskoczyliśmy przez kamienie i położyliśmy się z drugiej strony. Usłyszeliśmy warkot nad głowami i trajkot karabinu maszynowego. Teraz, gdy nas minął, obserwowaliśmy, jak robi skręt i znów wraca do nas. Skok na drugą stronę i serdeczne przytulenie się do kamieni. Teraz już nie czekaliśmy na jego powrót, lecz gdy tylko nas minął, już byliśmy po drugiej stronie naszej kamiennej osłony. Przeleciał jeszcze dwa razy, a gdy spostrzegł, że nie da rady nas ustrzelić, zajechał z boku i lotnik pogroził nam pięścią, a my odwdzięczyliśmy się jeszcze lepszym ruchem, gdy to jedną rękę kładzie się na przedramieniu drugiej i tą drugą dopiero się macha. Domyśliliśmy się, że bomby musiał wyrzucić – nad Lublinem, dlatego do nas strzelał tylko z

karabinu maszynowego. Gdyby miał coś jeszcze, to na pewno by nas poczęstował.

Nie tracąc humoru poszliśmy dalej. Już nikt nas więcej nie zaczepiał. Gdy odwaliliśmy czterdzieści kilometrów, a do wieczora było jeszcze daleko, zdecydowaliśmy, że trzeba wstąpić do chałupy, pożywić się i przespać chociaż z godzinę – bo przecież od świtu byliśmy w drodze. Gospodarz, do którego wstąpiliśmy, przyjął nas bardzo serdecznie, nakarmił i zrobił posłanie w stodole. Podczas gdy jedliśmy, on opowiadał, ile to już ludzi przeszło przez wieś w ciągu ostatnich dni. Ubolewał nad tymi, którzy musieli uciekać ze swych domów. Śmieszyło go i nie rozumiał, dlaczego ci ludzie, gdy tylko posłyszą warkot samolotu, zaraz pędzą wszyscy jak wariaty w pole. Opowiedzieliśmy mu, co widzieliśmy po drodze: o spalonych wsiach, w których nie pozostał nawet jeden dom, o trupach przy drogach i wariatach na zgliszczach. O tym, że Niemcy strzelają nawet do pastuszków na łąkach, i o tym, jak to przed kilkoma godzinami zaledwie polował na nas niemiecki samolot. Gospodarz słuchał, kręcił głową, ale widziałem, że nam nie wierzy.

Gdy już najedliśmy się solidnie, poszliśmy spać do stodoły, prosząc gospodarza, żeby nas zbudził za dwie godziny.

Ze snu wyrwał nas huk bomb. Słychać jeden wybuch, drugi, trzeci… Coraz bliżej. Wreszcie huk, brzęk szyb, stodoła zatrzeszczała i… cisza.

– Chłopaki, lecimy! – krzyknąłem. Poderwałem się z posłania i już otwieram drzwi stodoły. Przy mnie stoi Średni. Mały, zaspany, usiadł na posłaniu i zdziwiony zapytał:

– Po co? Przecież już po wszystkim. – Otworzyliśmy już drzwi, a Mały kładzie się z powrotem spać.

– Wstawaj, bydlaku, k… twoja mać! – wrzasnąłem wściekle. – Ratować może trzeba!

Po takiej grzecznej prośbie nie mógł już odmówić. Wyskoczyliśmy razem przed zabudowania.

Okazało się, że ostatnia bomba trafiła w zabudowania sąsiada. Paliła się chałupa i stodoła – a w głębi wsi palił się jeszcze jakiś budynek. Chałupa naszego gościnnego gospodarza znajdowała się zaledwie kilkanaście metrów od płonących zabudowań. Po długiej drabinie weszliśmy na dach, a po chwili już gospodarz podawał nam duże, zamoczone w wodzie płachty," którymi gasiliśmy płonącą słomę, przenoszoną przez wiatr na słomiany dach naszej chałupy. Po kilku minutach płachty już były suche. Przez cały czas rodzina gospodarza dostarczała nam na dach wodę w wiadrach, którą polewaliśmy dach, płachty i siebie. Zbiegli się ludzie. Część ratowała płonące zabudowania, inni z płachtami obsadzili dachy naszych budynków i w ten sposób nas zmienili, bo nie sposób było wytrzymać długo w takim

gorącu. Na dachu ludzie zmieniali się co kilkanaście minut, a ci na dole systemem taśmowym podawali wiadrami wodę do polewania dachu. Gdy już zabudowania sąsiada dogasały, a nasi gospodarze wnosili do chałupy swoje graty, które w czasie pożaru ludzie wyciągnęli na podwórze, zapytaliśmy gospodarza, czy teraz wierzy, że to, co mówiliśmy o Niemcach, było prawdą. Poszliśmy ze wsi żegnani serdecznie przez gospodarza i zaopatrzeni w żywność.

Po trzech godzinach, już po ciemku, doszliśmy do wsi Małków, która była celem naszej wędrówki.

Trzy dni później dotarły do wsi matka moja i siostra, które wyjechały z Warszawy pociągiem tego samego dnia, kiedyśmy my wyszli piechotą. Opowiedziały nam, jak Niemcy bombardowali pociąg, jak musieli czekać na reperację torów, jakimi sposobami zdobywali żywność. W rezultacie przyjechały trzy dni po nas. Po tygodniu do wsi przyszedł mój starszy brat, który w tym czasie służył w wojsku. Ten znów przyszedł piechotą prawie od rumuńskiej granicy. W wędrówce swojej starał się unikać spotkania z Niemcami, a przede wszystkim z nacjonalistami ukraińskimi, którzy strzelali do każdego człowieka w mundurze. Przyszedł wygłodzony i wyczerpany biegunką, na którą zachorował żywiąc się w drodze różnymi surowiznami. Nie chciał iść do Rumunii, twierdząc, że miejsce każdego Polaka jest w Polsce. Byłem tego samego zdania.

Po kilku dniach wybrałem się z Małym i Średnim na rozpoznanie do Chełma, oddalonego od naszej wsi o dwadzieścia cztery kilometry. Tego samego dnia weszły tam wojska radzieckie. W mieszkaniu mojej dalekiej rodziny, u której się zatrzymaliśmy, zakwaterowano trzech oficerów radzieckich. Gdy w rozmowie powiedzieliśmy, w jakich pracujemy zawodach, namawiali nas na wyjazd do Rosji.

– Roboty u nas mnogo – mówili. – Jeśli chcecie, możecie jechać z nami. Nie zgodziliśmy się na ich propozycję.

– Tu są nasze rodziny, nasz naród – mówiliśmy z przekonaniem. – Tacy jak my przydadzą się na miejscu, a pewnie „rabota” też będzie ciekawsza.

Trzeciego dnia rano, gdy wstaliśmy, okazało się, że w miasteczku nie ma już rosyjskiego wojska. W nocy wycofali się na linię Bugu.

Wróciliśmy do swojej wsi. Ciężko nam było iść, bo dźwigaliśmy na plecach po dwa karabiny, które znaleźliśmy w lesie, a do znalezionych chlebaków pakowaliśmy amunicję. Do chałupy weszliśmy od strony łąk, żeby nas z tym majdanem nie widzieli miejscowi chłopi. Nasi gospodarze to trzej bracia w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Przy ich pomocy zawinęliśmy broń i amunicję w naoliwione szmaty i zakopaliśmy w krzakach na pastwisku. We wsi od dwóch dni kwaterowała polska konnica, lecz tej nocy odjechała.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że Niemcy są w odległej o dziewięć kilometrów osadzie. W sąsiedniej wsi koloniści niemieccy wybudowali już bramę powitalną i uroczyście szykują się na przyjęcie niemieckich żołnierzy. Doszliśmy do wniosku, że warto popsuć im tę uroczystość. Postanowiliśmy podpalić w nocy wieś. Zaplanowaliśmy, że podpalimy chałupę na końcu wsi, a gdy wszyscy będą ją ratować, wtedy podpalimy równocześnie kilka chałup w różnych punktach. Każdy będzie podpalał inne zabudowanie na własną rękę i postara się jak najszybciej przyjść na wyznaczone miejsce, z którego razem wrócimy do siebie. Żeby powitalna iluminacja wyglądała piękniej, postanowiliśmy wciągnąć do akcji naszych gospodarzy. Młode chłopy, na pewno się zgodzą, a wtedy będziemy mogli podpalić równocześnie więcej chałup.

Gdy przedłożyłem im nasz plan, pomyśleli… i odmówili.

– Nasza wieś jest najbliżej tamtej, niemieckiej wsi. Jak podpalimy, to domyśla się, że to zrobiła nasza wieś, a wtedy w odwecie mogą nas spalić i powystrzelać ludzi.

Na nic nie zdało się nasze przekonywanie. Nie chcieli i nam zabronili. W tej sytuacji nie mogliśmy już zrobić tego sami i żałowaliśmy tylko, że powiedzieliśmy o tym naszym gospodarzom.

Następnego dnia przed południem do wsi przyjechali Niemcy. Zobaczyłem ich wtedy pierwszy raz. Staliśmy we trzech przed chałupą i patrzyliśmy z ciekawością i nienawiścią na nie znane nam mundury. Jechali wolno przez wieś na ciężkich koniach z obciętymi ogonami. Rozkwaterowano ich w całej wsi. Chodziliśmy we trzech po chałupach znajomych gospodarzy, żeby przyjrzeć im się z bliska. W jednej chałupie kwaterowało dwóch oficerów. Gdy weszliśmy, w izbie było już kilka osób: gospodarze, dwóch sąsiadów i miejscowy kolonista. Niemiec, który przychodził w konkury do córki gospodarza. Oficerowie grzecznie rozmawiali z chłopami, a tłumaczem był miejscowy Niemiec. Pytali o warunki życia w Polsce, jakie są zarobki, o ceny różnych towarów, mówiąc równocześnie, jak te sprawy wyglądają w Niemczech. Posłuchałem cierpliwie kilka minut i zadałem pytanie, jak to u nich jest z tymi erzatzami, jak margaryna zamiast masła, sztuczny kauczuk, sztuczna benzyna i materiały. Odpowiedzieli nam, że to jest tylko polska propaganda.

Średni zwrócił się do tłumacza, żeby zapytał, po jaką cholerę oni zaczęli wojnę z nami i po co właściwie tu przyszli. Tłumacz zawahał się, ale oficer spostrzegł, że pytanie musiało się nie podobać, więc sam zapytał, co Średni powiedział. Gdy powtórzono mu pytanie, odpowiedział:

– Wojska niemieckie przyszły wyzwolić prześladowaną ludność niemiecką mieszkającą w Polsce i teraz urządzać będą nowe życie.

– Czekajcie, s…syny, my wam tu lepsze życie urządzimy –

mruknął Średni pod nosem, jednak tak głośno, że wszyscy usłyszeli. Spojrzałem wymownie na Średniego i powiedziałem:

– Spokój.

A tłumacza poprosiłem, żeby powiedział, czy był w Polsce prześladowany i w jaki sposób. Nie chciał odpowiedzieć. Rozmawiał teraz z oficerami, ale nie powtórzył tego, co powiedziałem. Średni i Mały siedzieli na ławie pod ścianą i bez przerwy przygadywali, a chłopi, słysząc to, nie mogli powstrzymać się od śmiechu.

Pomyślałem, że jeśli teraz tłumacz powie, z czego się wszyscy śmieją, to może być z nami nieklawo. Dałem chłopakom znak, że czas już urywać się, i po chwili wyszliśmy z chałupy. Następnego dnia Niemcy opuścili wieś, wyznaczając na sołtysa miejscowego Niemca.

Chłopaki chcieli wracać do Warszawy, a ja znów postanowiłem zaczekać, aż mój brat dojdzie do zdrowia, żeby wracać razem z nim. Wobec tego Średni i Mały, zaopatrzeni dobrze w żywność na drogę, pożegnali gościnnych mieszkańców wsi, którzy nas żywili przez cały czas pobytu, i wyruszyli piechotą w powrotną drogę.

Przez trzy tygodnie byliśmy na utrzymaniu prawie całej wsi. Do której chałupy tylko wstąpiliśmy – częstowano nas jedzeniem. Każdy gospodarz bił świnie i ukrywał część mięsa oraz zboże w obawie, że jeśli dojdzie do działań wojennych na ich terenie, to wszystko może się zmarnować, spalić albo zabiorą Niemcy. Niejeden raz byliśmy tak obżarci, że po wyjściu z chałupy kładliśmy się na trawie, bo nie mogliśmy się poruszać.

– Dopóki mamy – mówili chłopi – będziemy jedli wszyscy. A jak nie będzie, to wszyscy nie będziemy jedli.

Prócz tego, co zjedliśmy, dawali nam jeszcze żywność dla mojej rodziny. Wieś Małków i jej życzliwych mieszkańców wspominamy zawsze z uczuciem serdeczności.

Wacek, mój brat, doszedł wreszcie do zdrowia i w tydzień po odejściu kumpli we dwóch wyruszyliśmy do Warszawy.

Powrotna droga przeszła bez żadnych większych przygód. Gdy minęliśmy Łęczną, rozpadał się deszcz. Do domu nie spieszyło się nam tak bardzo, żebyśmy mieli moknąć na zimnym, październikowym deszczu. Postanowiliśmy zatrzymać się gdzieś do następnego dnia. Wstąpiliśmy do jednej chałupy – gospodarz nie przyjął nas. Powiedział, że nie ma miejsca. To samo powtórzyło się w drugiej, trzeciej i czwartej chałupie. Co robić? – zastanawialiśmy się. Deszcz leje, a te cholerne chamy nie chcą wpuścić do chałupy. I pomyśleć, że to tylko trzydzieści kilometrów od Małkowa, w którym chłopi tak serdecznie przyjmowali wszystkich uciekinierów. A ci rozwydrzeni pewnie dlatego, że mieszkają przy szosie i niedaleko Lublina. Nauczeni na wszystkim zarabiać.

Zbliżyliśmy się do następnej chałupy, stojącej przy szosie.

– Dalej nie idę – powiedziałem do Wacka. – Z tej chałupy wygnać się nie damy. Jak nie zechce przyjąć, to włażę „na duś", na chama.

– A jak chłop stanie do draki? – zapytał Wacek.

– To będzie ją miał. Jak „trep" nie ma w sobie litości dla moknących wędrowców, to ja też bez litowania się nad nim mogę mu łeb rozbić „paragrafem". – Mówiąc to skręciłem do chałupy.

Chociaż byłem zły, jednak o przyjęcie nas prosiłem grzecznie.

– Czy przyjmie nas pan do jutra rana? – zapytałem gospodarza, który otworzył nam drzwi. – Chcieliśmy dojść do Lublina, ale deszcz przeszkodził.

– Proszę, wejdźcie – odpowiedział gospodarz bez żadnej złości. – Tyle ludzi już tu nocowało, to i tym razem też się miejsce znajdzie.

Do wieczora było jeszcze kilka godzin, ale że padał deszcz, to gospodarz nie wychodził do żadnej pracy. Opowiadał nam, ile to ludzi przechodziło tędy w jedną i drugą stronę, ile osób u niego nocowało i jak się zachowywali. Jedni byli grzeczni – zjedli, przenocowali, podziękowali albo i płacić chcieli. Inni znikali w nocy, a rano okazywało się, że coś z domu zginęło. – Różni są ludzie – mówił gospodarz.

Powiedziałem mu, jak nas przyjmowano w tamtych chałupach. – To, panie, Niemcy, koloniści. Cztery lata już tu mieszkam i z nimi nie mogę się zgodzić. Oni tylko ze sobą żyją. Gorzej już nie mogliście trafić.

Przespaliśmy noc w drugiej, nie wykończonej izbie, na posłaniu ze słomy, przykryci lnianymi płachtami, a rano, po pożegnaniu uprzejmych gospodarzy, którzy nawet nie chcieli przyjąć zapłaty za kolację i śniadanie, poszliśmy do Lublina. Z Lublina do Dęblina pojechaliśmy towarowym pociągiem, który składał się z czterech platform załadowanych ludźmi. Z Dęblina do Otwocka piechotą, z noclegiem w okolicach Garwolina. A z Otwocka do Warszawy kolejką dojazdową, która już kursowała normalnie według rozkładu jazdy. Gdy od kolejki szliśmy piechotą do domu, przyglądałem się rozwalonym i spalonym domom. Ciekaw byłem, jak wygląda nasza ulica Tatrzańska, czy stoi nasz dom i jak teraz będzie się układało moje życie pod okupacją, wśród wrogów, których już nienawidziłem. Patrzyłem spode łba na każdego mijanego Niemca i zastanawiałem się, co i jak należy robić, żeby im wleźć za skórę. Myślałem o fabryce, czy będzie uruchomiona, o kolegach – czy wszyscy żyją. Czy Średni i Mały dotarli bez przeszkód do domu? Patrząc na zniszczoną Warszawę żałowałem, że nie było mnie tu w czasie oblężenia. Wreszcie doszedłem do rogu Tatrzańskiej. Spojrzałem – dom stoi, tylko w większości okien dykta zamiast wybitych szyb. Mieszkanie moje też zastałem całe, tylko bez szyb i z uszkodzoną odłamkiem pocisku artyleryjskiego szafą. Następnego dnia brat pojechał do żony, a ja

zostałem w domu sam na swoich starych śmieciach. Zobaczymy, jakie zmiany przyniosą następne dni.

PECH

W pierwszych dniach września 1939 roku, gdy już wiadomo było, że Niemcy będą zdobywali Warszawę, postanowiłem wystać matkę i siedemnastoletnią siostrę pociągiem w okolice Chełma Lubelskiego do rodziny.

Przyjechały mając tylko to, co na sobie, bo wiadomo – bagaże diabli wzięli, a z nimi wszystkie najlepsze ciuchy i kosztowniejsze przedmioty, które wysłaliśmy, żeby ich w Warszawie nie stracić w czasie bombardowania. No bo złe nie śpi i przez głupi przypadek może oberwać dom, w którym mieszkaliśmy.

Gdy po zakończeniu działań wojennych wróciłem do Warszawy, zastałem dom cały, a w nim resztę ubrań – tych gorszych – które zostawiliśmy na stracenie. Matce zachciało się posiedzieć przez jakiś czas na wsi – no bo to w Warszawie głód i brak komunikacji, a piechotką to już mamuśka za stara na taką wycieczkę.

Od znajomego złodziejaszka z Wójtówki kupiłem za czterdzieści złotych rower, zwykłego starego „koguta". Do bagażnika przymocowałem solidny pakunek z ciuchami i postanowiłem pojechać z tym na wieś, do matki. Dwieście kilometrów z bagażem to nie byle co, ale jak ja tę trasę przerobiłem w obie strony nogami, to co to dla roweru? Jeden dzień – i jestem w Lublinie, następny dzień – na miejscu. Do podróży skombinowałem jakiś roboczy kombinezon – że to niby kurz, szkoda ubrania itd. – a w przeddzień wyjazdu kupiłem kilogram zabitej krowy, żeby zrobić sobie śniadanie i zabrać coś na drogę.

Pech zaczął mnie prześladować od raniusieńka w dniu wyjazdu. Wstałem wcześnie, by przygotować sobie żarcie. Krowinę pokroiłem w kawałki, każdy kawałek zbiłem dobrze tłuczkiem, na patelnię nałożyłem tłuszczu, cebuli i mięsa i wszystko to razem na ogień. Cebula już się usmażyła – mięso twarde. Węgiel, który do niedawna był cebulą, wyrzuciłem – a mięso robi się coraz twardsze. Posmażyłem jeszcze trochę i mięso wyrzuciłem, bo mimo zdrowych zębów nie można go było ugryźć. Wtedy dopiero zjadłem śniadanie, maczając chleb w tłuszczu zabarwionym węglem ze spalonej cebuli, kilka kawałków chleba w kieszeń – i w drogę.

Rano pogoda była taka coś nie bardzo, ale od czego optymizm – pogoda się ustali. I faktycznie. Ledwie dojechałem do Wawra, zaczął kropić mały deszczyk. Drobiazg – tydzień taki deszcz musi padać, żeby mnie przemoczyć. Ale jemu, draniowi, widocznie się spieszyło, bo zaczął padać gęściej.

Pech, cholera! W Wiązownej pękła przekładnia, dalej jechać nie mogę, bo spada. Rower za rogi i dalej piechotką, a rower obok mnie.

Jest kuźnia. Pytam kowala, czy da radę z naprawieniem przekładni. Dobra nasza – jest jakaś stara przekładnia, którą nałożył mi na miejsce pękniętej za jedne trzydzieści złotych.

Rower już dobry, ja trochę zniszczony, ale nie tracąc fantazji pojechałem dalej. I teraz dopiero deszcz pokazał, co potrafi. W dziurach powybijanej nawierzchni szosy potworzyły się wielkie kałuże. Ścieżki przy szosie – jedno błoto, a ja w pewnym momencie czuję, jak mi pierwsza kropelka poleciała po skórze na plecach i zatrzymała się w pasie. Spodnie na nogach już dawno przemokły do ciała. Minąłem Garwolin już cały zmoczony, ale kręcę dalej. Coraz ciężej lawirować między kałużami, a lawirując robię dwa razy więcej drogi, niż gdybym jechał prosto. Kilka kilometrów za Garwolinem zobaczyłem w małym lasku przy drodze samotnie stojącą chałupę z dymiącym kominem. Wtedy dopiero wyraźnie odczułem, że jestem przemoczony do tak zwanej ostatniej nitki i że cholerycznie mi zimno – bo to przecież już druga połowa października. A tuż obok chałupa i ciepło od kuchni, przy której można będzie się wysuszyć i ogrzać.

Postawiłem rower przed chałupą, zapukałem i wchodzę do izby. Pierwsze moje spojrzenie padło na ściany obwieszone obrazami, ciasno jeden obok drugiego. Był to jakby jeden obraz biegnący przez wszystkie ściany, poprzedzielany tylko listwami ram. „Kandydaci na świętych” – pomyślałem, a głośno powiedziałem:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków – odpowiedzieli mi.

– Dzień dobry – powiedziałem dopiero teraz.

Gdy odpowiedzieli, poprosiłem o pozwolenie ogrzania się troszkę przy ogniu, żeby wysuszyć ubranie. Popatrzyli na siebie i gospodarz wyraził zgodę. Wprowadziłem rower do sieni, kombinezon zawiesiłem nad kuchnią, a sam usiadłem tak, żeby szybko wyschnąć.

Nie wiem, jak to się stało, że na widok tylu obrazów wyskoczyłem z „pochwalonym”, ale wyczułem, że to będzie najmądrzejsze posunięcie taktyczne, bo chłopi wtedy nie chcieli przyjmować do siebie nikogo. W czasie działań wojennych przewaliła się taka masa ludu, raz z Warszawy, później do Warszawy – a ludzie to byli różni. Więc jak już zacząłem odstawiać „gzymsika”, to trzeba było ciągnąć dalej, bo deszcz leje coraz większy. Więc zacząłem opowiadać o tym, jak zostaliśmy zniszczeni, jak dobrzy ludzie pomogli, jak im Pan Bóg i Matka Boska wynagrodzi. W mojej gadce często przewijały się takie słowa jak: mamuńka, tatuś, cioteczka kochana, do kościółka, dziękować Bogu i tym podobne delikatne, pieszczotliwe słówka, przesycone miłością do Boga. Od dziecka byłem niewierzący, ale deszcz pada, chłop może wyprosić, czas płynie, więc już i tak daleko nie dojadę. Wreszcie z pokorą zapytałem, czy będzie można przenocować, bo to deszcz taki i do Lublina daleko, a w Lublinie to już

kuzynek – uczył się na księdza – moją osobą się zaopiekuje. Zgodzili się bardzo chętnie i – narodzie drogi! – sprowadzili rodzinkę z odległej prawie o kilometr wsi, żeby zobaczyli bogobojnego faceta z Warszawy.

Robiło się już ciemno, gdy do chałupy weszło dwóch mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy z rowerami. Poprosili o nocleg. Gospodarz odmówił. Ludzie ci byli zupełnie przemoczeni, drżeli z zimna, a chłop nie chce ich przyjąć. Wstawiłem się cicho za nimi, operując argumentami wiary. Chłop uspokoił się, ale zażądał pieniędzy za nocleg. Do bocznej, całkowicie pustej izby rzucił dwie wiązki słomy na podłogę, dał im naftową lampę i kazał sobie z góry zapłacić za nocleg oraz zupę kartoflaną, którą obiecał im ugotować. Ludzie ci jeździli z Warszawy na wieś po żywność dla siebie i na handel. Wyciągnęli wódkę i zawołali mnie do towarzystwa. Odmówiłem, twierdząc, że wódki nigdy jeszcze nie piłem, a płakać mi się chciało, że musiałem odmówić. Ale przecież nie mogłem wypaść z raz przyjętej roli.

Na kolację dostałem michę pszennych klusek z mlekiem – a na dobranoc garnuszek gorącego mleka z masłem, żebym się nie zaziębił. Spać położyli mnie do łóżka ze świeżo powleczoną pościelą. Przed spaniem cała rodzina uklękła do wieczornej modlitwy, więc ja też. Wszyscy już powstawali z kolan, a ja jeszcze waliłem się pięścią w piersi tak gorliwie, jak chyba przedtem nigdy w życiu.

– Mój Boże kochany! – zaszczebiotała gospodyni. – Tyla tu ludzi nocowało u nas, ale pierwszy dopiero taki, co przed spaniem pacierz zmówił.

Rano modlitwa, śniadanie i jazda dalej – bo deszcz w nocy przestał padać. Gospodarz nawet słuchać nie chciał o zapłacie za nocleg i jedzenie. Jest niedziela, deszcz nie pada, szosa z wybojami się skończyła, teraz jadę po asfalcie i śpiewam sobie wesoło. Śpiewająco dojadę do Lublina.

Pech! W rowerze urwał się prawy pedał, a ja jestem dopiero w połowie drogi między Rykami a Kurowem. Więc swojego bydlaka za rogi i marsz przed siebie – a szosa dobra, asfaltowa i deszcz nie pada.

Ciągnąłem go ze trzy kilometry, zanim doszedłem do wsi przy szosie. W pobliżu szosy kuźnia. Podchodzę – zamknięta. Prawda, przecież to niedziela. Odnalazłem kowala i proszę o przyczepienie pedału.

– W niedzielę nie będę robił, choćby mi pan nie wiem ile zapłacił – odpowiedział na moją propozycję dobrej zapłaty. A tu ładna pogoda i dopiero godzina jedenasta rano.

Szukam kwatery – nikt nie chce przyjąć. Dopiero sołtys wyznaczył mi chałupę, w której mogę się zatrzymać do następnego dnia. Gospodarze, sympatyczni ludzie, przyjmują na kwaterę tylko ludzi skierowanych przez sołtysa, bo ten legitymuje, to mniej kradną.

Nakarmiono mnie. Przenocowałem względnie dobrze – zapłaciłem kamieniami do zapalniczek, których na wszelki wypadek dość dużo wziąłem ze sobą. Rano kowal zaklepał mi pedał i – jazda w dalszą drogę.

Gdy byłem już na przedmieściu Lublina – pech! Widzę, że przednie koło coś dziwnie mi się kiwa, jak pijane obija się po bokach widelca. Zlazłem z roweru i cóż: pękła ośka. Cholerny, zbuntowany rower! Bydlę przeklęte! Za kierownicę go i znów piechotą przez cały Lublin na ulicę Długą, gdzie mieszkał mój daleki kuzyn. A tu jak na złość znów deszcz i nie można wyjść z domu, żeby poszukać nowej ośki.

Następnego dnia mimo deszczu łaziłem po mieście i wreszcie po długim szukaniu kupiłem ją w sklepiku ze szmelcem na Starym Mieście.

Było już po południu, gdy wyjechałem z Lublina. A tu trzeba przejechać jeszcze prawie sześćdziesiąt kilometrów. Którędy jechać? Przez Piaski dalej – ale. szosą. Przez Łęczną bliżej – ale kawałek chłopską drogą, jak mi tłumaczono. Ale to dobra droga. Rowerem dobrze się jedzie. Wybrałem drogę przez Łęczną i przekląłem Łęczną, drogę, rower, wojnę, Niemców oraz cały świat razem z jego satelitami.

Już nieważne nawet było to, że co kilkanaście minut padał deszcz – ale to, co zobaczyłem, gdy minąłem Puchaczów. Ten „kawałek" dobrej drogi to chyba osiem kilometrów błota i gliny zalanej wodą. Kawałek jechałem, kawałek szedłem, i tak na zmianę. Pomaleńku, z nogami zamoczonymi do pół łydek, dotarłem do szosy Lublin – Włodawa. Teraz jeszcze kawałek na rowerze szosą, kawałek na piechotę do wsi i pozostało mi tylko trzy kilometry do następnej wsi – a tam już „meta". Trzy kilometry w całkowitych ciemnościach, piechotą, po błocie, ciągnąc rower obok siebie. Nogi i tak już mokre, więc na kałuże nie zwracałem żadnej uwagi – tylko parłem jak czołg, prosto przed siebie, bez względu na przeszkody.

Wreszcie wieś i chałupa, w której mieszkają moje babulki. Gdy wszedłem w obejście, opadły mnie trzy złe psy, które już zostały spuszczone z łańcuchów. Oparty plecami o ścianę zasłaniałem się przed nimi rowerem. Wreszcie z chałupy wyszła gospodyni, odpędziła psy, a ja wszedłem – i z krzykiem na gospodarzy, że tak wcześnie spuścili psy.

– No bo, proszę pana – mówi gospodyni – kto mógł wiedzieć, że tak późno jeszcze ktoś do nas przyjdzie. Przecież my sami mieszkamy, pod lasem…

– Co za „proszę pana", do jasnej cholery! – wrzasnąłem.

Wtedy dopiero poznały mnie. no bo w kombinezonie, mokry, zabłocony, w błocie po kolana, a najważniejsze – niespodziewany, a w chałupie paliła się tylko mała naftowa lampka.

Dwa dni odpoczywałem, a trzeciego rozebrałem rower na tak zwane czynniki pierwsze – smarowałem, czyściłem i szykowałem go do powrotnej drogi, bo wynikł jeszcze nowy feler – tylna piasta torpedo przepuszczała. Gdy jechałem na wolnym luzie, to później dwa, trzy obroty pedałami kręciłem na luzie, zanim piasta znów ciągnęła normalnie.

Poprzedniego dnia jeden gospodarz przywiózł mi z Chełma pięć kilogramów tytoniu i dziesięć litrów spirytusu. Na spirytus przywiozłem z sobą ośmiolitrową bańkę i dwie jednolitrowe wojskowe manierki. Spirytus był koloru żółtego i zalatywał rdzą – podobno przechowywany był w zardzewiałej beczce – ale to drobiazg, najważniejsze, że siłę przepisową posiadał. Bańkę opakowałem tytoniem, żeby z zewnątrz nikt się jej nie domacał. Wszystko razem owinąłem workiem, blisko otworu worka lokując manierki, by na wszelki wypadek były pod ręką. Wszystko razem na bagażnik i… serwus rodzinka i wioska, jadę do domu!

Wyjechałem już po obiedzie – no bo przecież te głupie sześćdziesiąt kilometrów do wieczora przekręcę. Pięć kilometrów drogą polną do szosy, a dalej już szosą przez Piaski do Lublina.

Tym razem zaczęło się dobrze. Deszczu nie było, kałuż też nie było, więc tra-la-la, śpiewająco się pedałuje. Ale pech to pech. Kilometr przed Piaskami pękł mi łańcuch. Dociągnąłem rower do miasteczka, kowal zajął się jego reperacją, a ja wlazłem do jakiegoś brudnego żydowskiego sklepiku pożywić się. Dostałem tylko chleba i ogórków kwaszonych, ale i to dobre, gdy chce się jeść. Dość długo trwało, zanim kowal wyszukał odpowiedni kawałek łańcucha. Lecz w końcu rower został naprawiony i bez żadnych przygód dostałem się do Lublina, już po godzinie policyjnej – i nawet wydawało mi się dziwne, że nikt rnnie z tego powodu nie zaczepił.

Z Lublina do Warszawy miałem zamiar jechać dwa dni, z odpoczynkiem u swoich świątobliwych wieśniaków. Dlatego wyjechałem dość późno i… przeliczyłem się z czasem. Bo nie przewidziałem nowej komplikacji. Przy skrzyżowaniu dróg stał duży murowany dom, a przed domem posterunek niemiecki z karabinem. Gdy mijałem żołdaka, ten zaszczekał coś do mnie, ale nie zwróciłem na niego uwagi, tylko pedałowałem dalej. Gdy minąłem go zaledwie o kilka metrów, wrzasnął znów. Obejrzałem się i zobaczyłem, że on ściąga z pleców karabin. Zawróciłem, a on założył mi mowę, z której nic nie rozumiałem, ale z gestykulacji połapałem się, że mam zawrócić, a gdy będę jechał z powrotem – mam zdjąć przed nim czapkę.

„Długo będziesz, wybrańcu boży, czekał, zanim ja przed tobą zdejmę czapkę – pomyślałem jadąc z powrotem w kierunku Lublina. – Cholerę połkniesz, zanim mnie jeszcze raz zobaczysz”.

Ale musiałem odwalić kawał drogi, zanim znalazłem boczną drogę. Jadąc polnymi drogami wyjechałem w końcu na szosę, już kilka kilometrów za pechowym skrzyżowaniem. Straciłem tylko dużo cennego czasu. Zrobiło się już zupełnie ciemno, a ja według swego wyliczenia miałem do przejechania jeszcze kilka kilometrów. Ścieżką przy brzegu szosy nie mogę jechać, bo tak ciemno, że mogę wtoczyć się do rowu, a znów szosą muszę jechać zupełnie wolno ze względu na wielkie wyrwy w nawierzchni.

Raptem słyszę zbliżający się szybko wóz. Nacisnąłem pedały i gdy wóz przejeżdżał obok mnie, chwyciłem się prawą ręką za tylną kłonicę. Na wozie resorowym, zaprzężonym w dwa dobre konie, jechało rozbawione młode towarzystwo. Wóz pędzi, ja przy wozie, a ciemno tak, że na metr przed sobą nic nie widać. Już się martwiłem, że nie będę wiedział, kiedy odczepić się od wozu, by dostać się do swoich gospodarzy, gdy wtem… łup! Tr-r-r-r! – wóz pojechał, rower położył się na szosie, a ja przy rowerze. Cóż – pech! Wpadłem w dużą wyrwę w szosie, koło poszło w bok i oś wozu wycięła w przednim kole kilkanaście szprych. Przednie koło ósemka, a ja potłuczony. Klnąc artystycznie, powlokłem się przed siebie. Rower ciągnąłem 7, uniesionym do góry przednim kołem.

Chyba po godzinie takiego marszu zobaczyłem po lewej stronie światła wsi. Ledwie wypatrzyłem boczną drogę do wsi. Wszedłem do pierwszej chałupy, w której świeciło się światło. Wszedłem – wygnali. I tak wyganiali mnie z każdej chałupy, a że ja z natury jestem grzeczny, więc spokojnie szedłem dalej, tylko z każdej chałupy coraz bardziej zły i z nastawieniem, że jeżeli będzie mi zimno spać w nocy na polu, no to niech na nich spadną wszelkie możliwe klęski.

Do następnej chałupy postanowiłem wejść „na chama" albo mówiąc inaczej „na duś". Gdy mi na grzeczną prośbę o nocleg znów odmówiono, wryłem się *z* rowerem do chałupy i nie zważając na dziamgotanie baby i jej męża, usiadłem przy kuchni, żeby się rozgrzać, zaznaczając, że cholerę połkną, jeśli ja im wyjdę. Że jeśli zechcą, to mogą próbować wyrzucić mnie siłą, lecz tego im grzecznie nie radzę. Dla zaakcentowania swojego stanowiska przez cały czas nie wyjmowałem prawej ręki z kieszeni. Baba wyszła, wróciła, po kilku minutach weszło dwóch młodych dryblasów – synków, jak to się wkrótce okazało. Ja siedzę przy kuchni, a trzech chłopów i baba naprzeciwko mnie pod ścianą – i wszyscy grzecznie, bez słowa gadania. „W nocy nie będę spał, bo mogą zarżnąć" – pomyślałem. Tych na Pana Boga się nie złapie. I w tym momencie pomyślałem sobie, że może dadzą się złapać na… spirytus.

Wyjąłem z worka jedną manierkę – podaję babie i proszę, żeby dobrała wodą, bo to spirytus, to wypijemy sobie na rozgrzewkę. Spojrzałem na chłopów – szeroki, zadowolony uśmiech rozjaśnił ich

dotychczas ponure gęby. Przy wódce rozwiązały się języki – dostałem kolację, łóżko do spania i już byłem w charakterze „przyjaciela". Na wszelki wypadek nie piłem dużo, ale nowa „przyjaźń" była z ich strony zupełnie szczera.

Następnego dnia wędrowałem Cztery kilometry do innej wsi, by u specjalisty od rowerów kupić brakujące mi szprychy. Zanim założyłem i wycentrowałem koło, było już południe. Pożegnałem „gościnnych" gospodarzy i – mocno na pedały, by do wieczora dojechać do domu. Jechało się zupełnie dobrze, tylko coraz częściej zaczęła przepuszczać tylna piasta. Coraz częściej przepuszczała i coraz więcej trzeba było kręcić na luzie, żeby znów ciągnęła. Wreszcie za Wiązowną piasta wysiadła całkowicie. Jak pech, to pech! Nawet już nie byłem zdziwiony. Kręciłem pedałem, a rower stal w miejscu. Teraz pytanie: co robić? Wracać z powrotem nie wypada. Na szukanie noclegu za wcześnie, poza tym Wawer to nie miejscowość, gdzie można u kogoś przenocować. Zdecydowałem: płyniemy do domu.

Na Grochowie już prawie nie spotykałem ludzi, a gdy byłem na moście Poniatowskiego, okazało się, że jestem sam. Godzina policyjna – i ja jeden na ulicy, a do domu jeszcze daleko.

W Alejach Ujazdowskich, przy ulicy Agrykola, zaczepił mnie niemiecki patrol. Dobrze, że równocześnie napatoczył się granatowy policjant, który znał język niemiecki – bo ja nie znałem nawet jednego słowa, więc kto ich tam wie, co by ze mną zrobili. Wytłumaczyłem sam, że wracam ze wsi, że popsuł mi się rower, pokręciłem pedałami. Zapytano mnie, co mam w worku.

– Tytoń – odpowiedziałem.

– Szmugiel? – pyta szkop.

– Nie, dla siebie.

Pomacał, ale bańki ze spirytusem się nie domacał – i kazał iść dalej.

Gdy doszedłem do Belwederu, pomyślałem, że głupotą byłoby prowadzić rower z góry. Zjechać i wygodniej, i szybciej. Z popsutą piastą i bez hamulców pojechałem w dół na złamanie karku… Bęc! Uderzenie, wyleciałem z siodła, kilka kozłów po jezdni i… spokój. Ja potłuczony, a przednie koło – ósemka. Okazało się, że na ulicy Belwederskiej rozebrano jezdnię na szerokości dziesięciu metrów i to było przyczyną kraksy.

I znów na jednym kole, na piechotkę do domu. Kwadrans takiego marszu i już dzwonię do bramy. Dozorczyni otwiera i wita mnie „artystyczną wiązanką słupów telegraficznych". Było tam wszystko: taka mać, taki synu – i wiele innych ciekawych słów kwestionujących moje pochodzenie oraz prowadzenie się moje i mojej matki.

Zatkało mnie na moment, lecz już po chwili oddawałem „wiązankę" z lichwiarskim procentem.

Następnego dnia okazało się, że dozorczyni wzięła mnie za kolegę z tego samego domu, który był bardzo do mnie podobny, a „wiązanka” była przeznaczona dla niego z tego powodu, że codziennie przychodził po zamknięciu bramy i nigdy za otwarcie nie płacił.

Tak zakończyła się moja pechowa podróż, w której opisie me ma mc zmyślonego. Tego samego jeszcze dnia rower swój najnormalniej w świecie wyrzuciłem na śmietnik. Tytoń odprzedałem kolegom bez zarobku. A spirytus? Spirytusu żal mi było sprzedawać, bo z powodu koloru i smak musiałbym oddać go taniej niż spirytus czysty, który znów po sprzedaniu swojego musiałbym kupować w celach „leczniczych”.

CHLEB I PRACA

– Jak żyjecie, chłopaki? – zapytałem kolegów, którzy całą gromadą odwiedzili mnie wieczorem po moim powrocie z rajzy. – Gdzie który pracuje? Co robicie? Z czego żyjecie?

– Roboty żadnej jeszcze nie ma – mówi Zygmunt. – Żyje się z tego, co nałapaliśmy z płonących magazynów i fabryk w czasie oblężenia. Sprzedaje się jedne rzeczy, a za to kupuje się to, co jest potrzebne. Cała Warszawa handluje.

– Ja robię bimber z cukru – pochwalił się Bronek. – Jutro przyniosę pół litra, to spróbujesz, czy dobry.

– Każą się wszystkim rejestrować w urzędach pracy – wtrącił Mały – ale jeszcze żaden z naszych chłopaków się nie zgłosił.

– Wszyscy mają oddać radia. Każdy ma sam zanieść do komisariatu…

– Opału nie ma. Nie mamy na czym gotować obiadów – informowali mnie koledzy o obecnych warunkach życia w Warszawie.

Gdy chłopaki wychodzili z mieszkania, poprosiłem Małego i Antka, żeby zostali jeszcze kilka minut, bo chcę z nimi obgadać kilka spraw. Do późnej nocy omawialiśmy dokładnie poruszone poprzednio sprawy i ustaliliśmy plan postępowania na najbliższy okres.

Następnego dnia, gdy jeszcze leżałem w łóżku, przyszedł do mnie Olek z Wójtówki. Posiedział kilka minut, porozmawiał, wreszcie zapytał:

– Postawisz ćwiartkę?

– Za co? – odpowiedziałem, śmiejąc się. – Za te kilka złotych, które mani w kieszeni? Wyjmij forsę z marynarki, dołóż resztę i kup. To, co tam znajdziesz, to jest wszystko, co mam.

– Naprawdę nie masz więcej? – zapytał, gdy obliczył pieniądze.

– A skąd mam mieć? Wczoraj wróciłem z rajzy i dopiero zacząłem rozglądać się, co robić, żeby żyć. A jak ty żyjesz?

– Tak jak zawsze – kradnę. Przed wojną byłem złodziejem, to nie wiem, dlaczego miałbym zmieniać zawód, tym bardziej że teraz mam kogo obrabiać. Obrabiam Niemców, nieczynne fabryki i mieszkania, których właściciele uciekli za granicę. Mam jeszcze zamelinowanych sporo gratów, które zdobyłem w czasie oblężenia. W domu miałem tyle towaru, że jak policja zabierała, to musieli platformą przyjechać. W czasie oblężenia nawet godziny nie siedziałem w piwnicy. Szukałem śmierci i nie znalazłem. Patrz, tyle dobrych ludzi zginęło, a ja żyję. I po co? Dla kogo? Komu potrzebny jest taki człowiek jak ja?

Spojrzałem – Olek płacze. Taki charakterny i twardy chłopak płacze. Nie odzywałem się wcale. Niech płacze, niech się wypowie, może sobie tym ulży.

A Olek mówił:

– Wiesz, jak to u mnie było. Gdy byłem bez pracy, matka nie chciała dać jeść. Ukradłem rower. Udało się. Ukradłem drugi, trzeci i czwarty. Przy następnym wpadłem. Siedziałem rok. Myślisz, że to była dla mnie kara? To była szkoła, i to dobra szkoła. Więcej mnie nigdy nie złapali. Jak wróciłem z mamra, chciałem uczciwie pracować, ale nigdzie do pracy nie mogłem się dostać, a matka znów jeść nie chciała dawać. Kazała kraść. Pamiętasz, jak kradłem przed samą wojną – na chama, tak żeby wpaść i iść znów do więzienia. Ale jak na złość wszystko mi się udawało. Teraz szukałem śmierci i też nic z tego nie wyszło. Jak Niemcy zaczęli ostrzeliwać barykadę na Wójtówce, to żołnierze uciekli, a ja wlazłem pijany, prułem z karabinu maszynowego i nic. Jak widzisz, nawet mnie nie drasnęło.

Gdy się już wyżalił na swój garbaty los, wyszedł, obiecując, że za godzinę wróci. I rzeczywiście przyszedł, niosąc w ręku kilka paczek – chleb, wędlinę, ogórki, a w kieszeni pół litra wódki. Gdy rozłożył wszystko na stole, wyjął z kieszeni sto pięćdziesiąt złotych i daje mi je. Wziąłem pieniądze do ręki i patrzę zdziwiony, co mam z nimi zrobić.

– Bierz, to dla ciebie – powiedział wreszcie, widząc moje zdziwienie.

– Ależ ja nie wiem, kiedy będę mógł ci je oddać. Nie wiem jeszcze, kiedy i jak się rozkręcę.

– Nie musisz oddawać. Myślisz, że ja nie pamiętam, jak niejeden raz dałeś mi na papierosy albo postawiłeś kieliszek wódki? Jak będziesz miał, wtedy oddasz. Mnie się nie spieszy.

Więc trochę forsy na początek już mam. Pojedliśmy, popiliśmy, ubrałem się i razem z Olkiem poszliśmy na Wójtówkę.

– W tym domu w piwnicach są niemieckie magazyny chleba – powiedział Olek, gdy przechodziliśmy obok nowej, kilkupiętrowej kamienicy. – Chodź, zobacz.

Zajrzałem. Kilka małych piwnicznych okienek, a w środku poukładane w stosy ciemne bochenki wojskowego chleba.

– Patrz, cholera, tyle chleba leży, a ludzie nie mają co jeść – powiedziałem patrząc w okienko. – A może im trochę tego chleba ujmiemy? – zapytałem.

– Po co on nam? – zapytał zdziwiony moją propozycją, – Tyle, ile nam potrzeba, to jeszcze damy radę kupić.

– Ale możemy wytaszczyć kilkanaście worków i rozsypać w nocy na ulicach. Nie zmarnuje się. Ludzie zbiorą. No co. Olek, robimy?

– Dobrze, możemy robić, ale dopiero jutro w nocy. Dzisiaj nie mam czasu, a w dzień będę musiał przynieść belkę.

– A po cholerę ci belka?

– Jak to po cholerę? A kraty z okienka to zapałka wyłamiesz? Wsadza się belkę między kraty, naciska i krata wychodzi.

Następnego dnia wieczorem wypiliśmy z Olkiem dla animuszu ćwiartuchnę, worki pod pachę i o godzinie jedenastej już byliśmy na miejscu. Między kraty okienka wsadziliśmy belkę, nacisnęliśmy i krata wylazła jak z masła. Jeszcze w mieszkaniu Olek dał mi spluwę, małego waltera z amunicją i zapasowym magazynkiem, oraz dwa granaty obronne; sam miał też taką samą porcję. To na wypadek, gdyby zahaczył nas patrol niemiecki albo granatowej policji.

– Teraz jest wojna – mówił Olek. – Z „psami" i szkopami nie będę się patyczkował i biedny będzie taki, który się na mnie nadzieje. Chyba że zdąży strzelić pierwszy.

Tak więc, uzbrojeni, po wyłamaniu krat dostaliśmy się do piwnicy z chlebem.

„To klawa zabawa – myślałem wkładając chleb do swojego worka. – Emocja. Nigdy jeszcze nie byłem na takiej robocie. Najważniejsze, że niebezpieczna. Lepiej, żeby wszystko odbyło się spokojnie, ale jak będzie trzeba, to zrobimy wojnę. Olek pewniak, nie przestraszy się byle czego".

Po naładowaniu worków wyjrzałem przez okienko, czy droga wolna.

– Wyłaź – szepnąłem do Olka. – A ja podam ci worki.

Idziemy z workami na plecach i odnoszę wrażenie, że nasze kroki słychać w całej dzielnicy. Wszędzie pusto i niesamowita cisza. Chleb wynieśliśmy na boczną uliczkę i wysypaliśmy w bramie. Pracowaliśmy tak do godziny drugiej w nocy, bez przerwy wynosząc chleb, który wysypywaliśmy w pobliskich bocznych uliczkach. Gdy byliśmy znów w piwnicy, usłyszałem kroki idących wolno ludzi. Olek też już usłyszał. Wyjął granat i stanął pod ścianą obok okienka. Wyjąłem swój i stanąłem z drugiej strony. Czekamy, a odgłos kroków słychać już blisko. Policja czy Niemcy? – zastanawiałem się, zezując bokiem na ulicę. – Zobaczą, że krata wyrwana, czy nie zobaczą? Czy pożyją jeszcze jakiś czas, czy też za chwilę już nie będą żyli?

– „Psy" – szepnął Olek, który obserwował ulicę od wylotu Czerniakowskiej.

Po chwili zobaczyłem dwóch „granatowych" w momencie, gdy wolno, spacerowym krokiem mijali naszą piwnicę. Nic nie zobaczyli. Olek wyjrzał jeszcze za nimi, czy przypadkiem nie skręcą w boczną ulicę, bo wtedy znaleźliby rozsypany chleb. Poszli prosto, w stronę Belwederskiej. Wynieśliśmy ostatnie dwa worki i… fajerant.

Wracając bocznymi uliczkami, klątem w duchu swoje buty za to, że robią tak dużo hałasu. Przypomniałem sobie, jak usłyszałem kroki policjantów, mimo że byli jeszcze daleko, a teraz sam idę niewiele ciszej. Postanowiłem buty podbić kauczukiem i będą mi one służyły tylko do chodzenia w nocy. A chodzić będę jeszcze wiele razy, bo mi się dzisiejsza wyprawa i połączona z nią emocja podobały.

Trzeba szukać uczciwej pracy. Z pieniędzy, które pożyczyłem od Olka, niewiele już zostało, a przecież nie będę żył tylko za pożyczane. Koledzy przychodzą do mnie codziennie z wódką i zagrychą, to się przy nich pożywiam. Wygodnie im u mnie, bo jestem w domu sam. Tu chłopaki grają w karty, umawiają się, gdzie i co komu sprzedać i co robić, żeby nie pracując zarobić kilka złotych. Każdy zdaje sobie sprawę z tego, że zapasów nie starczy na długo i że trzeba starać się o stałe zajęcie. Roboty szukają wszyscy, ale pracuje dopiero trzech. Tadek pracuje w warsztacie mechanicznym na Mokotowie, a Bolek i Mietek w „Cafe Clubie" w szatni.

Po powrocie z rajzy omówiłem z Małym i Antkiem plan dalszego działania. Pierwszy punkt planu brzmiał: poszukać uczciwej pracy, takiej, żeby mieć pewność, że nie pracujemy dla Niemców. Drugi punkt mówił o tym, że jeśli pracy nie znajdziemy, to będziemy kraść, lecz tak, żeby nie skrzywdzić biednych i uczciwych ludzi. Możliwości było dużo: nieczynne fabryczki, których było kilka w dzielnicy, a na których już Niemcy położyli łapę. Wiedzieliśmy już, kto w dzielnicy został folksdojczem i że dobrze się takim powodziło. Pozostawały jeszcze mieszkania w nowych domach, których właściciele uciekli za granicę, a pozostawione graty upłynniają administratorzy domów.

Dowiedziałem się, że przyjmują ludzi do fabryki, w której pracowałem do wojny. Podobno na bramie wywieszono listę pracowników, którzy pierwsi będą przyjęci do pracy. Wiedziałem, że do pracy się nie zgłoszę, choćby mnie nawet wzywali, bo główną produkcją fabryki był radiowy sprzęt wojskowy, a zdecydowałem przecież, że Niemcy mogą mieć ze mną tylko kłopot, a nigdy żadnego pożytku. Z własnej i nieprzymuszonej woli nic dla wroga nie będę robił. Takie też było nastawienie wszystkich naszych chłopaków.

Poszedłem z Małym pod fabrykę. Na bramie wywieszony był spis pracowników, którzy mają stawić się do pracy. Sprawdziłem – jest i moje nazwisko. Spotkałem pod bramą kilku znajomych.

– Patrz, mnie nie wezwali – powiedział kolega, z którym pracowałem na jednym oddziale. – Inni to mają więcej szczęścia – dodał, patrząc na mnie. Że to niby ja jestem taki szczęściarz.

– Masz chęć pracować? – zapytałem. – To zgłoś się i powiedz, że przyszedłeś za mnie. Powiedz, że ja umarłem, zginąłem w czasie oblężenia. – A gdy patrzył na mnie zdziwiony, co też ja gadam, dodałem: – Bo ja naprawdę umarłem. Umarłem dla fabryki aż do końca wojny. Umarłem dla wszystkich władz i dla wszystkich zarządzeń. Przecież ja się nigdzie nie zgłaszam i nie rejestruję. Nie ma mnie. Umarłem.

W tym momencie podszedł do nas zastępca kierownika oddziału.

– Dlaczego pan się nie zgłasza do pracy? – zapytał zwracając się do mnie.

– Co? Ja? Dla kogo i za ile? Niech pan jego przyjmie – wskazałem na stojącego przy mnie kolegę. – On chce pracować, bo ja, panie, umarłem. Nie ma mnie. Ja wysiadam.

Podałem koledze rękę i odszedłem śmiejąc się serdecznie. Cholernie podobał mi się ten zwrot: nie ma mnie, umarłem – i powtarzałem go przy każdej okazji, aż do chwili aresztowania.

Pewnego dnia wracaliśmy z Małym powoli, piechotką do domu. Nie spilszyło nam się, więc szliśmy Nowym Światem, Alejami i Belwederską w dół. Na Nowym Świecie usłyszeliśmy dźwięki orkiestry wojskowej. W stronę Belwederu szła kompania żołnierzy z orkiestrą.

Ścisnęło mnie w żołądku. Popatrzyłem na nich z nienawiścią. Pomyślałem, co by to było, gdyby tak rzucić im w środek kilka granatów. Spojrzałem na Małego. Idzie z zaciśniętymi ustami i widzę, jak mu drgają szczęki – jedyny u niego objaw zdenerwowania.

Orkiestra gra; kompania maszeruje, przechodnie nie zwracają na nich żadnej uwagi, tylko na krawędzi chodnika stoją dwie dziewczyny i śmiejąc się machają rękami przechodzącym żołnierzom, z których kilku też odpowiedziało śmiechem i machaniem ręką.

– Zaczekaj! – powiedziałem szybko, przytrzymując Małego za rękaw jesionki. – Zobacz, co te k… wyprawiają.

Mały spojrzał i zaklął cicho przez zęby. Stanęliśmy pod murem i czekamy na przejście wojska, obserwując zalotne panienki. Gdy żołnierze już nas minęli, postały jeszcze chwilę i rozradowane ruszyły w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Podeszliśmy do nich i już Mały trzyma za klapę palta jedną, a ja drugą.

– Ach, wy… – posypała się lawina niecenzuralnych słów.

– Co pan? Czego pan od nas chce? – zareagowały oburzone. – Niech pan mnie puści! – woła ta moja.

Klątem patrząc jej w oczy i żałowałem, że to nie jest chłop. Aż się trząsłem, taką miałem chęć stuknąć ją głową. Spojrzałem bokiem i widzę, jak Mały ładuje tej drugiej pięść do brzucha. Podarowałem swojej taką samą porcję.

– Cicho, nie drzyj mordy! – powiedziałem jeszcze, gdy wrzasnęła po otrzymanym uderzeniu – i… ciągnie się szybko, bo jak my was przeciągniemy, to i pogotowie nie będzie miało co zabierać.

Babki uciekały biegiem, co chwila oglądając się za nami. W domu opowiedziałem kolegom o spotkaniu pod fabryką.

– Przyjdź jutro tam. gdzie ja pracuję – zaproponował Tadek. – Mój stary potrzebuje kilku ludzi, to może i ciebie przyjmie do pracy.

Poszedłem następnego dnia pod wskazany adres. Pukam w drzwi, na których wisi duża tabliczka z napisem: „Kantor”. Gdy nikt się nie odezwał, nacisnąłem klamkę. Za biurkiem siedział starszy facet, łysy i z brzuszkiem.

– Dzień dobry – powiedziałem grzecznie i miałem zamiar zapytać,

gdzie znajdę właściciela warsztatu, ale nie zdążyłem, bo łysy spojrzał na mnie i warknął:

– Coście tu chcieli?

Zgłupiałem na moment, ale już po chwili odszczeknąłem ostro:

– Gówno was to obchodzi – i patrzą na niego wyzywająco z nadzieją, że może *się* obrazi i powie coś takiego, co będzie ostatnim słowem do draki.

– Jak wy się do mnie odzywacie? – wrzasnął, a jego nalana twarz zrobiła się czerwona ze złości.

– Tak jak i wy do mnie – odpowiedziałem utrzymując swój zaczepny ton. – A zresztą ja nie mam z wami nic do gadania – dodałem. – Chcę rozmawiać z właścicielem.

– To właśnie ja jestem właścicielem.

– Ach tak? To bardzo właściciela przepraszam – powiedziałem teraz ironicznie. – Nie myślałem, że właściciel jest takim idiotą. Wobec tego nie mamy już sobie nic do gadania. Serwus! – Ja wysiadam! – Roześmiałem się i wyszedłem trzasnąwszy za sobą drzwiami z napisem „Kantor".

„Nie mam coś szczęścia do znalezienia pracy – myślałem wracając do domu. – Dwa dni, dwie prace i dwa razy:»Serwus! Ja wysiadam»„. Trzeba będzie próbować szczęścia w inny sposób.

DRZEWO I WĘGIEL

– No, chłopaki, musimy się postarać o drzewo i węgiel, bo elektryczny piecyk już nie wystarcza".

Przyszły mrozy, a w domu nie ma czym palić. Chłopaki przynieśli elektryczny piecyk, lecz to daje za mało ciepła. Grają w karty siedząc przy stole w paltach i czapkach, zacierając bez przerwy zgrabiałe z zimna ręce i tupiąc nogami w podłogę.

– Zaplanuj wyskok, daj wysokiej komisji do zatwierdzenia i będziemy robili – powiedział Heniek, rozcierając zgrabiałe dłonie.

– Jutro walimy do Promenady po topolę.

– Policja może złapać – mruknął pod nosem Bolek.

– Jak się który boi, to niech nie idzie. Kto idzie?

– Idziemy wszyscy – szybko odpowiedział Bolek, żeby nie został przez innych posądzony o bojaźń.

– Jak nas będzie dwudziestu, to policja nas nie ruszy, a zanim sprowadzą posiłki, to nas już dawno nie będzie – wykładałem swój plan. – Dobieramy się dwójkami. Dwóch będzie piłowało drzewo, a każda dwójka upatrzy sobie swój odcinek pnia takiej wielkości, żeby mogli go zabrać sankami. Podzielą się już po porąbaniu. Powiemy „powstańcom", że idziemy po drzewo, to też zleci się ich sporo i będą piłować boczne gałęzie, a resztę zabiorą przypadkowi świadkowie. W ten sposób będzie kupa ludzi i drzewo zostanie błyskawicznie rozparcelowane.

Umówiliśmy się, że zbiórkę z sankami i piłami robimy następnego dnia o szóstej rano na naszym podwórku.

Wesoła historia z drzewem przydarzyła się Staśkowi z Sadyby. Stasiek to nasz kolega, który jeszcze przed wojną ożenił się i zamieszkał na Sadybie.

Ważył on przeszło sto kilogramów, trenował zapaśnictwo i podnoszenie ciężarów. Był to chłopak z humorem i lepszy rozrabiaka. Pewnego dnia wybrał się z sankami pod Wilanów po drzewo. „Ściąłem w polu ładną ulęgałkę – mówi – odciąłem pień, już mam zamiar przywiązać go do sanek, a tu widzę, że miedzą pędzi chłop z kołkiem w ręku i drze mordę na mnie, że to niby ja złodziej i kradnę jego drzewo. A niech się drze – myślę sobie i dalej wciągam pień na swoje sanki. Gdy już był przy mnie, wyprostowałem się i pytam spokojnie: – I czego, chamie, mordę drzesz? Ty wiesz, kto ja jestem? Czekaj, ja ci zaraz pokażę. – Mówiąc to, wyjąłem portfel zza «parkanu», wyciągam jedną kartkę i podając ją chłopu mówię: – Chcesz wiedzieć, kto ja jestem? To masz, czytaj, chamie! – Chłop popatrzył w kartkę, potem na mnie i już grzecznie mówi: – Panie, ja pana bardzo przepraszam, ale nie wiedziałem. Ja pana bardzo przepraszam, niech się pan nie

gniewa. – No, dobrze, nie będę się gniewał, ale teraz pomóż mi przywiązać tę ulęgałkę do sanek. – Chłop pomógł, a jak odjeżdżałem, to jeszcze raz prosił, żeby się na niego nie gniewać, bo on nie wiedział". „A co ty mu pokazałeś?" – zapytałem zaciekawiony. „Widzisz – zaczął Stasiek nowe opowiadanie. – Jak Niemcy podeszli pod Warszawę, to wszystkich mężczyzn z Sadyby wsadzili do pociągu towarowego, wozili kilka dni po świecie i puścili za Częstochową. Traktowali nas jak jeńców wojennych, więc przy zwolnieniu dali każdemu na pamiątkę taką kartkę z pieczęcią, niemiecką gapą, na której było napisane po niemiecku, że jesteśmy zwolnieni z niewoli i udajemy się do swojego miejsca zamieszkania".

Pomyślałem sobie, że jak się jemu udało, to dlaczego my mielibyśmy się bać?

Następnego dnia pusto jeszcze było na ulicach, gdy całą grupą szliśmy do Promenady – dziko rosnącego parku przy ulicy Belwederskiej. Okazało się, że „powstańców" przyszło tylu, że jednego drzewa może dla wszystkich nie starczyć. Zanim wybraliśmy drzewo do ścięcia, zauważyłem, że „powstańcy" już piłują dość dużą i grubą osikę. Nie chcieli być tymi, którzy będą brać same gałęzie. Chcą być równorzędnymi partnerami. Szybko wybraliśmy dla siebie drzewo i teraz wszystko odbyło się już w błyskawicznym tempie. Dwóch ciągnie piłą przy ziemi, a inni już wyznaczają dla siebie odcinki. Po kilku minutach piłujących zastąpili inni, zmienialiśmy się co dwie, trzy minuty. „Powstańcy" wrzeszczą, że ich drzewo już leci. Gdy upadło, obsiedli je jak mrówki i wszystkie piły poszły w ruch. Po chwili przy naszym drzewie zaczęła się taka sama polka. Nikt nikomu nie przeszkadzał, bo każdy pracował na swoim odcinku. Zebrała się przy nas grupa ludzi z pobliskich domów, każdy z workiem, sankami i toporem w ręku. Czekali na swoją dolę, którą stanowiły korony drzew. Minęło jeszcze kilka minut i już przywiązywaliśmy do sanek odcinki pnia, następnie pomogliśmy chłopaczkom wykończyć robotę i… jazda do domu.

Tego dnia z podwórza zrobiono drwalnię, tak że jeszcze przed południem porąbane drzewo było w piwnicach i ludzie mogli wreszcie solidnie napalić pod kuchnią.

Wieczorem koledzy przyszli do mnie, jak zwykle, na karty. Zamiast elektrycznego piecyka buzowało pod kuchnią drzewo i było tak jakoś bardzo przyjemnie i ciepło, nikt nie siedział w palcie, a wielu zdjęło nawet marynarki. To była uczta!

Teraz dla odmiany robimy skok na węgiel. Ojciec Tadka był przed wojną dozorcą w fabryce „Kapeluszowej" i mieszkali oni w tak zwanej portierce przy bramie fabrycznej. Niemcy przysłali swojego dozorcę, jakiegoś „fokstrota", który mieszkał na terenie fabryki. Na podwórzu fabrycznym, od strony ulicy Górskiej, leżało do cholery węgla. Co

prawda, drobnego i z miałem, ale lepszy taki niż żaden.

Postanowiliśmy prostą metodą wywalić w parkanie dwie dechy – i węgiel nasz.

– A jak cieć narobi szumu? – padło logiczne pytanie.

– Nie narobi. Będzie się bał. Przecież nie pójdziemy w dzień. To musimy robić w nocy. Będziemy się starali, żeby wszystko odbyło się cicho, a jak będzie chciał robić szum, to dostanie parę razy w ryja i zamkniemy go w jego własnym mieszkaniu.

– „Powstańców" bierzemy? – zapytał Antoś.

– Możemy zabrać, ale tylko kilku, najrówniejszych. To już jest robota tryfna, więc trzeba ostrożnie, bo taki „powstaniec" zupełnie niechcący może gdzieś zakapować. Pogadam jutro z dozorczynią, żeby na noc nie zamykała bramy na klucz, a za to zabierzemy ze sobą jej chłopaków. Pewniaki.

Następnego dnia wypiliśmy po lampce wódki na rozgrzewkę i całą grupą, z workami pod pachą oraz łomem do podważania desek w parkanie poszliśmy po węgiel. Staliśmy cicho pod parkanem, a Antoś starał się łomem wyrwać z parkanu grubą deskę, która uparcie nie chciała dać się usunąć.

Spróbowałem z kolei ja wsunąć łom w wąską szparę między deskami. Deska nawet nie drgnęła. Zgniewało mnie wreszcie i z całych sił uderzyłem łomem w- deskę. Rozległ się huk, ale łom wlazł głęboko.

Staliśmy cicho w oczekiwaniu, co z tego wyniknie. Zdecydowałem, że jak nie można cicho, to robimy „na chama". Nacisnąłem łomem jeszcze raz i jeszcze raz. Rozległ się przeraźliwy pisk, zazgrzytało i deska wyszła górą. Po chwili otwór już był gotów. Druga deska wyszła grzecznie i bez pisków. Odczekaliśmy kilkanaście minut w całkowitej ciszy, żeby sprawdzić, czy nie wyjdzie cieć. Ale nie, spał jak zabity.

Weszliśmy na podwórze, na którym leżała olbrzymia hałda węgla. Z jednej strony hałdy stał budynek, w którym mieszkał dozorca przysłany przez Niemców. Obsiedliśmy hałdę z drugiej strony i każdy nabierał rękami węgiel do swojego worka. Wszystko odbywało się w całkowitej ciszy. Kto nabrał, nie czekał na innych, lecz zasuwał do domu, wysypywał węgiel do piwnicy i wracał z powrotem. Gdy niosłem swój worek, zauważyłem, że w kilku oknach stoją ludzie obudzeni naszymi krokami. Po drugim kursie już było nas więcej, a po godzinie prawie wszyscy mieszkańcy naszej ulicy nosili węgieł. Po pewnym czasie, gdy każdy miał już w piwnicy kilkanaście worków węgla, dałem chłopakom cynk, żeby już skończyć noszenie, bo może być poruta. W razie jakiej draki z „fokstrotem" lub policją nie możemy być już pewni, czy w takiej ferajnie ludzi nie znajdzie się kapuś. Zakończyliśmy więc „pracę", a inni nosili prawie do rana. Na szczęście w nocy zaczął padać śnieg i padał jeszcze przez cały następny dzień,

zasypując ulicę grubą warstwą, pod którą zginęły ślady naszej nocnej wyprawy.

Po trzech dniach Tadek powiedział nam, że „fokstrot" wyrównał hałdę, zasypał śniegiem, żeby nie było widać ubytku węgla, zabił dziurę w parkanie… i siedzi cicho. Nigdzie nie meldował o kradzieży. Bał się o swoją skórę, że spał zamiast pilnować. Od tego dnia robił co dwie godziny obchód całej fabryki, a po każdym.obchodzie nastawiał budzik, żeby go za dwie godziny znów obudził.

– Nie szkodzi – powiedziałem z zadowoleniem. – Może sobie chodzić nawet co godzinę, a my i tak jeszcze niejeden raz podskubiemy coś z fabryki.

„ROBOTA”

Koledzy wyprzedali już wszystko, co zdobyli w czasie oblężenia. Mnie też już zabrakło pieniędzy. Dotychczas pożywiałem się przy chłopakach. Teraz, gdy oni już nic nie mają, to i mnie jest ciężej, tym bardziej że co dwa, trzy tygodnie jeżdżę za Lublin, żeby matce dostarczyć forsy na życie. Wszyscy rozglądają się, w jaki sposób zdobyć trochę pieniędzy, a do Niemców żaden nie chce iść pracować.

Pewnego dnia przed południem przyszedł do mnie Mietek i po krótkiej rozmowie przystąpił do zasadniczej sprawy.

– Mam nadaną dobrą robotę. Chcesz przystąpić do spółki? Sam nić nie zrobię, a nie chciałbym w to wtajemniczać za dużo osób.

– Tryfna? – zapytałem krótko.

– Tryfna, ale nikogo nie skrzywdzimy. Ulżymy tylko innemu bogatemu złodziejowi.

– Zgadzam się, gadaj, o Co chodzi.

– Jest mieszkanie bardzo bogatego frajera, właściciela kilku kamienic, który z, całą rodziną uciekł za granicę – zaczął referować Mietek. – Tym mieszkaniem „opiekuje się” administrator domu, a „opieka” polega na tym, że wyprzedaje on na swoją dolę różne wartościowe przedmioty, znajdujące się w mieszkaniu. Są tam piękne drogie obrazy, antyczna porcelana, wiesz, takie jakieś garnki, wazy, talerze i różne inne śmieci, za które podobno dobrze płacą. Są też jakieś drogie dywany i do cholery różnego drobiazgu, na którym można nieźle zarobić.

Przerwałem te wywody, mówiąc krótko: -

– Klawo, idę. Powiedz tylko, kiedy robimy.

– Jeśli nie masz nic innego do roboty, to możemy wyskoczyć dzisiejszej nocy – zaproponował Mietek.

– Dobrze. Start z mojego mieszkania. Umówię tylko Staśka, syna naszej dozorczyni, żeby w nocy otworzył bramę, jak będziemy wychodzili i jak będziemy wracać. On i Leon to najrówniejsi „powstańcy” – wyjaśniłem – z nimi można robić każdą przewalankę.

– No to łapa. Umowa stoi.

W nocy, przed wyjściem z mieszkania, stuknąłem kilka razy lekko nogą w podłogę. Był to umówiony znak dla Staśka, że wychodzimy. Gdy zeszliśmy na dół, czekał już na nas. Otworzył bramę, mówiąc, że będzie siedział w oknie i czekał na nasz powrót.

Głupie uczucie – iść tak nocą pustymi ulicami, gdy nie wiadomo, czy zza najbliższego rogu nie wyjdą Niemcy lub policjanci. Na takie spotkanie byliśmy przygotowani. Dałem Mietkowi swojego waltera z zapasowym magazynkiem i dwa granaty, a sam wziąłem szturmowe parabellum, cztery zapasowe magazynki i także dwa granaty. Żywcem

nikomu wziąć się nie damy, ale myśl o tym, że może dojść do wojny, nie była wcale przyjemna.

Krótszą drogą przez ogród i pusty plac, przełażąc przez parkany, dostaliśmy się na podwórze domu, w którym mieliśmy pracować. „Nasze" mieszkanie znajdowało się na parterze. Pod jednym oknem leżała duża kupa śniegu. Stanęliśmy pod oknem i namyślaliśmy się, co robić. Mietek przykucnął, a gdy wszedłem mu na ramiona, wolno się podniósł. Sięgałem rękami do połowy okna. Dłutem oderwałem dyktę zastępującą wybitą szybę, otworzyłem okno i już byłem w mieszkaniu, a po chwili do środka wskoczył Mietek. Zamknęliśmy okno i świecąc ślepymi latarkami, rozglądaliśmy się z ciekawością po nie znanym mieszkaniu.

– Chodź, zobacz, co to jest! – woła mnie Mietek i pokazuje jakąś szkaradną porcelanową figurę.

– Cholera wie, co to ma przedstawiać – odpowiedziałem zdziwiony, że też chce się ludziom płacić drogie pieniądze za takie jakieś mazepy. Wybierane przez nas przedmioty ustawialiśmy na dużym stole stojącym na środku pokoju.

– Ty! Co tam znów przyniosłeś? – woła Mietek. – Jakiś poklejony wazon?.

– To go wyrzuć w cholerę i nie zawracaj głowy – odpowiedziałem już zły, że on bez przerwy gada i śmieje się ze wszystkiego.

Teraz dla odmiany ja zawołałem Mietka.

– Zobacz, jakieś małe fotografie. Brać to czy nie? Śliczne ramki.

– Możemy brać – odpowiedział Mietek patrząc na fotografie starożytnych babek. – Ciężkie to nie jest. Fotografie wyrzucimy, a ramki ładne, to może ktoś kupi.

– Tu w futerale stoi coś ciężkiego – woła znów Mietek. – Pomóż przenieść na stół.

Po zdjęciu pokrowca okazało się, że jest to zegar w porcelanowej oprawie, który „obsiadły" porcelanowe babki. Śliczna rzecz, nawet na taką jak moja znajomość tych rzeczy. Bo dopiero później dowiedziałem się, że te fotografie to bardzo drogie miniaturki, które dołożyłem darmo kupcowi porcelanowych talerzy, za które w naszym pojęciu zapłacił bardzo dobrze. A zegar okazał się zegarem z czasów Ludwika któregoś tam. Sprzedać go chciałem swojemu majstrowi z fabryki za czterysta złotych. Tak na oko oceniliśmy jego wartość. Gdy nie chciał nam tyle zapłacić, zawieźliśmy zegar do handlarza. Na „wariata" podałem cenę dziesięć tysięcy złotych, które on bez jednego słowa zapłacił. Gdy po kilku dniach majster zgodził się dać żądaną poprzednio sumę, odesłałem go do handlarza, któremu zegar sprzedaliśmy. Poszedł i udawał kupca, który chce kupić antyczny zegar. Obejrzał kilka, lecz nigdzie nie zauważył naszego. Wreszcie znalazł. Gdy zapytał o cenę, właściciel odpowiedział poważnie:

– Ja pana nie znam. Nie wiem, jakie są pana możliwości finansowe, ale mogę pana zapewnić, że nigdy nie będzie pana stać na kupno takiego zegara. To jest unikat jedyny w swoim rodzaju.

Nie znałem się na unikatach w ogóle; zacząłem żałować, że nie znam się na porcelanie i antykach.

Po naładowaniu dwóch worków drobną porcelaną wyszedłem przez okno, a Mietek podał mi majdan, który spokojnie zanieśliśmy do domu, i wróciliśmy po resztę. Pozostał jeszcze zegar, kilka „blach" – jak nazwałem stare, chyba rosyjskie, samowary – i jeden obraz, który nożem wyrżnęliśmy z ram. Jak kto kupi, to przyjdziemy po inne – obiecywaliśmy sobie zwijając obraz w rulon.

Teraz do środka wskoczył tylko Mietek i już po chwili podawał mi zegar. Wychylony z okna wołał:

– Bierz prędzej, bo nie mogę utrzymać! Wystawiłem ręce i mówię:

– Puszczaj!

Nie utrzymałem. Zegar wypadł mi z rąk i wleciał w kupę śniegu.

Zakląłem półgłosem, bo w momencie upadku zadźwięczał dzwonek umieszczony w zegarze. Spojrzałem po oknach – cisza, nie widać żadnej twarzy. Zegar nie zadzwonił nawet głośno, ale w ciszy nocnej odniosłem wrażenie, że to odezwał się dzwon kościelny. Z dużym wysiłkiem udało mi się wreszcie wyciągnąć zegar ze śniegu i przenieść za róg domu. Po chwili odebrałem zwinięty obraz i czekałem na znak od Mietka, żeby odebrać „blachy", które ładował do worka. Wreszcie ukazał się na oknie z workiem pełnym tego żelastwa. Rzucił go, ja na dole chwyciłem, ale worek ciężarem swym przechylił się w bok i cały majdan spadł na ziemię. Rozległ się przeraźliwy brzęk, zdolny obudzić całą kamienicę. Mietek szybko zamknął okno, zeskoczył na dół i już był przy mnie, gdy ja w tym czasie stałem za rogiem domu z pistoletem w ręku. Byłem pewien, że hałas ściągnie na nas dodatkowe, nieprzewidziane kłopoty. Gdy po dziesięciu minutach nie zaszło nic nowego, wyjrzeliśmy zza węgła, rozejrzeliśmy się na wszystkie strony – i zarzucając majdan na plecy, bocznymi ulicami dostaliśmy się do domu.

Więc już mamy zimę na cały regulator. Koledzy martwili się, że drą im się buty, a nigdzie nie można kupić skóry na zelówki, która jest na wagę złota. Poszedłem na Wójtówkę do Olka. Leżał jeszcze w łóżku, a matka chodziła po mieszkaniu i wymyślała mu, że nie chce wstać. Słów, którymi operowała, nie powstydziłby się najbardziej gramotny w tej dziedzinie furman. Olek też nie był dłużny matce. Siedziałem na jakimś kulawym stołku i śmiałem się w duchu, ciekawy, co z tej „rozmowy" wyniknie.

– Mieliście takiego sukinsyna ojca, że was nie powyduszał, jak szczeniakami byliście – dziamgocze matka pod adresem Olka i jego młodszej siostry.

Teraz już i Olek się zdenerwował. Usiadł na łóżku i powiedział ostro:

– Niech matka przestanie, bo się zezłoszczę.

Efekt piorunujący. Olek poleżał jeszcze kilka minut, wstał, ubrał się, a matka w tym czasie nie powiedziała nawet jednego słowa. Gdy wyszliśmy na ulicę, zapytałem, co się stało, że matka tak dokładnie zamknęła twarz.

– Jak ty się złościsz? Matki przecież nie bijesz?

– A po co bić? Widziałeś, że na środku mieszkania stoi żelazny piecyk, od którego biegną rury do luftu. Matka cholernie nie lubi robić. A jak ja ostrzegam, że mogę się zezłościć, i to nie pomaga, to kopię nogą w piecyk. Piecyk się przewraca, rury się rozlatują i matka ma na tydzień roboty ze sprzątaniem sady, których pełno jest wtedy w każdym kącie.

– Słuchaj, potrzebuję skóry na zelówki. Poradź, jak zdobyć, żeby nic nie kosztowały i żeby jeszcze można było zarobić na kieliszek chleba.

– Zrobimy skok na fabrykę – odpowiedział Olek bez chwili wahania. – Mam jedną na oku. Pilnuje jej niemiecki dozorca, ale ja już mam sposób, żeby wszystko grało. Kiedy idziemy?

– Możemy iść dzisiejszej nocy, tylko zabiorę jeszcze jednego kumpla, Władka. Przecież go znasz, równy i charakterny chłopak.

Wieczorem spotkaliśmy się u Olka, a przed północą wyszliśmy z domu i Olek poprowadził nas bocznymi uliczkami w kierunku fabryki, w której mieliśmy zaopatrzyć się w skórę. Gdy dochodziliśmy do rogu ulicy, usłyszeliśmy odgłos ciężkich kroków. Wyjrzałem ostrożnie zza muru. W naszym kierunku szło dwóch policjantów. Przeskoczyć przez ulicę już nie można, bo nas zobaczą, więc w tył zwrot i biegiem z powrotem. Gdy dobiegliśmy do nowego skrzyżowania, znów usłyszeliśmy kroki. Wyjrzałem zza rogu – też dwóch policjantów!

– Obława – szepnął Olek. – Z tyłu i z przodu gliny. Wiejemy! I pierwszy wyskoczył zza rogu, a my za nim.

– Stać! – krzyknęli równocześnie policjanci, ale my przecież nie po to uciekaliśmy, żeby teraz stanąć. Do następnego rogu brakowało nam jeszcze kilkanaście metrów, gdy policjanci znowu wyskoczyli.

– Stać! – słyszymy. – Bo będę strzelał!

„Spróbuj! – pomyślałem sobie. – Strzelać to ja też potrafię". Kilkanaście metrów za rogiem zobaczyłem dziurę w płocie, więc wołam do chłopaków:

– Skaczcie do dziury, a ja ich zgubię!

Chłopaki wleźli za parkan, a ja ile sił w nogach popędziłem do następnego rogu. Tuż przy rogu zatrzymałem się i czekam na ukazanie się policjantów. Gdy wyskoczyli zza jednego rogu, ja zniknąłem za drugim, ale już mnie zauważyli. Przy następnym zrobiłem taką samą

sztuczkę. Teraz już trzeba wiać naprawdę, bo będzie głupio, jeśli za którymś rogiem naskoczę na innych policjantów. Wskoczyłem w następną ulicę, przebiegłem pięćdziesiąt metrów i… połapałem się, że wpadłem w ślepą uliczkę. Jak najszybciej z powrotem. Wyjrzałem zza rogu, a policjant już blisko. Teraz już nie ma gdzie uciekać. Co robić? Szybko wyjąłem z kieszeni parabellum i granat.

Wyrwałem zawleczkę, poczekałem chwilę, a gdy goniący mnie policjanci znaleźli się już w odległości trzydziestu metrów od rogu, wystawiłem jedno oko zza winkla i przeraźliwie spokojnie powiedziałem:

– Eee, wróćcie się, bo kawałki z was będą.

Stanęli, spojrzeli na siebie, zrobili w tył zwrot i spokojnie poszli z powrotem, nie oglądając się za siebie. Gdy zniknęli za rogiem, odczekałem kilka minut obserwując, czy żaden nie wraca. Gdy nie zauważyłem nic podejrzanego, zabezpieczyłem granat, wyszedłem z przeklętej ślepej uliczki i kryjąc się pod parkanami, czujny na każdy szelest, z zachowaniem wszelkich ostrożności dotarłem do swojego domu.

Następnego dnia dowiedziałem się, że Olek i Władek też wrócili do domu bez żadnych przeszkód. Martwili się tylko o mnie.

– Za chude uszy mają na to, żeby mnie złapać – żartowałem.

Nie przyznałem się, że jednak troszkę stracha miałem, gdy znalazłem się w ślepej ulicy. Z tymi dwoma, co mnie gonili, dałbym sobie radę, ale co dalej? Huk ściągnąłby mi na łeb policję z całej dzielnicy i wtedy byłoby już nieklawo. Gdy w nocy zastanawiałem się nad tą całą wyprawą, doszedłem do wniosku, że przecież mam pod ręką fabrykę „Kapeluszową", więc czego ja właściwie szukam. Trzeba mieć wyjątkowego pecha, żeby nadziać się na policję, gdy trzeba przejść tylko sto metrów od rogu, a sto metrów za rogiem mam już parkan fabryki, i to stojący w głębi pustego placu, w odległości pięćdziesięciu metrów od ulicy.

Powiedziałem Tadkowi, który jak wspomniałem, mieszkał w dawnej portierni, że idę do nich po pasy transmisyjne. Doskonała skóra na zelówki. Ostrzegł mnie, że obecnie dozorca co dwie godziny obchodzi teren. Po wyprawie na węgiel kupił dwa psy, które na noc spuszcza z łańcucha. „Szkoda was, pieski – pomyślałem – ale wy służycie Niemcom, a uczciwi ludzie muszą przecież z czegoś żyć i rodzinom pomagać. Musimy się was pozbyć". Postarałem się o truciznę na szczury, którą zmieszałem z mielonym mięsem, i już po godzinie policyjnej poszedłem pod fabrykę. Gdy stanąłem pod parkanem, przez szpary zobaczyłem węszące psy z nosami przy deskach. Porobiłem z mięsa kulki i przerzucałem przez parkan. Następnego dnia psy zdechły, a w nocy poszliśmy z Antosiem po pasy transmisyjne. Tadek narysował nam szczegółowy plan fabryki, który

dokładnie przestudiowaliśmy, więc czuliśmy się jak u siebie w domu. Staraliśmy się tylko nie zostawiać śladów na śniegu. Drzwi prowadzące na klatkę schodową były otwarte. Łomem, który przyniosłem z domu, wyrwałem z futryny skobel, przy którym wisiała duża kłódka. Już po wszystkim wsadziłem go mocno na swoje miejsce, więc nie było żadnego znaku, że ktoś się dobierał. Gdy już byliśmy w hali maszyn, zaczęła się praca. Pasy skórzane zwijaliśmy w rolki i pakowaliśmy do worków, a parciane cięliśmy na drobne kawałki i wrzucaliśmy do skrzyni na odpadki stojącej w rogu hali. Tyle z tym było roboty i tak nam się przyjemnie pracowało, że zapomnieliśmy o obchodzie dozorcy. Przypomniał nam o tym terkot budzika w jego mieszkaniu. Teraz już wychodzić nie można. Stojąc z dala od okien widzieliśmy, jak chodził po terenie, a po kilku minutach trzaśniecie drzwiami zawiadomiło nas, że cieć poszedł spać.

Po zniszczeniu wszystkiego, co tylko mogliśmy zniszczyć, bez żadnych przeszkód wróciliśmy do domu.

Następnego dnia każdy dostał kawał pasa na zelówki. Tadek nie chciał skóry, bo mieszkał przecież na terenie fabryki i w razie odkrycia kradzieży mógłby podpaść. Więc po sprzedaniu pozostałych pasów dostał swoją dolę w złotówkach.

Od tego dnia często chodziłem do fabryki, dobierając sobie różnych kolegów. Najlepiej jednak pracowało mi się z Antosiem. Nie bał się i robił wszystko tak, jak kazałem. Wynieśliśmy kilka małych motorów elektrycznych, wszystkie główki elektrycznych maszyn do szycia, wiele worków wełny nie grępłowanej. Wreszcie nie było już co brać. Wtedy znów Tadek doniósł nam, że jest jeszcze jedno pomieszczenie, nienaruszone, na pierwszym piętrze, do którego można dostać się tylko przez okno od strony ulicy. Powiedział, gdzie leży drabina i które to okno. Budynek odgradzał od ulicy siatkowy parkan.

Na tę robotę poszedłem także z Antkiem. Przedostaliśmy się przez parkan, obeszliśmy cały teren fabryki i znaleźliśmy się pod oknem, którym mieliśmy dostać się do środka. Było zamknięte, lecz brakowało w nim kilku szybek. Gdy stanąłem na ostatnim szczeblu drabiny, dolna część okna była na wysokości moich piersi. Wspiąłem się na parapet, przez wybitą szybkę wsadziłem rękę, otworzyłem okno i już byłem w środku. Za chwilę był już i Antoś. Okazało się, że jesteśmy w magazynie z kapeluszami. Wkoło na półkach stały długie owalne pudła, a w każdym było kilka kapeluszy tego samego fasonu i gatunku. Zaczęła się robota. Otwieraliśmy pudła i kapelusze, które nam się podobały, wciskaliśmy jedne na drugie – i do worków, a te, które nam nie odpowiadały, rzucaliśmy na podłogę. Antoś podchodził co chwilę i pokazując różne fasony i kolory kapeluszy pytał:

– Te brać, zobacz? A te? Patrz, jakie ładne! Chodź, zobacz, co tu znalazłem! – woła Antoś z kąta. Była to skrzynka pełna szpulek

jedwabnych nici w różnych kolorach.

– Syp do worka, przydadzą się – odpowiadałem podstawiając kolejno worki, żeby jednego za bardzo nie obciążyć.

Spieszyliśmy się z robotą, żeby nas nie nakrył dozorca. Zdradziłaby nas drabina stojąca pod oknem. Gdy już chcieliśmy wychodzić – pech. Na ulicy, naprzeciwko naszego okna, spotkało się dwóch policjantów. Stanęli, przywitali się i zaczęła się rozmowa: o dzieciach, drożyźnie, węglu, psiej służbie… Spojrzałem na zegarek: za dwadzieścia druga, a o godzinie drugiej obchód dozorcy. Antoś już się denerwuje. Do obchodu jeszcze brak tylko dziesięciu minut, a policjanci stoją za płotem, drabina pod oknem, a my siedzimy jak w pułapce.

– Co będzie? – pyta wreszcie Antoś.

– Wojna – odpowiedziałem, wykładając na stół swoją spluwę i dwa granaty, które na każdą taką wyprawę zabierałem. Już miałem gotowy plan: jak wyjdzie cieć i zobaczy drabinę, to zawoła policjantów. Wtedy na pewno staną pod drabiną. Będą się zastanawiali nad tym, czy jest ktoś na górze i co robić. Wtedy rzucę granat. Jeden powinien wystarczyć. Gdy tak rozmyślałem, policjanci pożegnali się i każdy poszedł w inną stronę.

– Skacz, Antoś! – krzyknąłem. – Wyrzucę worki, a ty je zabieraj i urywaj się!

Gdy Antoś już uciekł z dwoma workami, zszedłem i ja, spokojnie odstawiłem na miejsce drabinę, w miarę możliwości zatarłem na śniegu ślad miejsca, w którym stała, i teraz dopiero szybko uciekłem z workami pod drewniany parkan z drugiej strony fabryki. Antoś już siedział na parkanie. Podałem mu worki, które przerzucił na drugą stronę, i w tym momencie usłyszałem, jak w mieszkaniu dozorcy terkocze budzik. Gdy byliśmy już po drugiej stronie parkanu, na ulicy zobaczyłem dwóch policjantów.

– Kładź się pod parkan – powiedziałem szeptem i spokojnie; wolno ułożyliśmy się na ziemi pod samym płotem.

Od parkanu do ulicy było pięćdziesiąt metrów, więc policjanci nie mogli nas widzieć. Gdy przeszli, wtedy już bez żadnych dodatkowych kłopotów dotarliśmy do domu. Bramę otworzył nam syn dozorcy, który jak zawsze, tak i tym razem czekał na nasz powrót.

Po kilku dniach Tadek ostrzegł nas, że jest jakaś poruta, bo w fabryce była policja, a później byli w ich mieszkaniu i kazali pokazać sobie buty, w których dokładnie oglądali podeszwy i obcasy. Szukali skóry z pasów transmisyjnych. Wniosek: z „Kapeluszową” chwilowo spokój.

Wracałem z Olkiem z Mokotowa. Na ulicy Willowej wolno było chodzić tylko po stronie parzystej, bo po drugiej stronie ulicy Niemcy zajęli trzy wille, a po chodniku wolnym krokiem spacerował żołnierz

niemiecki w kożuchu, z karabinem na" plecach. Gdy doszliśmy do ostatniej willi, wartownik zrobił w tył zwrot i wolno poszedł w odwrotnym kierunku.

– Zaczekaj – powiedział Olek i szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. Stanął na chwilę przy furtce. Usłyszałem cichy szczęk i już Olek zniknął w środku. „Wariat, cholera – pomyślałem. – Przecież tam mieszkają Niemcy i pilnuje wartownik. Po co on tam poszedł?"

Zanim wartownik doszedł do trzeciej willi, już Olek wyjechał z furtki na pięknym rowerze wyścigowym. Skręcił w prawo i ile sił w nogach pedałuje w kierunku ulicy Belwederskiej. Nie czekałem na powrót wartownika, tylko biegiem puściłem się tą samą drogą. Na ulicy Belwederskiej czekał na mnie Olek.

– No jak? – zapytał. – Wartownik zauważył?

– Idź ty do cholery! – powiedziałem. – Mógłbyś chociaż powiedzieć, że idziesz po rower! Ja tu stoję, a ty uciekasz na rowerze.

– Nie gniewaj się, nie pomyślałem.

– A czy ty w ogóle pomyślałeś, co robisz? Przecież wartownik mógłby do ciebie strzelać, gdyby zobaczył. Warto ginąć za głupi rower? Za duże ryzyko, a za mały zysk.

– Nienawidzę Niemców – odpowiedział Olek – a inaczej odgrywać się na nich nie mam możliwości. Im się zdaje, że są w Berlinie: stawia rower na ulicy, a sam idzie do bramy. Strasznie łatwo brać. Sami dają prawie do rąk.

Następnego dnia zauważyłem, jak żołnierz niemiecki zsiada z roweru i wchodzi do bramy. Przypomniało mi się to, co wczoraj mówił Olek, więc poszedłem za Niemcem, żeby się przekonać, czy Olek miał rację. Ten nie zostawił roweru na ulicy. Wszedł na klatkę schodową, a ja kilka kroków za nim. Wszedł na pierwsze piętro, zadzwonił do drzwi, a gdy i ja byłem na piętrze, on już wchodził do mieszkania rozmawiając z kimś po niemiecku. Rower zostawił na korytarzu. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, zabrałem rower jak swój, zaniosłem na ulicę i przyjechałem do domu.

Po trzech dniach przyszedł do mnie Olek. Po krótkiej rozmowie wyjął z kieszeni pieniądze, odliczył pewną sumę i kładzie na stole mówiąc:

– To dla ciebie.

– Za co? – zapytałem zdziwiony.

– Sprzedałem rower, ten z Willowej, a to twoja dola – osiemdziesiąt złotych.

– Za co? – pytam znów. – Przecież ja ci nic nie pomagałem.

– Ale byłeś ze mną i też ryzykowałeś.

Mówię Olkowi, że i ja też zdobyłem rower na Niemcu, więc od niego nie muszę brać.

– To wziąłeś sam, a przy moim byliśmy razem, więc dola ci się

należy – upierał się Olek.

I nie pomogły żadne moje argumenty. Pieniądze musiałem przyjąć. Jeszcze tego samego dnia przepiłem wszystko z kolegami, bo uważałem, że nic mi się z tamtego roweru nie należało.

„GLINY”

Granatowej policji nienawidziłem tak samo jak Niemców za to, że współpracowali z okupantem. Ta nienawiść wzmogła się jeszcze bardziej, gdy dowiedziałem się, że każdy policjant składał przysięgę na wierność „nowej władzy”. Wydawali oni Niemcom ludzi, którzy kiedykolwiek odsiadywali wyroki, i wszyscy ci ludzie zostali przez Niemców wykończeni.

Wiedzieliśmy, że istnieje ścisła współpraca policji z gestapo. Dlatego zawsze przygotowany byłem do walki z nimi i do użycia broni w wypadku koniecznym. Wiedziałem, że gdybym został zatrzymany z bronią, to płacę życiem za posiadanie takiej zabawki. Byli koledzy, którzy w czasie oblężenia Warszawy stali się posiadaczami pistoletów lub granatów, lecz gdy wywieszono ogłoszenie, że grozi za to kara śmierci, wielu z nich starało się pozbyć tryfnego majdanu, a znów żal było wypuszczać to z ręki. Niektórzy zawijali broń w szmaty przesycone oliwą, chowali w pudełka lub garnki i zakopywali w ziemi, gdzie miała czekać do czasu, kiedy naprawdę będzie potrzebna. Kilku kolegów oddało broń mnie. Miałem więc kilka pistoletów i parę granatów. Z pistoletem nie rozstawałem się prawie nigdy, a gdy przewidywałem niebezpieczeństwo, zabierałem jeszcze na wszelki wypadek dwa granaty obronne. Posiadanie takiego majdanu niejeden raz stawiało mnie w głupiej sytuacji przy zetknięciu się z granatową policją.

Jedno z zarządzeń okupacyjnych nakazywało oddanie w komisariacie aparatów radiowych. Oddać radio? Dobrze, ale mam jeszcze dużo czasu do wyznaczonego terminu. Gdy było jeszcze ciepło, stawiałem radio na otwartym oknie, nastawiałem na cały regulator, tak że słychać je było w kilku domach. Dla wszystkich sensacja, bo wielu właścicieli oddało już radia, a ci, co jeszcze je mieli, grali cicho z jakiejś niezrozumiałej dla mnie obawy. Jeśli jeszcze wolno mieć aparat, to mam prawo grać tak, jak mi się podoba. Wreszcie przyszedł ostatni termin, po którym, według ogłoszenia, za posiadanie aparatu radiowego groziła kara śmierci. Żal oddać. Z drugiej strony obawa, że mają dokładny spis abonentów i będą wiedzieli, kto nie oddał.

Dobrze. Postanowiłem oddać – ale pożytku z niego i tak nie będziecie mieli! Trzeba oddać aparat radiowy – brzmiało ogłoszenie. Ale nic w nim nie ma o tym, że musi on być na chodzie. Ostatniego dnia aparat grał jeszcze przed południem w otwartym oknie. Gdy już postanowiłem go odnieść, wyłączyłem z kontaktu i… wyrzuciłem na podwórze przez otwarte okno. Z siekierą w ręku poszedłem na dół i porąbałem całą skrzynkę, a aparat rozwaliłem robiąc z niego jedną kupę szmelcu. W kieszenie „za parkanem” wsadziłem dwa pistolety, w

każdą kieszeń spodni po dwa granaty, aparat pod pachę i kurs… komisariat przy ulicy Czerniakowskiej.

– Daj spokój, nie urządzaj żadnej draki – radzili koledzy.

– Ja wcale nie urządzam draki – odpowiedziałem. – Idę oddać radio. Dobrego nie oddam, za to może będą chcieli mnie zamknąć, a przecież zamknąć się nie data, bo podobno w „kiciu" dają słabo jeść.

Chłopaki patrzyli na mnie jak na wariata.

– Ty się chyba długo nie uchowasz – zauważył rzeczowo Mały. – Za dużo brykasz.

– Brykam? Mogę wpaść? Też prawda. Ale postanowiłem, że sam do nieba nie pójdę. Jak już koniecznie będę musiał iść, to na pewno pójdę w większym towarzystwie.

Idąc do komisariatu przemyślałem różne możliwości i doszedłem do wniosku, że jeśli będą chcieli mnie zatrzymać i dojdzie do awantury, to jednak dam sobie radę. Przecież nie wiedzą, że jestem uzbrojony.

Wreszcie komisariat. Wszedłem do środka, a policjant wskazał mi drzwi, za którym urzędował „specjalista" od aparatów radiowych. Byłem w tym pokoju jedynym interesantem.

– Przyniosłem radio, panie władzo – powiedziałem z uśmiechem od drzwi. – Tylko nie wiem, czy pan przyjmie.

– Dlaczego tak późno? – zapytał policjant.

– Strasznie lubię muzykę, szczególnie marsze niemieckie, więc chciałem grać jak najdłużej – odpowiedziałem pogodnie, kładąc na stole aparat zawinięty w papier.

Przodownik spojrzał na mnie zdziwiony, nie wiedząc, czy żartuję, czy mówię poważnie. W czasie rozmowy odpiąłem guziki palta, żeby było wygodniej w razie rozróbki.

– Niech pan odwinie – rozkazał „glina" wskazując brodą „aparat".

– Proszę bardzo. Już się robi – odpowiedziałem i zerwałem papier z aparatu.

– Co pan tu przyniósł? – zapytał przodownik, gdy już zobaczył kupę pogiętej blachy.

– Jak to co? Radio. Musiałem przynieść. Ostatni dzień na zdawanie.

– Gorzej pan już popsuć nie mógł?

– Mogłem, ale myślę, że wystarczy tak, jak jest.

– Zabieraj pan to żelastwo i uciekaj pan z tym do cholery! – zawołał przodownik.

Złapałem „aparat" pod pachę i wychodząc mówię:

– Dobrze, zabiorę, tylko żeby pan później nie mówił, że nie przyniosłem radia.

Przed budynkiem komisariatu w różnych punktach ulicy stało czterech naszych chłopaków. Gdy odszedłem kawałek drogi, dołączyli

do mnie. Nic nie mówiliśmy. Wiedziałem, że przyszli, żeby mnie bronić w razie potrzeby. Każdy z nich poklepał się tylko ręką po boku, dając tym do zrozumienia, że nie przyszedł z gołą ręką. Szliśmy obok siebie prawie całą szerokością chodnika. Na ulicy Chełmskiej zauważyłem, że naprzeciw nas idzie czterech żołnierzy niemieckich. Pokazałem chłopakom Niemców i powiedziałem:

– Zobaczymy, kto komu ustąpi. Ja nie ustępuję.

– My też nie – odpowiedzieli chłopaki i walimy prosto na nich.

W ostatnim momencie żołnierze chcieli ustąpić, ale my wpadliśmy na nich, roztrąciliśmy ich i stanęliśmy wszyscy trzymając ręce w kieszeniach. W odległości pięciu metrów od nas stanęli Niemcy i coś ze złością szwargoczą.

– Zobaczcie, jak drą mordy – powiedział ze śmiechem jeden kolega.

– Myślą, że się przestraszymy!

– Szoruj stąd, jeden z drugim!

– Uważaj, żebyś nie dostał po łbie!

– Patrzcie, jakie klawiaki! – wołali koledzy prawie równocześnie i śmieliśmy się wszyscy patrząc na głupio wykrzywione złością gęby Niemców.

Wreszcie poszli dalej margocząc coś pod nosem. Nie wiedzieli, frajerzy, że mogli się głupio nadziać, gdyby zaczęli z nami awanturę. Nie przeczuwali, że wszyscy jesteśmy uzbrojeni, mimo to nie czuli się dobrze sami w naszej dzielnicy.

W pierwszym okresie po upadku Warszawy kilka razy wydawano biednej ludności zupę. Jeden z punktów wydawania znajdował się w warsztatach samochodowych przy ulicy Nabielaka. I to przypadkiem stało się przyczyną mojej awantury z policjantem.

Miałem umówione spotkanie na ulicy Belgijskiej na Mokotowie. Gdy chciałem skręcić w ulicę Nabielaka, zatrzymał mnie policjant.

– Nie wolno – powiedział lakonicznie.

– Dlaczego? – zapytałem zdziwiony. Zobaczyłem przy warsztatach dużo ludzi, więc już się domyśliłem, że wydają zupę.

– Jak mówię, że nie wolno, to nie wolno – odpowiedział już ostro i pcha się, chcąc mnie siłą odsunąć dalej.

Poprosiłem grzecznie:

– Panie władzo, ja nie idę po zupę, widzi pan, że nie mam garnka. Mam spotkanie na Belgijskiej. Inną drogą będę musiał okrążać, nadrobię kawał drogi, a już nie mam czasu.

– Jazda stąd! – wrzasnął policjant i odepchnął mnie silnie obiema rękami.

Zanim się spostrzegł, już dostał pięścią w nos, a w ślad za tym uderzenie głową, tak że usiadł na jezdni. Poderwał się i wyjął z kabury pistolet.

– Ty, schowaj to, gówniarzu – powiedziałem groźnie – tym mnie nie nastraszysz. Napakuj w tę zabawkę amunicji, to może i nastraszysz. Przecież wiem, że to puste.

Faktycznie było tak, że policja miała broń, ale bez amunicji, którą wydano im dopiero później. Dlatego byłem do niego taki kozak. Gdy chciał podejść do mnie z pustym pistoletem, ruszyłem naprzeciw, żeby go stuknąć jeszcze raz. Gdy on stanął, to ja też. Na rogu stała cała ferajna chłopaków i tylko czekali na to, żeby policja zaczęła awanturę. Była okazja zapłacenia im za wszystkie doznane krzywdy i za współpracę z Niemcami.

Ale drugi policjant, stojący w pobliżu, był mądrzejszy. Podszedł do tego, który dostał łbem, kazał mu schować pistolet i być cicho, a mnie pozwolił przejść tak, jak chciałem. Zanim odszedłem, powiedziałem chłopakom, żeby uważali, czy nie będą chcieli mnie „zdjąć" policjanci stojący przy rogu Belwederskiej. Jak się tam „zamiesza", to niech walą z pomocą. Przeszedłem jednak spokojnie, przez nikogo już nie zaczepiany.

Pewnego dnia przyszedł do mnie serdeczny kolega z fabryki. Zaprzyjaźniliśmy się w tym czasie, gdy ja byłem na drugim roku praktyki, a on po zapoznaniu się z pracą na oddziale został zastępcą kierownika. Był on znanym w Polsce sportowcem. A zapoznaliśmy się tak: pracowałem przy montowaniu podstaw aparatów radiowych, a obok mnie pracował kolega. Po oddziale kręcił się jakiś nowy facet. Chodził od jednego warsztatu do drugiego i przyglądał się, co ludzie robią. To tu, to tam popracował godzinę lub dwie i znów zmieniał warsztat. Nikt nie wiedział, co on właściwie robi i czego szuka. W pewnym momencie stanął za naszymi plecami, objął nas rękami za szyję i zapytał po koleżeńsku:

– No, jak wam się, chłopaki, pracuje?

– Nam dobrze, a tobie jak? – odpowiedziałem bez chwili wahania pytaniem na pytanie. Nie wiedziałem, kto to jest, lecz jak on do nas na „ty", to ja jemu też.

– Z początku szło mi ciężko, ale teraz już daję sobie radę – odpowiedział bez cienia gniewu czy też złości.

Pogadał z nami kilka minut, pytał o różne sprawy i cały czas zwracał się do nas na „ty". Odpowiadałem trzymając się tej samej formy. Gdy dowiedziałem się, że on ma być zastępcą kierownika, przy następnej rozmowie zwróciłem się do niego przez „pan", ale powiedział mi, że jemu na tym nie zależy i jeśli zaczęliśmy się tykać, to już niech tak zostanie. Od tego dnia mówiłem „panie" tylko przy innych pracownikach, mimo że tego nie chciał, a w życiu prywatnym byliśmy serdecznymi kolegami. Bywał on u mnie – bywałem ja w jego domu. Wciągnął mnie do klubu sportowego, w którym trenowałem zapaśnictwo. Od wybuchu wojny nie widzieliśmy się.

– Wicuś, złoty koralu! – zawołałem uradowany jego widokiem. – Co robisz? Jak żyjesz? Gdzie mieszkasz? – zasypałem go pytaniami. – A wódkę teraz pijesz?

– Wypiję – odpowiedział. – Mówiłem ci przed wojną, że przyjdzie czas, że i ja jeszcze będę pił. Wtedy piłem tylko piwo, a dzisiaj napiję się z wami wódki.

Mówił z „wami", bo w mieszkaniu był jeszcze Mały. Szybko zrobiłem pół literka mieszanki spirytusowej, to znaczy nalałem z bańki do butelki dwie trzecie spirytusu i jedną trzecią wody. Żeby niepotrzebnie nie szprycować się wodą. Gdy kończyliśmy flaszeczkę, Wicuś powiedział, jaki go do mnie przygnał interes.

– Chciałem kupić niedrogi rower, taki, żeby można było na nim jeździć na wieś za handlem. Myślę, że u ciebie najlepiej taką sprawę załatwię.

– Lepiej nie mogłeś trafić – odpowiedziałem. – Wypijemy jeszcze jedną flaszeczkę i pójdziemy na Wójtówkę do Olka. On na pewno coś będzie miał.

Wychodząc ubrałem się tak, jak zwykle chodziłem na dzielnicy, a więc: stara jesionka z cerami na piersiach – które były pamiątką awantury sprzed roku, gdy mi prawie do pasa urwali klapy, czerwona apaszka zawiązana pod brodą na węzeł i jaskrawa mała czapeczka w biało-czarną kratę. W kieszeń „za parkanem" wsadziłem jak zwykle parabellum. Nie przeczuwałem żadnej rozróbki, więc tym razem granatów nie zabierałem.

Poszliśmy na Wójtówkę. Mały i Wicuś zostali przed bramą, a ja skoczyłem na górę i po chwili wróciłem z Olkiem.

– Słuchaj, Olek, to jest mój przyjaciel – powiedziałam wskazując na Wieka. – Potrzebny mu dobry i niedrogi rower.

– Jaki ma być? – zapytał Olek. – Balony, cyngle, trzyczwartówki czy „kogut"?

– To obojętne – odpowiedział Wicuś. – Chodzi mi tylko o to, żeby był mocny, bo to do handlu.

– Jutro mogę panu dostarczyć trzyczwartówki. Będzie kosztował sto dwadzieścia złotych.

– Ale przecież jeszcze nie widzę roweru – zdziwił się Wicuś. – Więc skąd mogę wiedzieć, czy on jest tyle wart.

– Panie, ja jestem uczciwym złodziejem – odpowiedział Olek z godnością. – Każdą rzecz sprzedaję za dwadzieścia procent wartości. Ale w domu towaru nie będę trzymał, bo mnie policja zna, więc nie chcę się „zasrać" przez głupi rower, gdyby im strzelił pomysł zrobić u mnie rewizję. O widzicie, procę już mam – dodał Olek wyjmując z kieszeni zwyczajną procę.

– A po co ci proca? – zapytałem zdziwiony.

– Latarnię muszę skasować, bo cholernie arystokratycznie świeci.

Widno od niej jak w dzień i przeszkadza mi zabrać rower. Może pan dać dzisiaj połowę forsy? – zwrócił się Olek do Wicusia.

Wicuś nic nie odpowiedział, tylko pytająco spojrzał na mnie.

– Daj mu, Wicuś, wszystko – odezwałem się. – Olek to charakterny chłopak, nie nawali, a gdyby coś nie tego, to ja ci forsę zwrócę.

Wicuś dał Olkowi sto dwadzieścia złotych, a Olek zapisał adres, pod który obiecał dostarczyć rower następnego dnia o szóstej rano.

– Wszystko załatwione, więc wracamy? – zaproponował Mały.

– Dobrze. Zaczekajcie tylko chwilę, bo muszę się „odpryskać" odpowiedziałem wchodząc do bramy.

Gdy wróciłem po trzech minutach, zastałem zupełnie inną sytuację. Olek i Wicuś stali w pewne j odległości po drugiej stronie ulicy, a przed bramą na brzegu chodnika Mały szarpał się z przodownikiem policji. Podszedłem do nich i ciągnę Małego za rękę w swoją stronę mówiąc:

– Chodź, idziemy do domu.

– Niech pan odejdzie – wrzasnął na mnie przodownik i ciągnie Małego w jedną stronę, a ja w drugą.

– Tak? – powiedział wreszcie policjant. – No to obydwaj do komisariatu!

Mówiąc to chwycił mnie za rękaw i silnie pociągnął do siebie. Nastawiłem łeb do przodu i odepchnąłem się nogą, więc siłą szarpnięcia i własnego odbicia strzeliłem policjanta łbem w twarz. Potoczył się do tyłu i upadł na wznak na środku jezdni z moją czapką w rękach, bo w momencie uderzenia chciał mnie złapać za głowę. Gdy usiadł, już byłem przy nim. Wyrwałem swoją czapkę i wracając na chodnik wsadziłem ją z powrotem na głowę.

– Uciekajmy! – krzyknął Mały i rzucił się do ucieczki. Już ruszyłem za Małym, ale jeszcze raz obejrzałem się i zobaczyłem, że „glina" już stoi i odpina kaburę pistoletu.

– Zaczekaj, niech wyjmie! – zawołałem do Małego i zatrzymałem się. Policjant doskoczył do mnie z pistoletem w ręku. W tym okresie policjanci mieli już amunicję.

Dostawił mi pistolet do głowy wołając:

– Do komisariatu, łobuzie! Ja cię nauczę bić łbem!

– Za chude uszy masz na to, żeby mnie zabrać do komisariatu, a łbem bić też na pewno lepiej potrafię od ciebie. Jazda stąd, bo jeszcze raz dostaniesz, a łobuzem to ty jesteś, bo zaczepiasz porządnych ludzi na ulicy.

Gdy ruszyłem na niego, odskoczył kilka kroków do tyłu. Podchodzę znowu, a ten zabiega mi drogę i straszy spluwą. Gdy w pewnej chwili prawie że przystawił mi ją do głowy, zawołałem:

– Weź to, k… twoja mać, bo wystrzeli i może mnie skaleczyć.

– Zawołam Niemców! – woła policjant.

– Ja mam w d… ciebie i twoich Niemców – odpowiadam.

– Do komisariatu! – woła znów tamten.

– Kiedy nie mogę, bo idę w inną stronę.

Co ruszam na niego, to on odskakuje. Gdy odchodzą, znów zabiega mi drogę – i tak w kółko. Już zrobiło się zbiegowisko. Spojrzałem – Mały stoi wśród ludzi i uważa, żeby w razie potrzeby przyjść z pomocą. „Za długo to, już trwa" – pomyślałem. Uciekać nie mogę, bo ten wariat może strzelić za mną, a jeśli znowu napatoczy się drugi policjant, to będzie szlachtuz. Będę musiał strzelać do obydwóch. Nie mogę przecież dać się zabrać do komisariatu, bo mam w kieszeni pistolet, za posiadanie którego zapłacę głową.

Zakończenie przyszło z zupełnie niespodziewanej strony. Podszedł do nas jakiś cywil i zapytał, co się tu dzieje.

– Ten łobuz uderzył mnie łbem – odpowiedział policjant.

– Bo frajer myśli, że to dobre przedwojenne czasy, kiedy bez żadnego powodu bili nas pałkami i zabierali na przechowanie do komisariatu – dodałem od siebie.

Cywil zwrócił się do policjanta, mówiąc ostro:

– Niech pan da spokój, niech pan stąd idzie!

– Ale przecież on mnie uderzył – upiera się policjant.

– Niech pan stąd idzie, mówię panu! – wrzasnął rozkazująco cywil. Policjant popatrzył z żalem, że musi mnie zostawić, odszedł i znikł za rogiem ulicy Czerniakowskiej.

Uważałem, że cywilowi należy się wyjaśnienie, więc podszedłem do niego i mówię:

– No bo, patrz pan, przyczepi się taki nie taki do człowieka…

– Niech pan da spokój, niech pan lepiej już stąd idzie – przerwał mi cywil.

– No tak, chyba masz pan rację – odpowiedziałem po chwili namysłu i poszedłem z Małym w kierunku swojej ulicy. Po chwili przyłączyli się do nas Olek i Wicuś.

– Powiedzcie teraz, co to była za draka? – zapytałem chłopaków. – O co on się do was przyczepił?

– O nic – odpowiedział Mały. – Gdy czekaliśmy na ciebie, podszedł policjant i zawołał: „Rozejść się! Jazda! Już was tu nie ma!" Olek nie lubi mieć z policją do czynienia, więc od razu przeszedł na drugą stronę ulicy. Wicek nietutejszy, z „władzą" nie chce zaczynać, to też odszedł, a ja stoję dalej. „A ty co?" – zapytał mnie policjant. „Na kolegę czekam" – odpowiedziałem. „No już, uciekaj, czego jeszcze stoisz?" – woła znów „glina". „Czego stoję? No, bo nie siedzę". „Ach tak? No, to będziesz siedział" – zawołał i zaczął mnie ciągnąć, a ja się nie dawałem. I właśnie w tym momencie ty wyszedłeś z bramy – zakończył Mały.

Wróciliśmy do domu i na konto szczęśliwego zakończenia rozróbki wypiliśmy jeszcze pół litra wzmocnionej wódki. Następnego dnia o godzinie szóstej rano Olek dostarczył Wicusiowi do mieszkania zamówiony i z góry zapłacony rower.

Miesiąc później otrzymałem wezwanie do komisariatu na przesłuchanie w charakterze świadka. Była to drobna sprawa, którą tylko niepotrzebnie zawracali głowę uczciwemu człowiekowi. Idąc do komisariatu ubrałem się po frajersku: nowe ładne palto z futrzanym kołnierzem, nowy czarny garnitur, biała koszula, krawat, biała jedwabna apaszka, pilśniak na głowę, a na ręce białe kordonkowe rękawiczki. „Gzymsik" jak cholera. Siedziałem przy biurku w odpiętym palcie, noga założona na nogę, na kolanach leżał kapelusz, na nim rękawiczki… i składałem zeznanie.

W pewnym momencie usłyszałem odgłos otwieranych drzwi. Obejrzałem się. Do pokoju wchodzi przodownik, którego na Wójtówce trąciłem głową. Spojrzałem na niego obojętnie jak krowa na pociąg, wykręciłem się i dalej składam zeznanie. „Teraz będzie draka, jeśli ten łobuz mnie pozna" pomyślałem. Kątem oka widziałem, że stoi z boku i patrzy na mnie. Zrobił parę kroków i teraz przygląda mi się stojąc za plecami policjanta, który mnie przesłuchuje. Postał chwilę i znów patrzy na mnie z drugiej strony. O, chodził, o, przyglądał się – i nie mógł mnie poznać! Ja w tym czasie mówiłem spokojnie o sprawie, w której mnie wezwano, i pozornie wcale nie zwracałem na niego uwagi. Równocześnie myślałem o tym, co będę robił, jeśli rozpozna mnie i będzie chciał zatrzymać. Tym razem nie byłem pewien, czy wygram z nim wojnę. W kieszeni miałem tylko pistolet i jeden zapasowy magazynek. Idąc do komisariatu nie pomyślałem o takim spotkaniu, bo już o tamtej sprawie zapomniałem. Po chwili mój wróg wyszedł z pokoju, a po kilku minutach i ja opuściłem komisariat, przez nikogo nie zaczepiony.

Tak to ubranie potrafi zmienić człowieka.

ŚMIERĆ BYŁA BLISKO

Rok 1939, druga połowa listopada. Wszyscy mieli obowiązek rejestrowania się w urzędach pracy. Ferajna nasza zlekceważyła ten nakaz, jak i wszystkie inne okupacyjne nakazy. Niemcy rozpoczęli już aresztowania. Słyszało się, że wyciągają ludzi z domów i po przeprowadzeniu rewizji mieszkań zatrzymują podejrzanych ludzi. Tego dnia siedziałem u Małego i zastanawialiśmy się nad tym, w jaki sposób zdobyć węgiel i drzewo, bo zrobiło się już zimno, a opału nie ma. Wtem otwierają się drzwi i do mieszkania wpada siostra Małego, zmęczona biegiem po schodach na trzecie piętro, i zwracając się do nas mówi szybko:

– Chłopaki! Pod czternastym Niemcy robią rewizję całego domu. Który co ma – niech się urywa!

Spojrzeliśmy z Małym na siebie: w oczach jego wyczytałem pytanie, czy jestem „czysty". Spokojnie przymknąłem na chwilę powieki, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że jestem tryfny. Wówczas Mały poruszył stopą w bok. To znów znak, że mam szybko wyjść i wynieść tryfny towar.

Mój tryfny towar to wielki pistolet, szturmowe parabellum, kilka zapasowych magazynków z amunicją i dwa polskie obronne granaty. Wszystko to miałem w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Spluwa pod poduszką nie posłanego łóżka, reszta w szufladzie kredensu, na samym wierzchu.

„Jeśli są dopiero pod czternastym – pomyślałem – to mam jeszcze trochę czasu. Nie mogę wyjść z mieszkania od razu, żeby nie robić poruty wobec rodziców i siostry Małego".

Wyszedłem po kilku minutach dopiero i od razu z korytarza puściłem się biegiem do swego mieszkania. Granaty i naładowane magazynki wsadziłem w boczne kieszenie jesionki, a pistolet, po odbezpieczeniu i wprowadzeniu kuli w lufę, do wewnętrznej kieszeni „za parkanem". Pistolet był tak duży, że gdy wkładałem go kolbą do dołu, to lufa wypychała jesionkę na ramieniu.

Tym razem włożyłem lufą do dołu w ten sposób, że rękojeść znajdowała się tuż przy samej klapie. Tak załadowany wyskoczyłem z mieszkania. Spojrzałem przez poręcz w dół – na dole Niemcy. Prysnąłem po schodach do góry, aż na czwarte piętro, i obserwuję przez poręcz, co te „raki" będą robić. Wtedy już zawsze miałem w domu broń, więc każdego dnia mogłem spodziewać się wizyty Niemców. „Jeśli idą po mnie, to schowam się do któregokolwiek mieszkania – myślałem. – Jeśli rewizja całego domu, to wyłożę majdan przez klapę na dach i zobaczymy, co będzie dalej".

Niemcy byli na drugim piętrze. Do długiego korytarza weszło

dwóch, trzeci został na klatce schodowej. Od kobiety idącej na górę dowiedziałem się, do kogo weszli. Mieszkał tam z rodziną starszy kolega, harcerz. Znałem dobrze kilku dorosłych harcerzy i wiedziałem, gdzie mieszkają. Pierwsza myśl – ostrzec ich, bo jeśli przyszli po jednego, to przyjdą i po innych. Zdecydowałem się wyjść z domu.

Po schodach schodziłem powoli, trzymając ręce na klapach palta, tak że palcami prawej ręki dotykałem rękojeści pistoletu. Niemca minąłem, prawie ocierając się o niego. Na pierwszym piętrze przyłączył się do mnie inny kolega i na ulicę wyszliśmy już razem. W przejściu między domami pod numerem dziesiątym i dwunastym minęliśmy drugiego Niemca. Zmierzył oczami nas, my jego – i wyszliśmy na ulicę. Byłem pewien, że jest ich więcej, ale na ulicy było cicho i pusto. Alarm był fałszywy. Byli to ci sami Niemcy, którzy pod numerem czternastym pytali, gdzie mieszka ten kolega, po którego przyszli do naszego domu.

– W którą stronę idziesz? – zapytał kolega.

– W prawo.

– A ja w lewo – odpowiedział. – Mieliśmy szczęście, że nas ten szkop nie zatrzymał.

Roześmiałem się.

– To on miał szczęście – mówię. – Gdyby nas chciał zatrzymać, to patrz… – mówiąc to wyrwałem spluwę „zza parkanu".

Kolega zbladł, szybko pożegnał się i poszedł w lewo, a ja w odwrotnym kierunku.

Ostrzegłem trzech, ale musiałem jeszcze być koniecznie u jednego, który był moim bliskim kolegą. Lecz dom, w którym on mieszkał, był spalony, a ja nie znałem jego obecnego adresu. Dowiedziałem się wreszcie, że mieszka w jednym z trzech nie wykończonych bloków przy ulicy Iwickiej.

W pierwszym bloku zapytałem kobietę niosącą wodę w wiadrze, czy mieszka tu ten, którego szukam. Nie słyszała tego nazwiska, a twierdziła, że zna w tym bloku wszystkich. Wszedłem do drugiego bloku. Przeszedłem odcinek odgrodzony od ulicy parkanem. Idąc, widziałem, jak w bramie jakaś kobieta zagląda do mieszkania, do którego po chwili weszła. „Tu pewnie mieszka dozorca – pomyślałem – wejdę i zapytam o kolegę". Nie pukając otworzyłem drzwi i… „Halt!!!" – To wrzasnął jeden z trzech Niemców siedzących w mieszkaniu. Cofnąłem się do tyłu, jeden moment – i już miałem dwa karabiny przystawione do pleców, a przed sobą trzeciego Niemca, bez broni.

Błyskawiczna myśl: „Wyrwać spluwę i pruć? Czy wpadłem? Chyba tak. Zdążę zastrzelić tylko tego przed sobą i sam zginę, bo wystarczy, że ci z tyłu nacisną tylko cyngle. A za tego zabitego mogą wystrzelać lokatorów". Gdy już zdecydowałem, że wpadłem, spokojnie

nastawiłem się na dalszy rozwój wypadków. Jeśli nie będą rewidować, to różnie jeszcze może być. Pistolet mam pod ręką i granaty też. W najgorszym przypadku wszystkich nas diabli wezmą.

Okazało się, że to jest właśnie mieszkanie tego kolegi, którego przyszedłem ostrzec. Niemcy zabrali całą jego rodzinę – rodziców oraz brata i siostrę – a ci czekali na niego i ja wpadłem im w łapy. Kobieta, która przed chwilą wchodziła, była dozorczynią, która zresztą dobrze mówiła po niemiecku.

Stojący przede mną Niemiec zadał pierwsze pytanie, na które dozorczyni odpowiedziała szybko: – Nein, nein, nein!

Zorientowałem się, że pytają, czy jestem tym, na którego czekają. Niemiec pytał, dozorczyni tłumaczyła, a ja spokojnie odpowiadałem.

– Co pan tu robi?

– Szukam kolegi. Mieszkał na Czerniakowskiej, przeprowadził się, powiedzieli mi, że mieszka teraz w tych blokach. Byłem już w tamtym bloku, a teraz przyszedłem do tego. Jak go tu nie znajdę, to pozostał mi jeszcze temten blok. – Mówiąc to pokazywałem ręką boczne bloki. Ulicę Czerniakowską podałem na lipę, bo przecież nie mogłem wymienić właściwej ulicy.

– Jak się ten kolega nazywa? – pada znów pytanie.

Podałem pierwsze lepsze nazwisko kolegi, który mieszkał w tym samym domu, co ja.

– Dowód pan ma?

– Mam.

– Proszę pokazać.

Dowód miałem w marynarce, w prawej kieszeni „za parkanem", a spluwę w lewej, w jesionce. Odpiąłem górny guzik w palcie i sięgam ręką po dowód, a przedramieniem mocno przyciskam do siebie spluwę, żeby mi nie wyleciała, bo przecież tylko lufa była w kieszeni, a cały ciężar luzem. Podałem Niemcowi książeczkę ubezpieczalni, na której miałem umieszczoną matkę i siostrę, a sam szybko zapiąłem górny guzik.

– Jak się pan nazywa? – tłumaczy pytanie dozorczyni. Podałem nazwisko i imię. Niemiec czyta i sylabizuje.

– Żona? – pyta po polsku z niemieckim akcentem, pokazując fotografię siostry.

– Nie, to siostra i matka. – Dozorczyni wciąż tłumaczy.

Oddał mi dowód, który teraz już wkładam do kieszeni, w której spokojnie leży granat, i patrzę, co będzie dalej. Widzę, że Niemiec, który mnie legitymował, patrzy na mnie i widocznie zastanawia się, co ma z tym fantem zrobić. Przypuszczam, że w tym czasie nie mieli oni jeszcze wypracowanych metod postępowania w takich wypadkach, bo już niedługo nadszedł czas, gdy brali wszystkich, którzy im wpadli w ręce. Więc on się zastanawia, co zrobić, a ja znów pytam

dozorczynię, czy tu mieszka taki to a taki czy nie, powtarzając wymyślone poprzednio nazwisko.

– Nie, taki tu nie mieszka.

– To przepraszam – mówię grzecznie i odwracam się do tyłu, żeby spokojnie odejść.

A tu znów stoi dwóch z „rurami" w łapach. Wciskam się bokiem w środek, rozstąpili się i patrzą na mnie. Uśmiechnąłem się jak najmilej do jednego, grzecznie uchyliłem kapelusza… i wychodzę.

Gdy byłem w połowie drogi do bramy w parkanie, słyszę, że mnie wołają. Co teraz robić? Wrócić czy uciekać? Do bramy tylko kilka metrów. Wołanie powtórzyło się… a ja spokojnie idę dalej. Chociaż nie znałem ich języka, po tonie wyczuwałem, że wołają na mnie. Gdy byłem już w bramie, zatrzymałem się, ale nie oglądam się do tyłu, tylko po chwili skręciłem w lewo i spokojnie idę dalej. Nie oglądam się, lecz słyszę za sobą ciężkie kroki, i to nie jednego człowieka. Staram się rozpoznać po chodzie, ilu idzie – dwóch czy trzech. Teraz przeprawa z nimi będzie już łatwiejsza. Obmyślam różne warianty walki. Ręka w kieszeni, a w ręku granat.

W takim napięciu przeszedłem ponad sto metrów, a kroki słyszę za sobą wciąż w tej samej odległości. Wreszcie nie wytrzymałem i schyliłem się, żeby podnieść celowo upuszczoną chusteczkę. Spojrzałem pod ręką – i odetchnąłem. To tylko mężczyzna i kobieta, którzy nieśli na plecach duże worki z drzewem. Poczułem, że robi mi się zimno i gorąco. Puściłem się biegiem przed siebie. Wpadłem do kolegi mieszkającego w pobliżu, zostawiłem u niego tryfny majdan i na pożyczonym rowerze pojechałem ostrzec jeszcze jednego.

Wracając do domu, już przy rogu ulicy spotkałem kolegę-harcerza z naszego domu. Wracał z miasta, nie wiedząc nic o niespodziance czekającej go w mieszkaniu. Ostrzegłem go i powiedziałem mu, u kogo byłem. Rozmowa odbywała się w obecności jego młodszego brata, dwunastoletniego chłopaka. Wieczorem dowiedziałem się, że Niemcy tego małego też zabrali.

„Coś nieklawo – pomyślałem. – Chłopak dostanie po pysku i wykapuje, kto ostrzegł brata i innych". Wywiałem na Mokotów, a następnego dnia dowiedziałem się, że byli i po mnie, lecz mój sąsiad, granatowy policjant, u którego był jeden klucz do mojego mieszkania, wpuścił ich do środka i powiedział, że nie ma mnie już dwa tygodnie w Warszawie, bo pojechałem do rodziny na wieś. Uwierzyli mu, bo to i policjant, i piękne niemieckie nazwisko „Schröder", i dobra znajomość języka niemieckiego. Dzięki jego interwencji nie zabrali też rodziców tego kolegi, po którego przyszli. Jego młodszego brata też zwolnili, tylko siostry siedziały w obozach koncentracyjnych do końca wojny.

Z całej rodziny tego drugiego przeżyła tylko matka. Ojciec, brat i

siostra zginęli w obozach. Ci dwaj, których chcieli aresztować, zgłosili się później sami do władz niemieckich, myśląc, że zwolnione zostaną rodziny. Rozstrzelano ich w Palmirach.

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Dworzec Wschodni. Pociąg do Chełma odchodzi po godzinie dziesiątej wieczorem. Na peronie tłum ludzi z workami, koszami i tobołami, ktoś dźwiga na plecach rozłożoną podstawę maszyny do szycia. Wszyscy ci ludzie będą wracali jutro w nocy do Warszawy obładowani mięsem, masłem, wędlinami i innymi artykułami spożywczymi, na których można dobrze w Warszawie zarobić. Jeszcze nie podstawiono pociągu. Jednakże ze względu na godzinę policyjną na peronie czeka już tłum pasażerów. Każdy zdenerwowany, bo nie wie, czy dostanie się do wagonu. Wiadomo bowiem, że dla połowy ludzi zebranych na peronie zabraknie miejsc i będą czekali do rana, żeby albo wrócić do domu, albo wtłoczyć się do następnego pociągu.

Dość często jeżdżę tym pociągiem do matki, żeby podrzucić jej trochę forsy i różne drobiazgi, których na wsi było brak, jak: igły, nici czy kamienie do zapalniczek. Wszystko drobne rzeczy, które rozmieszczam po kieszeniach. Miałem większą od innych szansę dostania się do pociągu, bo byłem bez pakunków, które by mi zajmowały ręce.

– Szanowanie dla pana! – ukłonił mi się znajomy handlarz, którego poznałem w jednej z poprzednich podróży.

– Szacunek, kłaniam się nisko! – odpowiedziałem uchylając z fasonem czapki.

– Niech pan wsiada z nami do wagonu, będzie wesoło – zapraszał mój znajomy.

– Będę się starał, ale nie wiem, czy dam radę.

Miałem dużo znajomych, stałych handlarzy, z którymi zawarłem znajomość jeżdżąc dość często na tej trasie. Wiedziałem, że tylko przez przypadek możemy się spotkać w jednym przedziale, bo nie szukałem przecież towarzystwa, tylko dobrego miejsca w wagonie.

Gdy nadchodził czas podstawiania pociągu, na peronie zaczynał się ruch. Ludzie czekali ściśnięci w jedną wielką gromadę tuż przy brzegu peronu. Moja metoda była inna. Szedłem na sam koniec peronu, a gdy podjeżdżał pociąg, skakałem w biegu do wagonu. Nie było to dla mnie trudne, bo przecież ręce miałem wolne, a w takich skokach już od dziecka byłem wytrenowany. Wyskakiwanie i wskakiwanie w biegu do tramwaju lub kolejki dojazdowej to dla mnie „szczeniak".

Podjeżdża pociąg. Chwyt za rączkę i już stoję na stopniu, a po chwili jako pierwszy wpadam do przedziału. Zanim wpadną inni, ja już będę na półce. Już się pchają. Pierwsi zajmują miejsca siedzące, następni ściskają się między ławkami do granic możliwości. Kto nie ustawi się dobrze, będzie jechał kilka godzin stojąc jedną nogą na

podłodze, a drugą na nogach sąsiadów.

Ci, którzy znaleźli się już w wagonie, przyjmowali przeważnie swoją sytuację pogodnie i z humorem. Niemcy nie pozwalali stać na stopniach wagonu, toteż ci, co stali w drzwiach, nogami byli w wagonie, a tułowiem na zewnątrz. Teraz następowała ceremonia zamykania drzwi. Bahnschutze chodzili wzdłuż wagonów i drzwiami dociskali ludzi. Pchnęli raz – nic. Drugi raz – już drzwi trochę dochodzą. Wreszcie za którymś z kolei dociśnięciem drzwi się zamknęły. Gdy jechałem pierwszy raz, usiadłem na ławce. Przy mnie stała kobieta, której nie mogłem dokładnie zobaczyć z powodu panujących w przedziale ciemności.

– Miejsca pani nie ustąpię – powiedziałem do niej po godzinie jazdy – ale jeśli pani chce, to proszę usiąść na moich kolanach.

Babka nie kazała się długo prosić i już po chwili miałem ciężar na kolanach. Po godzinie zaproponowała zmianę. Mimo cholernej „prasy" udało nam się przetasować. Teraz ja siedziałem na jej kolanach, a ona obejmowała mnie w pasie rękami, żeby się wygodniej siedziało. Zmienialiśmy się tak kilka razy. Gdy pociąg dojeżdżał do Lublina, zrobiło się widno na tyle, że mogłem przyjrzeć się swojej wspólniczce od siedzącego miejsca.

Spojrzałem… i zrobiło mi się ciepło w… żołądku. Śliczna, młoda babka. Musiałem zrobić minę głupiego barana, bo patrząc na mnie uśmiechnęła się ironicznie i z politowaniem pokiwała głową. Po półgodzinie byliśmy w Lublinie. Tu wysiadła moja „znajoma". Zanim wysiadła, przesłała pod moim adresem anielski uśmiech i powiedziała:

– Serdecznie panu dziękuję za dobre serce, ale na drugi raz niech pan będzie mądrzejszy i mniej skromny.

Nic nie odpowiedziałem, bo… zatkało mnie. Nie byłem wcale taki skromny, jak jej się wydawało, a na kolana zaprosiłem nie młodą, ładną dziewczynę, lecz nieznaną, stojącą w tłoku kobietę. A co by było, gdybym był „mniej skromny", a pasażerka na kolanach okazałaby się paskudną staruchą? Ale naukę na przyszłość dostałem? Dostałem.

Droga powrotna była mniej wygodna. Już z Chełma pociąg wyjeżdżał zatłoczony, a na każdej stacji wsiadało jeszcze wiele osób, wszyscy z naładowanymi workami lub walizkami. Tu stosowałem inną metodę. Na drogę do Warszawy zaopatrywałem się zawsze w „pół kilo" wódki. Do przedziału pchałem się „na duś", czyli na chama. Wiedziałem, że jeśli otworzę którekolwiek drzwi, usłyszę: „Tu nie ma miejsca". Znana metoda. W środku ludzie siedzą na ławkach i na workach leżących na podłodze, a w drzwiach stoi dwóch ściśniętych drabów z gębami zakapiorów i na każdej stacji, gdy ktoś otwiera drzwi, mówią: „Nie ma miejsca". Równocześnie tak świdrują oczami amatora wejścia do przedziału, że ten woli szukać miejsca w innym

wagonie.

Mnie oczami nie nastraszyli. Otwieram drzwi, w przejściu ścisk, że nie można palca wsadzić. Mimo to wchodzę po stopniach wyżej z zamiarem wejścia do środka. „Nie ma miejsca” – mówią równocześnie ci od korkowania.

– Dla mnie się jeszcze znajdzie. Jestem szczupły, to się zmieszczę.

– Na pewno nie.

– A na pewno tak – odpowiadam i pcham się w środek.

Jeden odpycha łapami. Złapałem jedną ręką za klapę, a drugą trzymam w kieszeni palta i mówię spokojnie, odpowiednio, po cwaniacku akcentując słowa:

– No, te, lebiega, posuń się, bo ja ciebie posunę albo zostaniemy razem – i znów nura w środek.

Metoda poskutkowała. Żaden nie miał ochoty zostawać na peronie i żeby bagaż sam jechał do Warszawy; no a ton głosu, akcent i ręka w kieszeni dawały do zrozumienia, że może być nieklawo. Ręka w kieszeni to tylko dla pucu, ale przecież nie muszę się chwalić, że mam tam tylko chusteczkę do nosa. Żaden nygus nie uderzy, jeżeli będę wodził mu lewą ręką koło nosa, równocześnie trzymając prawą w kieszeni. Tylko wszystko to trzeba robić na pewniaka, nie wolno się cofać, bo wtedy dopiero można dostać po nosie.

Okazuje się, że w przedziale jest jeszcze dużo wolnego miejsca. Wszyscy patrzą na mnie wrogo, bo zrobiło się ciaśniej. Pociąg rusza. Kilka minut stoję spokojnie. Gdy inni zaczynają rozmowy, włączam się tu, włączam się tam, przygadam coś jednej i drugiej babce, powiem coś wesołego i koniecznie „pieprznego”, wszyscy się śmieją i już jest dobrze. Gdy już wiem, czym kto pachnie, wyciągam z kieszeni swoje „pół kilo”, odbijam i mówię:

– Panie grzeczny, mam trochę płynu. Wypijemy po łyku? Tylko nie mam czym przetrącić.

Na to wezwanie poruszyła się gruba handlara siedząca na ławce i za chwilę już podaje nam kawał kiełbasy. Wiadomo – należy do doli. Wypijemy we trójkę pół zawartości – ale nie puszczam powtórnie butelki tą samą drogą, tylko podaję ją następnemu gościowi, który nie spuszcza z wódki oka.

– Łyknij pan też troszkę, a resztę dla kolegi – mówię, podając butelkę i pokazując na jeszcze jednego „podchodzącego” chłopaka.

Już wypili, ale w butelce jest jeszcze łyk wódki.

– Paniusiu słodka! To dla pani, za zagrychę! – wołam i wciskam grubej handlarce butelkę do ręki.

Po chwili jeden z poczęstowanych wyciąga z walizki pół literka, które krąży po całym przedziale. Gruba i tym razem dała kawał kiełbasy. Następne pół literka dał znów inny. Żaden nie chce być gorszy. W przedziale robi się wesoło i gwarno. „Pan grzeczny” z

ospowatą twarzą śpiewa: „Przy kominku”, a wszyscy pomagają. Ktoś zaśpiewał „Bal na Gnojnej”. Ta piosenka jest wszystkim znana, więc cały przedział śpiewa. Wreszcie towarzystwo powoli się uspokaja i zasypia. Dojeżdżamy do Dęblina. Tu najczęściej zabierają towar. Nie przejmuję się, bo jadę luzem. Nic mi nie mogą zabrać. Wszyscy w przedziale zdenerwowani. Klną wojnę, Niemców, przedwojenny rząd polski i swoją dolę. Stanąłem przy drzwiach i przez otwarte okno obserwuję peron. Kilka osób wyskoczyło z bagażami z dworcowego ustępu i pchają się do wagonów. Z ciemności wyskoczyła jakaś inna grupa i też pędzi do wagonów. Tych Niemcy zagarnęli do budynku stacyjnego, po chwili zatrzymani wyszli na peron już bez bagaży. Wreszcie na peronie zrobiło się zupełnie pusto. Pociąg ruszył. W tym momencie z przejścia obok budynku dworcowego wypadł człowiek i pędzi obok pociągu wołając:

– Panowie! Puśćcie mnie, bo mnie zabiją! Puśćcie mnie, bo mnie zabiją!

Gonili go dwaj żołnierze niemieccy z pejczami w rękach. Odległość między nimi wynosiła nie więcej jak trzydzieści metrów.

Wysadziłem głowę przez okno i spojrzałem wzdłuż pociągu. Żadne drzwi się nie otworzyły, żeby przyjąć uciekiniera.

– Skacz do mnie! – krzyknąłem i już otworzyłem drzwi.

– Panie, tu nie ma miejsca! – wrzeszczą handlarze.

– Znajdzie się – odpowiedziałem. Naddałem się do tyłu, oparłem stopę o ściankę przedziału i silnie pchnąłem się do tyłu. Docisnąłem ludzi na tyle, że „gość” się zmieścił.

– Wskoczyli do tylnych wagonów – powiedział nowy pasażer myśląc o goniących go Niemcach. – Na pewno będą mnie szukali. Co robić? – zapytał wystraszony.

– Ściągaj pan palto! – powiedziałem szybko i mimo panującego tłoku udało się nam wymienić palta. Bez słowa wyjaśnienia zamieniłem jego czapkę na kapelusz stojącego obok faceta.

– Teraz mogą szukać – powiedziałem zadowolony ze swojego dzieła, bo facet wcale nie był podobny do tego, którego gonili Niemcy. – Mów pan teraz, co to było i czego od pana chcieli, bo wszyscy jesteśmy ciekawi.

– Szwagierce i mnie zabrali towar. Szwagierkę wypuścili na peron, a mnie, nie wiem dlaczego, nie chcieli puścić. Gdy pociąg ruszył, chciałem wyjść. Wtedy jeden Niemiec uderzył mnie pejczem w głowę. Strzeliłem jednego i drugiego łbem, tak że nakryli się nogami, a sam dęba na peron. Żeby mnie tylko nie poznali, bo na pewno będą szukać.

– Nie mogą pana poznać, bo masz pan moje palto na plecach, a ja przecież nie mogę zostać przez pana stratny.

Wszyscy się śmieli. Nie wierzyliśmy, żeby szkopom chciało się

szukać w takim tłoku po wszystkich przedziałach. Przejechaliśmy już kilka stacji, gdy w otwartych drzwiach stanęło dwóch Niemców z latarkami w rękach. Mimo tłoku wcisnęli się do środka i wolno przeciskali się do drugiej części przedziału. Przechodząc oświetlali mężczyznom twarze i każdemu dokładnie się przyglądali. Nasz nowy pasażer stał przy samych drzwiach. Gdy na niego patrzyli, nawet okiem nie mrugnął, tylko patrzył na nich z ciekawością. „Równy chłopak – pomyślałem. – Takiemu warto było pomóc". Gdy odeszli, znów nastąpiła wymiana palt i czapek i już w spokoju dojechaliśmy do Warszawy.

Ludzie na wsi zawsze z ciekawością wypytywali mnie o warunki życia w Warszawie. W gronie bliskich i dobrze mi znanych osób opowiedziałem o tym, że w Warszawie działają już organizacje podziemne, że już „sprzątnięto" kilka osób za współpracę ź wrogiem, że ludzie bojkotują wszelkie zarządzenia władz okupacyjnych. Powiedziałem też, że wszyscy spodziewają się, że organizacje podziemne w Warszawie na pewno urządzą Niemcom kilka dobrych kawałów. Może to będzie bomba, może granaty albo „zgaszą" kogoś ważnego.

Następnego dnia po przyjeździe poszedłem odwiedzić znajomego miejscowego handlarza, żeby go zapytać, czy by nie zechciał kupić od moich chłopaków trochę tryfnego towaru, na którym dobrze zarobi. Siedziałem u niego już dłuższy czas, gdy do izby wszedł sołtys. Był to miejscowy kolonista niemiecki, który w tej wsi spędził prawie całe swoje życie. Po kilku minutach ogólnej rozmowy pożegnałem się z gospodarzem i wychodzę z chałupy.

– To ja też już pójdę sobie – powiedział sołtys, a zwracając się do mnie zapytał:

– W którą stronę pan idzie? Może pójdziemy razem?

Okazało się, że idziemy w tym samym kierunku. Gdy wyszliśmy na drogę, sołtys popatrzył na mnie przenikliwie. Wytrzymałem spokojnie jego spojrzenie, ale czuję, że szykuje się ciekawa gadka.

– Był pan wczoraj we wsi – stwierdził sołtys.

– Byłem.

– Rozmawiał pan z ludźmi.

– Rozmawiałem.

– Mówił im pan… – i powtórzył mi wszystko to, o czym wczoraj mówiłem, dodając rzeczy, których nie mówiłem.

– Mówiłem – odpowiedziałem, zły na nieznanego donosiciela. – A czy pan się dziwi? – zapytałem.

– Dziwię się. Bardzo się panu dziwię – odpowiedział flegmatycznie. – Dziwię się, że pan, człowiek miastowy, inteligentny, opowiada takie rzeczy głupim ludziom. Panu się wczoraj wieczorem zdawało, że mówi pan do najbliższych sobie ludzi, a ja już dzisiaj rano

o wszystkim wiem. Nie jestem świnią, więc nie chcę z tego robić żadnego użytku. Przecież ani pan, ani ja nie zmienimy losów wojny. Jak pan będzie mówił takie rzeczy, to doniosą mi raz i drugi, a później doniosą dalej i obaj możemy mieć nieprzyjemności. Niech pan głupcom nic nie gada, bo oni i tak nic z tego nie rozumieją. No, ja idę tędy. Do widzenia panu – powiedział skręcając w boczną drogę, a odchodząc dodał:

– Na drugi raz niech pan będzie mądrzejszy.

Szedłem dalej, rozmyślając nad ludzką głupotą. Co chciała zyskać lub osiągnąć osoba, która doniosła na mnie sołtysowi? U nas, na Czerniakowie, taka rzecz byłaby nie do pomyślenia. Ale swoją drogą to ja chyba naprawdę jestem strasznie głupi, bo w ciągu krótkiego czasu usłyszałem dwa razy to samo zdanie: „Niech pan będzie mądrzejszy". Trzeba nad tym pomyśleć.

Mieszkał w tej wsi gospodarz, który miał sześć morgów ziemi i dziewięcioro dzieci. Był to kolega mojego ojca od dziecinnych lat i rodziny nasze żyły z sobą w wielkiej przyjaźni, wyświadczając sobie wzajemnie różne usługi. Przyjaźń rodziców przeszła na dzieci. Zaprzyjaźniony byłem z najstarszym synem i córką. Gdy rozpoczęto przymusowy werbunek na roboty do Niemiec, rodzina ta weszła pierwsza na tapetę. Bo biedny gospodarz i dużo dzieci. Kilka dni przed moim przyjazdem wysłano na roboty młodszą córkę, a starszej udało się uciec z transportu i wróciła do domu. Teraz oczekiwała wizyty Niemców, którzy znów wyślą ją do Niemiec.

– Jak nie chcesz jechać, to urywaj się do Warszawy – zaproponowałem jej. – Tam nie będą cię szukać, a praca się znajdzie. W najgorszym razie na początek możesz iść do służby.

Po dokładnym omówieniu sprawy rodzice zgodzili się na wysłanie córki i następnego dnia syn gospodarza odwiózł nas wozem do stacji kolejowej.

Tym razem nie mogłem dostać się do wagonu starą, wypróbowaną metodą, bo miałem bagaż w postaci babki, a ta znów była z walizą.

Przyjechał pociąg. Spojrzałem po wagonach – naładowany. Ale jest jeden wagon, w oknach którego nie widać ludzi. To dla Niemców, ale ci mało podróżują takimi pociągami. Otwieram drzwi przedziału – pusty, więc włażę z walizą do środka, a za mną mój „załącznik". Ktoś wrzeszczy z peronu, że do tego wagonu nie można, ale nie będę przecież słuchał tego, co jakiś baran beczy. Gdy pociąg ruszył, wtedy dopiero zauważyłem, że ktoś siedzi przy oknie po drugiej stronie przedziału. Teraz nie możemy wysiadać, a że pasażer pod oknem nic nie mówi, więc my siedzimy cicho.

Na następnej stacji ktoś otworzył drzwi, ale zawrócił, gdy zobaczył niemieckiego oficera.

– Proszę, wsiadajcie – zapraszał oficer, mówiąc czysto po polsku. Wsiadły trzy kobiety z tobołkami. Na innej stacji znów wpuścił dwie kobiety i już więcej nikomu nie pozwolił wejść.

Pomaleńku wszyscy oswoili się z obecnością oficera. Dwie kobiety zaczęły rozmawiać, na co jakaś inna baba zwróciła im uwagę prosząc, żeby siedziały cicho.

– Dlaczego? – zapytał oficer. – Mnie to nie przeszkadza. Rozmawiajcie. Wkrótce sam włączył się do rozmowy, pytając o warunki życia i pracy.

Kobiety nie wiedziały, jak mają się zachować – czy na pytania odpowiadać i jak odpowiadać, więc tylko ja dawałem odpowiedzi. Powiedziałem, że nie ma pracy i brak w Warszawie żywności. Ludzie muszą jeździć setki kilometrów po żarcie dla siebie i na handel.

– Gdyby żył Piłsudski, to by nie doszło do wojny – powiedział oficer. A gdy nic na to nie odpowiedziałem, zapytał: – Czy to prawda, że Polacy chcieli z nami wojny?

– Wojny nie chcieli – odpowiedziałem – ale dobrowolnie do niewoli też nie chcieli się oddać.

– Wielki błąd popełniło polskie dowództwo wojskowe – mówi znów oficer – że z Warszawy, otwartego miasta, zrobili twierdzę. Przez to zginęło dużo cywilnych osób i Warszawa zniszczona. Ale podobno ludność Warszawy chciała się bić?

– Nie chciała się poddać – odpowiedziałem – a to jest zasadnicza różnica.

– A Czesi poddali się. Mają nie zniszczone miasta, mają przemysł i żyją dobrze pod naszym panowaniem.

– Słyszałem kiedyś takie powiedzenie – odpowiedziałem po. krótkim namyśle – że ptak nawet w złotej klatce jest w niewoli.

– A co teraz mówią ludzie? – padło nowe pytanie. „Prowokacja” – pomyślałem, a głośno powiedziałem:

– Pyta mnie pan o takie rzeczy, na które nie mogę odpowiedzieć. Bo jak odpowiem szczerze, to pan zawoła na stacji żandarmów i każe mnie zabrać na przechowanie.

– Daję panu oficerskie słowo, że nic takiego nie zrobię. Możemy mówić zupełnie szczerze. Rozmowa będzie tylko między nami.

– Chce pan wiedzieć, co mówią ludzie? – zapytałem. – Ludzie klną was i nasz rząd. Nasz naród jest zbuntowany. Z nami nie przyjdzie wam tak łatwo jak z Czechami. My nie damy strzyc się jak barany. E, paniusiu, bo jak ja panią kopnę, to pani nóżka pęknie – powiedziałem głośno do siedzącej obok baby, która kopnęła mnie w nogę, w ten delikatny sposób dając mi znak, żebym przestał mówić. Po chwili mówiłem dalej:

– Żeby nas dobrze strzyc, będziecie musieli nas jeszcze lepiej strzec, a do tego potrzebna jest duża sfora dozorców.

– Damy sobie radę – odpowiedział oficer. – Tym razem nie popełnimy błędów poprzedniej wojny, kiedy to musieliśmy walczyć na dwa fronty. Teraz mamy sojusz z Rosją, a Anglii i Francji damy radę.

– Pan wierzy w sojusz z Rosją? – zapytałem zdziwiony. – Niemcy z Rosją muszą się bić. Jak nie za rok, to za pięć lat, ale wojna z Rosją będzie. Przecież Rosja i Niemcy to naturalni wrogowie. Niemcy szykowały się do wojny z Rosją, a Rosja do wojny z Niemcami. W czasie działań wojennych byłem wśród Rosjan i widziałem Niemców. Rosjanie, gdy pytałem, dokąd idą, odpowiadali: „Na Berlin". A na niemieckich czołgach widziałem napisy kredą: „Stalin jest świnia". I pan to nazywa sojuszem?

Baba znów kopnęła mnie w nogę. Wrzasnąłem na nią ze złością:

– Uspokój się, stara… bo jak jeszcze raz kopniesz, to w złości mogę wybić kilka zębów. Jak się która boi, to wysiadka z przedziału.

– My jesteśmy do wojny dobrze przygotowani – znów powiedział Niemiec. – Oglądałem nasze magazyny żywnościowe i zbożowe. Możemy nawet pięć lat prowadzić wojnę. Teraz mamy doświadczenie. Nie powtórzy się rok 1918, kiedy to po zakończeniu wojny jeszcze trzysta tysięcy ludzi umarło z głodu, bo nie dostarczono żywności. Cała ludność Polski zginie, zanim jedno niemieckie dziecko z głodu umrze.

– Śmiej się pan z tego – odpowiedziałem z uśmiechem, mimo że chętnie urżnąłbym mu łeb za wypowiadanie takich teorii. – To pan nie zna polskiego chłopa. Już on tak wyspekuluje, że dla siebie będzie miał i jeszcze do miasta dostarczy. A wy wojnę i tak przegracie. Choćby miała trwać dziesięć lat, to przegrać musicie. Jeszcze nigdy nie wygrał wojny taki, co staje do draki z całym światem.

Gdy wysiadał w Dęblinie, powiedział grzecznie: „Do widzenia", a patrząc na mnie dodał:

– Przekona się pan, że ja mam rację.

– Zobaczymy, przyszłość okaże. Tylko szkoda, że wtedy nie będziemy mogli się spotkać.

W wagonie dla Niemców spokojnie dojechaliśmy do Warszawy.

Następnego dnia porozumiałem się z chłopakami i znaleźliśmy miejsce dla mojego „załącznika" ze wsi. Poszła pracować do sklepu – za mieszkanie, wyżywienie i dodatkowy niewielki zarobek.

Za dwa tygodnie będę znów jechał do matki. Ciekaw jestem, jaka tym razem spotka mnie przygoda i czego nowego się nauczę, bo podobno podróże kształcą.

ZABAWA

Niedziela rano. Mały jak zwykle siedzi u mnie. W jego mieszkaniu o wymiarach trzy i pół na cztery i pół metra tłok, bo jest sześć dorosłych osób, tak że przy najlepszym doborze do spania muszą być jednak cztery łóżka. Jestem w domu sam, więc Mały często u mnie nocuje.

– Dawno nie byliśmy na żadnej potańcówce – odezwał się Mały jakby sam do siebie. – Warto byłoby zrobić wyskok w miasto i potańczyć trochę.

– Ale gdzie pójdziemy? – zapytałem. – Towarzystwo Przyjaciół Czerniakowa zamknięte, a w miasto coś nie mam chęci iść. Szkopy działają mi na nerwy. Za dużo ich chodzi po mieście. Żeby potańczyć, trzeba coś wypić, a znów jak będę na cyku, to może dojść z nimi do draki. A wiesz, że zawsze chodzę z „kominem". Wolę siedzieć w domu. Tu, na dzielnicy, nie muszę przynajmniej oglądać ich mord. Boję się, żeby nie wyszła jakaś większa heca.

– Nie musi być zaraz hecy – przekonywał Mały – a potańczyć warto. Podobno czynna jest sala tańca na Chmielnej. Możemy pójść zobaczyć, a jak nam się nie spodoba, to wrócimy do domu.

– Ale „komina" nie biorę – zastrzegłem się. – Nie chcę, żeby znów wyszło coś takiego, jak wczoraj w tramwaju.

A wczoraj w tramwaju to było tak: pojechałem z Małym na miasto upłynnić trochę towaru. Po pomyślnym załatwieniu transakcji wstąpiliśmy do knajpy, w której wypiliśmy do obiadu kilka „dalekobieżnych" wódek. Do domu wracaliśmy tramwajem. Wsiedliśmy do pierwszego wozu, którego przedni pomost zarezerwowany był dla Niemców. Ponieważ mieliśmy jechać dość długo, więc zamiast gnieść się z tyłu, przesunęliśmy się do przodu. Na pomoście stało dwóch wojskowych Niemców, a jeden z nich oparty był plecami o szybę drzwi. Wyjąłem „zza parkanu" swoje szturmowe parabellum, przystawiłem Niemcowi do pleców tak, że lufą stuknąłem w szybę, i powiedziałem głośno:

– Patrz, Mały, jak bym go teraz zdmuchnął!

W wagonie zrobiło się idealnie cicho. Spojrzałem za siebie, żeby zobaczyć, co jest tego przyczyną, i zobaczyłem oczy wszystkich pasażerów wlepione w moją „rurę". Roześmiałem się głośno i chowając „rurę" do kieszeni, powiedziałem:

– Chodź, Mały, wysiadamy, bo ludzie się boją.

Żeby wyjść z tramwaju, nie musiałem nawet mówić „przepraszam", bo wszyscy usuwali się na boki, dając nam swobodne przejście. Gdy byliśmy już na chodniku, spojrzałem na okna tramwaju. Pasażerowie wciąż patrzyli na nas z przerażeniem, tylko w jednym

oknie piętnastoletni może chłopiec uśmiechał się i machał do nas ręką.

To zdarzenie było przyczyną, że spluwy na potańcówkę postanowiłem nie brać. Na wszelki wypadek włożyłem do kieszeni tylko fiński nóż.

– Pójdziemy we dwóch czy większą paczką? – zapytał Mały.

– Powiem chłopakom, może zechcą pójść. Kupą zawsze lepiej, bo nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Pojechaliśmy we czterech. Orkiestra już grała, ale na sali było jeszcze mało osób.

– Co tak mało ludzi? – pytamy właściciela sali.

– Goście się dopiero schodzą. Proszę, rozbierajcie się, panowie – zapraszał właściciel. – A wódki panowie nie przynieśli z sobą?

– Proszę pana – odpowiedziałem – my jesteśmy grzeczni chłopcy. Nie wiemy nawet, jaki wódka ma smak. Jak pan może nas o coś podobnego posądzać. Proszę bardzo, może pan nas nawet zrewidować – dodałem odpinając marynarkę.

– No nie, ja panom wierzę. Zapytałem, bo u nas wódki pić nie wolno – tłumaczył się gęsto właściciel.

Wiedzieliśmy o tym, dlatego każdy z nas miał po setce spirytusu w każdej skarpetce, a w kieszeni dropsy miętowe na zakąskę. Po kilku minutach Mały przyniósł z bufetu butelkę lemoniady i szklanki. Poszliśmy w koniec sali i każdy z nas wypił jedną setuchnę, rozcieńczoną niewielką ilością lemoniady, drugą zostawiając na później.

Goście napływali szybko. Teraz już zabawa na cały regulator. Orkiestra gra, tłum tańczących par kręci się po sali, a po wypitej wódce w głowie już czuć lekki szum. Czyli w dwóch słowach: bawimy się. Na salę weszło nowe towarzystwo, kilku mężczyzn i kilka panienek, wśród których była Zosia, moja serdeczna koleżanka z Mokotowa. Z kim ona przyszła? – zastanawiałem się, lustrując męską obsadę towarzystwa. Ocena wypadła ujemnie: „drewniaki”. Nie widziałem Zosi kilka tygodni, bo matka zabroniła jej przychodzić do nas, twierdząc, że naszą ferajnę – a szczególnie mnie – czuć śmiercią. Zosia była jeszcze kilka razy, ale sam ją prosiłem, żeby więcej nie przychodziła. Od tamtej rozmowy nie widzieliśmy się więcej.

Ukłoniłem się grzecznie, ale nie podszedłem. Po co frajerstwo ma mieć żal, że zabieram im partnerkę, za którą oni zapłacili wejście? Tańczę ja, tańczy Zosia. Gdy mijamy się w tańcu, uśmiechamy się jak najmilej do siebie, ale w czasie przerwy trzymam się od niej z daleka. Zosia pierwsza nie wytrzymała nerwowo. W czasie przerwy podeszła do mnie i z wyrzutem zapytała:

– Czy ty wreszcie zatańczysz ze mną?

– Jak najchętniej, kochana. Z tobą? Zawsze! – odpowiedziałem z gracją.

W tym momencie orkiestra zagrała tango.

– Dlaczego nie chciałeś zaprosić mnie do tańca? – zapytała, gdy wolno przesuwaliśmy się wśród tańczących par. – Chyba się na mnie nie gniewasz?

Pomyślałem chwilę i odpowiedziałem:

– Widzisz, Zosiu, zastanawiałem się długo i doszedłem do wniosku, że twoja matka ma całkowitą rację. My nie jesteśmy w tej chwili towarzystwem dla ciebie. Jak wiesz, prowadzimy życie trochę burzliwe, a to grozi wpadką. Po co masz się przy nas narażać? Gdybym się na ciebie gniewał, to w tej chwili nie tańczylibyśmy razem. Ale jak będziemy tańczyć częściej, to znów przylecisz do nas na dzielnicę. Niech już lepiej wszystko zostanie tak, jak jest. Widzę, że masz nowe towarzystwo… Co to za jedni? – zapytałem.

– O tam, takie… ot, gówniarze. Widzisz przecież – odpowiedziała wymijająco.

– No, to życzę ci tylko, żeby twoje nowe męskie towarzystwo nie było gorsze od nas – powiedziałem na zakończenie, gdy po skończonym tańcu odprowadziłem Zosię pod ścianę, gdzie siedziało jej towarzystwo.

Zdenerwowałem się rozmową z Zosią, więc zawołałem swoich chłopaków i zaproponowałem wypicie reszty spirytusu. Tylko teraz idziemy do bufetu. Wypijemy uczciwie, po ludzku. Usiedliśmy przy stoliku. Przed nami butelki z lemoniadą i szklanki.

– Uważajcie, czy „stary” nie patrzy – powiedziałem, a sam zakasłałem kilka razy głośno, równocześnie uderzając w dno buteleczki. Gdy „zakasłał” drugi, „stary” zajrzał do bufetu i popatrzył na nas chwilę. Przy czwartym podszedł do nas i zapytał:

– Panowie mają wódkę?

Połapałem się, że „kaszel” to za stary chwyt dla niego i pewien jest, że wódkę mamy, więc odpowiedziałem pojednawczo:

– Mistrzu kochany, mamy setkę spirytusu na czterech. Przecież takim źdźiebełkiem żaden się nie upije. Niech pan pozwoli wypić.

– No, dobrze, ale więcej pić nie będziecie? – Nawet nie możemy, bo więcej nie mamy.

– No i uważajcie, panowie, żeby awantury nie było.

– Panie mistrzu – odpowiedziałem z humorem. – My to takie chłopaki, że gdzie awantura, to uciekamy, a gdzie wódka, tam się pchamy.

Ale co to? Na salę wchodzi kilku Niemców w mundurach lotników.

– Ja się urywam – mówię do chłopaków. – To towarzystwo mi nie odpowiada.

– Zostań jeszcze godzinkę – namawia Mały. – Pójdziemy wszyscy razem.

– Kiedy nie mogę na nich patrzeć. Popsuli mi całą zabawę.

– Dlatego teraz zostań – namawiają chłopaki. – Popatrzymy na nich z bliska.

Uległem. Weszliśmy na salę. Tuż za drzwiami siedzą Niemcy. Weszliśmy wolno przyglądając się każdemu z ciekawością. Postałem chwilę pod ścianą i przeszedłem jeszcze raz. Gdy przechodziłem trzeci raz, podszedł do mnie jeden lotnik i zagadał coś po niemiecku.

– Czego on od ciebie chce? – zapytał Mały, który zjawił się przy mnie tak, jakby wyrósł spod ziemi.

Uśmiechnąłem się ironicznie i patrząc Niemcowi w oczy, wolno i dobitnie odpowiedziałem:

– Cholera go wie, czego on chce. On może tak gadać nawet cały rok, ja go i tak g… zrozumiem.

– Panie, czego pan od nas chce? – zapytał Niemiec, tym razem czysto po polsku.

Zaskoczyło mnie to, ale nie trefię, tylko spokojnie odpowiadam:

– A czego ja mogę od was chcieć?

– No, bo tak pan chodzi, tak się pan nam przygląda…

– Nie jesteście tacy interesujący, żebym się musiał wam przyglądać, a chodzę, bo szukam partnerki do tańca.

– A… partnerki pan szuka? No, to niech pan szuka dalej – mówi znów Niemiec po polsku. – Myślę, że nam się tu żadna krzywda nie stanie?

– Z mojej strony nie, a za innych nie odpowiadam – odpowiedziałem ostro. Zrobiłem szybki zwrot i odszedłem w bok, a za mną Mały.

Ale Niemcy już się bawią. Kobiety uciekają, gdy widzą, że Niemiec idzie prosić do tańca. Ale już znalazła się jedna „zdzira", która z zadowoleniem przyjmuje zaproszenie do tańca. Po kilku tańcach idzie z Niemcem do bufetu, cieszy się, że zafundowano jej butelkę lemoniady. Gdy na chwilę została sama, Mały skorzystał z okazji i stojąc tuż przy mnie, półgłosem przesłał jej artystyczną „wiązankę", w której dużo miejsca zajmowały słowa zaczynające się na jedenastą literę alfabetu.

Znów jestem na sali. Orkiestra zrobiła dłuższą przerwę, więc ludzie siedzą na krzesełkach ustawionych pod ścianami. Zosia siedzi z facetem z jej nowego towarzystwa, a po chwili na krześle obok usiadł Niemiec i nachylony coś do niej mówi. Podszedłem bliżej. W tym momencie Niemiec chciał objąć ją za szyję, a gdy się odsunęła, przełożył jedną rękę za plecy, a drugą chwycił ją za pierś. Poderwali się wszyscy troje. Zosia szarpie się z Niemcem, który chce ją objąć wpół, a jej facet zwinął się… i już go nie ma.

Szybko przerzuciłem z kieszeni do rękawa swój fiński nóż, naparłem na Niemca i wcisnąłem się w środek.

– Daj spokój, co robisz? – posłyszałem za plecami krzyk Zosi.

– Nie bój się nic. Uważaj, ja go zaraz zrobię – mówiłem wolno, równocześnie następując na Niemca i patrząc mu prosto w oczy.

Słyszałem, że Zosia coś krzyczy, ale nic nie rozumiałem, tylko wolno, bardzo wolno powtórzyłem: – Uważaj, ja go zrobię.

Napierałem wciąż z głową wysuniętą do przodu, z opuszczonymi na dół, lekko odsuniętymi od siebie rękami, a Niemiec wolno cofał się do tyłu. Czekałem, żeby mu ręka drgnęła lub żeby zrobił jakiś inny ruch, który dałby mi podstawę do rozpoczęcia ataku. Nie zrobił jednak takiego ruchu, tylko powiedział coś ze śmiechem, zakręcił się i odszedł tanecznym krokiem. Przy mnie stała zdenerwowana Zosia.

– No, widzisz – powiedziałem – masz swoje nowe towarzystwo! Ciapciak, cholera. Uciekł.

– I miał rację – piekli się Zosia. – Nic by mi ten szkop nie zrobił. A ja wiedziałam, co ty chcesz zrobić. Widziałam przecież, co miałeś w ręku.

Zdecydowaliśmy, że teraz już czas urywać się, bo może dojść do poważnej awantury. Wyszedłem na schody, a po chwili chłopaki, już ubrani, wynieśli moje palto.

Szliśmy obok siebie całą szerokością chodnika, który w tym miejscu był wyjątkowo wąski, w kierunku Nowego Światu, a naprzeciw nas szło czterech lotników niemieckich. Nie schodzimy z drogi, tylko walimy prosto na nich.

– Na bok, raki, bo ludzie idą! – krzyknąłem i już wleźliśmy na siebie. Zdążyłem zauważyć, że ten, na którego ja wlazłem, był średniego wzrostu i krępy w sobie. Więcej nie zauważyłem, bo dostałem taką bombę w szczękę, że wyrzuciło mnie na środek jezdni. Musiało mnie na chwilę zamroczyć, bo gdy znów pomyślałem świadomie, to stałem na środku jezdni, a Niemców już nie było.

– Ja nie dostałem – pochwalił się Mały, gdy wróciłem na chodnik. Okazało się, że trzech nas oberwało po ryju.

– Czekajcie… wasza mać – powiedziałem głośno pod adresem Niemców. – Już ja postaram się, żeby was ze dwóch uśmiercić.

Na Nowym Świecie dwóch kolegów wsiadło do tramwaju, a Mały i ja poszliśmy piechotą. Po drodze wstąpiliśmy do knajpy i z żalu nad sobą wypiłem kilka głębszych wódek. Mały współczuł mi bardzo, więc też wypił taką samą ilość i teraz już zalani w deseczkę wracamy do domu. Minęliśmy Belweder i idziemy w dół po oblodzonym chodniku, wymachując rękami dla złapania równowagi. Gdy mijaliśmy się z oficerem niemieckim, Mały zatoczył się, trącił go ramieniem i w tym momencie dostał silnie w twarz. Padając chwycił oficera za mundur, a że było ślisko, więc razem przewrócili się na chodnik. We łbie mi się kręci, ale widzę, że oficer leży na Małym. „Chyba go bije” – pomyślałem i zacząłem kopać oficera. Raptem zauważyliśmy, że od

Belwederu pędzi jakiś umundurowany i odpina kaburę pistoletu. Wtedy nogi za pas i dęba. Uciekałem tak, że do ulicy Podchorążych nawet się nie obejrzałem. Teraz dopiero stanąłem na rogu i czekam na Małego.

– Ale miał pan szczęście – powiedział do mnie jakiś nieznajomy przechodzień. – Powinien pan zmówić litanię do Matki Boskiej.

– Byliby pana zastrzelili – dodał inny. – Gonili pana aż do kolejki wilanowskiej.

Za nimi powoli człapał Mały. Okazało się, że nie wiedział, gdzie ja się podziałem i co się właściwie stało.

W moim mieszkaniu chłopaki grali w karty. Popatrzyli zdziwieni, widząc, jak bez słowa ładuję w kieszenie pistolet i granaty.

– Gdzie ty z tym idziesz? – zapytał ktoś.

– Muszę jeszcze dzisiaj uśmiercić dwóch Niemców – odpowiedziałem, patrząc na nich błędnymi oczami. – Jednego za mnie, za to, że uderzyli mnie w mordę, a drugiego za Małego.

– Późno już – tłumaczył mi Pajac. – Teraz żadnego Niemca już nie spotkasz. Jutro pójdziemy strzelać ich razem, a teraz kładź się spać, bo widzę, że jesteś zmęczony.

Przemawiał do mnie jak do dziecka albo wariata. A ja naprawdę byłem w sztok pijany.

– Dobrze, pójdę spać, ale za to jutro zastrzelimy pięciu – stawiałem swoje warunki.

– Jak będziesz chciał, to nawet dziesięciu, ale teraz idź już spać. I tak mnie ululali.

Następnego dnia już nie miałem chęci strzelać do Niemców – postanowiłem sobie jednak, że więcej na żadną zabawę publiczną nie pójdę. Taka „zabawa” to żadna zabawa.

ORGANIZACJA

– Serwus, Tadziu! Co robisz? Z kim żyjesz? – zawołałem z radością na widok serdecznego kolegi, którego przypadkowo spotkałem na ulicy.

Tadzio – to kolega szkolny. Ostatnie dwa lata przed wojną pracowaliśmy w tej samej fabryce. Chociaż sam robotnik, obracał się jednak w towarzystwie paniczyków i maminsynków, bo matka jego była dozorczynią na kolonii Grottgera, gdzie mieszkała „lepsza" sfera. W rozmowie dowiedziałem się, że Tadzio we wrześniu wyszedł z Warszawy i siedział na wsi u rodziny, a obecnie pracuje w fabryce.

– Opłaci ci się tam pracować? – zapytałem zdziwiony. – „Na początek praca honorowa przy sprzątaniu gruzu i porządkowaniu fabryki" – zacytowałem wyjątek z ogłoszenia, pod którym była lista ewentualnych kandydatów do pracy w fabryce.

– Zapłacili, niedużo, ale zapłacili. A teraz nigdzie dużo nie zarobisz. A tobie jak leci?

– Jak k…w deszcz! – odpowiedziałem z humorem.

– Gdzie pracujesz?

– Nigdzie. Od czasu do czasu wpadnie jakaś nieduża partaninka… i robi się na własną rękę. Przeważnie w nocy – dodałem, żeby nie miał wątpliwości, o jakiej pracy mówię.

Jednakże nie zrozumiał, bo zapytał:

– A nocną przepustkę masz?

– A jakże, patrz, tak wygląda moja przepustka – mówiąc to uchyliłem poły jesionki, żeby zobaczył tkwiący w kieszeni pistolet, a pokazując granat dodałem:

– To jest załącznik do przepustki.

Tadzio z zazdrością popatrzył na moje „dokumenty" i zapytał, czy przypadkiem nie znalazłaby się i dla niego taka przepustka.

– Mogę coś wyspekulować. Jak chcesz, to ci przyniosę ręczny karabin maszynowy, a nawet armatę. Tylko jak ją będziesz nosił?

– Dawaj armatę – zapalił się Tadzio – dam sobie radę.

Gdy rozmowa przeszła już na takie śliskie tematy, zapytałem go, czy należy do jakiejś organizacji podziemnej.

– Za dużo chciałbyś wiedzieć – odpowiedział z rezerwą.

– Jak się boisz, to nic nie gadaj, chociaż, jak widzisz, ja nie bałem się pokazać swojego majdanu. Wiem, gdzie jest zakopana broń, ale przecież nie zrobię z mieszkania arsenału, bo już teraz moje chłopaki mówią, że któregoś dnia nasz dom wyleci w powietrze. Macam na wszystkie strony i nie mogę się domacać żadnej organizacji. Mógłbym im dostarczyć broń albo pokazać, gdzie leży zakopana.

– Pogadamy jeszcze na ten temat – zakończył rozmowę Tadzio. –

Teraz nie mam już czasu, ale jak chcesz, to jutro wieczorem wpadnę do ciebie.

Tak jak się umówiliśmy, Tadzio przyszedł następnego dnia wieczorem i krótko wyłożył sprawę:

– Dobierz sobie czterech równych i pewnych chłopaków, którzy chcą należeć do organizacji, a ja pojutrze wieczorem przyprowadzę kogoś, kto będzie miał z wami kontakt. Będziecie tworzyli jedną grupę. Później można będzie stworzyć dalsze piątki.

– Klawo! Szafa gra! – zawołałem uradowany, że wreszcie będę miał możność pracować przeciwko szkopom w sposób zorganizowany.

Tego samego dnia obgadałem sprawę z chłopakami. Z tych, których wytypowałem, żaden nie odmówił. Żałowałem, że tylko czterech mogę dobrać, bo oprócz może jednego lub dwóch mniej bojowych wszyscy inni też chętnie wstąpiliby do organizacji. W naszej piątce był oprócz mnie Mały, Antoś, Średni i Heniek – wszyscy z jednego domu.

Z niecierpliwością czekaliśmy na termin spotkania. Dokładnie o umówionej godzinie przyszedł Tadzio w towarzystwie młodego faceta, którego znałem z widzenia. Był to jeden maminsynek z kolonii Grottgera. Speszyłem się trochę, gdy pomyślałem, że taki laluś będzie nami rządził, ale czego się nie robi dla idei.

Facet na wstępie powiedział, że będziemy go znali pod imieniem „Andrzej" i każdy z nas też musi obrać sobie jakiś pseudonim. Pseudonimów dla siebie nie musieliśmy wymyślać, każdy z nas miał od dziecka swój przydomek, a niektórzy to nawet po kilka. „Andrzej" odczytał nam statut organizacji, omawiając poszczególne punkty. Gdy skończył, poprosił o zadawanie pytań.

– Kogo zrzesza organizacja? – zapytałem pierwszy.

– To jest organizacja studencka – odpowiedział „Andrzej" – a wy będziecie pierwszą grupą robotniczą.

– A czy wy nie jesteście przypadkiem z tych, co to przed wojną nosili mieczyki w klapach? „Sztafeciarze"? Bo jeśli tak, to nie chciałbym, żeby w przyszłości miało z tego powodu wyniknąć jakieś nieporozumienie – mówiąc to wyjąłem z szuflady w kredensie kilkanaście mieczyków, które położyłem na stole. – Te mieczyki to zdobycz wojenna. Odcięte zostały razem z klapami. Każdy z nas ma kilka takich.

Na wyprawy w miasto „na mieczyki" wychodziliśmy całą ferajną, uzbrojeni w ostre noże – przeważnie w Aleje Ujazdowskie i na Nowy Świat. Gdy zauważyliśmy „szczawików" z mieczykami w klapach – bo oni też nie chodzili pojedynczo – zaczynaliśmy nagonkę. Otaczaliśmy ich z daleka i pomaleńku zaciskaliśmy krąg. Gdy nadchodził dogodny moment, to znaczy, gdy w pobliżu nie było policjanta, następował atak. Małe zamieszanie i uciekaliśmy, mając w kieszeni obcięte klapy

z mieczykami.

Po wyjaśnieniach nastąpiło zaprzysiężenie. „Andrzej" czytał z kartki słowa przysięgi, a my powtarzaliśmy je stojąc na baczność z uniesionymi do góry palcami. W czasie składania przysięgi miałem ochotę roześmiać się, ta ceremonia wydawała mi się taka jakaś dziecinna i niepoważna. Nigdy nie wierzyłem, że przysięga może człowieka zobowiązać do czegoś.

Zebrania odbywały się raz na tydzień w moim mieszkaniu. Przeważnie przychodził tylko „Andrzej". Kilka razy przyprowadził ze sobą młodego człowieka, który miał z nami pogadanki polityczne. Dziwił się, że my, robotnicy, tak dobrze orientujemy się w zagadnieniach politycznych. Dyskutowaliśmy z nim także na temat wiadomości podawanych w gazetkach, które „Andrzej" przynosił na każde zebranie. Po przeczytaniu puszczaliśmy je w kurs. Denerwował nas fakt podawania nazwisk osób, które „zdradziły naród i przeszły na współpracę z Niemcami". – Po co o tym piszą? – pytaliśmy. – Chyba po to, żeby denerwować porządnych ludzi. Wykopcić w łeb jednemu i drugiemu, a w gazetce napisać: „Dostał w czapę za wysługiwanie się Niemcom". Przecież to dużo ładniej i przyjemniej się czyta.

Od pierwszego zebrania jasno stanęła sprawa dostarczania broni. Mieli apetyt na moje pistolety i postawili sprawę wyraźnie: oddać wszystką posiadaną broń, a organizacja będzie przydzielała tym, którzy będą potrzebowali.

– Jaka kara grozi za nieoddanie broni? – zapytałem.

– Nie rozumiem, o co chodzi – odpowiedział „Andrzej".

– No bo Niemcy obiecują rozstrzelanie. To wy musicie zagrozić jeszcze większą karą, ale obawiam się, że i tak nastraszyć się nie dam. Dwie spluwy i dwa granaty moje, resztę, to, co mam i co będę miał, oddaję. Zgoda?

– Ale taki jest rozkaz organizacji – upierał się „Andrzej".

– To zmieńcie rozkaz, bo ja swego zdania nie zmienię i może wyniknąć niepotrzebne nikomu nieporozumienie.

Oddałem kilkanaście granatów i trzeci pistolet, wszystko, co trzymałem w mieszkaniu. Kilka razy wychodziliśmy w nocy wykopywać broń, którą następnego dnia odwoziliśmy w umówione miejsce, a tam majdan odbierali inni po podaniu umówionego hasła.

Zamieszkał u mnie Zdzisiek z Mokotowa, równy chłopak. Niemcy deptali mu po piętach i musiał uciekać z domu. Sypnęła go jego dziewczyna, że posiada broń. Zrobiła to z zemsty, bo coś tam jej zmajstrował i nie chciał się żenić. I właśnie z nim i z Małym poszliśmy raz do Łazienek szukać broni. Do Łazienek zabroniono wchodzić pod karą śmierci, ale wiedzieliśmy, że tam zakopano broni do jasnej cholery. Poszliśmy uzbrojeni w pistolety, granaty i długie, zaostrzone na końcach żelazne pręty, normalnie używane do zbrojeń

betonowych. Do środka dostaliśmy się przez wysokie, murowane ogrodzenie od ulicy Podchorążych. Z początku słychać było jeszcze odgłosy ulicy, ale gdy zapuściliśmy się głębiej w park, ogarnęła nas niesamowita, idealna cisza. Słychać było tylko nasze kroki i głosy.

– Wydaje mi się, że tu powinno coś być. Pomacajmy! – zawołał półgłosem Zdzisiek, idący trochę z boku.

Wcisnęliśmy w ziemię nasze pręty w jednym miejscu, w drugim, wreszcie pręt głębiej nie wchodzi. Stuknęliśmy kilka razy – nie wchodzi. Słychać tylko odgłos jakby uderzenia o drzewo. Zdzisiek przyciągnął na to miejsce suchą gałąź, która miała spełniać rolę znaku rozpoznawczego, gdy przyjdziemy w nocy.

Z początku chodziliśmy ostrożnie, lekko zdenerwowani, czujnie obserwując teren. Wkrótce zdenerwowanie przeszło i łaziliśmy po parku jak po własnym podwórku, nie zapominając jednak o tym, że trzeba się bez przerwy rozglądać na wszystkie strony. Tak łażąc, dotarliśmy do stadionu hipicznego. Po drodze bez przerwy dłubaliśmy w ziemi naszymi prętami i zaznaczyliśmy kilka miejsc. Znaleźliśmy w krzakach dwie armaty, na widok których roześmiałem się głośno, bo przypomniałem sobie, jak obiecywałem Tadziowi, że mogę dostarczyć nawet armatę. Gdyby chciał, to wystarczy zrobić w nocy wyskok większą grupą i armatę przyciągniemy. Na stadionie hipicznym nie było nic ciekawego. Po wyrwaniu deski dostaliśmy się pod trybuny. Tu już było ciekawiej. W wielu miejscach ziemia była naruszona. Podłubaliśmy – zgadza się. Pręty stukały o twarde przedmioty na niewielkiej nawet głębokości. W kącie pod trybuną leżała kupa różnych śmieci i szmelcu. Grzebiąc w niej znaleźliśmy kilkanaście polskich granatów obronnych, które pochowaliśmy po kieszeniach i za paskiem spodni. Mały poprzyczepiał je sobie do dziurek przy płaszczu. Zdecydowaliśmy, że pierwsze wyprawy będą w to miejsce. Bo to przecież pod dachem, miejsce łatwe do zapamiętania, trudniej zobaczyć z daleka i dobre podejście – prawie cała droga krzakami pod murem.

W drodze powrotnej Zdzisiek znalazł karabin z odłamaną kolbą i całkowicie zardzewiałym zamkiem. Lufa zapakowana była ziemią i rdzą.

– Nie rusz cyngla! – ostrzegałem, widząc, jak Zdzisiek z ciekawością ogląda „trupa". – Zamek odciągnięty, więc w lufie może być kula. Jak grzmotnie, to rozwali karabin i może okaleczyć. Rzuć do diabla!

Zdzisiek jednak karabinu nie wyrzucił.

– A jednak strzelę – powiedział, gdy byliśmy już blisko ogrodzenia. – Mały! Daj kawałek drutu!

Jeden koniec przywiązali do cyngla, a karabin zacisnęli w rozwidleniu drzewa. Schowaliśmy się za drugie drzewo i wtedy

Zdzisiek pociągnął za drut. W idealnej ciszy parku huk wystrzału wydał się wielokrotnie głośniejszy, niż był w rzeczywistości. Zdążyłem tylko zauważyć, że karabin się rozleciał, bo uciekliśmy w stronę ogrodzenia jak małe dzieciaki, które wyrządzają jakąś psotę.

Teraz ciężej nam było wejść na mur ogrodzenia, bo byliśmy obładowani granatami, ale podsadziliśmy do góry Małego, następnie ja podsadziłem Zdziśka, a na końcu oni podali mi ręce i wciągnęli na mur. Na ulicy nie było nikogo z tych, których należało się bać, więc idąc spokojnym krokiem, po kilku minutach byliśmy w mieszkaniu.

Gdy chowałem granaty pod łóżko, pomyślałem, że właściwie nie wiem dokładnie, jakiego efektu należy spodziewać się przy użyciu takiej „piguły". Wiem, jak się odbezpiecza, jak należy rzucać, ale nie widziałem nigdy wybuchu.

– Wiecie, chłopaki, warto spróbować, czy one są na chodzie – powiedziałem wskazując na leżące na podłodze granaty. – Pójdziemy na łąki pod Wierzbno i grzmotniemy jednym.

Na łąkach znaleźliśmy rowek, który gdy się położyliśmy, zakrywał nas całkowicie. Kilkanaście metrów od rowka była niewielka kałuża. Klęknęliśmy, a ja odbezpieczając granat mówiłem:

– Jest kałuża? Jest. A teraz, patrzcie, za chwilę nie będzie kałuży – mówiąc to rzuciłem granat. Skryliśmy się w rowku. Po chwili nastąpił wybuch, po którym ile sił w nogach uciekaliśmy w stronę ulicy Piaseczyńskiej. Zdążyliśmy jednak zauważyć, że zamiast kałuży została duża wyrwa.

Raz znowu niewiele brakowało, żeby mnie Zdzisiek zastrzelił.

Czyściliśmy broń. Gdy Zdzisiek złożył swojego waltera, wycelował w moją głowę i pomaleńku naciska cyngiel. Odepchnąłem jego rękę.

– Ty idioto! – powiedziałem ze złością – do człowieka nie celuje się nawet z pustego pistoletu, a w tym masz pełny magazyn.

– Co, boisz się? – roześmiał się Zdzisiek. – Przecież walter oddaje pierwszy strzał dopiero po drugim spuście. Pierwszy spust to dodatkowy bezpiecznik, a ja go jeszcze nie ściągnąłem.

– Dodatkowy czy nie dodatkowy, jak chcesz, to możesz celować w plamę na murze – wskazałem dużą plamę na ścianie stojącej na drugim podwórku budy.

Zdzisiek długo celował i wolno naciskał cyngiel. Bawił się chłopak, wiedział przecież, że strzału nie będzie, bo jeszcze nie ściągnął pierwszego spustu. Bach!!! – strzał. Zdzisiek spojrzał na mnie przerażony.

– Zamykaj szybko lufcik! – krzyknął. – Żeby nikt nie zobaczył, że u nas otwarty.

Siedzimy cicho i czekamy, co z tego wyniknie. Żeby tylko sąsiad nie sypnął. Porządny chłop, ale zawsze to „granatowy". Siedzieliśmy tak w napięciu pół godziny, ale żadne komplikacje nie nastąpiły.

Innym razem mój pistolet stał się przyczyną nie przespanej nocy mego kuzyna, który przyjechał z prowincji do Warszawy na handel. Było to w sylwestra 1939 roku. Postanowiliśmy spędzić tę noc uroczyście, w większym gronie kolegów i koleżanek, przy dobrej zakąsce i tańcu. W kieszeń zabrałem tylko waltera, a parabellum leżało spokojnie w mieszkaniu pod poduszką. Z birbantki wróciłem do domu dopiero następnego dnia wieczorem i od Zdziśka dowiedziałem się, jak spędzili noc sylwestrową z moim kuzynem.

Wszystko było dobrze do momentu, gdy kuzyn postanowił położyć się spać. Poprawiając poduszkę, zobaczył pistolet i oczy wyszły mu na wierzch ze strachu.

– Co to jest? – zapytał przerażony wskazując ręką pistolet.

– Pistolet – odpowiedział spokojnie Zdzisiek.

– Czyj?

– Długiego.

– Ale co on robi tu, w mieszkaniu?

– Leży – odpowiedział Zdzisiek lakonicznie.

– Niech pan go wyniesie… Niech pan go wyrzuci – prosił kuzyn.

– Nie mogę. Długi by mnie chyba zabił. Ale niech pan się nie boi. Ten pistolet zawsze tu leży i jeszcze nigdy sam nie wystrzelił.

– To niech pan go chociaż schowa w inne miejsce – prosił kuzyn, bojąc się wziąć pistolet do ręki.

Zdzisiek przełożył pistolet na szafę.

Kuzyn mój całą noc nie kładł się, tylko chodził zdenerwowany po mieszkaniu. Gdy o północy w pobliskich koszarach wojskowych Niemcy strzałami witali Nowy Rok, kuzyn wpadł w przerażenie. Miotał się po mieszkaniu wołając:

– Ojej! Ojej! O Boże! Oni tu do nas idą! Już strzelają! Niech pan to wyrzuci!

Zdzisiek dla świętego spokoju owinął spluwę grubo szmatami i wsadził w luft przewodu kominowego. Kuzyn męczył się całą noc i nie dał Zdziśkowi spać. O godzinie piątej rano uciekł, przysięgając, że w tym mieszkaniu noga jego więcej nie postanie.

– Oj, ty frajerze – powiedziałem, gdy Zdzisiek skończył opowiadać. – Nie wiedziałeś, co zrobić? Trzeba było wyłożyć na stół swoją spluwę, spod łóżka wyciągnąć kilka granatów i udawać wariata: turlać nimi po podłodze. Wtedy on uciekłby na korytarz, a ty spałbyś spokojnie całą noc.

U małpy brzytwa, a u nas broń w ręku to prawie jedno. Mieliśmy wyjątkowe szczęście, że żaden z nas nie postrzelił drugiego i nie wpadł w tarapaty, z których nie było wyjścia.

Podobała nam się taka zabawa, ale to jeszcze nie było to, co mogło nam dać pełne zadowolenie.

Otrzymaliśmy od „Andrzeja” nowe rozkazy: podano nam na

karteczkach nazwiska, adresy i miejsca pracy ludzi, o których należało przeprowadzić wywiad. Kartki przyjąłem, bo rozkaz jest rozkazem, ale nie miałem ochoty i czasu, żeby za kimś łazić, więc do następnego zebrania nic w tej sprawie nie zrobiliśmy. Dostaliśmy upomnienie za opieszałe wykonywanie rozkazów, ale na następne zebranie też nic nie przygotowaliśmy. Na zwróconą nam w ostrej formie uwagę, odpowiedziałem:

– Nie dawajcie nam poleceń, których nie potrafimy wykonać. Taka robota nam nie odpowiada. Potrzebna broń? Dajemy broń i damy jej jeszcze dużo. Trzeba będzie rzucić bombę, granat? – dajcie rozkaz i wykonamy. Ale chodzić za kimś, wypytywać ludzi – to nie dla nas robota.

Następnego dnia poszedłem do Tadzia, żeby prywatnie i po koleżeńsku porozmawiać z nim na ten temat. Gdy wspomniałem o tych dziennych rozkazach, Tadzio roześmiał się i powiedział, że słyszał o nasze j grupie taką opinię: „Zbuntowane chłopaki, ale z charakterem. Nie wiadomo, jak z nimi postępować, ale na takich można liczyć, jeśli dostaną zadanie, które im się spodoba”.

– Jak tak, to klawo – uspokoiłem się. – Bo już myślałem, że będzie nieporozumienie.

BOSO, ALE W OSTROGACH

Miała dwadzieścia lat i na imię Basia. Pracowaliśmy w jednej fabryce. Mężatka, która po niedługim pożyciu rozeszła się z mężem. Była jak aniołek – ładna, zgrabna, młoda, miła, więc nic dziwnego, że od pierwszego dnia wpadła mi w oko. Krążyły pogłoski, że przeniesiona została do fabryki z filii na Żeraniu za utrzymywanie bardziej niż koleżeńskich stosunków z żonatym i dzieciatym technikiem czy też inżynierem. Szybko znalazło się kilku facetów, którzy kilka razy dziennie przechodzili przez oddział, żeby chociaż z daleka popatrzyć na Basie. Jeden był nawet taki uparty, że potrafił pół godziny stać w jednym miejscu i patrzeć na nią jak żaba na piorun. Na oddziale pracowały prawie same kobiety. Było kilku starszych facetów i ja – jedyny młody, dwudziestoletni chłopak, zatrudniony przy konserwacji maszyn. Bez przerwy kręciłem się wśród maszyn: w jednej ustawiłem szablon, w innej zreperowałem motorek, w trzeciej nawalił licznik. Coraz częściej zatrzymywałem się przy maszynce Basi. Jeśli maszynka pracowała dobrze, to już postarałem się o to, żeby coś w niej szwankowało, tak żeby Basia nie mogła naprawić. Cacy, cacy… i zaproponowałem spotkanie na mieście. Basia wyraziła zgodę z zastrzeżeniem, że spotkamy się nie na mieście, lecz u mnie, „w Dole". „Dół" – to Czerniaków i Powiśle, dzielnice Warszawy położone niżej niż cała lewobrzeżna Warszawa. Jakby człowiek nie szedł, żeby wydostać się do miasta, trzeba było pchać się do góry. Stąd nazwa „Dół", a o chłopakach z tych dzielnic mówiło się: „chłopak z Dołu".

Chcesz, kochanie, „Dół", niech będzie „Dół". Ładnie to nawet umotywowała. „Za mało pan zarabia na to, żeby utrzymywać całą rodzinę i jeszcze tracić pieniądze na kobiety. Bo przecież na mieście musielibyśmy gdzieś wstąpić – do kina, teatru czy kawiarni – a to kosztuje".

Spotkaliśmy się w niedzielę. Spacerkiem poszliśmy szosą wilanowską prawie pod Wilanów. Gdy wracaliśmy, byliśmy już ze sobą na „ty", lecz w fabryce zwracaliśmy się do siebie przez „pan" i „pani". W następną niedzielę po spacerze zaprosiłem Basie do mieszkania, a po kilku tygodniach, gdy w mieszkaniu zostaliśmy sami… staliśmy się sobie bardzo, bardzo bliscy. Powstał u mnie „bałagan na facjacie", czyli inaczej kocioł w głowie, albo mówiąc po prostu: byłem zakochany. Spotykaliśmy się tylko na dzielnicy i u mnie w mieszkaniu. Basia ślicznie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego tak właśnie musi być: „Ty jesteś kawaler, a ja mężatka. Jak zobaczą nas znajomi z fabryki, to będą mieli powód do gadania". To nie jej wina, że chłopy na nią patrzą, a ludzie wyciągają z tego własne wnioski. „A poza tym ja nie zgodzę się na to, żebyś ty w jakiejkolwiek formie

wydawał na mnie pieniądze”.

Basia przychodziła do fabryki codziennie inaczej ubrana i wiele czasu upłynęło, zanim drugi raz zobaczyłem, że ma na sobie coś, co już raz widziałem. Do tego trzy futra. Zadowolony byłem, że mam taką „laleczkę”, ale niejeden raz zastanawiałem się, skąd przy swoich zarobkach bierze pieniądze na takie stroje. Gdy ją o to zapytałem, powiedziała, że wszystko kupują jej rodzice, bo własne zarobki wystarczają jej tylko na życie. Jak rodzice, to niech będą rodzice – i przestałem się tą sprawą interesować.

Miłość i sielanka zakłócane były tylko wtedy, gdy Basia zrywała ze mną. Odbywało się to zawsze tak, że mniej więcej raz na kilka tygodni Basia zakładała mowę:

– Dzisiaj spotkaliśmy się po raz ostatni. Tak dalej być nie może. Ty jesteś kawaler, ja mężatka, pobrać się nie możemy. Przed tobą jest inne życie. Znajdziesz sobie dziewczynę, z którą będziesz się mógł ożenić, założyć własny dom, rodzinę – a ja ci tego wszystkiego dać nie mogę. Moje życie jest już stracone.

Tłumaczyłem jej tak, jak potrafiłem, że przed wojskiem nie mam zamiaru się żenić, że w tej chwili to i tak w moim życiu nic nie zmienia, że jeżeli zerwiemy, to ona i tak będzie mężatką… Ja swoje, a ona swoje.

– To idź do diabła! – mówiłem, gdy już wreszcie wpadłem w złość. – Idź i więcej nie przychodź! Jeśli ci to odpowiada, to nawet w fabryce możemy ze sobą nie rozmawiać.

Zawsze po takiej rozmowie przez kilka dni zwracaliśmy się do siebie tylko w sprawach służbowych, lecz po kilku lub kilkunastu dniach bez żadnego uprzedzenia Basia przychodziła do mnie do domu i znów kilka tygodni było wszystko dobrze.

Wybuchła wojna. Po powrocie z rajzy poszedłem szukać Basi w jej warszawskim mieszkaniu. Dom był częściowo rozwalony, lecz odnalazłem koleżankę, z którą przed wojną dzieliły pokój, i dowiedziałem się, że Basia przeniosła się do Milanówka, do swoich rodziców. Pojechałem pod wskazany przez koleżankę adres… i znów wszystko było jak dawniej. Ja jeździłem do Milanówka, częściej jednak Basia przyjeżdżała do mnie. Pomieszkaliśmy razem dwa, trzy dni i Basia wracała do rodziców, by znów za tydzień przyjechać.

Rodzicom Basi było ciężko, więc kiedy wracała do domu, zawsze wiozła ze sobą kilka paczek różnych produktów. Ojciec Basi to bardzo równy starszy facet. Wkrótce doszliśmy do porozumienia. Brał od nas „lewy” towar i sprzedawał na swoim terenie. On dobrze na tym zarabiał, a i my mieliśmy mniej kłopotu ze sprzedażą.

Pewnego dnia poczułem tęsknotę za Basia, więc prosto z miasta pojechałem do Milanówka.

– Gdzie Basia? – zapytałem, widząc, że nie ma jej w domu.

– Pojechała do Warszawy, do ciotki. Ma wrócić jutro wieczorem.

– Mam do niej ważną sprawę – kłamałem. – Podajcie mi adres ciotki, to jutro rano ją odszukam.

Podali mi adres, a ponieważ zbliżała się godzina policyjna, ojciec zaproponował mi, żebym przenocował i wrócił do Warszawy dopiero jutro rano.

– Dobrze, niech będzie jutro rano.

Matka zdjęła moje palto z wieszaka, żeby je schować do szafy. Gdy przewiesiła je przez rękę, z kieszeni na podłogę wypadł pistolet. Chciałem go podnieść, lecz ojciec chwycił pierwszy. Fachowo odsunął bezpiecznik, odciągnął i sprawdził, że kula siedzi w lufie.

– Po co pan to przywiózł? – zapytał patrząc mi przenikliwie w oczy.

– Nie miałem czasu zostawić tego w domu – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Nie przypuszczałem, że będę tu nocował. Ale jeśli się boicie, to dawaj pan tę „rurę" i już wracam do domu.

– Niech pan powie uczciwie, po co pan to ze sobą zabrał? – powtórzył ojciec z uporem swe pytanie.

– Przecież mówię…

– Nie wierzę panu. Ja wiem, co pan chce zrobić.

– To dobrze, bo ja sam nie wiem – odpowiedziałem z uśmiechem. – A jeśli to panu odpowiada, to mam chęć kogoś zastrzelić – zażartowałem.

– O, widzi pan, ja też tak sobie od razu pomyślałem. I nawet wiem, kogo.

Zbaraniałem. On wie, kogo ja mam chęć zastrzelić? Tu? W Milanówku? Ale teraz zaczynam grać, żeby tata puścił farbę. Więc mówię ogólnikowo:

– Niejeden zasługuje na to, żeby go zgasić. Jak ktoś jest draniem, to nie powinno być dla niego miejsca na świecie.

– Tak – zgodził się ojciec. – Ale tego pan nie zna. To jest bardzo porządny i uczciwy człowiek. To nie on jej życie złamał, a ona jemu. Ten człowiek chciał z nią żyć, ale ona nie chciała. Kochanek był jej bliższy. Co myśmy z nią przeżyli! – żalił się ojciec. – Dwa dni po ślubie nie przyszła na noc i nie chciała powiedzieć, gdzie była. Po kilku dniach znów to samo. W dwa miesiące po ślubie, gdy wróciła do domu w nocy pijana, chłop nie wytrzymał i uderzył ją w twarz. Uciekła od niego i więcej nie chciała z nim żyć. Ja na jego miejscu lepiej bym jej wlał. Niech pan jej nic nie wierzy, zwłaszcza w to, co mówi o swoim mężu. Chce pana na niego napuścić.

Siedziałem przygwożdżony do krzesła. Nic nie mówiłem, bo i tak by mi nie uwierzył, że nie miałem zamiarów, o które mnie posądzali. Teraz rozumiałem politykę Basi. Zrozumiałem, dlaczego zrywała ze mną. Cel był jasny: rozkochać chłopaka, podpuścić na męża, mąż

pójdzie do nieba, chłopak do więzienia, a ona będzie wolna. „Niewinnie skrzywdzona ofiara, cholera! – myślałem. – Jak ona to ślicznie mówiła: «Mąż miał narzeczoną, z którą się pogniewał. Wtedy ożenił się ze mną, a kilka dni po ślubie pogodził się z tamtą. Postawiłam wtedy warunek: tamta albo ja. Wybrał tamtą, a mnie zostawił. W dwa miesiące po ślubie»„. Zgadzały się tylko te „dwa miesiące".

Dowiedziałem się wtedy dużo ciekawych rzeczy. Gdy kończyliśmy rozmowę, ojciec podał mi nazwisko i adres kochanka Basi.

– Jeśli pan chce dowiedzieć się czegoś więcej, to niech pan spróbuje porozmawiać z nim.

Prosiłem rodziców, żeby nic Baśce nie mówili, że byłem u nich.

Następnego dnia raniusieńko wracałem do Warszawy i wprost z dworca pojechałem do ciotki, u której miała być Basia. Drzwi otworzyła mi jakaś zaspana baba, którą pukaniem ściągnąłem z łóżka. Gdy zapytałem o Basie, odpowiedziała zdziwiona, że nie widziała jej już przeszło rok. Gdzie jej tam w głowie odwiedzać starą ciotkę! Przeprosiłem grzecznie i wróciłem do domu. Po południu przyszła Basia. Byłem na nią wściekły, ale robiłem dobrą minę.

– Kiedy wyjechałaś z domu? – zapytałem.

– Po południu, przyjechałam tu prosto z dworca.

– A jak rodzice? Ojciec sprzedał towar?

– Część sprzedał, wczoraj pojechał na wieś kupić trochę żywności. A wiesz? Matka dostała ataku sercowego. Całą noc przy niej siedziałam – mówiła Basia, żeby usprawiedliwić swój zmęczony wygląd.

Postanowiłem nie zdradzać się do czasu, aż dowiem się wszystkiego. Poza tym byłem powiązany interesami z jej ojcem, więc to też mogło skomplikować sprawę. Byliśmy w mieszkaniu sami. Basia łasiła się jak kotek. W pewnej chwili, nie patrząc na mnie, zaczęła użalać się nad swoim losem:

– Och, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Po co wychodziłam za mąż. Jakie piękne byłoby życie, gdybym była wolna. Tyle ludzi zginęło w czasie wojny – powiedziała nienawistnie – a tego mojego drania nie zabiło. Wszystko dałabym za to, żeby nie żył.

Rozumiałem, co ją boli. Noc spędzona u kochanka odświeżyła pretensję do losu w związku z jej sytuacją i stąd wzięła się nowa fala nienawiści do męża, który był na tyle nieprzyzwoity, że nie chciał umrzeć. Ale nie odpowiedziałem nic.

– Przecież teraz jest wojna – powiedziała Basia po chwili. – Policja nie pracuje tak sprawnie jak przed wojną. Gdyby zginął, to nikt by niczego nie doszedł. Komu chciałoby się szukać?

Spojrzałem jej w oczy i wolno, cedząc słowa przez zęby, zapytałem:

– Czy uważasz, że ja mam to zrobić?

– A chociażby! Ja już mam dość takiego życia. Jestem tylko twoją kochanką i będę tylko kochanką tak długo, jak długo tamten drań będzie żył. Kozak jesteś, niby taki odważny, a tego się boisz?

W tym momencie poczułem do niej wielki wstręt. Wstręt i nienawiść. Już nie była ładna, zgrabna i miła. Ręce same rwały się, by złapać za gardło i grzmotnąć kilka razy głową o ścianę. Dłuższą chwilę walczyłem z sobą, a gdy się opanowałem, odpowiedziałem spokojnie, tak spokojnie, że mnie samemu wydawało się to dziwne:

– Rozumiem cię, teraz cię wreszcie rozumiem, ale jeśli dlatego byłaś moją kochanką, to zmarnowałaś przeszło rok. Żebyś ty była dużo piękniejsza, cudem, aniołem nawet, to nigdy takiej rzeczy dla baby nie zrobię. To ty nie wiesz – powiedziałem drwiąco – że ja nigdy nie biłem się o dziewczynę?

A ty mi tu z taką gadką… Daj wroga, to go zdmuchnę bez mrugnięcia okiem. Ale o babę? Nigdy w życiu!

Basia poczuła raptownie troskę o zdrowie swojej mamusi i oznajmiła mi, że jedzie do domu. Gdy wyszła, odetchnąłem z ulgą, a po dwóch dniach wybrałem się w odwiedziny do kochanka Basi.

Idąc na górę, postanowiłem wydusić z faceta wszystko, co wie. Numer mieszkania się zgadza. Nazwisko na drzwiach to samo, więc jestem na miejscu.

Drzwi otworzyła mi kobieta. W pokoju przy stole siedział facet i golił się. Powiedziałem, że mam do niego ważną sprawę, i poprosiłem o chwilę rozmowy.

– Proszę pana – zacząłem mówić pierwszy, gdy zostaliśmy sami – będę z panem zupełnie szczery i będę panu wdzięczny, jeśli odniesiesz się pan do mnie z równą szczerością. Jestem przyjacielem Basi… – i opowiedziałem mu, dlaczego przyszedłem, moją ostatnią rozmowę z Basia i jej rodzicami.

Gdy skończyłem, popatrzył na mnie chwilę, jakby się wahał, i wreszcie zaczął mówić.

Teraz dopiero dowiedziałem się, jakie to z Basi ziółko!

Zdzisio – bo tak miał na imię apsztyfikant Basi – wyliczył mi sześciu facetów, co do których był pewien, że utrzymywali z Basia bardziej niż koleżeńskie stosunki.

– Ale ja byłem zakochany – zakończył – i nie miałem siły zerwać. Od dwóch miesięcy nie widuję jej, mam to wszystko na szczęście już poza sobą.

Rozmowa przeszła stopniowo na inne tematy. Zdzisio żalił się, że mu ciężko, bo do fabryki nie chce iść, a do handlu brak mu pieniędzy. Zaproponowałem spółkę. Powiedziałem uczciwie, że towar jest „lewy”, i wyliczyłem, co mamy na składzie – czyli w fabryce. Zdecydował się brać wełnę nie grępłowaną. Następnego dnia

przyjechał do mnie wózkiem i zabrał kilka worków wełny.

Basia przyszła do mnie po dwóch tygodniach. Nie okazałem zdziwienia, ale byłem chłodny i oficjalny.

– Tatusia aresztowali – zaczęła mówić szybko, gdy tylko weszła. – Złapali go na Kercelaku z kapeluszami. Byłam u prokuratora. Powiedział, że jak ojciec powie, od kogo dostał kapelusze, to będzie zwolniony. Jakbyś się przyznał, że od ciebie, to tatusia wypuszczą. Siedzi już tydzień.

– Wariatka! – zawołałem. – Co ci po głowie chodzi? Ojca za kilka dni muszą wypuścić, a ja leżę jak neptek. Przecież mieszkam dwieście metrów od fabryki, to dla mnie nie ma żadnego tłumaczenia. Adwokata wzięliście?

– Nie, bo tatuś przysłał gryps z więzienia – mówiąc to podała mi małą zmiętą kartkę, na której ojciec napisał ołówkiem: „Nic nie róbcie, za kilka dni muszą mnie zwolnić. Powiedziałem, że towar kupiłem na Kercelaku po 10 złotych sztuka, nie wiem, od kogo".

– Więc wszystko w porządku – powiedziałem drąc gryps na drobne kawałki. – Dam ci trochę forsy, żebyście miały z matką za co żyć, a w niedzielę przyjedź, to dostaniesz więcej, na adwokata.

W niedzielę Basia nie przyjechała. Od rana wielkimi płatami padał śnieg. Pomyślałem, że albo zawieja utrudniła komunikację, albo nie chciała wyjeżdżać z domu w taką pieską pogodę. Wieczorem odwiedziła mnie koleżanka i zapytała, czy była u mnie Basia.

– Nie, nie było jej. Dlaczego pytasz?

– Bo widziałam ją z jakimś przystojnym facetem na Marszałkowskiej. Szli roześmiani, trzymając się za ręce, a Basia, jak mnie zobaczyła, położyła palec na ustach, żeby nic nie mówić. Ale przecież nie mogę się zgodzić, żeby frajerka z miasta kiwała naszego chłopaka.

– To nic, przyjdzie jutro – odpowiedziałem spokojnie, mimo że zagrało coś we mnie.

Następnego dnia zjawiła się Basia. Gdy swoją wczorajszą nieobecność zaczęła usprawiedliwiać atakiem serca matki, nie wytrzymałem nerwowo.

– To był na pewno taki sam atak jak wtedy, co? – zawołałem wściekle. I powiedziałem jej wszystko: to, co wiedziałem od rodziców, i to, czego dowiedziałem się od Zdzisia.

Podczas gdy mówiłem, Basia rozpłakała się. „Chyba się wstydzi" – pomyślałem. A ona szlochając powiedziała przez łzy:

– Och, jaki drań, a ja go przecież tak kochałam…

– …Tylko jeszcze nic nie wiem o tym facecie – zakończyłem – z którym byłaś wczoraj na Marszałkowskiej.

Kazałem jej wynosić się z domu. Adwokata załatwię sam. A Basia? Nagle przestała płakać. Stała przy drzwiach i zapinając palto

mówiła zupełnie spokojnie, tylko głosem zduszonym ze złości:

– Musiała ci ta cholera powiedzieć, że mnie widziała. A prosiłam k…, żeby nic nie mówiła.

– Za mało nas znasz – odpowiedziałem już spokojnie. – Dla nas zawsze będziesz obca i ja zawsze dla naszych przed tobą.

– Popamiętasz mnie jeszcze – powiedziała stojąc już w otwartych drzwiach.

– Spróbuj sypnąć! – zerwałem się z krzesła.

Trzasnęła drzwiami i słyszałem, jak uciekała biegiem przez korytarz.

We wtorek załatwiłem adwokata. Powiedział, że sprawa jest prosta i za dwa tygodnie ojciec Basi na pewno będzie w domu. I był – jak się później dowiedziałem. W czwartek sąsiad z naszego domu mówił mi, że spotkał Basie na mieście.

– Uważaj, żeby ci nie zrobiła jakiegoś kawału – ostrzegał- bo odgrażała się, że zrobi z tobą porządek.

W sobotę przyszła koleżanka z Mokotowa, też żeby mnie ostrzec. Baśka była u niej poprzedniego dnia i odgrażała się, że długo ją będę pamiętał.

W niedzielę rano wpadła do mnie policja. Po półgodzinie przyszło gestapo – spotkali się z policją pod drzwiami mojego mieszkania.

Na wizytę policji złożyły się jeszcze inne powody. W nocy z czwartku na piątek z Tadkiem i Zdziśkiem poszliśmy do pobliskiego ogrodu wykopać broń, którą zakopali polscy żołnierze w dniu kapitulacji Warszawy. Podobno było tam kilka pistoletów z amunicją i granaty. Specjalnymi cęgami do cięcia drutu rozprułem siatkę w parkanie i po chwili byliśmy już w ogrodzie, kierując się w stronę miejsca, w którym miała być zakopana broń.

– Tam pod krzakiem ktoś siedzi – powiedział cicho Zdzisiek, wskazując samotny krzak.

Zaczęliśmy po cichu posuwać się w stronę krzaka. Gdy byliśmy już przy nim, z ziemi podniosła się jakaś postać, mówiąc:

– No, to mamy was.

– Co za „was”? – zapytałem lekceważąco. – Tylko nie „was”?”!

– A co? – odezwał się Zdzisiek. – To nie wolno wejść do ogrodu za potrzebą?

– W nocy? I przez dziurę w płocie? – zapytał ten obcy.

– To uważasz pan, że mam przełazić przez płot, gdy obok jest dziura? – włączyłem się do rozmowy. A ten skoczył i złapał mnie za ramię. Strzeliłem łbem. Facet poleciał do tyłu chyba ze siedem metrów, zanim się rozłożył na ziemi. Teraz akcja już rozgrywała się szybko. Z krzaków wyskoczył duży pies. Zdzisiek już ciągnie za cyngiel.

– Nie strzelaj! – wrzasnąłem, gdy posłyszałem trzask pierwszego

spustu. Równocześnie Zdzisiek strzelił i zraniony pies uciekł ze skowytem. W tym momencie strzelił facet, który dostał łbem. „No, jak ty strzelasz – pomyślałem – to i ja sobie pozwolę". Wyrwałem swoje parabellum i grzmotnąłem w kierunku leżącego faceta. Teraz znów ktoś strzelił z oddalonych od nas krzaków.

– Chłopaki, wiać! – wrzasnąłem i wszyscy rzuciliśmy się do ucieczki w kierunku dziury w parkanie. Goniło nas kilku facetów, ale oni musieli dopiero szukać dziury.

– Uciekajcie, ja ich zastawię! – zawołałem, gdy dopadliśmy pierwszego rogu ulicy. Za rogiem był parkan z desek. Wystawiłem tylko oko, nos i rękę z pistoletem. Wystrzeliłem cały magazynek. Goniący pokładli się pod płotem. Wtedy pobiegłem szybko, zmieniając równocześnie magazynek.

– Panie, co to za strzały? – pytali przez okna przerażeni ludzie.

– Nie wiem! – odkrzyknąłem. – Podobno kogoś zabili, lepiej uciekajcie. Gdy znikałem za następnym rogiem, na ulicy było już kilkanaście osób biegnących w kierunku Mokotowa. „Teraz już cholerę złapią, a nie mnie" – pomyślałem uciekając w kierunku parku Promenady. Czekali tu na mnie chłopaki. Pomaleńku wyjrzeliśmy na ulicę Belwederską. Daleko od nas, w okolicy miejsca rozróbki, widać było kilka osób. Przeczołgaliśmy się przez jezdnię i chodnik. Przez parkan dostaliśmy się na pusty plac. Znowu przez parkan wyszliśmy na następną ulicę. Jeszcze dwa parkany i wyszliśmy prawie naprzeciwko bramy naszego domu.

– Co to było? – zapytał Zdzisiek już w mieszkaniu.

– Obława, frajerze. Zwykła obława. Albo też policja się tam na kogoś zasadziła. Tylko na kogo? Chyba nie na nas, bo o naszej wyprawie nikt nie wiedział.

W piątek przed wieczorem przyszedł Tadek i prosił, żeby mu pożyczyć parabellum.

– Po co? – zapytałem.

– Potrzebne – odpowiedział lakonicznie.

„Nie chce mówić, niech nie mówi" – pomyślałem. Ale dając mu pistolet powiedziałem:

– Masz, ale uważaj, żebyś z nim nie wpadł.

Zanim wyszedł, umówiliśmy się, że z soboty na niedzielę zrobimy poważniejszy skok do „Kapeluszowej". Mieliśmy dostać się do pomieszczenia, w którym właściciel fabryki przed ucieczką za granicę ukrył wielki kosz pełen drogocennych rzeczy. Tadek znał schowek, gdzie ukryty był kosz, ale żeby się do niego dostać, trzeba było mieć specjalne narzędzia, które Tadek obiecał przynieść w sobotę. Chodziliśmy już po ten kosz trzy razy, ale nic z tego nie wyszło, bo nie mieliśmy narzędzi. Doszliśmy do wniosku, że musimy się pośpieszyć, bo Niemcy coraz częściej odwiedzają fabrykę. Jak ją uruchomią, to z

kosza będą „nici”. Olek z Wójtówki radził, żeby uśmiercić „fokstrota”, który pilnuje. Motywował to tak: „Jak nie żyje, to nie wykapuje, a o jednego szkopa będzie mniej”. Ale żaden z nas się nie zgodził na takie rozwiązanie. Plan był następujący: z soboty na niedzielę przyniesiemy kosz, a w niedzielę rozparcelujemy towar i ulokujemy u kolegów, którzy mieszkają daleko od fabryki.

W sobotę przed południem Tadek oddał mi pistolet. Przyszedł z Heńkiem, kolegą z naszego domu. Wyjąłem magazyn, odciągnąłem zamek i stwierdziłem brak jednej kuli.

– Gdzie jedna kula? – zapytałem patrząc przenikliwie na Tadka.

– To ja strzeliłem – wtrącił Heniek. – Byłbym zabił Czarnego. Czarny to starszy kolega z naszego domu.

– W jaki sposób?

– Byliśmy u Czarnego w warsztacie – zaczął opowiadać Heniek. Czarny miał w innym domu, w piwnicy, mały warsztat ślusarski. – Wyjąłem magazyn i bawiłem się w kowboja. Wyrwałem pistolet zza paska, mierzyłem z biodra i ciągnąłem za cyngiel. Gdy mi się ta zabawa sprzykrzyła, położyłem spluwę na stole, magazynek leżał obok. W pewnym momencie znów chwyciłem pistolet i mówiąc: „po kowbojsku!!” – pociągnąłem za cyngiel. A pistolet wystrzelił. Kula walnęła w ścianę tuż przy głowie Czarnego. Ktoś włożył magazyn, a ja nie sprawdziłem i byłbym Czarnego niechcący zastrzelił.

Przyjąłem do wiadomości to wytłumaczenie i do tego tematu więcej nie wracaliśmy. Zapytałem Tadka, czy przyjdzie do mnie wieczorem.

– Przyjdę na pewno – odpowiedział – i przyniosę to, co wiesz.

Wieczorem Tadek nie przyszedł. Czekaliśmy na niego do godziny jedenastej wieczorem. Byłem wściekły, bo teraz trzeba będzie odłożyć wszystko do następnej soboty. Po północy usłyszałem, że ktoś dzwoni do bramy.

Dzwonek ten umieszczony był nad oknem dozorcy, a więc pod moim oknem, bo mieszkałem nad dozorcą. Ktoś szarpał dzwonkiem długo i energicznie. Byłem pewien, że ktoś wraca do domu pijany. „Chyba mój sąsiad z korytarza” – pomyślałem, bo lubił on często wracać w nocy i na dobrych „obrotach”.

– Ja płacę za bramę – usłyszałem pijany głos zza bramy.

– Odczep się, ja płacę – odpowiedział inny głos.

– A właśnie, że ja będę płacił – przerwał dyskusję ktoś trzeci. Stanąłem w oknie, żeby zobaczyć, kto to wraca taki przepojony chęcią płacenia. W tym czasie dozorca już otworzył bramę. Zrobiło się małe zamieszanie, bo kilka osób wtykało dozorcy pieniądze za otwarcie bramy. Wreszcie wszyscy weszli na klatkę schodową i już słychać rozmowę na schodach i głośne kroki, które zbliżają się do drzwi mojego mieszkania.

– To do sąsiada – powiedziałem głośno do Zdziśka. – Kładziemy się spać.

Ale nie. Pukają do mnie. Otworzyłem drzwi i do mieszkania wtoczyli się Tadek, Czarny z rowerem i Witek, wszyscy trzej zalani, w cudownie wesołym nastroju. Tadek niesie w ręku pół litra wódki w butelce z utrąconą szyjką, Czarny i Witek też stawiają na stole po pół litra. Wszyscy mówią równocześnie, proszą o zakąskę. Czarny wyjął z kieszeni harmonię pieniędzy. Mówią coś o niemieckim oficerze, którego przerobili w knajpie.

– Wódki nie dam – powiedziałem, chowając butelki do szafy. – Pościelę wam na podłodze i kładźcie się spać.

– Teraz spać? – zachichotał po pijacku Tadek. – Tak wcześnie i już spać? Będziemy jeszcze pili wódkę.

– Ale nie u mnie – odpowiedziałem wściekle, bo ich zachowanie coraz bardziej wyprowadzało mnie z równowagi. – A z tobą to ja pogadam jutro. Wiesz, że wieczorem mieliśmy „robotę”?

– Robota nie zając, nie ucieknie – tłumaczył Tadek, ciężko siadając na krześle. – A teraz stawiaj jedną półlitrówkę, coś na ząbek i pijemy.

– Powiedziałem, że nie u mnie. Kładźcie się spać. Zrobię wam posłanie na podłodze.

– Zamknijcie mordy, do jasnej cholery! – wrzasnąłem, gdy ile sił w płucach zaśpiewali „Rotę”. – Wiecie, że obok mieszka „granatowy”.

– Czego się boisz? – powiedział Czarny, którego zaczęła męczyć pijacka czkawka. – jak „pies” będzie chciał skakać, to go tak zrobimy, że więcej nie podskoczy.

– Jeszcze Polska nie zginęła… – rozdarł znów mordę Tadek. Skoczyłem. Złapałem rękami za gardło i kilka razy szarpnąłem nim tak, że za każdym razem uderzał łbem w szafę, a szarpiąc mówiłem:

– Jak się nie uspokoisz, to cię uduszę, bydlaku pijany.

To ich trochę uspokoiło. Przez cały czas tego bałaganu Zdzisiek nic się nie odzywał. Nie jego mieszkanie i nie był chłopakiem z naszej ferajny.

– Idziemy pić do mnie – dał hasło Czarny. Zabrali pół litra i poszli na górę.

Nie minęła godzina, gdy znów przyszli, namawiając mnie, żebym się ubrał i poszedł z nimi na dalsze pijaństwo. Rozłożyłem na podłodze siennik, stare palto do przykrycia i kolejno przewracałem ich na to posłanie w nadziei, że może jak się położą, to i usną. Nie dali się ululać. Po kilku minutach wyszli szukać wódki.

Wtedy zwróciłem się do Zdziśka z prośbą, żeby się szybko ubrał i wyszedł popatrzeć, co oni będą robić na ulicy.

– Weź moją i swoją spluwę – powiedziałem podając Zdziśkowi swoje parabellum i zapasowy magazynek – bo jak wpadną na policję

albo Niemców, to będziesz musiał „gadać” z nimi za wszystkich.

Po dwudziestu minutach wrócił Zdzisiek, zły jak pies.

– Niech ich wielka cholera weźmie, baranów głupich – powiedział. – Przyparli mnie do muru i zabrali twoją spluwę. Nie będę się przecież z nimi bił. Dobrze chociaż, że zdążyłem wyjąć magazynek. Szedłem za nimi, żeby zobaczyć, gdzie pójdą. Poszli do Olka „Kulawego”. Walili w drzwi sklepu, a gdy Olek wyjrzał, prosili, żeby sprzedał im wódki. Nie wiem, co im Kulawy odpowiedział, bo Tadek zmierzył się do niego spluwą. Olek tak odskoczył do tyłu, że aż się przewrócił. Tadek chciał gonić ze spluwą policjanta, którego zobaczył z daleka. Zgniewało mnie to i wróciłem do domu.

Zaledwie zdążyliśmy się położyć, gdy „moje” pijaki znów są u mnie. Gdy otworzyłem drzwi, nie chcieli wejść do środka, tylko Tadek zaczął wołać głośno z korytarza:

– Daj magazyn i kule, no, dajesz czy nie? Bo jak nie dasz, to ci narobimy takiego rabanu, jakiego jeszcze nie miałeś! Daj magazyn i kule – wołał Tadek coraz głośniej – bo będziesz żałował!

Wściekłem się. Podałem Tadkowi naładowany magazynek, mówiąc:

– Czekaj ty… twoja mać, ja ci jutro pokażę raban. Masz i szoruj stąd. Już was nie widzę!

Poszli zadowoleni, że jednak postawili na swoim. Do rana już nie spaliśmy. Byłem zdenerwowany. Każdy z nas żyje z obecną władzą na bakier, więc wystarczy, że ktoś coś doniesie, i heca gotowa. W dodatku sąsiad przez ścianę to „granatowy”.

Bez przerwy wytężałem słuch, czy przypadkiem nie usłyszę strzałów. W razie wpadki na pewno będą strzelać. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że gdzieś daleko huknął strzał – ale nie byłem tego pewny. Dowiedziałem się później, że żadnego strzału nie było. Ale wówczas, zdenerwowany, zapytałem Zdziśka, który również nie spał, czy słyszał strzał.

– Nie, nie słyszałem – odpowiedział. – Ale jak wariat ma spluwę w ręku, to wszystko jest możliwe.

– Wstawaj, Zdzisiek, ubieramy się i wyniesiemy z mieszkania tryfny majdan. Przysłowie mówi: „Mądry Polak po szkodzie”. Postarajmy się być mądrzy przed szkodą.

Była już godzina czwarta rano. Po cichu wynosiliśmy z mieszkania różne „graty”, które wstawiliśmy do mieszkań zaufanych lokatorów i kolegów w naszym domu. Rano mieszkanie było „czyste”. Zostawiłem tylko pistolet, waltera i dwa granaty.

W niedzielę o ósmej rano zaniosłem na górę rower Czarnego, a Zdzisiek poszedł na Czerniaków odwiedzić swoich kolegów.

– Jest Czarny? – zapytałem, wprowadzając rower do mieszkania.

– Nie, nie wrócił na noc – odpowiedziała matka Czarnego.

– Trzeba było nie wypuszczać ich z domu.

– A czy oni mnie słuchali? Chciałam, żeby poszli spać, ale jak się uparli, to niech sobie idą.

– Na pewno Czarny śpi u Tadka – powiedziałem wychodząc z mieszkania. – Pójdę tam teraz, zobaczę, jak się pijaki czują.

Gdy wszedłem do Tadka, cała rodzina była już ubrana w świąteczne ubrania.

– Ta pijanica pewnie jeszcze śpi? – zapytałem, wskazując w kierunku drugiego pokoiku, w którym było łóżko Tadka.

– Nie przyszedł wcale na noc do domu – odpowiedziała matka. – Czarnego też nie ma. Chyba poszli spać do Witka.

– Zaraz tam pójdę i dowiem się.

Za mną wyszedł Heniek, młodszy brat Tadka.

– Do Witka nie masz po co chodzić – powiedział, gdy już byliśmy na ulicy. – Tam ich nie ma. Był u nas rano znajomy policjant i w tajemnicy powiedział, że wszyscy trzej są w komisariacie. Była obława i chłopaków zagarnęli.

– O rany! To nieklawo – powiedziałem przerażony. – Tadek miał w kieszeni moją spluwę. Jeśli nie zdążył wyrzucić, to leży.

Chodziliśmy po ulicach omawiając sprawę. Doszliśmy do wniosku, że Tadek na pewno spluwę wyrzucił, bo inaczej by strzelał i w ogóle nie dałby się zabrać ze spluwą do komisariatu. Bo dać się zabrać – to „mogiła”. Postanowiłem wskoczyć do mieszkania i wynieść do kolegów swój album z fotografiami, żeby w razie jakiejś wpadki nie mieli mojej fotografii i nie ciągali kolegów, których zdjęcia były w albumie. Gdy dochodziłem do rogu ulicy Tatrzańskiej, spotkałem matkę Zdziśka, która przyniosła dla niego jedzenie i zmianę bielizny. Podeszła do mnie mówiąc szeptem:

– Niech pan nie idzie do domu. Nie wiem, co się stało, ale cała kupa policji wpadła do waszego domu. Byłam już przy bramie, ale zawróciłam. A gdzie Zdzisiek? – zapytała.

– Poszedł do kolegów, gdzieś na ulicę Janowską. Niech pani tu czeka na niego, bo powiedział, że o godzinie dziesiątej wróci. Ja się urywam, bo policja pewno po mnie przyszła.

Poszedłem ulicami Nabielaka, Belwederską, Chełmską, Górską i od drugiej strony wszedłem w ulicę Tatrzańską. Przed bramą i na rogu Nabielaka stali nie znani mi osobnicy. Tajniaki. Ale oni mnie też nie znają. Szedłem spokojnie chodnikiem, skręciłem w bramę domu pod numerem 3 i wszedłem do kolegi Mietka „Pchełki”, którego mieszkanie było na parterze, a okno wychodziło na ulicę, naprzeciwko domu pod numerem 8. Przez okno dokładnie widziałem bramę swojego domu, chodnik i część jezdni aż do ulicy Nabielaka. Przyglądałem się, jak policjanci kolejno prowadzili naszych chłopaków do komisariatu. Każdy z nich był przykuty kajdankami do

eskortującego go policjanta. Wyjrzałem przez okno i – co to? Zobaczyłem trzech Niemców w mundurach. Pierwszy szedł bez karabinu, a za nim dwóch z karabinami na plecach. Weszli do naszej bramy. „Pewnie też po mnie – pomyślałem. – Ale dlaczego Niemcy?"

W tym momencie przypomniałem sobie groźby Baśki. Nic innego, tylko ona musiała mnie sprzedać Niemcom. Teraz to już i tak nie miało większego znaczenia. Jak złapią, to klops. Po dziesięciu minutach Niemcy poszli. Po chwili wyjrzałem znowu przez okno i zdrętwiałem. Od strony ulicy Nabielaka szedł wolnym, spacerowym krokiem Zdzisiek. Miał zaledwie kilka kroków do bramy. Nie przeczuwał niebezpieczeństwa i lazł prosto w pułapkę. Nie mogłem go ostrzec w żaden sposób, bo już po chwili wszedł do bramy. Matka nie przypilnowała. Powiedziałem przecież babie, żeby na Zdziśka czekała!

Po pięciu minutach już policjant prowadził Zdziśka w kajdankach. Gdy przechodzili naprzeciwko okna, przez które wyglądałem, odskoczyłem i szybko nałożyłem na siebie palto.

– Dokąd idziesz? – zapytał Mietek. – Teraz nie wychodź. Niebezpiecznie.

– Zdziśka muszę odbić – powiedziałem desperacko. – On miał spluwę w kieszeni, to dostanie w czapę.

Mietek, jego rodzice i siostra zagrodzili mi drogę do drzwi.

– Jego nie uratujesz, a sam możesz wpaść – tłumaczyli mi.

– Mam spluwę, zastawię „glinę", zabiorę mu spluwę, a jak nie puści Zdziśka, to mu w łeb wykopcę.

– Nie da rady – orzekli wszyscy stanowczo.

Zrezygnowany, usiadłem na krześle i już mnie nic nie interesowało.

Gdy policjanci zniknęli za rogiem Nabielaka, siostra Mietka poszła do naszego domu, żeby dowiedzieć się, jak tam było. Okazało się, że policja i Niemcy przyszli do mnie i że zabierali każdego młodego chłopaka, którego spotkali na schodach.

Po południu kręciłem się po dzielnicy, żeby od chłopaków dowiedzieć się czegoś więcej. Policjantów się nie bałem, bo mnie nie znali i nie mieli żadnej mojej fotografii, a poza tym chodziłem trzymając rękę w kieszeni, a w ręku odbezpieczony pistolet. Mnie nie wygarną tak łatwo jak tamtych pijanych w nocy.

Szedłem ulicą Chełmską, gdy zauważyłem po drugiej stronie ulicy swojego sąsiada idącego naprzeciw mnie. „Ten mnie przecież zna – pomyślałem. – Ciekaw jestem, czy będzie mnie chciał zatrzymać". Gdy zrównaliśmy się, spojrzeliśmy na siebie i sąsiad zasalutował. Odkłoniłem się unosząc czapkę lewą ręką.

– Moment – powiedział policjant przechodząc na moją stronę. Stanąłem plecami pod murem i czekam, nie spuszczając z niego oka.

Jeden jego ruch w kierunku pistoletu i będę strzelał. Gdy był już

blisko, powiedziałem spokojnie:

– Niech pan bliżej nie podchodzi. Niebezpiecznie. Ja nie Tadek.

– Wiem – odpowiedział policjant – i wcale nie mam tego zamiaru.

-

A ściszając głos powiedział: – Niech pan jak najszybciej ucieka z Warszawy. Tylko niech pan nie wyjeżdża z żadnego dworca, bo tam pana szukają.

– Dziękuję – odpowiedziałem z uśmiechem i rozstaliśmy się. To znaczy, on poszedł, a ja czekałem, aż policjant odejdzie na znaczną odległość.

Po południu wypuścili tych chłopaków, których wyłapali rano do konfrontacji. Zatrzymali tylko Zdzińka, Tadka, Czarnego i Witka. Tej nocy spałem u kolegi na Mokotowie. Wieczorem sprowadził on dwóch kolegów z naszego domu i wtedy dowiedziałem się szczegółów całej sprawy.

Okazało się, że w nocy z piątku na sobotę Tadek, Czarny i Heniek poszli ulżyć troszkę jednemu „fokstrotowi". Zaraz na początku okupacji zajął on jakieś wysokie stanowisko, nosił na rękawie opaskę ze swastyką i szybko dał się poznać jako polakożerca i drań. Niemca i jego żonę po sterroryzowaniu pistoletem powiązali sznurami i zabrali wszystko, co nie było ciężkie i miało dużą wartość. W warsztacie Czarnego rzeczywiście zdarzył się wypadek z pistoletem, jak to opowiadał Heniek. Heniek był mądrzejszy, więc natychmiast znikł z Warszawy (wyjechał do rodziny na wieś), a ci popili się, łazili w nocy z pistoletem, tym samym, z którym robili „robotę", i w dodatku dali się zabrać do komisariatu, jak barany do rzeźni. Witek nic nie wiedział o „robocie" i wpadł tylko przy okazji. W komisariacie zrobiono konfrontację. Niemiec bez wahania wskazał na Czarnego i Tadka. – A trzeci był wysoki – powiedział. Bo ci dwaj byli małego wzrostu. Jak wysoki, to kto? Ja – sprawa jasna. Tym bardziej że gdy chłopaki dostali w nocy lanie, to któryś sypnął, że pistolet jest mój. Dlatego rano policja wpadła do mnie. W dodatku w komisariacie stwierdzili, że z tego pistoletu strzelano w nocy z czwartku na piątek.

– Ale po co przyszli do mnie Niemcy? – zastanawiałem się głośno. Na to pytanie nikt nie potrafił odpowiedzieć. Co teraz robić? Zdecydowałem, że trzeba wiać z Warszawy. A co dalej? Zobaczymy.

W poniedziałek od rana chodziłem po mieście. Nie chciałem siedzieć w żadnym mieszkaniu z obawy, że mogą mnie szukać u kolegów i znajomych. W wędrówce tej zalazłem na Kercelak. Tu spotkałem Mańka „Patefona" handlującego ciuchami!

– Co ty tu robisz? ~ zapytał szeptem. – Dlaczego jeszcze siedzisz w Warszawie? Urywaj się, i to szybko. Przecież tu codziennie robią obławy. Jak obstawią samochodami wyloty ulic, to siedzisz jak w worku.

– No to co? Dokumenty przy sobie mam, a draka była wczoraj, więc dzisiaj jeszcze nie muszą mnie wszyscy szukać – odpowiedziałem z humorem, chociaż jego uwaga trafiła mi do przekonania.

– Dokumenty masz w porządku, przy sobie, ale spluwę na pewno też masz?

– Mam.

– No widzisz, wariacie. Urywaj się. Już! Daj łapę, buzi i niech ci się szczęści. Nie daj się złapać.

Obiad zjadłem w restauracji, a po południu byłem już na ulicy Grochowskiej. Pomny przestrogi sąsiada, nie wyjeżdżałem z dworca, lecz wskoczyłem w biegu do kolejki dojazdowej, tak zwanej ciuchci, pojechałem do Otwocka i tu dopiero miałem zamiar zabrać się na pociąg idący do Chełma. Wiedziałem, że pociąg z Warszawy przyjedzie zapełniony do granic możliwości – ale jakoś tam będzie.

Wreszcie przyjechał. Na peronie w Otwocku tłum ludzi. Otworzyłem drzwi kilku przedziałów. Wszędzie ścisk. Pociąg już rusza. Skoczyłem na bufory, a za mną jakiś facet. Pierwszy mój odruch: kopnąć go i zwalić między wagony. Byłem czujny i nerwy miałem bez przerwy w napięciu. W każdym człowieku, który mi się przyglądał, podejrzewałem tajniaka. W prawej ręce, której nie wyjmowałem z kieszeni, trzymałem odbezpieczony pistolet. Ale nie kopnąłem. Przytrzymałem się tylko lewą ręką żelaznego pręta, czegoś w rodzaju klamry, a prawą przez kieszeń mierzyłem z pistoletu w faceta.

Pierwszą rzeczą, którą zrobił mój wspólnik od buforu, to posłanie koncertowej wiązanki pod adresem Niemców i wojny. Styl wiązanki, forma i akcent, z jakim została powiedziana, upewniły mnie, że to nie „pies". Na buforach dojechaliśmy do Garwolina. Na każdej stacji próbowaliśmy dostać się do wagonu, ale nic z tego nie wyszło. Noc, mróz jak cholera, a my na buforach.

– Dalej na buforach nie jadę – powiedziałem, gdy pociąg zbliżał się do Garwolina. – Już jestem drętwy. Jeszcze pół godziny takiej jazdy i wpadnę między wagony. Wie pan co? – zwróciłem się do współpasażera. – Jak pociąg będzie stawał, ryjemy się na chama do takiego przedziału, z którego wysiądzie chociaż jedna osoba.

– A jak będą szurać, to zrobimy wojnę – dodał mój rozmówca, zadowolony z projektu.

Gdy tylko pociąg zwolnił, wyskoczyliśmy na peron. Pierwsze kroki stawiałem jak inwalida. Z wagonów wysiadło kilkanaście osób, ale do wsiadania czekało jeszcze więcej. Przyuważyliśmy przedział, z którego gramoliła się gruba handlara z wielkim tobołem. „W sam raz dla nas – pomyślałem. – Trzeba trzech takich jak ja, żeby zapełnić po niej miejsce". Tobołu już nawet nie brałem pod uwagę.

– Nie ma miejsca! – wrzasnęli ci, którzy stali w drzwiach

przedziału.

– Dla nas się znajdzie – odpowiedziałem i już stoję na stopniach, a obok mnie ten drugi z buforów.

– Na pewno nie wejdziecie – mówi jeden i spycha mnie ze stopnia, a drugi stara się zamknąć drzwi.

– Ciągnij go na peron! – krzyknąłem do swojego nowego kolegi i już walę pięścią w oko, a kolega ciągnąc za palto stara się wyrzucić go na peron.

Drugiego chciałem trzasnąć łbem, ale usunął się… i już dla mnie miejsce jest.

– Skacz – zawołałem na kolegę.

Gdy wskakiwał na stopnie, puścił palto przeciwnika, a ten przezornie cofnął się głębiej do przedziału. Już jesteśmy w przedziale i zatrzasnęliśmy za sobą drzwi.

– No i miejsce się znalazło – powiedział kolega, zwracając się do tych, którzy nie chcieli nas wpuścić. Popatrzyli na nas spode łba.

Rozejrzałem się po przedziale. Było to duże pomieszczenie, przystosowane dla mleczarek dowożących mleko do Warszawy. Ławeczki tylko wzdłuż ścian, a środek wolny. Właśnie ten środek zwrócił moją uwagę. Leżały tam różne worki i toboły, na których siedzieli handlarze. Arystokratycznie, luźno i wygodnie. Popatrzyłem na tych, którzy blokowali drzwi, i powiedziałem dobitnie:

– Ach, wy łobuzy… wasza mać! To my jedziemy na buforach na mrozie, o mało nie spadłem między wagony, a wy tu siedzicie w wygodzie i jeszcze krzyczycie, że nie ma miejsca? Czekajcie, już my wam damy więcej miejsca.

W tym momencie pociąg wjeżdżał na następną staję. Uchyliłem drzwi i zobaczyłem ludzi biegnących wzdłuż pociągu.

– Tu jest miejsce!

– Nie ma miejsc! – wrzasnęli wszyscy w przedziale.

– Znajdzie się – odpowiedziałem i już przyciskaliśmy się do ścian, żeby wpuścić wsiadających.

Wpuściliśmy, a właściwie wepchnęliśmy trzy osoby. Na następnej stacji znów krzyknąłem:

– Tu są miejsca!

– Nie ma miejsc! – wrzeszczą w przedziale.

– Znajdą się – odpowiadamy i znów wchodzą dwie osoby. Powtarzaliśmy tę sztuczkę na każdej stacji. Wpuściliśmy nie mniej jak piętnaście osób, tak że już naprawdę nie było miejsca. Wszyscy już stali, i to na tobołach, a my przy drzwiach wciąż krzyczeliśmy:

– Tu jest miejsce!

Klęli wszyscy, ale bali się zaczepić. Widzieli, jak załatwiliśmy tych, którzy nas nie chcieli wpuścić do przedziału, a teraz mieliśmy już swoich zwolenników, tych, których wciągnęliśmy do wagonu. Na

wymyślania i krzyki odpowiadaliśmy niezmiennie:

– My wam damy arystokratyczną jazdę i „nie ma miejsca".

Ci, co po drodze wysiadali, jeszcze z peronu przesyłali nam „życzenia" wszystkiego najgorszego.

U matki byłem tylko jedną noc. Następnego dnia rano już szedłem dalej. Poprosiłem, żeby mnie odprowadziła, bo chcę jej coś powiedzieć. Z początku miałem zamiar nic matce nie mówić o swojej sprawie, ale doszedłem do wniosku, że trzeba powiedzieć. Powiedzieć, pożegnać się uczciwie, bo nie wiadomo, czy się jeszcze w życiu zobaczymy.

Matka słuchała i nic nie mówiła, tylko patrzyła na mnie. Gdy tak patrzyła, zrobiło mi się przykro, że muszę ją zostawić samą, na niepewny los. Że już syn nie przyniesie jej pieniędzy na życie. Że od tej chwili życie matki stanie się ciężkie, bo prócz kłopotów materialnych dojdzie jeszcze troska o syna.

– Co chcesz teraz zrobić? – zapytała matka, gdy opowiedziałem wszystko.

– Będę się starał dostać za granicę.

– A jak cię na granicy zabiją? – zapytała z troską.

– Jak mnie tu złapią, to też rozwalą, więc w zasadzie nic nie ryzykuję.

– No to idź, synu, i niech cię Bóg prowadzi. A ja wracam do Warszawy. Ucałowałem matkę i poszedłem przed siebie. Czułem, że stoi i patrzy za mną. Ściskało mnie w sercu, ale się nie obejrzałem. Bałem się, że mogę się złamać i zmienić plany, żeby nie rozstawać się z matką, żeby być w pobliżu i pomagać w potrzebie z ukrycia.

Przyjechałem do Lublina. Zatrzymałem się u dalekiego krewnego, który mieszkał przy rodzinie jako sublokator. Powiedziałem mu, co mnie przygnało. Załatwił z gospodarzami, żebym mógł u nich kilka dni mieszkać. Należał on do tajnej organizacji i po trzech dniach powiedział, że załatwia moją sprawę. Przesłany będę w okolicę Zamościa. Tam w lasach „pracują" robotnicy. Ale ci robotnicy to ludzie tacy jak ja. Jest to punkt, z którego będę przerzucony za granicę. Po tygodniu miałem już załatwione stałe zameldowanie w Lublinie, z którego wynikało, że mieszkałem tam od dziecka.

Zaraz pierwszego dnia napisałem do Baśki list tej treści:

„Wiesz, co zrobiłaś i co cię za to czeka. Ja uciekłem i złapać się nie dam. Jak wrócę, to z tobą załatwię. Więc módl się i proś Boga, żebym nie wrócił".

I tak była wpadka, ale byłem pewien, że to ona napuściła na mnie Niemców. Postanowiłem zemścić się w przyszłości i już opracowywałem w myślach różne plany zemsty, jeden straszniejszy od drugiego.

Doszedłem do wniosku, że pistoletu trzeba się pozbyć, bo w tej

chwili nic mi on nie da, a może zaszkodzić. W Lublinie nie będą mnie szukali. Nie ma obawy o to, że mogą mnie rozpoznać na ulicy. Wieczorem oddałem pistolet kuzynowi i dobrze się stało, bo trzeciego dnia wpadłem na mieście w łapankę. Nie wiedziałem, co to jest, bo łapanek jeszcze nie widziałem. Gdybym miał pistolet, to bym się bronił…i wpadł, bo przecież sam nie dałbym rady kupie uzbrojonych Niemców.

Zawieźli nas na przedmieście Lublina i umieścili w budynku szkolnym, który spełniał rolę punktu etapowego przed wysłaniem na roboty rolne do Niemiec. Lubliniacy znali ten budynek i już w samochodzie wiedziałem, po co nas złapano. Szybko obszedłem cały budynek i podwórze, żeby zorientować się w możliwości ucieczki. Budynek stał na odkrytym placu, przy siatkowym ogrodzeniu stali wartownicy z karabinami, folksdojcze w czarnych mundurach. W jednym tylko miejscu ogrodzenie stykało się prawie – odległość wynosiła jakieś dwadzieścia metrów – z rogiem bocznej uliczki. Wdałem się w rozmowę z wartownikiem. Po kilku ogólnikowych zdaniach powiedziałem wprost:

– Ty, udawaj, że nie widzisz, a ja prysnę.

– Na pewno nie pryśniesz – odpowiedział na moją propozycję „fokstrot".

– A na pewno prysnę.

– No, to skacz przez parkan. Na pół drogi cię puszczę, a i tak zdążę strzelić i na pewno trafię.

– Jak prysnę, to tak, że wcale nie zobaczysz. Ja do rolnych robót się nie nadaję. Patrz, jakie mam ręce – mówiąc to pokazałem nie spracowane dłonie, bo przecież w fabryce miałem precyzyjną robotę, a kilka miesięcy już nie pracowałem wcale. – I wy mnie chcecie z takimi rękami posłać do gnoju?

– Tam cię nauczą robić.

Gdy odszedłem kilka kroków, obejrzałem się i powiedziałem głośno:

– Zaczekajcie… wasza mać, jak ja wam zaoram, zasieję, to za trzy lata nie zbierzecie.

Tego jeszcze dnia ustawiono nas w kolumnę i pod eskortą zaprowadzono do miasta na badania lekarskie. Wszyscy zgrupowani na wyjazd to ludzie złapani na ulicach i w pociągach.

Wprowadzono nas do budynku, na pierwsze piętro. Rozeszliśmy się po długim korytarzu, a wartownicy z karabinami zostali przy drzwiach wejściowych. Poszedłem w koniec korytarza i wyjrzałem przez okno. Wychodziło na podwórze, tuż przy bramie. Rozejrzałem się po twarzach. Jest kilku, którzy wyglądają na cwaniaków. Zagadałem z jednym, drugim i po chwili było nas już paru gotowych do ucieczki.

– Zasłońcie trochę, ja skoczę pierwszy – powiedziałem otwierając okno.

– Po chwili skok na dół i już jestem na ulicy

Po dwóch tygodniach pojechałem do Warszawy dowiedzieć się, jak stoją moje sprawy. Z zachowaniem wszelkich środków ostrożności spotkałem się z kolegami, którzy przynieśli mi bieliznę i inne drobiazgi. Sprawy stały źle. Policja prawie każdej nocy wpadała do mojego mieszkania. Szukali w mieszkaniu, u sąsiadów i w piwnicy. W mieszkaniu była moja młodsza siostra. Matka jeszcze nie wróciła. Pokazano mi gryps, który Tadek przysłał z więzienia. Pisał: „Jeść nie dają i biją. Nie martwcie się i nie płaczcie. Ja wiem, że zginąć muszę, to już dawno wróżyła mi Cyganka, że w 22 roku życia zginę". Prosiłem chłopaków, żeby zawiadomili tych, co siedzą, żeby wszystko zwalili na mnie. Jestem na wolności i złapać się nie dam, a im to może pomóc.

Następnego dnia rano znów byłem w Lublinie. Gdy kuzyn poszedł do pracy, gospodyni powiedziała mi, że wczoraj był starszy brat Zygmunta – bo tak miał na imię mój kuzyn. Gdy dowiedział się, że ja tam się ukrywam, powiedział: „Wypędź go… jego mać. Co tu mu będziesz darmo żreć dawał?"

Ruszyło mnie. Cały dzień tylko o tym myślałem. Gdy po południu wrócił Zygmunt, zapytałem, czy to prawda.

– Daj spokój – obruszył się Zygmunt. – Będziesz zwracał uwagę na to, co wariat mówi? U mnie jesteś, a nie u niego.

Pomyślałem chwilę i spokojnie odpowiedziałem:

– Nie. Wiesz, jaki ja jestem? Boso, ale w ostrogach. Jutro rano wyjeżdżam.

Nie pomogły żadne argumenty i przekonywania. Następnego dnia, gdy Zygmunt poszedł do pracy, z walizeczką w ręku znalazłem się na dworcu. Zostawiłem tylko list, w którym serdecznie mu dziękowałem za troskliwość i pomoc. Po dziesięciu dniach już byłem aresztowany.

Plan mój był prosty: Pojechać do Chełma, następnie do Sawina, gdzie mieszkała rodzina ojca. Z Sawina do Bugu jest zaledwie kilkanaście kilometrów. Tędy dostanę się do Związku Radzieckiego.

Na drugiej stacji za Lublinem Niemcy zrobili łapankę. Zbierali transport na roboty rolne do Niemiec. „Frajerzy – pomyślałem. – Przecież teraz już wiem, jak uciekać". Zawieźli nas do tej samej szkoły, w której już raz byłem. Wśród przygotowanych do wysyłki było kilka osób, które jechały na ochotnika. Ci ludzie mieli prawo wybierać miejscowość, do której chcą jechać, i gdy transport szedł w tym kierunku, zawiadamiano ich, żeby się zgłosili. Od nich dowiedziałem się, że transport idzie do Nadrenii, w okolice miasta Koblenz. Wiedziałem, że to blisko granicy Francji, Belgii i

Luksemburga. Postanowiłem jechać i po kilku dniach uciekać do tego państwa, do którego będę miał najbliżej.

Zawarłem sztamę z dwoma lubliniakami – Mietkiem i Władkiem, że uciekać będziemy razem, i od tej chwili byliśmy nierozłączni. Gdy transport nocą dojeżdżał do Warszawy, były momenty, że chciałem uciekać. Wystarczyło pociągnąć za rączkę hamulca, a gdy pociąg stanie, skoczyć do lasu, odległego o dziesięć metrów od toru kolejowego. Ale nie zrobiłem tego. Muszę się trzymać raz podjętej decyzji. Zdecydowałem się jechać, więc już nie ma odwrotu.

Wyładowano nas w jakimś dużym mieście i podzielono na mniejsze grupy. Naszą grupę, liczącą ze trzydzieści osób, władowano do pociągu i po dwóch godzinach jazdy wprowadzono do budynku, w którym czekali „kupcy".

Do urzędnika podchodził gospodarz. Ten wywoływał kogoś z grupy. Gospodarz kwitował i odchodzili razem.

Zabrano Władka, następnie Mietka, wreszcie i mnie zabrał jakiś starszy gospodarz. Szedł pierwszy, ja za nim. „Prowadzi mnie jak jakieś bydło robocze – pomyślałem. – Dobrze, że nie założył postronka na szyję. Będę musiał tylko pracować, bo rozmawiać nie będziemy. Nie znam nawet jednego słowa w tym języku, a i oni nie znają ludzkiej mowy".

Rodzina mojego gospodarza składała się z ojca, córki i dwojga dzieci córki – chłopca, lat trzynaście, i dziewczynki, lat piętnaście. Władek trafił do innej wsi, a Mietek mieszkał trzy domy dalej.

Z miejsca stanąłem sztorcem. Nie chciałem nic robić, a jak już zrobiłem, to gospodarz zawsze musiał poprawiać. Mietek miał dużo niemieckich marek, więc codziennie wieczorem byliśmy w knajpie w odległym o pół kilometra miasteczku. Mówiąc Mietkowi o swojej pracy śmiałem się, że gospodarz każe mi robić przy wołach. Przecież ja takiego bydlaka w życiu nie widziałem! Ryczy to jak krowa, paskudzi jak krowa, a pracuje jak koń. Cholerne jakieś bydlę i ja się go boję. Gdy wracałem z knajpy, gospodarze już dobrze spali. Wówczas kopałem w drzwi, aż mi otworzyli.

Byłem u gospodarza od poniedziałku. We wtorek miałem już mapę okolicy. Wyrwałem z książki szkolnej chłopaka, który postanowił nauczyć mnie po niemiecku.

Środa. Ukradłem ze spiżarni duży kawał słoniny i bochenek chleba. To żywność na drogę, gdy już będziemy z Mietkiem uciekali za granicę. Mietek też organizuje żarcie.

Czwartek. Wieczorem pijemy w knajpie. Zajęliśmy stolik przy oknie. Za oknem kupa wyrostków wygłupia się i patrzy na nas jak na małpy w klatce. Zgniewało mnie. Wyszedłem z lokalu i trzasnąłem pięścią w nos wyrośniętego, mniej więcej osiemnastoletniego chłopaka.

Piątek. Gospodarz coś do mnie mówi na podwórzu, a ja się śmieję, bo nic z tego nie rozumiem. Wiem, że każe mi coś robić, a ja celowo udaję wariata. Za niskim płotkiem ukazał się sąsiad. Wrzeszczał coś i groził mi batem. Złapałem w ręce kawał grubego kija i skoczyłem do płotu. Dostałby w łeb, gdyby nie odskoczył. On mi, lebiega, batem groził!

Sobota. Umawiamy się z Mietkiem, że w połowie przyszłego tygodnia uciekamy. Wieczorem powiedział mi jedyny dotychczas Polak w tej wsi, który dobrowolnie przyjechał na roboty i był tu już dwa miesiące, że słyszał, jak w jego domu rozmawiali, że podobno ma po mnie przyjść policja. „Wariat – pomyślałem. – Za co? Przecież jeszcze nic takiego nie zrobiłem, za co mogliby mnie zamknąć".

Niedziela. Gospodarz coś tłumaczy mi na podwórzu, a ja ni w ząb go nie rozumiem. Zobaczyłem przechodzącego Mietka.

– Mietek! – krzyknąłem. – Chodź, spytaj się, czego on chce, bo może tak rok do mnie gadać, a ja go i tak nie zrozumiem.

Mietek znał nieźle język niemiecki.

– Mówi, że macie zabrać te pale i pojedziecie grodzić pastwisko.

– Powiedz mu, że dzisiaj nic nie będę robił. Niedziela. Święto.

– Mówi, że musisz iść – znów tłumaczy Mietek.

– Powiedz, żeby mnie stary szkop w d… pocałował. Powiedziałem już raz, że dzisiaj święto.

– Powtórzyć? – zapytał Mietek z zadowoleniem.

– Powtórz.

Gdy powtórzył, w mojego Niemca jakby piorun strzelił. Zaczął wrzeszczeć, a zrozumiałem tylko słowa „policaj".

– Ja… ciebie i twoją policję… – odpowiedziałem po polsku, równocześnie machnąłem mu palcem przed nosem i zrobiłem ruch charakterystyczny przy uderzeniu głową.

Niemiec złapał z wozu młotek i chciał mnie uderzyć w głowę. Odbiłem rękę i strzeliłem łbem. Gdy upadł, wpadłem do mieszkania i po chwili wychodzę z walizeczką i rowerem gospodarza. Za płotem wymyśla sąsiad. Pogroziłem mu wyjętym z kieszeni sprężynowym nożem. Wsiadłem na rower i pojechałem przez nikogo nie zaczepiony.

Po przejechaniu mniej więcej kilometra skręciłem w las. Teraz leśnymi ścieżkami starałem się odbić jak najdalej w bok od „swojej" wsi. Planowałem sobie, że rowerem szybciej dojadę w pobliże granicy belgijskiej. Francja mniej mnie interesowała, bo to linia Zygfryda, druga Maginota, ciężej będzie się przedostać. Gdy już będę blisko granicy, wtedy wyrzucę rower i choćbym miał iść jeszcze tydzień i na czworakach, to przejść muszę. Po kilku godzinach wyjechałem na jakąś drogę. Pedałuję, ile sił w nogach. Po przejechaniu kilku kilometrów zauważyłem przed sobą dwóch policjantów z karabinami. Wracać nie można, bo będzie poruta, więc walę na pewniaka prosto

na nich. Gdy byłem przy nich, zastawili mi drogę wołając: halt! Karabiny trzymają pod pachą, lufy skierowane we mnie. Stanąłem, a oni o nic nie pytali, tylko jak swojego zabrali na posterunek.

Poniedziałek. Samochodem osobowym zawieziono mnie na gestapo w Koblenz.

Wtorek. Byłem przesłuchiwany. Tłumaczem był kulawy facet nazwiskiem Milewsky, mówiący dobrze po polsku.

– Masz mówić szczerą prawdę – powtarzał tłumacz słowa gestapowca – bo jak nie będziesz mówił prawdy, to pójdziesz na całe życie do obozu koncentracyjnego.

– Obóz koncentracyjny też dla ludzi – odpowiedziałem, myśląc o tym, że „na całe życie" to tylko do końca wojny, a wojna skończy się w tym roku. Anglia, Francja ruszą i z Niemców klops.

Gdy tłumacz powtórzył moją odpowiedź, – dostałem od gestapowca w twarz.

Na przesłuchaniu dowiedziałem się, że podobno swojemu gospodarzowi wybiłem zęby i złamałem dwa żebra. Nie wierzyłem. Zęby to może i wyleciały, bo u takiego starego to same wyłażą, bez żadnej pomocy. Ale te złamane żebra to już musieli dołożyć. Dużo później, już w obozie koncentracyjnym, zrozumiałem, że gdybym to samo zrobił rok później, toby mnie dla przykładu powiesili publicznie na środku wsi. Wówczas byliśmy pierwszymi obcokrajowcami na robotach rolnych. Niemcy nie mieli jeszcze opracowanych metod postępowania w takich przypadkach.

Po kilku dniach wyprowadzono mnie. Strażnik, który mnie wyprowadzał, spojrzał w otrzymane papiery i mruknął coś pod nosem, z czego zrozumiałem tylko słowo: Konzentration.

W lipcu 1945 roku wróciłem do kraju. Przyjechałem do Warszawy i odnalazłem pozostałych przy życiu kolegów. Dowiedziałem się, że Czarny, Tadek i Zdzisiek zostali rozstrzelani w Palmirach pod Warszawą. Heniek, ten, co po „robocie" uciekł na wieś – wysłany został na roboty do Niemiec.

Złapany po trzeciej ucieczce z Niemiec, zamknięty został w obozie karnym i tu go wykończyli. Witka – dzięki staraniom rodziny i grubszym łapówkom – zwolniono z więzienia tego dnia, gdy ja wpadłem z Lublina do Warszawy dowiedzieć się o swoją sprawę. Widział mnie na ulicy, ale bał się podejść.

Bał się? Dlaczego? Prawdopodobnie to, on sypnął wtedy, że to był mój pistolet. Po wojnie nie spotkaliśmy się, mimo że żyje on gdzieś na Dolnym Śląsku. Odwiedza rodzinę w Warszawie, lecz nikt z naszej dawnej ferajny nie spotykał się z nim.

Odwiedziłem też Baśkę, ale że nie mogłem zdobyć pewnych dowodów na to, że mnie wtedy sypnęła – mimo że jej zachowanie i po moim powrocie też na to wskazywało – zostawiłem ją w spokoju.

Rozrzuciła wojna naszych chłopaków po świecie. Kilku zginęło. Kilku z dawnych „powstańców” nie wróciło do kraju. Większość jednak mieszka w Warszawie. Pracują w swoich zawodach, pozakładali rodziny i przykładnie wychowują dzieci, zapewniając im lepsze dzieciństwo od tego, jakie my mieliśmy.

3. „NIE MA ŻYCIA”

„NIE MA ŻYCIA”

Sierpień 1958 rok. Niedziela wieczór. Wsiadłem do tramwaju. Spieszyłem się na Dworzec Wschodni i myślałem o tym, czy zdążę na swój pociąg. Zamyślony, nie zwróciłem uwagi na towarzystwo stojące na tylnym pomoście. Gdy usłyszałem za plecami ordynarne słowa, wykręciłem się i stanąłem tak, żeby widzieć cały pomost. Stało tam czterech młodych mężczyzn i trzy kobiety – wszyscy porządnie ubrani. Nikt z nich nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Zauważyłem, że tylko dwóch chłopców było pijanych. Jeden z pijanych trzymał kolegę za rękaw płaszcza, przysunął twarz do jego twarzy i mówił:

– Wygnajcie te rury – i wskazując na dziewczęta dalej ciągnął w tym stylu. W tym czasie drugi zagazowany młodzieniec śpiewał głośno, do melodii znanej piosenki dodając pornograficzny tekst.

„Głupie jakieś dziewuchy, że zadają się z takimi typami” – pomyślałem. Po chwili dopiero spostrzegłem, że reszta towarzystwa jest trzeźwa i że z pijanymi nikt nie rozmawia. To tylko ci dwaj posyłają różne zaczepki pod adresem dziewcząt.

„Śliczni młodzieńcy – pomyślałem. – Wypije taki kieliszek, a szumu robi, jakby wypił pół antałka”.

Po chwili całe towarzystwo zaczęło przechodzić na przednią platformę wagonu. Kobiety pierwsze, pijani na końcu. Gdy jeden z nich był już w wagonie, drugi pociągnął go do tyłu mówiąc:

– Zostaw to tałatajstwo. A po chwili dodał:

– Frajerzy, drewniaki.

– Puść mnie, mam ochotę pogadać z nimi jeszcze – upierał się pierwszy.

Trzeźwe towarzystwo poszło do przodu, ja usiadłem tuż przy pomoście, a weseli młodzieńcy zostali sami. W tej części wagonu, gdzie siedziałem, było tylko parę osób.

– Ja bym tam poszedł do nich – zaczął znowu jeden z pijaków. – Powiedziałbym im tak, że powinni się wreszcie obrazić.

Tacy to i obrazić się nie potrafią – odpowiedział drugi. – Tak im szurać, jak ja szurałem, i nawet słowa żaden nie powiedział: Niechby tylko spróbowali powiedzieć… O, tę pięść to śmiercią czuć, nie warto z nią się poznać.

Na przystanku wsiadła młoda panienka i stojąc na pomoście płaciła za przejazd.

– Chodź, szantrapka, do nas, będzie ci z nami wesoło – powiedział jeden, ciągnąc ją do tyłu. Jedną ręką objął ją za szyję, a drugą chwycił wpół.

Panienka wyrwała się i stojąc już w wagonie, powiedziała:

– Panie, niech się pan nie wygłupia! Jak pan sobie popił, to trzeba

w domu siedzieć.

Jeden z nich posłał jej wtedy „wiązankę”, drugi znów zaśpiewał piosenkę z pornograficznym, prawdopodobnie przez siebie ułożonym tekstem. Nie było w tym ni ładu, ni składu – tylko samo chamstwo. Panienka po zapłaceniu za przejazd szybko przeszła do przodu wagonu.

W tylnej części wagonu tylko ja, siedzący tyłem do pomostu, i konduktorka – a na pomoście „młodzież”, która się „bawi”.

Nie ma życia! – usłyszałem głos za sobą. – Nie ma życia! – powtórzył znów po chwili. – No cóż? Pracuje człowiek za te parę złotych i jak tu żyć? Nie ma życia, bracie. Nie ma życia… parę złotych trzeba byłoby dać matce, a tu chciałby człowiek iść na dansing, wypić sobie, dziewczynka też przecież kosztuje – i jak tu żyć? Nie ma życia…

– Takie czasy przyszły – wtórował mu dzielnie drugi – że żyć człowiekowi nie dadzą. Przyjdzie człowiekowi powiesić się albo trzeba kraść – bo inaczej nie ma życia. Tramwajem, widzisz, musimy jechać. Ja lubię jeździć taksówką – ale czy dadzą ci zarobić na taksówkę? I to się ma nazywać życie? Nie ma życia, bracie, nie ma życia. Milczeli chwilę.

– Wiesz co – odezwał się znów jeden – mam dzisiaj chęć pobić się z kimś. Ale z kim? Tamte ciapciaki uciekli. Widzisz – nawet pobić się nie ma z kim… Nie ma życia – powtórzył znów uparcie.

– Nie ma życia, bracie, nie ma życia – usłyszałem znów za plecami.

– Zaszuram do tego, może się obrazi… No, bo mam chęć się z kimś pobić – powiedział jeden.

– Zostaw go – usłyszałem tuż za sobą – to taki sam ciapciak jak tamci. Nie widzisz, że już ledwie ze strachu żyje? – mówił drugi, odciągając tamtego zza moich pleców.

Targnęło mną podwójne uczucie: zrobić wszystko, żeby nie dopuścić do awantury, i przekorna chęć, żeby jednak zaczęli. „Oszukacie się, chłopcy – pomyślałem – mimo lat i braku zdrowia przed takimi jeszcze nie wysiadam”.

Nie oglądałem się, żeby spojrzeniem nie sprowokować bojowych młodzieńców. Myślałem tylko o drogach, które dzisiaj dla młodzieży są otwarte: o zarobkach, możliwościach zdobycia zawodu, ułożenia sobie życia po ludzku. A jak to wyglądało wtedy, gdy ja miałem te lata, co oni, dla których dzisiaj „nie ma życia”.

Odetchnąłem z ulgą, gdy młodzieńcy wyskoczyli w biegu z tramwaju, mówiąc:

– Wyskakujemy, jest restauracja, wypijemy ćwiartkę, no bo – nie ma życia!